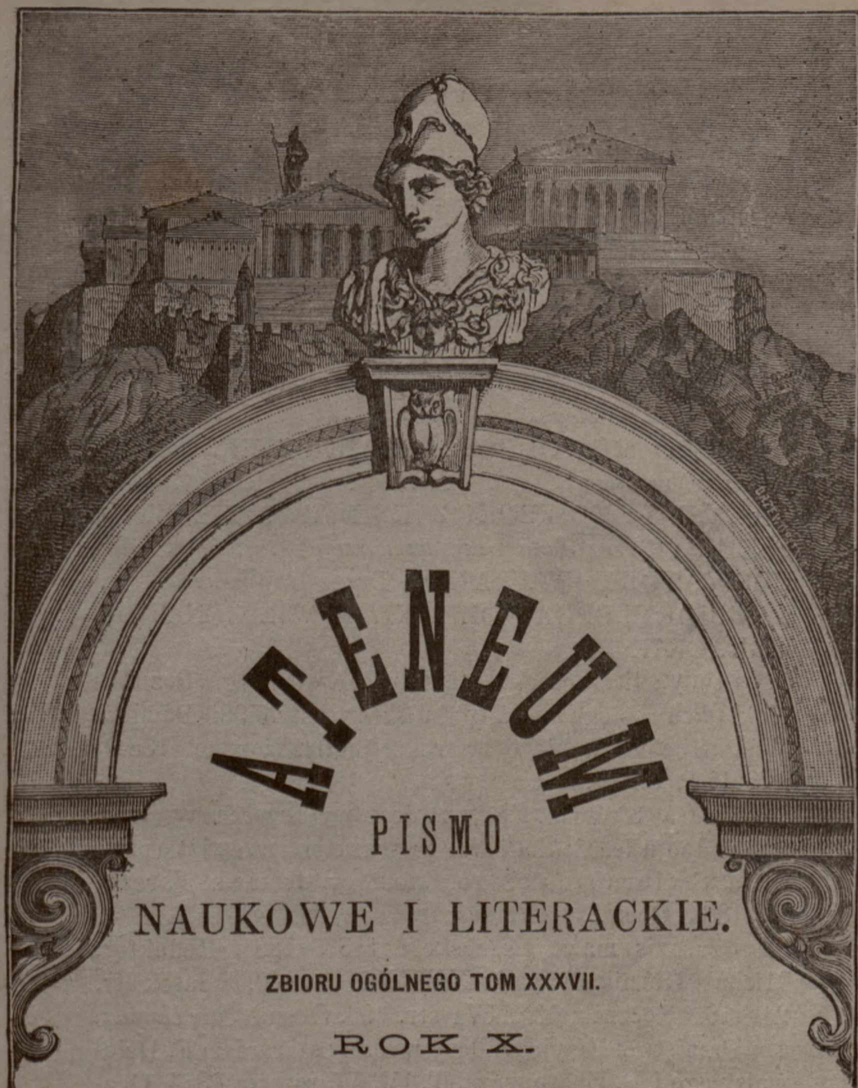


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVII.

ROK X.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 28 Lutego 1885 r.

Pierwszy
SCENICZNY PISARZ POLSKI.

(Ks. Franciszek Bohomolec S. J.)

Józef Bielawski otworzył swojemi „Natrętami", przerobionemi bez najmniejszego talentu z „Les Facheux" Molier'a, pierwszy publiczny teatr polski w Warszawie 19 listopada 1765 r. i późniéj wystawił jeszcze podobnéj-że wartości „Dziwaka". Obie te komedye zniknęły bardzo prędko i niepowrotnie ze sceny, a za niemi i autor ich z dziejów literatury, w któréj jeżeli zostawił jakie wspomnienie po sobie, to najwięcéj dzięki uszczypliwym epigramatom Węgierskiego, chłoszczącym jego nieudolność i zarozumiałość bez litości. Niepowodzenie Bielawskiego, brak innych komedyj polskich, nie tylko oryginalnych ale nawet i tłómaczonych, wysunęły na widownię teatralną autora, który, zajmując się od niejakiego czasu literaturą dramatyczną i teatrem, nie myślał wcale o tém i pretensyi sobie do tego nie rościł żeby zostać kiedyś Thespisem polskim. W kłopocie bowiem co umieścić na repertuarze? co grać? ci, którzy się zarządem teatru i wystawieniem sztuk wówczas zajmowali, przypomnieli sobie, że istnieją jakieś komedye polskie, w innym wprawdzie celu a nie na teatr publiczny pisane i liczące już trzy wydania do owéj pory. Były to komedye ks. Franciszka Bohomolca.

Bohomolec (ur. 1720) od lat już kilkunastu (od r. 1752) bawił w Warszawie jako nauczyciel retoryki w Jezuickiém kollegium, pełniwszy przedtém przez jakiś czas podobny urząd także i w Wilnie. Retoryka w systemie dawnéj edukacyi ważnym była i bodaj nie najważniejszym przedmiotem. Szkoły tamtych czasów to miały głównie na oku i na to były obliczone, aby kształcić uczniów swoich na

przyszłych posłów i marszałków sejmów i sejmików, na przyszłych deputatów trybunalskich. Krasomówstwem i swadą dochodziło się do wziętości i powagi między bracią szlachtą. a co zatém idzie, do ziemskich i krajowych godności i do senatorskich krzeseł. Młody syn szlachecki zaledwie nauczywszy się czytać i pisać, zaczynał się już uczyć szermierki językowéj na wszelaki sposób i przy pomocy wszystkich do tego przydatnych nauk. Do tego służyła mu scholastyczna dyalektyka, ze wszystkiemi swojemi subtelnościami i sztuczkami; w tym celu uczył on się na pamięć poetów łacińskich, mających wzbogacić jego imaginacyą pełnemi życia i plastycznemi obrazami; dla nabrania gibkości języka, płynności w wymowie i nadania jéj trafnych a energicznych zwrotów, ślęczał od pacholęcych lat nad Cyceronem. Poeci i mówcy, zwłaszcza starożytni, choć czasem i swoich nie pomijano, górą byli w ówczesnéj edukacyi. Na historyą, geografią, matematykę i nauki przyrodnicze mniéj uważano, uczono ich tylko przypadkowo przy autorach klasycznych, albo i całkiem je pomijano. Ale nie dosyć na teoryi. Tych przyszłych mówców sejmowych, sejmikowych i trybunalskich, trzeba także było zawczasu oswajać z publiczném wystąpieniem i przyzwyczajać ich do „pięknéj prezencyi“ na przyszłość. Praktyka w wymowie zatém, ćwiczenie się w wypowiadaniu swych myśli, zarówno w prozie, jak i wierszem, a następnie wygłaszanie publiczne tych utworów dużo, bardzo dużo miejsca zajmowały w programie tamtoczesnych nauk. Młodzież szkolna pisała podług przedstawianych jéj wzorów oracye i panegiryki na najrozmaitsze temata i przy każdéj sposobności, bądź mową wiązaną, bądź niewiązaną, witała biskupów, odbywających wjazdy do swéj dyecezyi, senatorów zasiadających po raz pierwszy swoje krzesła, dobrodziejów szkół lub zakonów, zwiedzających te zakłady, wogóle wszystkich mniejszych lub większych dygnitarzy, na których cześć i starsi także w owych czasach zwykli byli i czuli się obowiązani układać i drukiem do wiadomości potomnych podawać podobne elukubracye. Nierzadko, te płody pacholęcéj Muzy, jako „Oratorskie zabawki“ młodzi tego lub owego collegium, przejrzane zapewne okiem nauczyciela i jego piórem wygładzone, na większy zaszczyt szkoły i ku pociesze rodziców, wychodziły z pod prasy drukarskiéj na światło dzienne.

Za jeden ze środków wykształcenia serca i umysłu, a zwłaszcza za dobre ćwiczenie w krasomówstwie, uważano także oddawna przedstawienia teatralne. Młodzież wszystkich szkól dawała w dnie pewnych uroczystości kościelnych lub szkolnych dyalogi, przy których jako widze uczestniczyli nie tylko współuczniowie, ale i inni przez zwierzchność szkolną zaproszeni goście. W czasach przewagi

Jezuitów w edukacyi publicznéj, układano na ten cel najwięcéj albo tragedye z dziejów starożytnych i historyi kościoła, albo téż alegoryczne sztuki, w których uzmysławiano jakąś sentencyą moralną, albo nawet dogmat religijny w podobny sposób, tylko naturalnie w nierównie gorszy, bo bez ich geniuszu, jak to czynili Lope de Vega i Calderon w swoich Autosach. W bibliotekach naszych zalegają stosy podobnych tragedyj i allegoryj, bądź wykończonych zupełnie, bądź téż spisanych tylko jako sumaryusze, dla lepszego zoryentowania się widzów, jako smutną pamiątkę niskiego poziomu wyobrażeń literackich, choć może jako pożądany i smaczny pokarm dla molów.

W czasach o których mówimy, w czasach Bohomolca, jak wogóle w całéj edukacyi, tak i w tém dawaniu publicznych widowisk przez młodzież szkolną, wiele rzeczy na lepsze się zmieniło. Konarski przeprowadził już wtenczas swoję reformę wychowania. Zasłużony ten prawodawca edukacyi postępowéj nie odrzucił przedstawień teatralnych młodzieży, tylko inny im nadał kierunek. Jak wogóle w całym swoim planie wykształcenia wziął sobie za wzór społeczną cywilizacyą, naukowość i literaturę francuską, tak i scholastyczne tragedye i alegorye fabrykowane przez niepowołanych mistrzów, zastąpił prawdziwie wzorowemi i klasycznemi utworami francuskich dramaturgów. Miejsce dawnych Kodrusów, Scypionów afrykańskich, Depozytów łask i miłości bożéj, Niewinnych Józefów itp. zajęły teraz (od r. 1743) na teatrach w szkołach pijarskich: Polyeukt, Cynna, Atalia, Alzyra itd. Konarski niektóre z tych tragedyj francuskich sam tłómaczył, i na wzór ich napisał oryginalnie odszukanego niedawno Epaminondasa.

Jezuici, nie ślepi na wartość nowości, wprowadzonych przez Konarskiego i uchylając czoła, może we własnym dobrze zrozumianym interesie, przed zdrowym i koniecznym postępem, bez oporu, ale i bez ostentacyjnych przewrotów w swoim systemie, przyjęli reformę edukacyjną i stosowne zmiany w swoich szkołach zaprowadzili. Rozumie się, że i teatr szkolny nie mógł zostać takim, jakim był. Wobec bohaterów Corneilla i Racina, których przedstawiali uczniowie Pijarscy, alegoryczne, niesmaczne i napuszone figury ich dyalogów bardzo by rażąco i niepokaźnie wyglądały. Należało te opatrzone i wyszłe z mody jasełka zastąpić czémś innem. Ale czém?

Fakta pokazały, że literatura francuska dosyć jest bogata, że jéj skarbów wystarczy dla obu nie bardzo harmonizujących z sobą zakonów, że jeśli Pijarzy, przyszedłszy pierwsi zabrali z niéj na swoję własność Corneilla, Racina i Voltaira, to dla Jezuitów, choć późniéj zdążyli, pozostał jeszcze nie zły wcale kąsek—Molière.

Nie moglibyśmy naturalnie zaręczyć, czy w istocie tak było, czy rywalizacya dwóch zakonów i ich szkół rzeczywiście była powodem tego podzielenia się różnolitemi płodami francuskiéj literatury, bo jeżeli taki domysł z faktu samego się nasuwa, to z drugiéj strony mogła także i osobistość tego pisarza, który zreformowania jezuickiego teatru szkolnego się podjął, na taki lub owaki wybór literatury dramatycznéj nie mało wpłynąć. O ile zaś znamy Bohomolca, a znamy go dosyć dobrze, całe usposobienie jego umysłu, jego temperament i skłonności nadawały się bardzo dobrze do tego, ażeby więcéj niż w poważnéj, koturnowéj tragedyi lubował sobie w humorystycznéj i wesołéj, komicznéj Muzie.

Ksiądz profesor retoryki w jezuickim colegium był jednym z typowych okazów polskiego duchowieństwa. Pod jego zakonną sutaną czuć było szlachcica z dziadów i pradziadów, jakim téż był w istocie. Dobrych obyczajów, nawet w czasach tak wolnych jak epoka Stanisława Augusta, nie dający nigdy zgorszenia i złego przykładu, nie był jednak Bohomolec ani ascetą, ani bigotem, ani przesadnym ludzkich słabości karcicielem. Wesoły humor godził się u niego z powagą stanu, a uczciwa zabawa z zajęciami człowieka, oddanego nauce i pióru. „Nie była dziką cnota jego: użyczał się towarzystwu i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą z przykładnością nienagannego życia". Tak pisał o nim Krasicki, znający go osobiście i dobrze. Towarzyski z natury, jak każdy prawie Polak, chętnie szukał kompanii, umiał się bawić, i co więcéj, zabawić drugich. Zadowolniony z losu, nie doznający nigdy zgryzot ambicyi, bo ani za karyerą ani za honorami się nie ubiegał, po dziennéj pracy za najlepszą nagrodę uważał wesołe, bez przymusu towarzystwo, w któróm można było i swobodnie pożartować i uśmiać się i wypić jeden i drugi kieliszek dobrego wina. Nic dziwnego, że według własnego wyznania był „zawsze wesół i zawsze rumiany, i że na twarzy jego, wcale pełnéj i dobrą tuszę całéj osoby pokazującéj, jak nam ją przedstawiają kopje z obrazu malarza Martena robione, igrał zawsze prostoduszny, swobodny i jowialny uśmiech.

Tradycya literacka przekazała nam nadto kilka charakterystycznych szczegółów o jego prywatném życiu i osobistém usposobieniu. Sądząc według znanéj przypowieści: powiédz mi z kim przestajesz a ja ci powiém kim jesteś,—można z nich na śmiało wyciągać pewne wnioski o charakterze Bohomolca. Szlachcic, wprawdzie nie z senatorskiego ale z zamożnego rodu, prawdziwy karmazyn, a przytém profesor w szkole przemożnego jeszcze wówczas zakonu, człowiek uczony i pisarz z pewném imieniem, dobiera on sobie

zawsze towarzystwo, które ani jego urodzeniu, ani powołaniu, zdaje się nie odpowiadać. Najszczerszym jego przyjacielem jest najprzód bogaty kupiec warszawski, Grzegorz Łyszkowski. U niego to przepędza ksiądz profesor swoje wieczory; nie między bracią zakonną, nie między uczonymi, nie w gronie kolligatów ze stanu szlacheckiego, ale w domu mieszczanina warszawskiego szuka wytchnienia i bawi się w towarzystwie jego żony Anulki, syna Maciusia i kilku jeszcze zapewne tego gatunku gości. Bo jemu tam najlepiéj i najwygodniéj, bo on lubi swobodę, żarty i śmiechy, bo nie znosi rozmowy ciężkiéj i pedantycznéj, bo chce zapomniéć o ważnych interesach kiedy ma ochotę się bawić. Wesoło też i zabawnie musiało tam być u pana Grzegorza; dobre wino z własnéj, nieźle zaopatrzonéj piwnicy odchodziło nie na żarty, i podsycało bez końca dobry humor gospodarza i gości, skoro na tych posiedzeniach urodziła się słynna i po całéj Polsce późniéj powtarzana pieśń Bohomolca „Kurdesz nad Kurdeszami“:

Każ przynieść wina mój Grzegorzu miły!
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły,
Niech i Anulka tu usiądzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Skoro się przytknie ręką do butelki,
Znika natychmiast smutek serca wszelki,
Wołajmyż tedy, dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami...

Ale niedługo kieliszek jest za mały,

Pod stół kieliszki, pijmy szklanicami!

woła podochocony poeta, a w końcu zgodnie ze świeżą tradycyą czasów saskich, i tém naczyniem gardzi:

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz stąd szklanice, naczynia ułomne,
Po staroświecku pijmy pucharami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Że w tém ostatniém wezwaniu jest trochę ironii, to czuje się dobrze, a stąd i widać, że do ostateczności, wyrażonéj tu słowami, w wesołém towarzystwie u pana Grzegorza na prawdę nie przychodziło.

Późniéj, gdy „Grzela“, który swych gości „przewyższał wiekiem“, może już nie stało, najmilszym dla Bohomolca był dom Jana Czempińskiego, doktora medycyny, konsyliarza J. K. Mości, nie

wątpliwie także mieszczańskiego rodu. Charakter tych zabaw był znowu inny. Nie było tu téj hulaszczéj czasem wesołości co u pana Grzegorza, nie spełniano wina szklanicami i puharami. Zwykłe towarzystwo składali: gospodarz, człowiek zacny i oddany rodzinie, pani domu, osoba młodziutka i wykształcona, i kilkoro już starszych dzieci z pierwszego małżeństwa, które wspólnie ze swą przybraną matką, z zamiłowaniem oddawały się muzyce. Pani konsyliarzowa i dzieci grały na przemiany na „klawicymbale", na arfie, na skrzypcach, podczas kiedy ksiądz profesor z panem konsyliarzem, siedząc na boku przy lampce wina, swobodnie sobie gwarzyli, lub przysłuchując się muzyce uśmiechali się do siebie. Ciche i skromne było to mieszczańskie towarzystwo, a że dobrze w niém było Bohomolcowi, że się w niém bawił całém sercem i szczęście znajdował, to poświadcza ta okoliczność, że on, który w swém życiu zaledwie kilka wierszy napisał, nie mógł się obejść bez tego, ażeby pamięci tych zebrań i państwu Czempińskim osobnego wiersza nie poświęcić:

Wdzięczne wieczory, rozkoszne me chwile,

rozpoczyna się w rzewnym tonie ten wiersz i kończy w sposób podobny:

Wpośród miłego tego zgromadzenia
Nikną me troski, nikną utrapienia,
A serce dziennym kłopotem znudzone,
Znajduje sobie chwile ulubione.
O miły domu, którego ponęta
Osładza życia mojego momenta,
Twojéj ludzkości jest-to dar prawdziwy,
Że choć przez krótki czas bywam szczęśliwy.

Tam więc gdzie były serca szczere i proste, gdzie kwitnęła nie udana wesołość, gdzie nie potrzeba było przymuszania się i etykiety, gdzie swobodnie przy pogadance lub muzyce można było popijać ulubione winko, a gdy przyszła ochota, nie oglądając się na przepisy wielkiego świata, trysnąć żartem, który dobra myśl zrodziła, tam wrodzona skłonność ciągnęła najwięcéj Bohomolca, tam był w swoim żywiole.

Nie wynika z tego, żeby ksiądz profesor i w innem towarzystwie, nie potrafił się był znaleść i odegrać pewnéj wybitniéjszéj roli. Jako pisarz, jako jedna z inteligencyi krajowych, należał on także do zwykłych gości obiadów czwartkowych, a więc do towarzystwa najwyższéj arystokracyi i z rodu (dość przypomnieć, że król tym obiadom prezydował) i z rozumu, skoro tam byli i Krasicki i Naruszewicz i Trembecki. Jeżeli inni przynosili tam rozległą naukę, do-

wcip lub światowy polor, Bohomolec nie należał również do liczby tych, za których król „ponosił wszystkie ekspensa“, lecz przydawał rzecz nie mniéj cenną i w towarzystwie pożądaną: szczerą, staropolską wesołość. Powiadają nawet, że to właśnie owa pieśń o Kurdeszu nad Kurdeszami, tak bardzo podobała się królowi, że go z tego powodu do grona swych czwartkowych gości powołał. Choć nie bardzo chce nam się wierzyć téj opowieści, choć zdaje nam się, że to raczéj jako dla redaktora Monitora i Wiadomości Warszawskich, jako dla wydawcy dawnych historyków polskich, wreszcie jako dla autora znanych jeszcze z czasów ostatniego Sasa komedyj, otwarły się dla Bohomolca podwoje królewskich komnat, z tém wszystkiém prawdą jest zapewne, że Kurdesz zrobił Bohomolcowi szczególną sławę nie tylko między bracią szlachtą, ale i między literatami, i że z powodu téj piosnki zasłynął on jako specyalista w swoim rodzaju. Można-by nawet bardzo łatwo zrobić to przypuszczenie, że król mając takiego gościa w swym domu, zapragnął talent jego zużytkować dla okrasy swoich obiadów, i nie chcąc być niższym od pana Grzegorza, którego Bohomolec swą pieśnią uwiecznił, mniéj albo więcéj wyraźnie dał mu do poznania, że godziło-by się, aby i dla Czwartkowych obiadów coś podobnego uczynił. Taki początek musiała mieć według naszego domysłu „Pochwała wesołości“, którą Bohomolec na jedném z tych posiedzeń wygłosił, a którą, wraz z dwoma następnemi wierszami, dla ich rzadkości całkowicie tutaj przytaczamy:

Ten, mém zdaniem, dobrze żyje,
Ten na długie lata godzi,
Kto pod miarą winko pije,
I piosnkami troski słodzi.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki.

Ustępuje wnet frasunek,
Znika serca utrapienie:
Skoro usta czują trunek,
A uszy wesołe pienie.
Po szklaneczce itd.

Aleksander tak żył wielki:
Skoro ucichła Bellona,
Przynoszono wnet butelki,
Przy nich szły śpiewaczek grona.
Po szklaneczce itd.

Tak czynili i nasz Batory,
Miłośnik uczonych hojny,
Lubił piosnki i likwory,
Nawet podczas trudów wojny.
Po szklaneczce itd.

Precz posępne mędrców czoła,
Naukom zły humor szkodzi:
Milsza jest mądrość wesoła,
Wino myśli mądre rodzi.
Po szklaneczce itd.
Pitagor nauki brzmieniem
Z przywar swe serce wybawił,
A Dyogen beczki cieniem
I siebie i drugich bawił.
Po szklaneczce itd.
Powraca nauk wiek złoty,
Pracujących pan zasila:
Pan dodaje sam ochoty:
Czwartek dla nas złota chwila.
Po szklaneczce itd.
Trudy, rozkosz niech przeplata,
Umiejmy czas dobrze trawić,
Bodajbyśmy w setne lata
Tak się mogli jak dziś bawić!
Po szklaneczce itd.

Jak widzimy, Bohomolec nie zawiódł nadziei króla; „Pochwała wesołości“ jest wyborną pieśnią przy winie; a co także ważna, zupełnie niepodobną do Kurdesza. Zniknęły w niej bez śladu owe szklenice i puhary i nie ma w niej tego zmysłowego lubowania się napojem dla samego picia i upojenia się. Wspomnienia wielkich królów, mądrości i nauk, występują natomiast na plac, a zwłaszcza ten uroczy, przez poetów starożytności tak często opiewany, związek Bachusa z Appolinem, Muz przewodnikiem. „Wino myśli mądre rodzi“, wino obudza dowcip i fantazyą, rozwesela człowieka a więc dla tego używajmy go i pijmy!... O ile wiemy, pieśń ta jest także jedynym historycznym dokumentem, malującym nam charakter tych „sympozyonów“ XVIII wieku, charakter epikurejski w prawdziwém tego słowa znaczeniu, w którym rozkosze zmysłów i ducha naprzemian się z sobą przeplatały.

Biesiadnicy królewscy z zapałem tę pieśń przyjęli. Możemy sobie wyobrazić, że gdy Bohomolec skończył, wszyscy jak byli, z wyjątkiem naturalnie króla, ruszyli z miejsc i kieliszkami w kieliszek poety, z okrzykiem: vivat! stuknęli. Może tej samej chwili Krasicki (bo jemu, który taką satyrę „Do króla“ na poczekaniu na pokojach królewskich napisał, było to łatwo), z podziękowaniem niejako Bohomolcowi zaimprowizował drugą pieśń „z tejże okazyi“, w tej samej miarze i w tym samym rytmie, używając w niej dla dobitniejszego wykazania pokrewieństwa Bohomolcowego refrenu:

To mi mędrzec zawołany,
Co z szklaneczką mądrość godzi:

Trunek pleśnią przeplatany,
Ten zapala, tamten chłodzi.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki.
Fraszka taka mądrość dzika,
Co pozorem smutnym straszy:
Pieśń powabna myśl przenika,
Sercu wesołość od flaszy.
Po szklaneczce itd
Smutek się tam nie zaplata,
Gdzie szklaneczka myśli żarzy:
Wiwat syn Anakreonta,
Z podobieństwa myśli, twarzy,
Po szklaneczce itd.
Wieńczmy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce:
Dobre nam się czasy wróżą,
Niech się rodzą Bohomolce!
Po szklaneczce itd.

Obsypany powinszowaniami profesor retoryki, nazwany przez sławnego już wówczas poetę synem Anakreonta, niejako Anakreontem wtórym, czuł dobrze, że choć jeden i drugi wiersz okolicznościowy udać mu się może, to nie dość jeszcze, by stałą siedzibę zająć na Parnasie, i dlatego bez udanéj skromności, z całém przeświadczeniem że tak jest w istocie, dał potém Krasickiemu „odpis“ na wyrażone przez niego pochwały. Prosty to wiersz, bez poetyckich zalet ale malujący doskonale charakter i osobistość jego autora:

Niejakiś Rusak (z Białéj Rusi) vulgo Bohomolec,
Ani bogaty ani wcale golec,
Anakreonta synem jest nazwany,
Że zawsze wesół i zawsze rumiany.
Wesół jest zawsze, kontent z swego stanu,
Nie naprzykrza się niedostatkiem panu,
Będąc od niego obdarzon tak hojnie,
Że żyć wygodnie może i spokojnie.
Nic drażni jego chęci śmierć prałata,
Ani go gniewa wiek długi opata;
Gdy inni za łby idą o ich gratki,
On śpi spokojnie kontent z swéj intratki.
Jeśli zaś czasem urwie się intrata,
Wnet na siwaka swego dzielnie wsiada,
I wraz z bystremi w zawód leci wiatry,
A smutek przed nim pierzcha aż za Tatry.
Szanuje jasne i wielkie tytuły,
Czci jak należy poważne infuły:
Na innych honor spogląda z pociechą,

Sam dość ma na tém, że jest prostym klechą.
Przydał mu dobry pan teraz ozdoby,
Gdy między zacne pomieścił osoby
Jego konterfekt (1), może już być zatém
Choć malowany zwany literatem.
Że zaś jest wesół, rubaszny, rumiany,
Anakreontem stąd może być zwany;
Lecz jego pieśni nie warte zalety
Téj, w któréj słyną gre kiego poety.
Twoje to, książę, świadczą dzieła sławne,
Żeś zrównał wielkie rymopisy dawne,
I dałeś poznać z wielorakiéj pracy,
Żeś polski Homer, Maro i Horacy.

Łatwo pojąć, dlaczego Bohomolec takiego będąc usposobienia nad poważne aleksandryny francuskiéj tragedyi mógł przenieść Moliera, i kiedy chodziło o to, aby teatr w kollegiach jezuickich stosownie do wymagań postępu zreformować, wprowadził go na scenę szkolną.

Ale Konarski miał łatwiejsze zadanie. Corneilla lub Racina dosyć było z małemi wyjątkami przetłomaczyć, aby ich podać młodzieży szkolnéj do nauczenia się na pamięć i wyrecytowania potém w teatrze. Tragedya jest pokarmem literackim, który bez skrupułów i obawy można podać młodym umysłom, bo ona podnosi namiętności i stosunki ludzkie do ideału, człowieka stawia na piedestale i z ułomnéj i słabéj istoty robi go bohaterem. Świat odbija się w niéj nie w prawdziwém ale w powiększającém zwierciadle, mającém prócz tego tę jeszcze własność, że w niem to wszystko co złem w rzeczywistości i w naturze, nie kusi i nie pociąga, ale obudza wstręt i odstrasza. Co innego komedya. Ona maluje życie, jakiém jest, z drobnemi, błahemi i ułomnemi stronami człowieka; ona aktorów i widza ściąga do poziomu rzeczywistości, do téj prozy, wśród któréj wszyscy zwykle żyjemy, i którą dlatego bardzo dobrze czujemy i rozumiemy. Kto bohatera tragedyi uważa za istotę ponad zwykłą miarę ludzką podniesioną, z którą zwyczajni śmiertelnicy ani w dobrém ani złém nie mają nic wspólnego, ten w postaciach komedyi odnajdzie bardzo łatwo swoich sąsiadów, znajomych i siebie samego, i będzie miał ochotę to albo owo z nich sobie przyswoić, to albo owo z nich naśladować. Wobec audytoryum złożonego z kilkunastoletniéj młodzieży może się podnieść zasłona zakrywająca akto-

(1) Ludwik Marteau z polecenia królewskiego malował wszystkich uczestników obiadów czwartkowych, pomiędzy nimi także i Bohomolca; portrety te były umieszczone w galeryi zamkowéj.

rów tragedyi. ale podnieść przed jego oczyma zasłonę komedyi—to rzecz dosyć dla ich umysłów i serca niebezpieczna. Mogłyby zawczasu poznać odwrotną stronę medalu tego świata, i albo zawczasu nią się zgorszyć i zepsuć, albo niebacznie z nią razem i tém, co jest w życiu wyższego i szlachetnego, pogardzić. Zawczesne skosztowanie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego rodzi albo sybarytów i cyników albo mizantropów.

Rozumie się, że przedewszystkiém część erotyczna stanowić musiała najważniejszy szkopuł w tych sztukach odgrywanych przez młodzież. Nie wypadało z najprostszych względów pedagogii i przyzwoitości, aby szkoła sama uczyła młodzież tego, co od niéj oddalać wszystkiemi sposobami była powinna. To więc, co się nazywa romansem w tragedyi lub komedyi, musiało być opuszczone lub do niepoznania zmienione. Takiemu samemu losowi musiały także ulegać wszelkie role kobiece, bo niepodobieństwem było w grono szkolnych aktorów wprowadzić towarzyszki płci żeńskiéj, a nie zgadzało się także, z ówczesnemi zwłaszcza obyczajami, aby młodzież męzka brala na siebie role kobiece, a co zatém idzie także ich kostium i maniery. „Wolimy ustąpić wszystkich tych powabów i ozdób, których inni od słabszéj płci pożyczają, niż młódź polską do męzkich i rycerskich dzieł urodzoną, w niewieście z młodu wprawiać obyczaje, i do tego przyuczać, od czego ich wiek jeszcze daleki być powinien"— tłómaczy dosadnie tę rzecz Bohomolec w przedmowie do swoich komedyj.

Odpowiednio do swego celu przerabiał więc Bohomolec Moliera. A nie przychodziło mu to łatwo. „Ja trzymając się swego zwyczaju (skarży się w wyżéj wspomnianéj przedmowie) wiele trudności zużyłem w przerabianiu... komedyj... tak je musiałem łatać i kleić, żebym i komedyi sztukę zachował i płci niewieściéj do nich nie przypuścił. Co z większą mi przyszło pracą niż kiedym inne z mojéj osnowy robil."

Wierzymy temu bardzo, wiedząc, że osią, około któréj obraca się intryga komedyi tak w Molierze jak i wszędzie zresztą jest miłość. Tę oś zastąpić inną, zmienić ją tak, żeby widz nawet istnienia jéj pierwotnego się nie domyślał, było zadaniem, nad którém ksiądz profesor retoryki dobrze pocić się musiał. Radził téż sobie jak mógł.

Przypatrzmy się niektórym jego sposobom.

W komedyi Moliera „L'Etourdi," którą Bohomolec przerobił p. t. „Nieroztropność swym zamysłom szkodząca" młody Leliusz kocha się w niewolnicy Trufaldyna Celii i pragnie ją pozyskać; co też się i spełnia, kiedy się w końcu pokazuje, że Celia jest córką Trufaldyna a nie jest siostrą Leliusza. Ten przedmiot gorących pragnień

Leliusza Bohomolec przemienia naiwnie w jakiegoś śpiewaczka Hipolita, którego kupiec Trufaldyn ma na sprzedaż, a którego Leliusz z wielkiego amatorstwa do muzyki pragnie koniecznie nabyć i w tym celu posługuje się rozmaitemi przebiegami i podstępami swego wiernego lokaja Figlackiego.

Gdzieindziej znowu w „les Facheux“ cała gromada ludzi rozprawiających o każdéj porze i o byle czem, zatrudniających bez pytania i proszenia innych swoją osobą, cała gromada natrętników jednóm słowem przeszkadza ciągle Erastowi, że nie może swobodnie widzieć się i porozumieć z ukochaną przez siebie Orfisą. W „Natrętnikach Bohomolca“ Alkander również nie może się opędzić téj rzeszy gadułów i samochwałów, i co jednego się pozbędzie, to drugi zaraz się zjawia, ale Alkandrowi nie chodzi o upragnioną schadzkę z kochanką tylko o to, ażeby się mógł bez świadków rozmówić ze swym starym stryjem o interesach majątkowych. Pan Jourdain, ów nieśmiertelny „szlachcic mieszczanin,“ jak sobie czytelnicy przypominają, układa poza plecami swéj żony a za pośrednictwem fałszywego Doranta miłosną intrygę z piękną markizą Dorimeną. Hernar w komedyi Bohomolca „Pan do czasu“ ma daleko niewinniejsze pragnienia; zapalił on się do tego, żeby być grafem i generałem wojsk króla holenderskiego przeciw Persom, i zostaje na tym punkcie podobnie jak pan Jourdain przez najlepszego niby przyjaciela Doreniègo oszukany.

O małżeństwie wolno jednak mówić w komedyach szkolnych Bohomolca. Ile razy też akcya sztuki wprost do małżeństwa prowadzi, zachowuje nasz autor osnowę u Moliera znalezioną. Tak się rzecz ma w komedyi „Rada skuteczna“ będącéj przeróbką z „Le mariage forsé“ i w komedyi „Mędrkowie,“ w któréj podług tytułu sądząc czytelnik nie domyśliłby się znanych całemu światu „Les femmes savantes“. Że stary Sganarel (Anzelm u Bohomolca) opamiętawszy się, iż głupstwo chce zrobić, pragnie zerwać umówione swoje małżeństwo z młodą kokietką Dorimeną, i że do dotrzymania słowa zmuszony zostaje kijem i groźbą szpady jéj brata, całą tę rzecz zostawił Bohomolec nienaruszoną, podobnie jak i w „Mędrkach“ to, że „bel esprit“ Trissotin (Sawantem u Bohomolca nazwany) ostrzy sobie, mimo całéj swéj uczonéj powagi, nie na żarty apetyt na młodą Henrykę kochającą Klitandra i którą przy pomocy zaślepionych w nim sawantek (u Bohomolca są to bracia Henryki, owi „Mędrkowie“) byłby otrzymał, gdyby się nie był dał złapać w sidła zręcznie nań ustawione, i swoich majątkowych także pragnień zawczasu nie był zdradził. Jednak i w tych obu komedyach role kobiece, są wykluczone, i albo zastąpione przez role męskie (jak po części w „Mędr-

kach") albo téż przez opowiadanie włożone w usta występujących męskich aktorów.

Bohomolec zmienia także czasami charakter Molierowskich komedyj, naginając je do stosunków i obyczajów swego kraju. Nie potrzeba mówić, że to również nie na korzyść tym komedyom wychodzi. Pan Jourdain, jako „mieszczanin-szlachcic" jest nie tylko typowym okazem swéj epoki ale typem dorobkiewicza po wszystkie czasy, dlatego że dorobiwszy się majątku albo może pomnożywszy fortunę po ojcu odziedziczoną, wpada w manią wielkości, chce bądźcobądź być szlachcicem, zapiera się swojego dawnego stanu, utrzymuje, że tylko złe języki mówiły, jakoby ojciec jego był kupcem, chce gwałtem wszrubować się w wyższe sfery i z chęci nierozsądnego ich naśladowania popełnia tysiączne głupstwa i szaleństwa. W komedyi „Pan do czasu," jak ją Bohomolec z „Bourgeois-gentilhomme" przerobił, ginie cała typowość a wiele traci i komiczność téj figury, bo autor polski umysłową jéj metamorfozę robi dziełem nie ducha czasu, nie popędów ambitnych spanoszonego rotiuryera ale raczéj dziełem przypadku. Hernar, przerobiony w téj komedyi z pana Jourdain'a, jestto jakiś woźnica, który wygrawszy na loteryi chce się zabawić w pana, puszcza pieniądze na wszystkie strony, uczy się filozofii, tańca i fechtunku jak jego prototyp, ale robi to wszystko bez ambicyi pana Jourdain'a aby przez to się uszlachcić i przejść do wyższéj klasy społeczeństwa; a kiedy wreszcie całą fortunę spadłą mu niespodzianie z nieba przehulał, powraca do dawnego swego rzemiosła. W tém przedstawieniu rzeczy wielka jest różnica, i ginie wszelka tendencyjność komedyi jéj tło społeczne i znaczenie. Że jakiś biedak dorwawszy się ni stąd ni zowąd pieniędzy, odurzy się nagłém szczęściem, że mu się głowa zawróci i zechce naśladować życie tych, którym nieraz w głębi serca zazdrościł, gdy jak np. i ten Hernar patrzał na ich zbytki i marnotrawstwo, marznąc lub nudząc się na koźle tego powozu, którym ich przywiózł przed teatr lub dom gry; to z podobnego wydarzenia można bezwątpienia wysnuć pewien sens moralny, dla młodzieży mającéj dopiero wstąpić w życie szczególnie przydatny, ale nie będzie w niém wcale ani tego morału estetycznego, ani obrazu tych prądów społecznych wiejących w pewnych epokach po świecie, jakie z mistrzowską obserwacyą skreślił Molier w panu Jourdainie. W komedyi przerobionéj przez Bohomolca różnica stanów, ich wzajemny do siebie stosunek, ich walka obustronna, ich charakter wreszcie z dodatniemi i ujemnemi zaletami nie wchodzą całkiem w grę. Dlaczego? Ze względów estetycznych możnaby wiele w téj mierze zarzucić Bohomolcowi, z uwagi jednakowoż na okoliczności i stosunki, w których pisał, należy mu przy-

znać, że miał słuszność przeistaczając w ten sposób „mieszczanina szlachcica.“ W téj postaci, jak go stworzył Molier, w ówczesnéj Polsce i na ówczesnéj scenie polskiéj nie miałby on racyi bytu, jeżeli teatr ma być zwierciadłem tego, co się w rzeczywistości dzieje. U nas pod owe czasy nie było panów Jourdain'ów; żaden mieszczanin nie zamarzył nawet o tém, aby się ukradkiem wkręcić między dobrze urodzonych lub wejść między nich gwałtem, tak niedostępną się wszystkim wydawała ta forteca szlachectwa, i tak nieprzebytym wałem rozdzielone od siebie były te dwa stany. Autor polski wiedział o tém dobrze, i najmniejszą aluzyą nie chciał podrażnić panujących wyobrażeń, a wszelkiemi siłami się starał, aby usunąć i zatrzeć w obrazie skreślonym przez Moliera to wszystko, co w nim było z charakteru historycznego i społecznego epoki, coby mogło nasunąć myśl, że przejście z jednego stanu do drugiego jest rzeczą możliwą, że pomiędzy ludźmi żyjącymi na jednéj ziemi i w jednym narodzie, jest jakiś łącznik społeczny mogący wyrównać istniejące przedziały, że wogóle poza szlachtą istnieje jeszcze jakaś część narodu, która może mieć do czegoś pretensye, kiedyś z niemi wystąpić i stać się kwestyą do rozwiązania. Najlepszy dowód na to, że Bohomolec, który zwykle przyznaje się skąd wziął swoję komedyą, przy „Panie do czasu“ ani słowa nie wspomina o Molierze, a co więcéj w „argumencie“ zapewnia czytelnika, że „ta komedya jest ułożona z owéj historyjki, która się naszych czasów we Włoszech przytrafiła.“ Tak bardzo chodziło mu o to, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za pierwotną tendencyjność téj sztuki, że nie chciał nawet, aby czytelnik przypomniał sobie lub domyślił się, że jest jaki związek między pierwowzorem Moliera a jego pracą; bo sam tytuł oryginału, samo zestawienie tych dwóch wyrazów: mieszczanin i szlachcic wydawało mu się rażącém, nieprawdopodobném i nienaturalném.... A przecież wiemy z jego biografii, że sam bratał się (choć było to nieco późniéj) najchętniéj z mieszczanami, a poznamy następnie z jednéj jego komedyi młodszéj od poprzednich o jakie lat dziesięć, że śmiało, z wielką odwagą cywilną, kiedy pojęcia nagłemu przeobrażeniu ulegać zaczęły, podnosi też samę kwestyą socyalną i dopomina się o prawa polskiego *tiers état*.

„Les femmes savantes“ Moliera przerobione na „Mędrków“ straciły także w téj nowéj szacie swoję pierwotną fizyognomią. Przyczyna tutaj była inna; pióra Bohomolcowego nie krępowały w tym wypadku względy na stosunki i wyobrażenia społeczne, ale przedewszystkiém znane nam już warunki jego szkolnego teatru. Śmieszne sawantki: Filaminta, Armanda i Belisa zostały zastąpione przez dwóch braci: Henryka i Ferdynanda, nudnych pedantów, niemaja-

cych żadnego zmysłu do praktycznego życia i dających się wodzić za nos chytremu Sawantowi. Przez tę przemianę płci aktorów komedya straciła wiele na swéj naturalności i na komizmie. Uczoność bowiem właściwa jest mężczyznie, i nie ma w tém *a priori* nic komicznego, jeśli mężczyzna naukom się oddaje; jak z drugiéj znowu strony mężczyzna, którzyby przez to, że się nauce poświęcił, zrobił się śmiesznym, albo któryby zamiłowanie do nauki do jakiéjś egzaltacyi i do uczonego sentymentalizmu posunął, jest może możliwém ale zawsze wyjątkowém tylko zjawiskiem. Całe ostrze satyry stępiło się tym sposobem, choć słuszność i to przyznać każe, że u nas i wówczas nie miało ono w kogo godzić—nie mieliśmy hotelu Rambouillet i polskie *bas bleux* nie istniały. Klasyczny w swoim rodzaju „bel esprit“ Trissotin Molierowski spadł także o parę stopni niżéj w swojéj wartości estetycznéj jako Sawant Bohomolcowy. Ale i o to nie będziemy naszego autora winić, uwzględniając tę okoliczność, że z otoczeniem i społeczeństwem swojem rachować się musiał, a jak się nawet i na tym przykładzie pokazuje, rachować się z niemi dobrze umiał. Taki Trissotin był wyrobem i okazem pewnego typu we Francyi Ludwika XIV, która miała akademią z jéj „nieśmiertelnymi“ i salony uczone, na których umiejętność i filozofia, albo przynajmniéj pewne ich próbki, pielęgnowane były w pachnącéj atmosferze kwiatów i perfum na równi i jednocześnie z dworską galanteryą. Taki Trissotin byłby w Polsce nie na swojem miejscu, może nawet niezrozumiały—nic dziwnego że przemienił się trochę w bakalarza, cytującego łacińskie formułki filozofii scholastycznéj i przemawiającego z makaroniczną górnolotnością. Takich uczonych mieliśmy zawsze dosyć, a wtenczas najwięcéj.

Za ogólną regułę wziął sobie także Bohomolec, aby skracać Moliera ile się tylko da. Wszystko, co jest cieniowaniem myśli, co służy do wybitniejszego oddania charakteru czyto pojedyńczych figur czy społecznego tła, wszystkie prawie subtelności i delikatności takiego poetycznego dowcipu, jakim był twórca Tartuffa, przerabiacz jego systematycznie opuszcza, zostawiając tylko to, co jest do akcyi niezbędne i co naprzód ją posuwa. Molier pod jego ręką robi się suchym i martwym. Zapewne, kierował on się w tém głównie względem na swoich niepełnoletnich aktorów, którymby trudno było oddać z całą precyzyą jaśniejące świetnym kolorytem i umiejętnie światłem i cieniem obdzielane figury Molierowskie i jestto dla niego okolicznością łagodzącą surowość naszych sądów, ale zawsze smutno to patrzeć, gdy w naszych oczach roślina o bujném i pełném woni kwiecie, o liściach świeżych i zielonych, pod wpływem zimnego wiatru, traci jednę po drugiéj te swoje ozdoby i staje przed nami jako naga łodyga, niby szkielet bez ciała.

Bohomolec przerabiał oprócz Moliera i innych autorów. „Ojciec nieroztropny“ (komedya w 1 akcie) z łacińskiéj komedyi Jezuity ks. Karola Porée, „Filozof panujący“ z ks. Lejay S. J. „z niejaką odmianą“ według jego własnego wyznania są przełożone; „Bliźnięta“ wywodzą swój początek od podobnéj że komedyi Plauta, z wielu a wielu naturalnie odmianami, i nie mają nic wspólnego z „Les Ménechmes ou les Jumeaux“ współczesnego prawie z Bohomolcem Regnarda; „Chełpliwiec,“ „Dziwak,“ „Statysta mniemany,“ „Ubogi hardy“ i „Ubogi pokorny“ a wreszcie może i „Junak,“ będą bezwątpienia także obcego, najprawdopodobniéj francuskiego pochodzenia. „Na wzór włoskich ułożona“ komedya: „Arlekin na świat urodzony“ odznacza się téż właściwym sobie charakterem. Bohater jéj Arlekin jestto rodzaj komicznego Dyogenesa. Rozgniewał się na świat, że nie był dla niego szczodry i hojny, jakby sobie tego życzył, i osiadł *par dépit* na pustyni. Aliści niedługo świat (a nawet Warszawa, jak to Bohomolec przerobił) zjawił się w postaci dwóch chcących sobie z filozofa zażartować młodzieńców na pustyni i ofiarował Arlekinowi wszystkie swoje dobra: pieniądze, tytuły, wysokie urodzenie i stare wino. Nowożytny Dyogenes zapomniał wnet i wyrzekł się swéj mizantropii, i w najlepsze zaczął się w pana bawić, używać życia i wszystkich swoją socyalną wyższością kłuć w oczy, dopóki owi dwaj młodzieńcy, mając już dosyć zabawy i zdemaskowawszy fałszywego filozofa, nie oświecili go, że cała jego pańskość, jego honory i bogactwa były tylko żartem. Jestto więc właściwa włoskiéj scenie allegorya w szaty komicznego dyalogu przybrana, z tym sensem moralnym, że ludzie odwracają się od świata i gardzą nim, kiedy jego rozkosze i dobra są dla nich owemi niedojrzałemi winogronami z bajki, a godzą się z nim i lgną do niego chętnie, kiedy on daje im możność zaspokojenia swych pragnień i żądz; że mizantropia, jak opozycya w polityce, pod maską pogardy świata kryje najczęściéj doznany zawód i pragnienie posiadania tego, co jest w rękach innych, czy się to nazywa złotem, władzą czy kobietą.

Ponieważ Bohomolec już w przedmowie nam powiedział, że między temi komedyami są także takie, które „ze swojéj osnowy robił,“ nie potrzeba zapewne mówić czytelnikom, że tych jego oryginalnych utworów ze szczególną ciekawością szukaliśmy. Wyznać jednak musimy, że to rozpoznanie nie jest łatwe. Bohomolec zwykle przerabiał, przemieniał i przeistaczał treść stosownie do swych celów, zostawiał niektóre sceny z oryginału a inne od siebie dodawał, zmieniał płeć i nazwiska osób, a czasem także i ich charakter; tak że trzebaby chyba przetrząsnąć całą literaturę komiczną francuską, włoską a nawet starożytną, aby na pewno powiedzieć, gdzie sobie czego

pożyczył, skąd co skorzystał. Jedynie tylko słabość albo brak akcyi dramatycznéj widoczne w niektórych komedyach, lub téż charakterystyczne rysy zdjęte ze swojskich stosunków i obyczajów, mogły dać niejaką wskazówkę i utwierdzić co do myśli, że ta lub owa komedya z jego własnéj obserwacyi i z pod jego pióra bez obcéj pomocy wyszła.

Chociaż bowiem, jak to z natury rzeczy wynika, komedye Bohomolca jako naśladowane i przerabiane z obcych pisarzy, kosmopolityczny mają charakter i wady i śmieszności ogólno-ludzkie przedstawiają i karcą, to jednakowoż pewna ich, stosunkowo nieliczna, część ma niejakie cechy narodowe, bądź w całości bądź téż w niektórych figurkach lub scenach. I to jest zapewne najciekawsza dla nas strona tych utworów. Jakie téż obyczaje, jakie wady i narowy widział komedyopisarz polski z połowy XVIII wieku w swojem społeczeństwie? O wszystkich, a zwłaszcza z całą otwartością satyryka i ze wszelkiemi szczegółami, nie mógł rozumie się przez wzgląd na swoich szkolnych aktorów mówić, ale i w tém, co nam powiedział, dopełniwszy to sobie własną wyobraźnią i koniecznemi następstwami, możemy ujrzéć choć w ogólnych, najważniejszych rysach obraz téj epoki, tym godniejszy uwagi, że z owych czasów, oprócz Drużbackiéj, nie mamy podobno więcéj takich malarzy obyczajowych.

Otóż i z komedyi Bohomolca widać, że prąd zachodni powiał już silnie w téj pierwszéj połowie XVIII wieku po obszarach Rzeczypospolitéj. Fizyognomia dawnéj Polski radykalnie pod jego wpływem się zmieniała i wycierała się na niéj coraz bardziéj starożytna patyna: surowość obyczajów, patryarchalność familijna i rycerskość topniały jak śnieg od promieni słońca. Rozumni i poważni, głupi i lekkomyślni ludzie zarówno zwracali swe oczy ku Francyi. Pierwsi brali stamtąd naukę, światło i postępowe społeczne i filozoficzne pojęcia; drudzy, a takich zapewne było więcéj i łatwiéj im to przychodziło, brali dla siebie wzory zbytków, zepsucia i najświeższych mód. A pełnemi garściami mogli je byli wówczas z Francyi czerpać; wszakże to niedawno tam minęły czasy Regencyi, a obecnie Ludwik XV wstąpiwszy na tron otwierał szerokie pole rządom pani Chateauroux. Pompadour, Du Barry i jak się tam one wszystkie nazywały. Jak wszystkim myślącym ta nowa społeczna choroba nie mogła się podobać i Bohomolcowi, a nie podobała mu się z dwojakiéj przyczyny: jako szlachcicowi staréj daty, czującemu w swych żyłach prawdziwą krew sarmacką i jako księdzu—pedagogowi, który z doświadczenia wiedział, że ta zaraza szkodliwych nowości szczególnie i najprędzéj młodych głów i serc się czepiała.

Typ takiego człowieka przesiąkłego zgnilizną moralną i mającego w życiu tę jednę zasadę moralną, aby nie mieć żadnych zasad, i przy jéj pomocy żyjącego bez pracy i wygodnie cudzym kosztem według znanego aksyomatu: *mundus vult decipi*, przedstawił, jak mógł i umiał, w komedyi p. t. „Figlacki, polityk teraźniejszéj mody." Polityk?.. Tak, ale nie w znaczeniu dzisiejszém tego wyrazu, bo w tém używano wtenczas miana: statysta, tylko w znaczeniu człowieka wypolerowanego, człowieka żyjącego podług zasad niby—wyższego świata, człowieka modnych wyobrażeń jedném słowem. U takiego to „polityka," któremu bardzo dobrze wiedzie się z jego bezczelnością i wyzyskiwaniem drugich, niejaki Pomocki chciałby się nauczyć téj sztuki życia. Figlacki daje mu zaraz na początek takie nauki:

„Najprzód chcąc u ludzi mieć powagę, nie trzeba się z podłymi (ludźmi niskiego stanu) pospolitować... Dlatego do kościoła bardzo rzadko trzeba chodzić. Zostawmy pospólstwu nabożeństwo, a naszego stanu ludziom tym się bawić nie przystoi."

Pomocki. A mszy świętéj przynajmniéj we dni święte nie wolno słuchać?

Figlacki. Jeśli WM. Pan będziesz miał kiedy kompanią równą sobie, możesz przyjść na mszą dla zwyczaju... Na kazaniu zaś uchowaj Boże bywać... Cóż bowiem WMPan tam usłyszysz? Oto, oto: (*mówi tonem kaznodziejskim*) jeśli zgrzeszysz, jeśli obłudnie żyć będziesz, jeśli ukrzywdzisz bliźniego, będziesz w piekle. Piękna ceremonia! A przystoiż to uczciwemu człowiekowi słuchać...

Pomocki. A o spowiedzi, co WM. Pan mówisz?

Figlacki. Toż samo co i o kazaniach! Dla utrzymania pospólstwa w swéj powinności są postawione spowiedzi, nie zaś dla ludzi uczciwych... teraz inszy świat, insza moda, insze obyczaje.

Pomocki. A wiara czy taż sama?

Figlacki. Wszystko teraz inaczéj.

Pomocki. Jakaż przecie?

Figlacki. Oto taka: z katolikami bądź WMPan katolik, z kalwinami kalwin, z lutrami luter i tam daléj.

Pomocki. To i z cyganami cygan, z żydami żyd?

„Fe!—odpowiada zgorszony Figlacki, a zaraz potém ze względu na praktyczność dodaje: „chybaby tego pożytek WMPana wyciągał." Pomocki chcąc dotrzéć do jądra kwestyi, zaczepia następnie w swych pytaniach najkardynalniejsze dogmata i metafizyczne prawdy:

„A piekło za to nie będzie?" pyta cokolwiek zatrwożony zbyt radykalnemi pojęciami swego nauczyciela—ale ten ma gotową odpowiedź:

„Oho! już dawno piekła nie masz!.. Odważniejszy świat teraz niż przedtém.

Pomocki. A dusza w teraźniejszych czasach czy jest?

Figlacki. A jużci podobno że jest.

Pomocki. Taż dusza czy umiera, czy nie umiera?

Figlacki. Może umiera, może i nie umiera. A do tego jak WMPan chcesz. Ja przyznam się, że jeszcze duszy nie widziałem.

Pomocki. A Pan Bóg czy jest?

Figlacki. Jak się WMPanu zda?

Pomocki. Mnie się zda, że jest.

Figlacki. A widziałże go WMPan.

Pomocki. Widzieli go i widzą święci.

Figlacki. A WMPan z tymi świętymi gadał?

Pomocki. Sama natura mię uczy, że jest Bóg i koniecznie być musi...

Figlacki. WMPan nie znasz dobrze swojéj natury. Ale dajmy pokój téj rozmowie—urywa Figlacki, któremu w gruncie rzeczy obojętne były te kwestye wobec kwestyi dobrego stołu i łatwego przychodzenia do pieniędzy.

Czuć zanadto księdza w sposobie tego powstawania na szerzącą się niereligijność, ale chociażby z samego tego dyalogu możemy mieć wyobrażenie, że rzeczy wówczas już daleko zaszły, jeżeli było trzeba i można obnażyć tak publicznie i bez żenady wszystkie rany niedowiarstwa, indyferentyzmu, sceptycyzmu i szyderstwa rzucającego się na religią. Wolnomyślne pojęcia filozofii francuskiéj, a więcéj jeszcze sybarytyzm i materyalizm owéj epoki, złożyły się wspólnie na wytworzenie tego antyreligijnego prądu, który do niepoznania zmieniał sposób myślenia i moralną fizyognomią poddających mu się cząstek społeczeństwa.

Nie wszyscy zapewne ludzie z modnego świata dochodzili do tego stopnia niewiary i zwątpienia co zdemoralizowany na wskróś Figlacki. Inni poprzestawali na obojętności i lekceważeniu religii, jak np. inny znowu typ owéj młodéj generacyi porzucającéj obyczaje przodków, młody Starski w komedyi „Paryżanin polski,“ który przyznaje wprawdzie: Jestem katolik et quidem dobry“ ale chodzenie do kościoła, modlenie się z książki, zachowywanie postów i tym podobne praktyki religijne zostawia dla ludzi prostych.

Drugą, główną wadą, którą Bohomolec widział u swych spółczesnych i za godną skarcenia uważał, była francuszczyzna i to wszystko, co się pod tém ogólném mianem zwykle u nas rozumie. A więc niepotrzebne mówienie językiem francuskim, nierozsądne małpowanie zagranicznych nie zawsze dla nas odpowiednich zwy-

czajów, lekkomyślność w postępowaniu, przywiązywanie zbytniéj wagi do stroju i świecideł, wreszcie miękkość obyczajów i zniewieściałość, a wszystko to w połączeniu z pogardą dla tego, co jest swojskie i narodowe, począwszy od języka aż do podgolonéj czupryny i wąsów. Ta francuszczyzna dwojakiemi drogami szła do nas: albo ją przywozili młodzi panicze, którzy wysłani dla zadosyć uczynienia modzie na edukacyą do Paryża, nic, oprócz pewnego blichtru stamtąd nie wywozili, albo téż zaszczepiali ją w młodych umysłach francuscy nauczyciele, guwernerowie, którzy dopiero w Polsce po największéj części ludźmi wykształconymi i pedagogami nagle się stawali, bo w swojéj ojczyznie oddawali się całkiem innym, z edukacyą nic wspólnego nie mającym zajęciom.

Jednym z takich paniczów jest młody Starski, główna figura, od któréj bierze tytuł wspomniana już komedya „Paryżanin polski". Powrócił on właśnie z edukacyi w Paryżu do domu, i wszystko tutaj nudzi go i strasznie mu się nie podoba. Niewolnikiem mody jest on aż do śmieszności. Oto sen go morzy okropnie, z całéj duszy pragnął-by iść spać, ale gdy i lokaj radzi mu, aby to uczynił, odpowiada mu pompatycznie: „mam li ja dla snu modę przestąpić". Na lekkomyślne wydatki pożyczył trzysta dukatów, i gdy ojciec się o tém dowiedział, dla usprawiedliwienia się podaje mu rejestr rzeczy, na które te pieniądze wydał. Przeczytać ten rejestr, a co więcéj zrozumiéć go, była to dla biédnego ojca Herkulesowa praca. On w życiu swojém nigdy podobnych rzeczy nie tylko nie widział, ale i nie słyszał o nich, a w dodatku wszystkie miały jakieś zakazane, niezrozumiałe dla niego nazwiska. „Jam całą noc te rejestra przewracał, ale bodajbym tak nie znał choroby, jak nie znam żadnéj rzeczy, które on pokupował"—skarży się stary Starski przed lokajem i u niego szuka pomocy: „Ty czy nie poznasz, czytaj ten rejestr". Lokaj Leopold lepiéj jakoś zna się na tych rzeczach; czyta rejestr i objaśnia pana.

Leopold. Tunken, czerwonych złotych 6.

Starski. Co to za tunken u kata? Całą noc nad tém tunkenem astrologowałem.

Leopold. I WMPan tego nie znasz?

Starski. Ale skąd mam to znać!

Leopold. To nic innego nie jest jako tabaka.

Starski. Tabaka zaś?.. sześć czerwonych złotych za tabakę? Chyba że on cały sklep tabaki zakupił.

Leopold. Przepraszam. Nie było jéj więcéj jak dwa funty. WMPan rozumiesz że ta tabaka jest z naszego świata? jako żywo. Jest-to tabaka wielkiego świata, *du grand monde.* I to jeszcze szczęście, że funta dostał za trzy czerwone złote.

Starski. Co za bieda! Za tabakę tyle! Czytaj daléj.

Leopold (*czyta*). *Un petit miroir* czer. złotych 30. I upewniam WMPana, że calc piękny ten *miroir*.

Starski. Ale cóż to takiego, powiedz mi po ludzku.

Leopold. Jest-to zwierciadełko małe weneckie. Ale piękne, upewniam WMPana.

— „Za zwierciadełko 30 czerwonych złotych!...“—woła Starski zrozpaczony marnotrawstwem syna, ale Leopold umié mu na swój sposób tę wysoką cenę wytłómaczyć:

— „Ale, nie mów WMPan zwierciadełko, bobyś mu ceny ujął, po polsku go nazywając“, ono dla tego tak drogo może kosztować, że się po francusku nazywa.

Daléj idą w rejestrze wydatki stołowe, równie jak toaletowe dla ojca niezrozumiałe: „Du roti, du cochon, des ecrevisses, des oeufs“, „stój! stój!—odzywa się Starski, gdy mu je Leopold czytać zaczyna—co to za potrawy? jabym i jednéj ich sylaby nie strawił!“

Wogóle całe zachowanie syna nie podoba mu się; nie takim pewnie wyobrażał sobie, że powróci z edukacyi w Paryżu. To téż zawiedziony w nadziejach, skarży się boleśnie: „Co ja pocznę z tym synem! serce mi przeszywają jego postępki. Czy uważałeś, jak on na jednéin miejscu nigdy nie ustoi, jak coraz inaczéj swe nogi układa, jako podczas rozmowy śpiewa, gwiżdże, fechtuje ręką, a po francusku i do tych nawet gada, którzy tego języka nie rozumieją“. Jednéin słowem, ze szlacheckiego syna zrobiła się w Paryżu śmieszna i wykrygowana lalka.

Ile mógł, skorzystał także z téj paryzkiéj edukacyi i lokaj młodego Starskiego, który mu tam towarzyszył i na pana się zapatrywał. Wstydząc się nazywać jak dawniéj Marcinem, przezwał się „de Martiniere“ i ustawicznie zatrąca po francusku temi kilku słowami, które do jego twardéj głowy przylgnęły.

Jakich nauczycieli mieli tacy i tym podobni sfrancuziali panicze, przedstawia nam Bohomolec w komedyi „Urażający się niesłusznie o przymówki“, w osobie Bywalskiego. Bohaterem téj komedyi, słabéj zresztą i bez żadnéj prawie akcyi, jest młody Głupski, każdą rzecz biorący do siebie i o wszystko się obrażający (co tutaj dla nas mniejsze ma znaczenie) i który „lubo był głupi (jak się wyraża Bohomolec w „argumencie“ téj komedyi), przecież chcący się nauczyć przestawania z ludźmi, sposobem francuskim, zabrał przyjaźń z Bywalskim, powracającym z Francyi, nic nie umiejącym, a wielce chełpliwym człowiekiem“. Blagier, jeden z owych obieżyświatów, trąbiących głośno o sobie, umysłową swoję nędzotę zakrywał jak mógł, ciągłém powtarzaniem „u nas w Paryżu“, to znów

„à la Parisienne“, a Głupskiego uczył tańczyć, kłaniać się modnie i tym podobnych rzeczy, nie bardzo umysł trudzących. Jeśli zaś kiedy zaglądał do książki, to w celach całkiem praktycznych, z nauką żadnéj spólności nie mających, bo całą jego bibliotekę składały trzy książki: „L'information pour nettoyer les dents, De la manière, to jest o sposobie, którym by można twarz naturalnie szpetną, przez różne artyficialne wódki i farby poprawić i ozdobić“ i „L'art de plaire aux Dames“. Ze składu i doboru téj biblioteki można sobie wyobrazić, jakiego rodzaju to był mistrz, co miał uczyć naszego młodzieńca „sposobem francuskim“.

Dobrych i pożytecznych rzeczy nie nauczył go nic, trochę błahych i zewnętrznego poloru dodających. Ale byli jeszcze gorsi od niego. Na przykład ów „Figlacki, polityk teraźniejszéj mody“ w drugiéj komedyi Bohomolca, pod tymże samym tytułem, będącéj niby dalszym ciągiem téj, w któréj Figlacki przedstawił nam się jako nauczyciel niedowiarstwa i bezbożności. Komedya ta w znacznéj części jest przerobiona z Moliera „Les fourberies de Scapin“, niektóre jednak rzeczy, mianowicie niektóre znamienne rysy obyczajów, o które nam tu teraz chodzi, dodał w niéj Bohomolec od siebie. Figlacki nie jest tutaj prostym tylko lokajem jak Scapin, jest on guwernerem, którego sławny bogacz Łakomski wziął do swego syna. Co do wykształcenia nie stoi jednak wyżéj od Scapina; cała różnica między nimi ta, że Figlacki będąc Polakiem, umié jeszcze drugi język, francuski, którego nauczył się w nieszczęśliwym dla siebie wypadku, bo na galerach francuskich. To dało mu tytuł i prawo być wychowawcą bogatego panicza polskiego. Pyszni się téż wielce ze swéj francuszczyzny i mocno w nią dufa. „Wiesz WMPan (odzywa się), że u nas teraz, kto po francusku nie umié, choć-by był najmędrszy, za prostaka bywa sądzony“, a broniąc tak cudownym trafem zdobytego swojego stanowiska, wykształcenie publiczne w szkołach stanowczo potępia: „Wszak WMPan wiesz (to znowu druga jego allokucya), że szkoły poczynają teraz z mody wychodzić. Do prywatnéj domowéj edukacyi wszyscy się teraz rzucają“.

Pod takim guwernerem idzie téż szczególnym trybem nauka. Uczeń, według wyrażenia jego mentora, pojętny „jak sadło“ w jednéj rzeczy dał się tylko wyćwiczyć: „w karty tnie wyśmienicie“. Pierwszym, który go ogrywa na sto dukatów, jest własny jego nauczyciel, Figlacki. Ale gra szła tylko na słowo, pojętny elew nie ma pieniędzy, chodzi więc o to, aby tę setkę dukatów wyłudzić od ojca. Figlacki jest i w tém kierownikiem swojego ucznia, i różne jego podstępy naśladowane z Moliera, jakby z worka łakomego skąpca te

pieniądze wydostać, stanowią treść sztuki. Dla złagodzenia gniewu ojca i pocieszenia go po stracie, syn popisuje się przed nim postępami, jakie poczynił w naukach; wita go napuszystą, makaronizmami nadzianą przemową (styl makaroniczny jest również bardzo często u Bohomelca przedmiotem satyry) i chwali się ze swoją francuzczyzną.

„*Ibis in urbem* do wozowni serca mojego (tak brzmi ta przemowa), miłościwy ojcze, skierowawszy kordyalne kółka karocy respektu twego i po olimpicznych wojażowawszy grandecach, zasiądziesz krzesłem propensyi mojéj regalizowany, a bagaże ojczystych klejnotów złożywszy pod daszkiem synowskiego afektu *armá virumque canes. Canes nunquam canescens* przez Saturnowe wieki *in auge meritorum.* Czego synowską życząc addykcyą, impet mego przywitania tą kotwicą utrzymuję, *rumpitur invidia rumpantur ilia Codro*".

Wysłuchawszy cierpliwie téj apostrofy, któréj pewnie nic a nic nie rozumiał, i kontent z erudycyi syna, zagaduje go ojciec: „A po francusku słyszę, dobrze już umiész"? „Oui, apres diner Monsieur. Je vous souhaite la bonne nuit", odpowiada syn ni w pięć ni w dziewięć, ale ojciec równie z tego kontent, bo równie nic nie zrozumiał.

Ostro i nie obwijając nic w bawełnę, smagał Bohomolec, o ile mu warunki jego komedyj pozwalały, rozpanoszoną już i wtenczas u nas francuszczyznę. Za czasów Stanisława Augusta nie było prawie satyryka lub komedyopisarza, któryby tegoż samego nie robił. Pisarze XIX wieku, aż do Słowackiego i Korzeniowskiego, uważali także za jeden z pierwszych swoich obowiązków walczyć przeciw téj uporczywéj manii. Późniejsi, a nam współcześni zwolnieli nieco w tym zapale. Czy może dla tego, że zobaczyli poprawę? Bynajmniéj; sprzykszyła im się widać ta walka bezowocna i dali za wygranę.

Nie tak dosadnie i, przyznajmy to, rysami, mającemi w sobie mniéj swojskiego charakteru, kreśli Bohomolec niektóre jeszcze z tych wad polskich, które nie przyszły do nas z zachodu, ale oddawna zakorzenione stanowiły ujemną stronę tego co się wtedy sarmatyzmem nazywało. Komedya „Myśliwy", w znacznéj przynajmniéj części zapewne oryginalna, wyśmiewa manją polowania, któréj z uszczerbkiem dla poważniejszych zajęć i obowiązków, ze szkodą często dla interesów, młodzież szlachecka szczególnie hołdowała. Młody Robert jest właśnie takim zapalonym myśliwym. Polowanie nie daje mu czasu przypilnować sukcesyi, którą mógł-by dostać od umierającego stryja. On ma co innego do czynienia, nabił sobie głowę psem, którego koniecznie chce kupić, a nie ma na to pieniędzy. Usłużny a obfity we *fortele* lokaj jego, jak wszyscy zresztą

lokaje dawnéj komedyi, począwszy od niewolników Menandra i Plauta, za pomocą dość zręcznie przeprowadzonéj (może pożyczonéj od kogo) intrygi, wybawia go wreszcie z tego kłopotu. Robert posiada prócz tego wszystkie kardynalne wady nałogowych myśliwych: kłamie bezczelnie i chwali się bezwstydnie, ilekroć znajdzie się kto, co o jego myśliwskich czynach chce słuchać, ma rozmaite najnierozsądniejsze przesądy w swéj sztuce, do swego ulubionego psa przywiązuje tak wielką wartość, że gotów zabić tego, ktoby jego wyżła uderzył.

Więcéj jeszcze obiecującym jest tytuł innéj komedyi: „Junak“. Jeżeli kiedy, to zdaje się w tych czasach saskich, w których szlachecki animusz podsycany do tego gęstemi libacyami, w burdach, awanturach i ustawicznéj rąbaninie znajdował dla siebie jedyne pole popisu, a w których Bohomolec właśnie swoje komedye pisał, komedya na ten temat była bardzo na czasie i na swojém miejscu. Junaków wówczas była nieskończona liczba i niejeden pisarz i wtedy i znacznie jeszcze później bił na nich swojém satyryczném piórem. Szkoda tylko, że Bohomolec, który tyle przepysznych wzorów miał w życiu przed oczyma, nie posiadał ani werwy i prawdziwie szlacheckiego zacięcia Paska, ani poetycznego talentu Pola. Jego Junak jest zanadto konwencyonalnym typem; szlacheckiego zawadyaki, chociaż-by nawet był ze szpadą u boku a nie przy karabeli, w nim nie widać. Nikogo on-by pewnie na seryo nie nastraszył. To, co mówi o swych bohaterskich czynach i odwadze, zbyt jest nieprawdopodobne i przesadne aż do śmieszności „Bo gdybym się rozgniewał (odzywa się np. w jednéem miejscu), tedy skry z mych oczu wypadające, mogły-by w perzynę to miasto obrócić“. Nie umie on się ani dobrze maskować, ani nie ma dość taktu, aby junakieryi swojéj choć pozór prawdziwego męstwa i bohaterstwa zachować. Czasami jednak ma autor dosyć komiczne pomysły. Kiedy np. niejaki Dorant, nałajawszy, ile mu się podobało, naszemu junakowi, odszedł, ten odzywa się do swego służącego Frontina:

„Frontynie, co on powiedział?“

Frontyn. Powiedział, że WMPan tchórz jesteś.

Robert. Jakto? gdzie on jest? zaraz go tym pałaszem rozpłatam! Uciekł!... biegaj za nim jak najprędzéj.

Frontyn. Czy mam go tu sprowadzić?

Robert. Nie. Ale uważaj gdzie pójdzie i potém mnie oznajm.

Pomimo dosyć słabego wykonania, widać jednak, że Bohomolcowi tendencya i sens moralny téj komedyi bardzo na sercu leżały, że przeciw junakeryi i manii pojedynkowania się z niéj wypływającéj, nie na żarty na harc wychodził. Szeroko bowiem rozprawia

i o tej wadzie i o honorowych przesądach ogólny wtenczas walor mających, ze szkodą akcyi obciążając rozumowanemi dyskusyami swoję komedyą. I ze stanowiska religijnego i z filozoficznego zbija fałszywe pojęcia o honorze i potrzebie pojedynków, i sięga nawet do zaprzeczenia racyi przyjętym i utartym w społecznych zwyczajach wyobrażeniom. „Ale ja nie wiém, skąd to prawo, że gdy kto nie chce pojedynkować, trzeba mu ustąpić z pod chorągwi lub regimentu“—przemawia do junaka Roberta jego rozsądny sługa Frontin, a przez usta jego autor, który chciał aby nawet tak delikatne i wiekami uświęcone pojęcia o wojskowym honorze poddane zostały krytyce zdrowego rozumu i od przesądów uwolnione.

Takiego to rodzaju były, jeżeli zdołaliśmy w tym szkicu dać czytelnikowi dostateczne o nich wyobrażenie, te komedye Bohomolca zwykle „szkolnemi“ nazywane. Pisane „dla zwyczajnéj szkół naszych rozrywki“, nie w zamiarze, „aby kiedy pod drukarską prasę podpaść miały“, gdy tu i owdzie znalazły poklask, ukazały się w druku, i stały się do pewnego stopnia epokowém w naszéj literaturze zdarzeniem. Mimo wszelkich niedoskonałości bowiem, mimo tego, że nie wiele w nich oryginalnéj pracy polskiego pisarza, trudno zaprzeczyć, że w nich po raz pierwszy pokazała się forma komedyi, odpowiadająca warunkom sztuki i sceny w téj fazie, jak ją do wieku XVIII francuscy szczególnie pisarze wykształcili. Następców Bohomolca było zadaniem formę tę do literatury naszéj wprowadzoną wypełnić treścią narodową i oryginalną twórczością. Nie omieszkali oni tego uczynić, i od czasów Niemcewicza i więcéj od niego utalentowanego Zabłockiego powiedziéć też możemy, że komedya polska istnieje.

Komedye „szkolne“ Bohomolca były przed pierwszém ukazaniem się w druku, przed r. 1755 zatém, według zeznania autora (w przedmowie I tomu) „na różnych teatrach już po kilkakroć wyprawione“. Rozumie się, że jest tu mowa o teatrach szkolnych, bezwątpienia tylko jezuickich, najprawdopodobniéj w kollegiach tego zakonu Wileńskim i Warszawskim, w których Bohomolec był profesorem. Uwagi późniejszych biografów naszego autora uszedł jednakowoż ten fakt, że były one także wystawione na publicznym teatrze warszawskim i to bezpośrednio po nieudanych próbach Bielawskiego. Fakt ten poświadcza nader wiarogodna w rzeczach sceny polskiéj powaga. „Zbyt krótko trwało *początkowych* sztuk Bohomolca powodzenie, które szczególniéj dla nabrania czystéj wymowy i jak wtedy mówiono: pięknéj prezencyi, dla szkolnéj młodzieży pisane, przed żądającą wyższego rodzaju widowisk publicznością nie mogły być długo wystawianemi“—powiada Wojciech Bogusławski

(w Dziełach IX, 327), historyą teatru polskiego spisujący, według czerpanych u źródła wiadomości. W zimie zatém roku 1765 na 6. produkowały się przed publicznością warszawską komedye „szkolne" Bohomolca, nie wszystkie bez wątpienia, najniezawodniéj te, które z Moliera były przerobione. Nie zadowolniły całkowicie publiczności, nie utrzymały się na repertoarze. „Nastąpiły na ich miejsce prawdziwie dramatyczne dzieła, z francuskich autorów przełożone, jako to: Rozkochany filozof (Destouches'a), Timon odludek itp." (Bogusławski, tamże), ale pierwsze to wstąpienie na deski publicznego teatru i względne, otrzymane na nich, powodzenie, zachęciły i popchnęły Bohomolca do dalszych na tém polu usiłowań.

Niedługo, bo jeszcze w tym samym sezonie teatralnym, przy końcu zimy 1766 r. zaczynają się pokazywać nowe, na inny sposób, już nie dla szkół, ale „na teatrum" pisane jego komedye.

Bibliografowie wyliczają sporą liczbę tych komedyj, powstałych w r. 1766 i 1767, jako to: *Małżeństwo z kalendarza*, *Marnotrawca*, *Staruszkiewicz*, *Staruszka młoda*, *Nagroda cnoty* (?), *Ceremoniant*, *Monitor*, *Czary*, *Pan dobry* i *Pijany*. My, z żalem to musimy wyznać, nie znamy wszystkich. Komedye Bohomolca należą do rzadkości bibliograficznych. Dawniejsze, szkolne, cztery kroć za życia autora drukowane i późniejsze w części osobno, a potém w ogólnym zbiorze także w tym samym czasie wydane, nigdy już późniéj nie doczekały się nowych edycyj, i powiedzmy prawdę, nie doczekają się i w przyszłości. Miały one niegdyś tylko chwilowe, a dla literatury mają tylko historyczne, znaczenie. Dzisiejsi czytelnicy bardzo niechętnie, tylko w wyjątkowych wypadkach, brali by je do ręki, bo nie mają one téj artystycznéj formy, która płodom poetycznym jedynie trwałość zapewnia. Z biegiem czasu przeznaczone są zatém na zagładę, a dziś już w zamożnych w rzeczy polskie bibliotekach Jagielońskiéj i Ossolińskich mogliśmy zaledwie zebrać wprawdzie wszystkie pięć tomów komedyj szkolnych, ale tylko trzy komedye z liczby późniejszych.

Pierwszą z tych komedyj była: „Małżeństwo z kalendarza", wystawiona na scenie 4 marca 1766 r., wśród niezwykle uroczystych okoliczności. Dnia tego pan kanclerz W. W. X. Litewskiego, z okazyi imienin brata królewskiego Kazimierza, podkomorzego koronnego, dawał u siebie obiad, na którym król ze swą rodziną i wielu dygnitarzami przytomnym być raczył. Po obiedzie całe to towarzystwo z królem na czele, wysłuchało komedyi po raz pierwszy wówczas granéj, którą właśnie była wspomniana wyżéj komedya Bohomolca.

„Małżeństwo z kalendarza" miało większe od jego dawniejszych sztuk powodzenie. Bogusławski nazywa je „zabawną" i „pierwszą wogóle lepszą komedyą polską". Ale miało także to szczęście, czy nieszczęście, że zaalarmowało mocno opinią publiczną, że jak później „Sarmatyzm" Zabłockiego, albo „Powrót posła" Niemcewicza, pobudziło namiętności i ściągnęło na siebie gniewy tych, co się z tendencyą autora nie zgadzali. Krzyk na Bohomolca musiał powstać nie mały i skargi z wielu stron się odzywać, skoro, jak niegdyś Molière, jak za naszych czasów Dumas syn, widział się zmuszony, podając swą komedyą do druku, zaopatrzyć ją w przedmowę i bronić swych poglądów przed opinią. A chodziło o rzecz wcale ważną, bo kiedy „jedni oświadczyli swe upodobanie", to „drudzy się na nią (na komedyą) rozgniewali, z téj najbardziéj przyczyny, iż się zdała chcieć szkodzić honorowi Narodu naszego". Oskarżenie brzmiało więc o zbezczeszczenie narodu, o herezyą narodową, ni mniéj ani więcéj!

W istocie Bohomolec obrał sobie tym razem przedmiot wielce drażliwy. Dawniéj, kiedy wyśmiewał niedowiarków, sfrancuziałych paniczów, ladaco guwernerów, kiedy nawet powstawał przeciw więcéj swojskim zawadyakom i myśliwcom po nad swojego psa nic więcéj niewidzącym, mógł był sobie narazić kilku lub kilkunastu *petitmaitrów* warszawskich, jednego lub drugiego przybłędę z Francyi, albo swojskiego chowu Herkulesów i Nemrodów. Ale w „Małżeństwie z kalendarza" zaczepił to, co znaczna większość ogółu uważała wówczas za tradycyjną świętość; uderzył, bez ogródki i bez ozłacania pigułki, na wyobrażenia niedawno jeszcze przez wszystkich za prawdziwe i zbawienne uważane, a wtenczas zaledwie cokolwiek zachwiane; ośmielił się wystawić na scenie i publicznie ośmieszyć wady nie ogólnie ludzkie, lecz specyalnie narodowe: ciemnotę średniéj szlachty, zabobonność i stanową arrogancyą. Nie dosyć na tém, ośmielił się wypowiedzieć, że bardzo blisko szlachty, prawie na równi z nią, stoi stan, o którym ona słyszéć nie chce—stan mieszczański.

Postacią, na ktoréj głównie spoczywa tendencya téj komedyi, jest pan Staruszkiewicz. Jest-to ziemianin, który urodził się, wyrósł i żyje na wsi, cały oddany gospodarstwu. „Wiesz, że mój ojciec (powiada jego córka Eliza) w gospodarstwie zanurzony, rzadko między ludźmi bywał, i dla tego nie zna się na nich". Przyjechał teraz do Warszawy wcale nie z wielką ochotą, jedynie dla tego, aby wydać za mąż córkę za niejakiego Marnotrawskiego. Przyszły zięć jemu przypadł do gustu, bo był człowiekiem według jego wyobrażeń, ale bynajmniéj nie Elizie, która wychowała się w Warszawie u sio-

stry ojca pani Bywalskiéj, kobiety rozsądnéj, a przytém z innym, więcéj postępowym na świat poglądem. Eliza podczas bytności swojéj w mieście, poznała niejakiego Ernesta, pochodzącego z rodziny cudzoziemskiéj, ale półkownika w wojsku Rzeczypospolitéj, pokochała go i za niego tylko iść pragnie. Gotowy więc jest konflikt między wolą rodzicielską i córki, między starym a nowym światem. Który z nich wyjdzie zwycięsko w komedyi, zależéć to będzie od większéj lub mniejszéj dozy prawdy w nich się mieszczącéj, od większych lub mniejszych sił ich moralnych.

Pan Staruszkiewicz niewiele téj siły ma w sobie. Poziom jego umysłowy jest bardzo nizki. Wierzy w sny jak najłatwowierniejsza kumoszka. Zaledwie powitał Elizę: „Jak się masz córko?“ drugim zaraz jego pytaniem jest: „Co się dziś śniło tobie?“ Za Ernesta (oprócz innych przyczyn, które niedługo poznamy) nie chce jéj wydać także dla tego, że miał sen wczorajszéj nocy o owieczce (która miała reprezentować córkę) i o dwóch wilkach: złym i dobrym, z których złym, według jego najlepszéj wiary, musi być Ernest. Eliza chciała-by odwlec przynajmniéj dzień ślubu z niemiłym konkurentem, dla zyskania na czasie, ale pan Staruszkiewicz, równie jak w sny, wierzy także w przepowiednie kalendarskie:

„Dziś ten akt koniecznie być musi, jeśli chcesz być szczęśliwą“— mówi do córki.

Eliza. Za cóż to koniecznie dzisiaj.

Staruszkiewicz... Czytaj, patrz, co o dniu dzisiejszym kalendarz pisze: „Dziś dobrze brać ślub, kto chce mieć małżeństwo pomyślne i dzieci piękne“. Widzisz. Drugiego dnia takiego w całym kalendarzu nie znajdziesz.

Pod tym względem zostaje on wierny swym zasadom do ostatka, bo kiedy póżniéj małżeństwo z Marnotrawskim, który się i zadłużonym utracyuszem i względem swego protektora aż do brudoty niewdzięcznym pokazał, i w jego także oczach niemożliwém się stało, sam przynagla do natychmiastowego ślubu z Ernestem, ani na dwadzieścia cztery godzin odkładać go nie chce „bo takiego drugiego dnia dobrego, w całym kalendarzu nie ma“.

Wogóle pan Staruszkiewicz musiał być z liczby tych, którzy, jak ów szlachcic w satyrze Naruszewicza: „Chudy literat“ z całego kramu księgarskiego wybierali dla siebie tylko:

Receptę na dryakiew i kalendarz nowy,

bo kalendarz był dla niego alfą i omegą wszelkich wiadomości, jak w sprawach życia, tak w gospodarstwie i w nauce. Mówiąc o przyszłém urządzeniu się zięcia i córki, zapewnia ich o swéj pomocy,

w tych słowach: „Ja was sam nauczę niektórych sekretów gospodarskich, które z pewnego starego kalendarza pod sekretem wypisałem.“ A na innem znowu miejscu chwali się ze swej znajomości sztuki lekarskiéj: „Oto przeszłego tygodnia zachorował mi był Bartek mój poddany tak ciężko, że mu nawet nasz słuszny żyd Moszko cyrulik nie mógł dać rady, a ja go za kilka dni doskonale uleczyłem.“ Tę wyższość swoję nad cyrulikiem Moszkiem zawdzięczał pan Staruszkiewicz również kalendarzowi, a bezwątpienia był najpewniejszy, że podobne sekreta kalendarzowe więcéj są warte niż zdanie wszystkich fakultetów medycznych w Europie.

Tak zacofany w swoich pojęciach nie może przyjść do harmonii z swojem warszawskiem otoczeniem, ani z siostrą panią Bywalską ani z córką Elizą, i niemało sobie krwi napsuje tém, co słyszy z ust jéj służącéj Agaty, ciętéj warszawianki, w rodzaju tych Tinett, Dorin i innych typowych subretek komedyi francuskiéj, która nadto z piętra patrzy we wszystkich parafian i z uczuciem własnéj wyższości powtarza: „My co w Warszawie mieszkamy.“ Co chwila też utyskuje i skarży się pan Staruszkiewicz na Warszawę i jéj zepsucie: „Jakto ta Warszawa odmienia ludzi i najlepszych!“ albo: „Te warszawianki mają język za katy wyprawny!“ albo mówiąc do córki: „Widzę w tobie piękne przymioty, choć troszkę zarażone warszawskiem powietrzem.“ On wszystko chciałby mieć po starodawnemu; nawet wesele córki, które ma się odbyć w Warszawie, chciałby odprawić w ten sposób, jak się to działo według odwiecznych zwyczajów na prowincyi, ze wszystkiemi dla młodszego pokolenia nieraz niesmacznemi już ceremoniami. „Już mam jednego kawalera (mówi do siostry przedstawiając jéj swój plan wesela), który będzie za wieniec dziękował. Ale trzebaby drugiego oratora, który przy marcypanach będzie miał mowę. Co się tycze tańców wszystko rozporządziłem. Słodki taniec albo jak nazywają Marszałka, ja sam będę tańcował. Jeszcze ja potrafię wszystkie korwety, choć stary jestem. Po tym tańcu będzie Drabant...

Bywalska. Ale teraz już tego nie ma zwyczaju.

„Tym gorzéj!“ odpiera pan Staruszkiewicz.

Tę predylekcyą jego do oratora, Marszałka i Drabanta, choć widocznie Bohomolcowi się to już nie podobało, jak najchętniéj mu darujemy i do rzędu jego wad i śmieszności zaliczać jéj nie mamy zamiaru. Zdaje nam się, że nie byłoby to wcale słuszne i sprawiedliwe. Tak dobry sobie Drabant jak menuet lub kadryl, i ani to ludzi poprawi ani wykształci ani podniesie moralnie, czy według téj czy owéj muzyki tańczyć będą. I owszem, tylko w zamiarze przechowania drobnéj pamiątki z przeszłości, zacytowaliśmy tutaj ten porządek wesela, jaki sobie pan Staruszkiewicz układał,

Cośmy dotychczas o nim i z jego ust słyszeli, chociaż nie bardzo dla niego jako dla przedstawiciela typu ziemiańskiego pochlebne, nie byłoby jeszcze wywołało gniewów i oburzenia na autora. Śmieszności tej figury mogły być łatwo uważane za śmieszności ludzi wyjątkowych. Ale teraz przystępujemy do tych jego rysów, przez nakreślenie których cały naród szlachecki, albo przynajmniéj znaczna jego większość, mógł się czuć obrażonym i pokrzywdzonym, bo w tych rysach wypowiadał autor swoje opinie społeczne, dla niego niekorzystne i niemiłe do słuchania.

W dyskursie między panem Staruszkiewiczem a ową ciętą subretką Agatą, zaatakował Bohomolec najprzód wyobrażenie o wyższości szlachectwa polskiego nad inne, nie uznawanéj wprawdzie *de facto* nigdzie, ale między ogółem niższéj szczególnie szlachty należącéj do artykułów wiary bardzo mile w głębi serca pieszczonych.

Pan Staruszkiewicz nie ma nic do zarzucenia pułkownikowi Ernestowi, temu, którego jego córka kocha—„Jedna jest tylko w nim przywara...“

Agata. Mnie się zda, że żadnéj w nim nie ma przywary.

Staruszkiewicz. Oj jest, i brzydka.

Agata. Jakaż przecie?

Staruszkiewicz. Ta, że nie jest szlachcic.

Agata. Jam słyszała, że szlachcic i WMPan sam mówisz, że jest dobrego urodzenia.

Staruszkiewicz. Cudzoziemiec a szlachcic! ha, ha, ha!

Agata. Albo to i cudzoziemcy nie mają szlachty?

Staruszkiewicz. Jakie ich szlachectwo? chłopi wszystko.

Po takim aksyomacie znowu na Agatkę kolej rozśmiać się głośno: „Ha, ha, ha!“

W rozmowie na ten sam temat z panią Bywalską, pan Staruszkiewicz łagodzi nieco swój sposób wyrażenia, choć w gruncie rzeczy od wyobrażeń swoich ani na cal nie odstępuje. Na jéj zapytanie, zadane również w celu bronienia sprawy pułkownika Ernesta: „Albo to nie ma między Niemcami szlachty“—odpowiada naiwnie. „Może i są“ i zaraz dodaje: „Ale jakie to ich szlachectwo? Polskie szlachectwo, grunt; to prawdziwe szlachectwo“ Dlaczego? możnaby go zapytać, gdyby on sam natychmiast swojego zdania nie motywował: „Co mi po ich bohaterstwie, kiedy żaden z nich na sejmikach pokazać się nie może. Pan Ernest godny jest człek: ale mi takiego zięcia potrzeba, któryby mię i na sejmiku mógł poprzéć.“ Oto argument—i nie głęboko zaiste sięgający!

O co zresztą chodziło Bohomolcowi i innym podobnie myślącym w téj kwestyi asymilowania cudzoziemców i przygarniania ich

do społeczeństwa polskiego, to widzimy ze słów postępowéj, jakby ją dzisiaj nazwano, pani Bywalskiéj: [1] „I owszem do tego trzeba cudzoziemców, żeby się rzemiosła mnożyły, żeby się nowe manufaktury zakładały, żeby handel zakwitnął, żeby ekonomia była polepszona.“ Przed stu przeszło laty nie miano może zaufania do szlachty, aby ona zdolną była do podniesienia tak potrzebnego handlu i rzemiosł, a z pewnością nie miano odwagi, aby jéj kazać miarą, łokciem i warsztatem się zajmować, i dlatego chciano ją w téj pracy wyręczyć cudzoziemcami — także wówczas jeszcze niebezpiecznymi.

Pan Staruszkiewicz, który córkę chce wydać tylko za prawdziwego szlachcica, i Agatce zaleca także na męża swojego „mastelarza.“ Chudeckiego z téj najwięcéj racyi, że i on choć nie *possesionatus* ale *bene natus*. „Czy nie wiesz, że on szlachcic?“ zapytuje, stawiając najsilniejszy swój argument. Ale Agatka również „zarażona Warszawskiém powietrzem,“ daje mu kategoryczną odprawę: „A mnie kat po jego szlachectwie!...“ Należy więc wytłómaczyć téj zbałamuconéj głowie, jakie jest znaczenie szlachectwa. Nie omieszkuje uczynić tego pan Staruszkiewicz rozwijając przed nią oklepaną teoryą o ważności klejnotu i rzekoméj równości szlacheckiéj: „Ale dziwna jesteś! albo nie wiesz, że każdy szlachcic może być panem, senatorem i... i...“

— „I mastelarzem“ przerywa mu dowcipna Agata, z jego wybujałych marzeń ściągając go na grunt rzeczywistości. Kiedy potém pan Staruszkiewicz dowiaduje się, że Agatce podoba się lokaj Ernesta Johan, z oburzeniem woła: „Więc u ciebie lepszy ten chłop lokaj niż szlachcic?“ Agata, która nie jest także do tego stopnia demokratką, żeby się aż do chłopa zniżyć miała, odpowiada urażona: „Przepraszam, nie chłop. Nie znasz się W. M. Pan na ludziach.“

Staruszkiewicz. Co? będziesz mię uczyła?

Agata. Bo nie chłop.

Staruszkiewicz. Jakże? to on szlachcic?

Agata. Ani chłop ani szlachcic. Może być co średniego.

„Cóż to takiego średniego?“—zapytuje naprawdę zdziwiony pan Staruszkiewicz, bo on dotychczas tylko o dwóch kategoryach ludzi słyszał, i otrzymuje w odpowiedzi to, co wówczas było kwestyą świeżą, wiszącą w powietrzu i mającą przyjść niedługo na porządek dzienny:

„Mieszczanie lud uczciwy, którzy też nie są w prawdzie szlachta, ale też nie są i chłopi.“

Pan Staruszkiewicz nie spodziewał się téj odpowiedzi; myślał, że posłyszy nazwisko, które się nigdy nie obiło o jego uszy, a usłyszał, że tu chodzi o mieszczan, których znał dobrze i zawsze identy-

fikował z chłopami, usłyszał nowe głupstwo i wybuchnął śmiechem: „Ha, ha! Nie są chłopi! ha, ha!“

Wszystko, co nie szlachcic, to u pana Staruszkiewicza chłop, a co chłop to—nie powiada on tego nigdzie głośno ale między wierszami można to u niego czytać, to nie człowiek. Agatka nie tylko z jego ust ale i wielu innych „parafianów“ musiała podobnych zdań się nasłuchać, skoro ich pogląd na sprawy społeczne mogła streścić w tém drastycznem i wiele mówiącém powiedzeniu: „U nich kto nie szlachcic, to gorszy za psa..“

A teraz, poznawszy te wyobrażenia pana Staruszkiewicza i jego spory w kwestyach socyalnych z ludźmi „zarażonemi powietrzem Warszawskiém,“ przyznać trzeba, że śmiale i z wielką odwagą cywilną prawił nauki szlachcie ten jezuita-komedyopisarz, w sposób dosadniejszy i drażliwszy niż to czynią naprzykład pisarze naszych, z przewrotności i warcholstwa okrzyczanych, czasów; i nie będziesz się dziwił, że podczas przedstawienia téj komedyi zakipiała nieraz gniewem krew u spektatorów z ówczesnego parteru; kiedy w słowach, które słyszeli, dosłuchiwali się jakoby lekceważenia szlachectwa, poniżania rodowitéj szlachty na korzyść chociażby zasłużonych cudzoziemców, wyszydzania ciemnoty i przesądnych pojęć swoich spół-ziemian, i podnoszenia niemal do wysokości stanu szlacheckiego tych mieszczan, którzy dotąd w kraju za nic się nie liczyli i byli kupą bez znaczenia a nie obywatelami.

Nie wiemy dokładnie, kiedy Bohomolec wszedł w bliższą styczność z królem i z otaczającymi go ludźmi, ale choć za to nie moglibyśmy z tego właśnie powodu ręczyć, zdaje nam się, że w téj jego komedyi słychać echa tych rozmów i dyskusyj politycznych, które się nieraz na królewskim zamku, pewnie i podczas czwartkowych obiadów, prowadziły, i widać odbicie tych wyobrażeń, któremi przejęty był król i inni ludzie postępowi, torujący drogę odrzuconemu zbiorowi praw Zamojskiego i późniejszéj przyjętéj z entuzyazmem Ustawie 3 maja. Kto wie nawet, czy sam król bezpośrednio nie wpłynął na powstanie téj komedyi, czy nie był Egeryą Bohomolca, i nie polecił mu pchnąć w świat te opinie i wyobrażenia, które tak bardzo jego poglądom i widokom politycznym odpowiadały? W każdym razie, jest to bardzo prawdopodobne.

Nie ma bynajmniéj w sobie tendencyi tak ciężkiéj wagi i tego niemal politycznego charakteru komedya w trzech aktach: „Staruszka młoda“—ale zawsze jestto obrazek, również z natury pochwycony, innych warstw ówczesnego społeczeństwa i innego, nowego w Polsce, modnego świata. Z treści komedya ta przypomina dosyć „Hrabinę d'Escarbagnas“ Moliera, bo i tu rzecz chodzi o to, że stara,

i dobrze stara, bo 60-letnia Umizgalska gwałtem chciałaby się wydać za mąż, i że w tych swoich usiłowaniach pada ofiarą podstępu, bo młodzi ludzie w jéj domu bywający i na pozór starający się o nią, oszukują do czasu panią Umizgalską, a w końcu jeden z nich żeni się z prawdziwym przedmiotem swych zapałów, z jéj siostrzenicą Agnieszką. Z figur téj komedyi jedna tylko pani Umizgalska ma niektóre rysy charakterystyczne; inne postacie są blade i bez wyrazu. Stara kokietka, mimo swego wieku, jest pełna pretensyi; jéj służąca Katrynka wyraża się o niéj: „Powiedzieć, że ona szpetna, zaraz ją migrena porywa.“ Względem kobiet młodych i ładnych zazdrosna aż do używania tak naiwnego sposobu, że zakrywa kwefem twarz swéj siostrzenicy, aby przy niéj na porównaniu wobec mężczyzn nie stracić. Z koniecznéj przyzwoitości, zachowując mimo całéj swéj śmieszności resztki jeszcze zdrowego rozsądku, objawia głośno, choć o to ani pytana ani proszona (co ją znowu śmieszną czyni), że nie ma już pretensyi liczyć się ani do najpiękniejszych ani do bardzo młodych, a brak wdzięków i powabu młodości chciałaby sentymentalizmem zastąpić i schwycić konkurenta na to, że „w dobroci serca nikomu nie ustąpi.“ Przed ludźmi, a najbardziéj przed mężczyznami, którychby chciala zawieść przed ołtarz, wypiera się jak najuroczyściéj swych matrymonialnych zamiarów: „Przyznam się WM. Panu, że ja do małżeńskiego stanu cale straciłam ochotę...“ albo: „Nie myślę tego stanu (wdowy) odmieniać.“ Aby jednak tém maskowaniem swoich najszczerszych chęci nie odstraszyć i nie zbić z toru jakiego zbyt naiwnego pretendenta, niezapomina zaraz potém dodać: „Z tém wszystkiem, gdybym byla pewna o dobrém sercu ku mnie jakiego godnego kawalera, nie miałabym przyczyny mu bronić ręki mojéj.“

Nie nowe to zapewne były już i w czasach Bohomolca te rysy, któremi starą zalotnicę odmalował. Bądź cobądź, figura ta ma to historyczne znaczenie, że posłużyć może za dowód, iż w ówczesnéj Polsce można było już znaleść podobne egzemplarze kobiet, przykrojone bezwątpienia podług wzorów, jakie i pod tym jak pod wielu innemi względami, dawał nam wielki świat Paryża i Wersalskiego dworu. Przed wiekiem jeszcze, kobieta w tych latach byłaby poważną matroną z różańcem w ręku; w drugiéj połowie XVIII stulecia, taki duch lekkomyślności ją podleciał, że zapragnęła się bawić w salonową damę gotową romansować z młodzieńcami i pełną téj nadziei, że jéj się jeszcze uda konkieta.

„Monitor“ nareszcie komedya w 1 akcie jest utworem okolicznościowym, jedynym ze znanych nam, którego treść i myśl przewodnią wysnuł Bohomolec, niemal możnaby powiedzieć, z wypadków

własnego życia. Jako główny redaktor i wydawca czasopisma „Monitor“ przyjął na siebie, według jego słów własnych „obowiązek służenia krajowi, pokazując obywatelom, jakimi oni być powinni, aby byli mu pożyteczni“—a pełniąc ten trudny urząd kierownika i cenzora publicznego nie jednemu się naraził i niejedne wzbudził przeciw sobie niechęci. Krytykę, nicującą wady ogółu, drażliwsi brali do siebie, i gniewali się, że „Monitor“ ich opisywał i plotki o nich robił, a w gronie redakcyi tego pisma widzieli tylko złośliwych, pragnących się bawić cudzym kosztem.

„Potrzeba wiedzićć, że to jest banda z kilku złożona, którzy z nas żartują“— powiada jedna z osób tćj komedyi, według swojego rozumienia przedstawiając tendencyą i cel „Monitora“.

W pewnćj karczmie na popasie zbiera się cała kompania tych nieprzyjaciół „Monitora“, a są pomiędzy nimi panie: Modnicka, Umizgalska, Wymyślnicka, panowie: Pieniacki, Staruszkiewicz, Łakomski, Najmakiewicz i Łykaczewski. Nazwiska tych osób określają już ich charaktery, o stosowne rysy psychologiczne zresztą autor nie wiele się starał, i zmieścić tyle różnorodnych charakterystyk w jednoaktowćj komedyi było by może dla niego niepodobieństwem. Wystarczy dla nas, że te figury są przedstawicielami tyluż rozmaitych wad i przywar, bądź narodowych, bądź naleciałych z zagranicy, które „Monitor“ bronią śmieszności i rozumowych przekonywań starał się wykorzenić i usunąć ze społeczeństwa. Całe to towarzystwo zgromadziło się w karczmie w tym celu, aby pochwycić Ochotnickiego, jednego z owych złośliwych Monitorów, i za wszystko, w czém im dokuczył, przynajmnićj go obić. Tymczasem nim to nastąpi, skarżą się przed sobą po kolei na to, co każdemu „Monitor“ wytknął i jak go opisał. Ochotnicki zjawia się, zaczyna mówić, broni się, odpiera zarzuty, i przekonywa wszystkich, że niczyjéj osobistości nie tykał, ośmieszając wady, których naturalnie żaden z tych panów, ani żadna z tych pań w sobie nie mają. Kończy się rzecz tryumfem, bo pochwałą „Monitora“, wygłoszoną przez usta przybyłego Starosty: „Podobnym pismom Anglia swój polor i potęgę po części jest winna“.

Z tćj treści już widać, że jest-to apologia „Monitora“ i zręcznie choć bez dowcipu napisana satyra, ale nie zajmująca swoją intrygą i rozwinięciem charakterów komedya.

Po przerwie lat kilku, które były zarazem czasem upadku sceny polskićj w Warszawie, zmuszonćj po kilkunastu zaledwie miesiącach istnienia ustąpić przed cudzoziemskiemi widowiskami, a szczególnie przed ulubioną od publiczności operą włoską, kiedy w r. 1774 książe August Sułkowski stanął na czele teatru i nową dla sceny

polskiéj rozpoczął erę, sztuki Bohomolca, mianowicie jego komedye późniejsze, weszły powtórnie na repertoar i razem z kilku, dawniéj z francuskiego przełożonemi, bawiły przez czas niejaki publiczność. Wtedy to występowali w jego komedyach Kazimierz Owsiński, Karol Świerzawski, Barbara Sierakowska, Kempiński—aktorowie, którzy talentem swoim dobrze się zapisali w dziejach teatru polskiego.

Dodajmy do tego, że Bohomolec, jak był pierwszym scenicznym komedyopisarzem polskim, tak był również i pierwszym librecistą. Z polecenia króla, który w teatrze korpusu kadetów chciał zrobić doświadczenie, czyby się nie udała opera polska i przez Polaków śpiewana. Napisał r. 1770 *intermezzo* w 1 akcie, z kilku piosnkami, p. t. „Nędza uszczęśliwiona“. Czy dla braku kompozytora muzyki, czy z innych niewiadomych powodów, nie przyszło na razie do wystawienia téj sztuki, i została tylko wydrukowana. Myśl Bohomolca nie przepadła jednak marnie. W kilka lat późniéj (r. 1778) Kamieński dorobił muzykę, a W. Bogusławski rozszerzył sztukę na dwa akty, i w ten sposób powstała pierwsza opera polska.

Działalność teatralna Bohomolca, jego zasługi i znaczenie w literaturze dramatycznéj, nie były przeto tak skromnemi, i tak niewielkiéj wartości, jak sobie to częstokroć wyobrażamy. W komedyach szkolnych wprowadził on, wprawdzie w zmienionéj nie na korzyść postaci, po raz pierwszy Moliera na scenę i do literatury polskiéj; a późniéj, w czasach najkrytyczniejszych dla narodowego teatru, bo w samych jego początkach, kiedy dopiero próbował pierwszych swych kroków, gdy zwłaszcza brak polskiego repertoaru mógł dla niego stać się ciosem zabijającym go na miejscu, nie kto inny tylko Bohomolec za dwoma nawrotami ratował go od przedwczesnéj śmierci i dowiódł swemi utworami, że chociaż nie posiadał świetnych, nadzwyczajnych w tym kierunku zdolności, potrafił jednak zajmować i bawić publiczność, i to sprawić, że z niechęcią i obojętnością nie odwracała się od sceny polskiéj.

Przy wielu innych był też bezwątpienia teatr ulubionêm dla niego zajęciem; oddawał mu się chętnie, ile razy mógł i ile razy tylko zdarzyła się do tego sposobność. W kolegiach jezuickich był nie tylko autorem ale dyrektorem i reżyserem teatrów szkolnych; dla publicznego teatru w Warszawie w przeciągu krótkiego czasu, a więc z jak największą gotowością, napisał kilka nowych sztuk; będąc przełożonym drukarni pojezuickiéj i wydając w niéj dawnych historyków i poetów, nie zapominał o nowych komedyopisarzach, i pragnąc czém można było ubogą literaturę dramatyczną wzbogacić, wydał 1774 r. „Junaka“ Stan. Mycielskiego, a do księcia generała ziem podolskich, kilkakrotne, wcale dowcipne, wierszowane za-

nosił supliki (w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, 1775), o pozwolenie wydania w druku jego „Panny na wydaniu". Wreszcie po raz wtóry został znowu dyrektorem teatru, kiedy mu powierzono (zapewne sam król to uczynił) dozór i przewodnictwo rządów w teatrze korpusu kadetów. Poczciwy Bohomolec przypomniał sobie znowu przy téj sposobności swoje profesorskie czasy, gdy młodzież szkolną w sztuce aktorskiéj tresował, a że mu to sprawiało przyjemność prawdziwą, dowiódł tém, że nie omieszkał tego faktu (również przez biografów pomijanego), w przedmowie do wydanego przez siebie „Junaka" Mycielskiego zapisać.

Uprzedzenie i jakaś fatalność do dziś dnia ścigają pamięć tego czynnego i pierwszego co do czasu, naszego komedyopisarza. Gdy kto wspomni o komedyach Bohomolca, to zwykle w tym sensie, w jakim się mówi o wierszach Baki. Skąd się to wzięło? dla czego tak nieusprawiedliwiona opinia się ugruntowała? Zdaje nam się, że przyczyna tego leży w zwyczajnéj płytkości sądów ludzkich, które lubią wydawać wyroki na podstawie pierwszéj lepszéj, z samą rzeczą nie mającéj często nic wspólnego, okoliczności. Bohomolec był księdzem, to podobno najwięcéj zaszkodziło jego komedyom. Ludzie nie byli przywykli żeby księża pisali komedye, nie mogli sobie wyobrazić, aby komedya, napisana przez księdza, była dobrą—ergo, wywnioskowali, że komedye Bohomolca muszą koniecznie być liche. Nic nie pomogło, że komedye te były kilka razy drukowane, że przez lat parę grywano je w stołecznym teatrze, że jeszcze przez ten czas setki, tysiące widzów, między którymi było wielu wcale i bardzo mądrych, bawiły się temi komedyami i oklaskiwały je nieraz—o tém wszystkiém ogół zapomniał, i utkwił mu w głowie tylko sąd, który może kiedyś porodziła złośliwość jakiegoś niedowarzonego dowcipnisia.

W roku, w którym piszemy te słowa, minęło właśnie lat sto od śmierci Bohomolca (1784). Nikt ani wspominał o tem, ażeby jakimkolwiek sposobem uczcić w tę rocznicę pamięć skromnego, choć na wielu polach zasłużonego pisarza. Nie śmiemy tutaj naszéj pracy poświęcić temu wspomnieniu, ale gdy nas nikt w tém godniéj nie wyręczy, niech ona służy choć za przypomnienie wspomnienia.

Adam Bełcikowski.

ZYZMA.

XVII.

Wązką i krętą uliczką żydowskiej dzielnicy wracał z narady chudy, szczupły, dwudziestoletni żyd, przyszły rabin i cudotwórca. Krymkę nasunął na tył głowy, czapkę futrzaną na oczy, ręce włożył za czarny pas podtrzymujący długi chałat, z poza którego wydobywały się brudne pończochy i podarte trzewiki, okrywające chude jego nogi. Idąc kołysał się miarowo, jak wahadło zegara częścią z przyzwyczajenia od ciągłéj modlitwy w bóżnicy, częścią aby wzbudzić tém większy podziw przechodzących ludzi.

Żydzi i żydówki ustępowali mu z drogi z oznakami szacunku. Żydówki mlaskały ustami, na dowód swego zachwytu nad jego domniemywaną mądrością i przyszłemi cudami.

Młody żyd, mimo że głowę miał pochyloną na piersi i przysłonięte długiemi rzęsami oczy, widział te oznaki czci, okazywane mu przez tłum żydowski. Duma jego rosła,—był pewnym, że jest wybrany do panowania. Wierzył, że Bóg Izraela naznaczył go swym palcem—da mu moc cudów,—a mądrość w księgach Talmudu i Kabały. Rozmarzony wszedł do ciemnéj sieni staréj kamienicy i przez brudny, pełny błota i wyziewów dziedziniec dostał się do obszernéj izby.

Kinkiet mosiężny wiszący u sufitu, szafy założone staremi księgami, na szafach trzyramienne świeczniki, sofa obita zatłuszczonym drelichem i stół przykryty czerwoną serwetą świadczyły o zamożności i rozumie właściciela tego mieszkania. Młodzieniec rzucił rozmarzonym wzrokiem do koła i siadł na kanapie,—ręce rozsunął, głowę pochylił na piersi i oczy zamknął. Skóra na jego twarzy żółto-zielonkowata, wyciągnięta, zdawało się że zaledwo wystarcza na pokrycie sterczących kości policzkowych i wystającéj szczęki. Mimo fi-

zycznego zmęczenia umysł jego pracował. Widać to było po ściągniętych brwiach, urywanych wyrazach, wydobywających się z zaciśniętych ust i biciu pulsów na skroniach.

Do izby wsunęła się pocichu młoda dziewczyna, zbliżyła się do stołu, patrzała chwilę z lubością i czcią na chudą twarz i przymknięte oczy brata, i nareszcie zapytała nieśmiało szwargotem.

— Josełe chce ci się jeść?

Josełe nie odpowiadał. Dziewczyna chwil parę stała, wpatrując się w chudą twarz i przymknięte oczy.

— Nadto jest mądry, pomyślała, aby odpowiadał mnie głupiej dziewczynie, a nadto święty, aby jadł. Mądrość go karmi, i przejęta czcią, wyszła na palcach.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, podrażnione nerwy żyda wzrokiem dziewczyny, spoczywającym na jego twarzy nie pozwoliły mu usiedzieć, zerwał się, chodził po izbie i raptem stanął wpatrując się w księgi ułożone w szafie.

— Ty musisz zginąć,—szepnął. oglądając się—czy kto nie słyszy biegu jego myśli. Musisz zginąć, ty wrzodzie Izraela. Polipie. co sięgasz w głąb jego ciała i gangrenujesz je. Raku toczący jego mózg i pijący jego krew... Lud Izraela należy do wielkiego Boga. Nie zatruwaj swoim oddechem wybranego narodu i myśli jego nie brudź. On nas karmić musi—nas wybrańców, za to, że objawiamy mu wolę wielkiego Boga i cudami stwierdzamy ją, wyprostował się dumnie i wargi odchylił, pokazując białe duże zęby, ręce zaciskał nerwowo i wyprężał.

Ja cię zdławię i rozdepczę w błocie krew twoją, zasyczal i wybiegł do drugiej izby,—zamknął drzwi i zasunął zasówkę. Odetchnął głęboko obejrzał się lękliwie i ukląkł przed kufrem obitym poszarpaną skórą. Otworzył go, wydobył stary nóż i ostrzyć go zaczął na kamieniu, który przyniósł w kieszeni.

Pracował gorączkowo, co chwila ręce mu upadały ze zmęczenia. Odpoczywał kładąc się na ziemi i znów się zrywał, chwytał kamień, ciągnąc po nim nóż. Koniec ostrza zwężał się i błyszczał. Żyd siedząc na ziemi próbował siły ostrza, wbijając nóż w podłogę.

— Tak będę pruł twoje plugawe cielsko, powtarzał roznamiętniając się pod wpływem własnych myśli i gwałtownych uderzeń.

Wyostrzony nóż obwinął w papier i schował wsuwając za koszulę odchyloną na piersiach. Powstał zbliżył się na palcach do drzwi, odsunął pocichu zasówkę i rzucił się na łóżko stojące przy ścianie.

Niedługo otworzyły się drzwi. Na progu stanął stary żyd, wpatrując się litościwie i serdecznie w chudą twarz syna. Biała jego bro-

da, czarne gęste brwi i ciemne oczy nadawały jego twarzy wyraz surowy, w téj chwili opromieniony miłością.

— Ja cię głodzę, ty moja jedyna latoroślo, szeptał cicho, ja cię umyślnie głodzę, aby goje zatrutym jadem swych słów nie zabili w tobie wiary w mego Boga i jego zakon. Ja ci nie daję jeść i ciało twoje gnębię, abyś nie mógł udźwigać karabina i nie ocierał się o przeklętych gojów, którzy gotowi są krew twoję przelewać dla swéj podłéj i głupiéj dumy. Ja cię wysuszyłem jak szczypę że idąc chwiejesz się, podobny trzcinie, gdy ją wiatr ugina, ale za to Bóg Izraela mieszka w tobie. Przyszedł mu na myśl Abraham i Izaak, czuł się dumnym z roli kata swego dziecka, dla tego że go uchronił od zetknięcia się z gojami.

Ty po mnie odziedziczysz moje księgi i mój rozum, pomyślał i będziesz Melamedem sławniejszym odemnie; bo duch twój wielki jest przygnębieniem ciała twego... Cofnął się, zamykając pocichu drzwi...

Syn, nie słyszał słów ojca, lecz czuł jego wzrok, spoczywający na swéj twarzy. Nerwy nim szarpały, nie mógł uleżeć, zerwał się, pomacał czy ma *nóż* na piersiach, zapiął hałat, stanął przy oknie— patrząc na błoto i przechodzących żydów. Gdy zapanował nad sobą przeszedł do drugiéj izby. Stary siedział za stołem.

— Josełe rzekł łagodnie—ty się zawiele głodzisz. Sure skarżyła się, że nic dziś w ustach nie miałeś. Synu, ja twój ojciec wolałbym cię widzieć trupem, jak gdybyś miał służyć gojom, lecz trzeba jeść, żeby żyć, uczyć głupich i rozkazywać ludowi.

Josełe nic nie odpowiedział. Sure przyniosła jedno jajko, cebulę i pół obwarzanka.

Młody mędrzec zjadł w milczeniu, wyjął z szafy starą grubą księgę, rozłożył ją i wzrok zagłębił w czarne duże na szarym papierze odtłaczane hebrajskie litery, lecz czytać nie mógł. Nóż, który czuł na swych piersiach, palił i denerwował go, popychając myśli na tory zbliżających się wypadków.

Ojciec spoglądał na syna pełen dumy i rozkoszy. Świecące oczy, wypukłe czoło i żółta wyciągnięta na twarzy skóra radowały jego serce.

Cadyk—cadyk, powtarzał w duchu.

Wszyscy cadyki mają oczy na pół obłąkane, a skóra ledwo im starczy na pokrycie kości.

Myśli syna poiły się rozkoszą zemsty a serce drżało ze strachu na wspomnienie czynu.

Jasne dotąd niebo zasuwało się chmurami, szaro się zrobiło w izbie. W oczach młodego żyda drukowane hebrajskie wyrazy *wy-*

ginały się przybierając kształty wężów. Mgła zaległa dziedzińce i wązkie ulice, drobny deszcz zaczął padać, woda uderzając o blachę rynny wydawała łoskot, który zmięszany z pluskiem deszczu denerwował młodego żyda, nie śmiał jednak w obecności ojca zamknąć księgi i powstać.

Starzec zagłębiony w tajemnicę kabały czytał szeptem miarowo kołysząc głową.

Ściemniło się, stary zamknął księgę i zwyczajem wschodnim wpadł w bezmyślną zadumę. Syn powstał chodząc cicho po pokoju. Zdawało się że nasłuchuje.

Lekkie ledwo dosłyszalne uderzenie o szybę okna, zatrzęsło nim,—zbladł, krew ściekła mu do serca, zachwiał się, mechanicznie ręką pociągnął, po chałacie macając czy nóż jest na swojem miejscu.

Ojciec nie słyszał pukania i nie widział przestrachu syna. Głowa jego spadła na poduszkę sofy, chrapanie przy miarowym oddechu wydobywało się z piersi. Młodzieniec popatrzał na starego, odemknął pocichu szafę, wydobył z niéj flaszkę wódki, napił się i wyszedł zamykając drzwi za sobą.

Gdy się znalazł na dworze zimno go przeszło, deszcz się zwiększył, wiatr jęczał i wył żałośnie, chmury szare, wielkie, kłębiły się nisko po nad ziemią.

Na zakręcie ulicy wypadł z sieni o długich pejsach i śpiczastéj twarzy młody żyd. Josele zatrząsł się ze strachu, lecz się uśmiechnął nerwowo,—oczy miał z przerażenia szeroko rozwarte.

— Cóż, pytał się; usiłując zatrzymać drgające szczęki.

— Już poszedł, odpowiedział towarzysz.

— Widziałeś?

— Odprowadziłem go do samego domu, wlazłem za nim do bramy, czekałem póki nie dostał się na drugie piętro i póki nie zadzwonił.

Słyszałem jak mu ta podła kochanka jego otworzyła drzwi i śmiała się głośno. Ty jutro pomyślałem będziesz rwać ze łba swe kudły i tarzać się w jego plugawéj krwi.

— Może zaczekać jeszcze; szepnął Josele, drżąc z przerażenia...

— Chcesz zmarnować najlepszą sposobność. Ciemno, deszcz, wiatr wyje, zagłuszy jego jęki. Gdy będziesz wracał żywéj duszy nie będzie na rynku a cóż dopiero na ulicy Kraszewskiego. Bóg zsyła ciemność i deszcz, to znaczy że ci sam kładzie w rękę nóż, a ty się jeszcze boisz.

— Nie boję się, odpowiedział Josełe. Prawdą jest że Bóg zsyła ciemność dla mnie i kładzie nóż w rękę moję. Wyprostował się dumnie chcąc swoją wyższością przygnieść towarzysza.

Młody żyd uśmiechnął się złośliwie.

— Niech Bóg, pomyślał, kładzie w twoję rękę nóż, a w moję pieniądze, zobaczymy wtedy kto będzie miał rozum i kto nad kim przewodzić będzie. Słuchajno rzekł głośno. Wielki nasz Bóg daje ci nóż w rękę, ale każe być ostrożnym bo i przezorność jest mądrością, obejdźmy w około miasto i dopiero od Jura zejdźmy na dół w miasto. Tu nas nie powinni widzić.

— Nie, nie powinni, powtarzał wzruszony Josełe oglądając się. Chciał biedz, towarzysz go zatrzymał.

— Zdradzisz się, szepnął—gdzie twoja mądrość.

Josełe stanął wystraszony.

— Chodźmy wolno jak gdybyśmy z bóżnicy wracali, gadajmy o mądrości Talmudu i wielkości Boga.

Josełe nie mógł nic mówić, idąc przyśpieszał kroku, towarzysz zaledwo mógł nadążyć za nim.

Obszedłszy rynek i Halickie po za Bernadyński kościół, dostali się do Kręconych słupów i przez Zielone wśród ciemnych uliczek utworzonych z małych domków i parkanów dotarli na wzgórze, na którém rozsiadł się ze swemi kopułami św. Jur.

Na dole pod ich stopami leżało miasto. Światła latarni jak długie, czerwone, krzyżujące się wstęgi ginęły w ciemnościach. Daleki gwar wrzawy ulicznéj zmięszany z szumem wody i wyciem wiatru, zdawał się być jękiem zgrozy i strachu. Czerwona łuna rozwieszona na czarnych chmurach przerażała młodego żyda. Przysunął się do towarzysza i ujął go za rękę.

— Czy to już dziś, spytał cicho, dreszcze przejmowały jego ciało...

— Dziś, odpowiedział towarzysz, tak Bóg chce. Patrz co za ciemna noc. A ta krew rozlana na niebie, to dowód jego woli. W téj kotlinie, wskazał ręką na dół, kryje się sto tysięcy ludzi, wśród nich dwadzieścia tysięcy prawowiernych żydów, modlących się do Boga Izraela. Za lat sto, w téj saméj kotlinie będzie sto tysięcy żydów, a dwadzieścia tysięcy gojów. Bóg nasz jest wielki i lud swój za rękę prowadzi. Ale się strzeżmy aby wśród nas nie było zdrajców, tych robaków toczących ciało wybranego ludu. Wymordować ich i zdeptać, bo inaczéj biada nam.

Wiatr zawył żałośnie. Josełe nerwowo ściskał rękę towarzysza, patrząc osłupiałym wzrokiem w czerwoną łunę unoszącą się nad miastem, wsłuchując się w wycie wiatru i gwar płynący z miasta.

— Boję się, szepnął.

— Boisz się to oddaj mi nóż, ty przyszły proroku i cudotworco. Uciekaj podle przed rozkazami Jehowy do swéj nory i tam gnij zapomniany i pogardzony przez lud którym rządzić miałeś. Dawaj mi nóż.

— Nie dam, zawołał, pokaż mi drogę którędy mam iść i spełnić wyrok mego Boga.

Towarzysz się uśmiechnął, zakręcił swoje pejsy z fantazyą i poszedł naprzód. Josełe postępował za nim ściskając nerwowo ręką nóż leżący na jego piersiach.

Na ulicy Kraszewskiego towarzysz się zatrzymał wskazując na kamienicę któréj okna drugiego piętra były oświecone.

— To, tu spytał Josełe?

— Widzisz przysuwa się do okna.

— Czy to on?

— Trzyma ją wpół, ona tuli się do niego. Patrz całują się. Będzie to ostatni pocałunek—prawda?

— Ostatni, odpowiedział ponuro Josełe.

Odgłos kroków po pustéj ulicy przestraszył ich. Zbiegli nieco na dół kryjąc się w Jezuickim ogrodzie.

Na wieży ratusza wybiła dziesiąta.

— Już czas, odezwał się towarzysz.

— Gdzie, jak, którędy, pytał Josele. Ledwo mówić mógł tak silnie biło mu serce i wargi drżały.

— Miejsce już od paru dni wybrałem. Gęste krzaki nikt cię nie zobaczy, a on tuż koło ciebie musi przechodzić wracając do domu. Z drugiéj strony ulicy sztachety i ogród.

Szli w milczeniu parę minut.

— Tu podczołgaj się, a potém słuchaj i patrz. Ja będę blisko ciebie. Mierz dobrze i pchaj nóż aż po sam trzonek. Bóg Izraela błogosławi cię.

Popchnął Josełe do krzaków, obejrzał się i skurczony dopadł do ulicy Mickiewicza. Dopiero wtedy odetchnął i z podniesioną głową szedł ku Hetmańskim wałom.

— Jeżeli cię złapią i powieszą — mówił sam do siebie, — to ja jestem pierwszy po tobie i zajmę twoje miejsce. A jeżeli cię nie złapią, to sławą twoją musisz się ze mną podzielić. A teraz chcę aby mnie dużo ludzi widziało, bo jeżeli mnie oskarży, to ci ludzie muszą mnie bronić.

Przystanął, namyślał się chwilę i pobiegł żywo przez Trybunalską ulicę na Krakowskie do jednéj z najludniejszych piwiarni.

Tam głośno rozmawiał, śmiał się nerwowo, pijąc przez dwie godziny jeden kufel piwa.

Josełe ukryty za krzakami bzu, drżał z zimna i przerażenia. Włosy mu powstawały na głowie, palce sztywniały. Chciał uciekać lecz się bał poruszyć z miejsca. Powoli zaczął się oswajać. Pusto było do koła, nikogo i oprócz miarowo padających z liści drzew na kamienie kropli deszczu, nic nie przerywało ciszy. Odetchnął, pomacał noż i wyjął go ściskając.

Obejrzał się, ciemno i pusto. Przekleństwa z biblii snuły się po jego głowie. Zaczął je powtarzać w myśli, potém szeptać i roznamiętniać się niemi. Jaka nagroda czeka go od Boga, jeżeli on zdepcze i zamorduje robaka, który toczy ciało jego ludu. Bóg mu za to da moc cudów, będzie przewodził ludowi i przybliżał chwile przyjścia Messyasza.

Dreszcz ustał. Wesoła piosnka od ulicy Kraszewskiego odbiła się echem. Strach zatamował mu oddech, dławił go za gardło i ciało kurczył. Mimo to wyprostował się, chwycił całemi piersiami powietrze i zawołał w duchu:

— Bóg chce zagłuszyć odgłos mych kroków jego śpiewem, Jehowa mnie prowadzi, Pan mój i spełnię wolę Jego. Myśli te usiłował wtłoczyć w mózg.

Zyzma się zbliżył.

— Tak blisko — szeptał, — Bóg mi go oddaje w ręce i byłbym przeklętym tchórzem, żebym go nie słuchał.

Zyzma śpiewając aryą z Lunatyczki, przeszedł tuż obok niego.

Młody żyd zadrżał, ściskając konwulsyjnie nóż.

— Tylko parę kroków i jedno uderzenie, a potém Bóg da mi moc, wielkość, chwałę, panowanie.....

Wysunął się z po za krzaków i lecąc na oślep, dopadł do Zyzmy, zamierzył się i z gwałtownością tchórza zdecydowanego na wszystko utopił nóż w jego boku.

Uderzony zachwiał się na nogach, zatoczył i upadł jak zwalona kłoda drzewa. Zabójca stanął, gwałtowne bicie serca i kurczowe ściskanie gardła tamujące oddech, nie pozwoliło mu ruszyć się z miejsca. Patrzał przerażony, ręka, trzymająca zakrwawiony nóż, drżała. Cisza, przerywana miarowemi uderzeniami kropli deszczu o kamienie, uspokajała go. Pochwycił powietrze w płuca raz i drugi głęboko, obejrzał się dokoła i zwrócił wzrok na Zyzmę.

Leżał z zamkniętemi oczami. Pochylił się nad nim, był blady,

— Ty nędzniku znieważasz sabat, a cały naród Izraela chcesz zgładzić z tego i przyszłego świata, tarzasz się teraz w własnéj krwi. Bóg cię kazał zgładzić i ręka moja poszarpała twoje wnętrzności.

Cisza i własne słowa roznamiętniły go.

— Ty podły coś plwał na torę, twój język skołczał, oczy wieczna ciemność okryła. W uniesieniu gniewu kopnął go nogą, ręką chwycił za włosy i zatargał.

Zyzma oczy otworzył, uniosł się na ręku, pochwycił laskę i uderzył nią w twarz mordercę. Od strony gmachu sejmowego dał się słyszéć odgłos przyśpieszonych kroków. Josełe zaczął uciekać, trzymając nóż w ręku. Leciał na oślep. Odgłos kroków stawał się szybszym i zamienił się w bieg.

— Stój, łapaj, – rozległo się na pustéj nlicy.

Josełe uciekał całą siłą strachu i naprężonych nerwów. Odgłos biegu i wołania ucichły. Przez Trybunalską dobiegł do rynku, zwolnił kroku, schował nóż i rękawem obtarł zimny pot, spływający po twarzy, nasłuchiwał, oglądając się. Szedł wolniéj, minął Ormiańską ulicę, do mieszkania ojca dostał się przez parkan, odgradzający dziedziniec.

Wszedł po cichu do izby. Ojciec nie spał, siedząc przy zapalonéj świeczce nad rozwartą księgą.

— Josełe—zawołał.

— Zabiłem go — szepnął.

Stary nie mógł powstać, nogi mu zdrętwiały. Nie mógł mówić, tylko oczy rozwarte, wystraszone wlepił w syna.

— Zabiłem go — powtórzył przyciszonym głosem.—Spełniłem wolę Boga.

— Ty, nieprawda, kłamiesz. — Staremu z przerażenia i grozy oczy wydobyły się na wierzch.

— Bóg objawił mi we śnie swoję wolę i powiedział idź, zabij go, a dam ci za to wielką moc cudów, zasłyniesz w Izraelu.

Stary się podniósł, zbliżył się do syna, objął drżącemi rękami jego głowę i całował. Łzy płynęły po jego twarzy.

— Bóg Dawida prowadził cię.

— Gonili mnie, alem im uciekł.

— Gonili — powtórzył stary, nogi mu zaczęły drżeć,—gonili,— szczęki jego latały.—Patrz krew na twym chałacie ledwo co zastygła. Gonili, może oni tu przyjdą, złapią cię, okują w kajdany, zamordują. Josełe, osierocisz starego. Padł na sofę i zapłakał.

— Nie, nie przyjdą—szeptał blady i wystraszony syn,—stracili ślad, do domu dostałem się przez parkan.

— Twarz ci przeciął ten łajdak. Po tym znaku poznają cię.

Josełe szukał ręką po twarzy i namacał zakrzepniętą krew, zaczął się trząść na całém ciele.

— Ojcze ratuj mnie, ja nie chcę umierać... Boję się...

Czyś ty go naprawdę zabił—pytał stary, zrywając się.

— Nie wiém, nie wiém—wołał zrozpaczony, chwytając się rękami za głowę.

— Czém, pokaż czém—wołał stary.

Josełe wyjął z zanadrza nóż i położył go na stole.

— Dziecko—rzekł poważnie stary—rękę twoję prowadził Bóg i on cię uratuje. Wyklęty nie wstanie po takiém uderzeniu. Trzeba się jednak bronić i radzić sobie. Bóg chwali przezorność.

— Chwali i nakazuje ją. Ojcze, ja umrę ze strachu.

— Cicho, moje dziecko, męstwa i spokoju. — Stary odzyskał zimną krew i powagę. Chodząc po pokoju układał plany, Josełe zapatrzony w ojca, oczekiwał wyroku, a w nim nadziei ocalenia.

— Pojedziesz, dziś jeszcze, za godzinę. Aron cię zawiezie do Brodów. U brata twéj matki przechowasz się. Tam cię nie znajdą i będzie ci jak w przedsionku raju.

— Ojcze uciekajmy natychmiast na koniec świata. Ja nie chcę tu zostać jednéj minuty... Pochwycił starego za rękę i przycisnął namiętnie do ust.

Idź do drugiéj izby i połóż się. Nawet twoja matka i Sara nie powinny wiedziéć co zaszło. Sara młoda, głupia, ona-by nie wytrzymała śledztwa.

— I ja nie wytrzymam—jęknął Josełe.

— Nie będziesz potrzebował — rzekł stary. Zarzucił na siebie chałat podbity futrem, wziął kij, nasunął czapkę na uszy i wyszedł, otwierając cicho zamknięte na klucz drzwi bramy.

Josele zgasił świeczkę. Macając w ciemnościach, dostał się do drugiéj izby, zasunął ją i rzucił się na łóżko. Myśli bezładne, pełne krwawych obrazów i okropności tłoczyły się do jego mózgu. Pulsa mu biły na skroniach, gorączka go paliła, nerwy szarpały nim. Nie mógł uleżéć, usiadł na łóżku i słuchał z wytężoną uwagą.

Niewyraźne gwary dochodziły go zdaleka. Przysunął się do okna. Zdawało mu się że słyszy odgłos kroków żołnierzy i szczęk pałaszy po bruku. Chwycił się za głowę, jęknął przeraźliwie i padł na posłanie. Chwile oczekiwania były straszne i długie. Podniósł się powoli, wiatr jęczał żałośnie, krople deszczu biły o szyby okna, nic więcéj nie słyszał. Uśmiechnął się, uspokoił, przytulił głowę do poduszki i zasnął:

Zbudziła go ręka położona na jego ramieniu. Zerwał się.

— Kto—kto tu—wołał wystraszony dzikim głosem.

— Cicho to ja ojciec—szeptał stary.

— Co, co się stało—szukają mnie?

Cicho,—w mieście głucho i pusto jakby zaraza przeszła. Aron zajedzie w uliczkę, przeliziesz przez parkan i wsuniesz się do budy, pokrytéj płótnem. Będzie tam duży worek schowasz się w niego. Aron worek nad głową ci zwiąże, przejedziesz przez rogatki. Nikt cię nie zobaczy. W nocy zajedzie na dziedziniec brata twéj matki i zniesie cię w worku do izby. Ich tylko dwoje w całym dworku. Odpoczniesz tam, ranę wygoisz i wrócisz gdy żadnego śladu na twéj twarzy nie będzie.

— A cóż tu powiedzą ojcze gdy mnie widzieć nie będą?

— To nasi i oni cię błogosławić będą. Dla nich ty jesteś naznaczony palcem Boga. Otworzył pocichu okno, wsunął w rękę synowi srebrnego guldena, okrył go swoim starym płaszczem i czapkę futrzaną nacisnął mu na uszy.

Czekali w milczeniu. Dla Josełe minuty zmieniały się w lata oczekiwania i katuszy. Nareszcie od strony ulicy rozległ się odgłos uderzeń podków i stukot żelaznych kół, ciężkiéj bryki, staczającéj sią po kamieniach.

— Aron—szepnął stary. Josełe był już za oknem. Za chwilę znikł, przesunąwszy się przez parkan.

Ojciec stał z wyciągniętemi rękami. Drżał na całém ciele i szeptał słowa modlitwy.

Bat świsnął w powietrzu. Aron dla uspokojenia przyjaciela zawołał szwargotem:

— Wio, wio, stare naprzód, a zajedziemy szczęśliwie da Bóg na miejsce.

Konie ruszyły z miejsca. Koła bryki potoczyły się, spadając z kamienia na kamień, zrobiło się cicho, księżyc wyjrzał z za ciemnych chmur, padając na bladą twarz i białą brodę starca. Oczy wypełnione łzami, ręce drżące, wzniesione w górę i cichy szept modlitwy, czyniły go podobnym do jednéj z wielkich biblijnych postaci.

— Panie, Tyś mu objawił swą wolę, Tyś jego ręką kierował. Wyroki Twoje są straszne! Litości Jehowa, nie osierocaj mnie! Łzy stoczyły się po zmarszczonéj twarzy. Starzec był piękny siłą swych uczuć, miłością do Boga i dziecka swego.

Zyzma się podniósł, uchwycił ręką za poręcz, wydobył ostatek sił i przeraźliwym krzykiem zawołał:

— Ratujcie! — W oczach mu ściemniało, zachwiał się i runął zemdlały na ziemię.

Krzyk odbił się echem o mury gmachu sejmowego, biegnący za uciekającym Josełe zatrzymał się, słuchał chwil parę i śmiało pobiegł w kierunku głosu.

Zbroczony krwią leżał Zyzma. Światło księżyca, przedzierające się z po za grubych chmur, rzucało na jego twarz srebrne blaski i gasło. Nieznajomy patrzał przerażony, czarna krew rozlała się po kamiennych płytach. Zapalił zapałkę, pochylił się, wpatrując się w bladą twarz zemdlonego.

— Zegarek—szepnął—i pulares, a więc to zbrodnia polityczna lub zemsta.— Poszukał ręką na skroniach pulsu, bije... więc jest nadzieja. Wyjął pulares, schował go do kieszeni i pobiegł z całych sił.

— Gdyby mnie tak złapali z pularesem—pomyślał—a ranny umarł, byłby bal. Dopieroż-by miasteczko zaczęło wołać: Emigranci mordują, obdzierają, wycinają w pień.

Przed Angielskim hotelem spotkał jednokonkę, wracającą do domu. Skoczył do niéj.

— Na policyą—krzyknął.

Dorożkarz zaciął konia.

— Popełnione zostało morderstwo na ulicy Kraszewskiego. Ranny jeszcze żyje, oto jego papiery. Mówiąc to, młody człowiek wyjął z kieszeni i rzucił na stół pulares.

Komisarz spójrzał na pulares, a następnie przeniósł wzrok na obcego.

— Panie komisarzu śpieszmy się — zawołał zniecierpliwiony młody człowiek.

— Jakim sposobem przyszedłeś pan do posiadania pularesu— przerwał uroczyście urzędnik.

— Mamy na to dość czasu, pierwszym pańskim obowiązkiem ratować rannego.

— Aresztuję pana—krzyknął rozgniewany komisarz.

— To mnie mało obchodzi, lecz teraz ja rozkazuję panu jechać na miejsce popełnionéj zbrodni, i to natychmiast.

Komisarz zbudził śpiącego w kącie pisarza.

— Pisz pan protokół.

— Ja wam dam pisać protokóły — wrzasnął nieznajomy, drąc na sztuki leżący papier na stole. Posądzam pana, że jesteś wspólnikiem zbrodni i chcesz przeczekać póki ranny, leżąc bez pomocy na bruku, nie skona.

Komisarz zbladł, spójrzał przenikliwie na nieznajomego, pochwycił za czapkę.

— Aresztuję pana.

— Słyszałem.

— Policyant z nabitym karabinem niech siada na kozioł — dał rozkaz protokuliście.

— Po doktora - zawołał młody człowiek.

— Przywieziemy rannego tu—odpowiedział protokulista.

— Po doktora — powtórzył z takim tonem energii i pewności, że komisarz wysłał protokulistę po fizyka miasta.

— Jedźmy—dodał młody człowiek.—Zabrałeś pan pulares?

— Zabrałem — odpowiedział komisarz, jak zwykle odpowiada podwładny swemu naczelnikowi. Nie było już mowy o aresztowaniu.

Ranny leżał bez przytomności na ulicy, krew wydobywająca się z przebitego nożem boku zaskrzepła i zatamowała jéj odpływ.

Komisarz pochylił się, trzymając nad głową rannego zapaloną latarkę.

— Znam go—szepnął—bogaty żyd. Dziś jest on głową „Agudas Achim".

— Widziałem uciekającego żyda w chałacie, goniłem go. Fanatyzm religijny. Cućmy biedaka, wody! — Nieznajomy zmoczył w oświeconéj promieniami księżyca kałuży chustkę i zwilżał nią czoło rannego.

Zyzma otworzył oczy.

— Do domu nieście mnie, do domu—szepnął.

— Poszukaj pan adresu—dał rozkaz nieznajomy.

Komisarz otworzył pulares i wyjął z niego bilet wizytowy Zyzmy.

Plac Maryacki—przeczytał, świecąc latarką.

Nadjechał doktór, opatrzył na prędce ranę i w uroczystym nastroju zawieziono chorego do domu. Nieznajomy został przy nim.

— Rana głęboka a wązka, znaczy upływ krwi i zdaje się organizm osłabiony nerwami.... Nie wielka nadzieja, mówił doktór komisarzowi, gdy opuściwszy mieszkanie Zyzmy znaleźli się na ulicy.

— Panie konsyliarzu, jak się panu zdaje, kto i za co przeszył go nożem?

— Ktoby tam między żydami doszedł. Zwyczajnie jakaś nieczysta sprawa, zemsta za podejście w geszefcie. Jeżeli znajdziecie zabójcę, to mi włosy wyrosną—pokazał dłoń.

— Niezawodnie, jednak szukać trzeba.

— Tak trzeba, bo od czegóż jesteście policyantami.

VIII.

Rano, gdy jeszcze sklepy były pozamykane, panował niezwykły ruch wśród robotników. Ludzie stawali na rogach ulic. Mówiono o zamordowaniu jakiegoś wielkiego pana przez żyda, mordercę miano schwytać. Miotano na żydów straszne przekleństwa. Przed

mieszkaniem Zyzmy zebrała się gromadka ciekawych, zalegając bramę i radząc głośno. Przez tłum ten przeciskała się młoda kobieta. Oczy jéj ciskały błyskawice gniewu i przerażenia. Dopadła do drzwi pierwszego piętra i zadzwoniła gwałtownie.

— Do pana nie wolno—zawołał chłopiec, otwierając.

Odepchnęła go. W drugim pokoju stali przerażeni Daniel, Natan i Józef.

— Gdzie on jest—zawołała przytłumionym ze wzruszenia i strachu głosem.

Na progu ukazał się młody doktór, przykładając palec do ust, na znak milczenia. Dziewczyna zbliżyła się do niego.

— Muszę go widzićć.

— Dziś niepodobna.

— Ja jego narzeczona, słyszysz pan.

— Jedynie tylko żona miałaby prawo.

Blada, z roziskrzonemi oczami, pełna grozy i oburzenia szła naprzód. Doktór, stojąc we drzwiach, rozkrzyżował ręce.

— Puszczaj pan.

— Przysięgam, że to jest niemożliwe.

Do siostry podbiegł Natan.

— Żani—szepnął.

— Wyście go zabili — zawołała, zwracając się do młodych ludzi.—Należało ciemny motłoch, brudny, zły i mściwy zostawić samemu sobie, nie dotykać się go, nie drażnić.

— I samym zjadać owoce cywilizacyi—odpowiedział Józef złośliwie.

— I kryć się za plecami Zyzmy, popychając go na noże żydowskie.—Rozpłakała się głośno, rozpaczliwie łamiąc ręce.

Daniel dał znak Józefowi aby szanował boleść dziewczyny i milczał.

— Żani, chodźmy—szepnął Natan.

— Idź ty, ja się położę na progu i póty leżéć będę i płakać, póki nie usłyszy mego głosu, nie przywoła mnie. Ja go nie odstąpię i przysięgam wam zamorduję się, jeśli go dziś nie zobaczę.

Doktór zbliżył się do Natana, mówiąc z nim pocichu.

Dziewczyna zobaczywszy wolne od straży drzwi, przeszła je. Serce jéj się ścisnęło, tchu złapać nie mogła. Szła powoli, pełna przerażenia i strachu.

— Jehowa, Jehowa, ty jesteś wielki, nie daj mu umrzéć, nie zabijaj mnie—szeptała.

Stanęła na progu ostatniego pokoju, drżącą ręką odchyliła kotarę... spójrzała.

W ciemnym pokoju na łóżku leżał Zyzma z zamkniętemi oczami. Sine wargi, w dół zapadłe oczy i żółta bladość cery odebrały przytomność dziewczynie. Postąpiła krok naprzód, wyciągnęła ręce, zachwiała się i z krzykiem runęła na ziemię. Do pokoju wbiegł doktór, za nim Natan, Józef i Daniel.

Ranny otworzył oczy, dziewczynę podniesiono, wyciągnął do niéj rękę.

— Żyjesz — szepnęła, — żyjesz, będziesz żyć, musisz — mówiła, tuląc jego rękę do ust.

— Choremu zakazane są wszelkie wzruszenia — przerwał jéj wystraszony doktór.

Lecz dziewczyna nie słyszała przestróg.

— Nie chciano mnie tu puścić—skarżyła się—odpychano mnie jak natręta. Lecz już stąd nie wyjdę, nie opuszczę cię. Będę tu jak pies leżéć przy twém łóżku i służyć ci. Ja przecież jestem twoja, czy ty się uśmiechasz do mnie szczęśliwy, czy chory jesteś, ja twoja, zawsze, zawsze, prawda??

Zyzma się uśmiechnął, dał znak dziewczynie aby się zbliżyła do niego, ujął jéj głowę w swe dłonie i pocałował w czoło. Przywitał swych młodych przyjaciół uściśnieniem ręki, Daniela pociągnął ku sobie i szepnął mu parę wyrazów.

Młodzieniec wyszedł pośpiesznie. Żaneta siedziała przy chorym. Zyzma trzymał jéj rękę w swéj dłoni. Pulsa mu biły, oczy świeciły gorączką, oddychał szybko i krótko. Widocznie oczekiwał na kogoś i niecierpliwił się, spoglądał na wskazówki zegaru i czoło marszczył.

Koła powozu zaturkotały na bruku i ucichły przed bramą. Chory się uśmiechnął, prosił doktora aby go nieco uniósł na poduszkach i siedząco ułożył.

Do pokoju pocichu wszedł Daniel, Zyzma wyciągnął do niego rękę, upadła jednak w połowie drogi na kołdrę. Dziewczyna zbladła, chciała targać włosy, lecz tylko kurczowo palce ściskała.

Na progu ukazał się rabin-kaznodzieja, siwa jego broda, powaga i uroczystość kapłana, przeraziła obecnych. Zrozpaczona dziewczyna powstała, łamiąc ręce. Rabin się zbliżył do łóżka.

— Wszelka rozmowa zakazana—zawołał doktór.

— A zatém niechaj chory tylko powie tak, a następnie skinieniem głowy lub ruchem ręki potwierdzi zgodę swą na wyrazy rytuału.

Nastała cisza, Natan i Józef porozumiewali się wzrokiem, dziewczyna z załamanemi rękami stała oparta o ścianę, doktór patrzał zdziwionemi oczami.

Rabin skupiał myśli, lub może zatopiony w modlitwie przygotowywał się do uroczystego aktu. Patrzał chwilę na młodą dziewczynę i pochylił się do Zyzmy.

Zamienili ze sobą parę wyrazów szeptem, rabin się wyprostował, podszedł do Żanety, ujął ją za rękę i przyprowadził do łóżka.

— To jest dziewczę, które chcesz pojąc za żonę?

— Tak — odpowiedział Zyzma głosem słabym, lecz go wszyscy słyszeli.

— A ty, dziewczyno, czy z własnéj nieprzymuszonéj woli chcesz zostać żoną tego przed tobą leżącego młodzieńca?

— Tak—wyszeptała i nie mogąc dłużéj panować nad sobą, wybuchła płaczem rozpaczy i żalu.

Rabin ujął ją za rękę.

— Uspokój się moję dziecię, życie i śmierć w rękach wielkiego Boga. Idź, przyjm z rąk twego męża obrączkę ślubną na znak, że jesteś jego prawowitą żoną.

Za wskazówką kaznodziei. Zyzma włożył przyniesioną przez Daniela złotą obrączkę na palec Żanety, powtarzając za rabinem słowa w języku hebrejskim: „Zaślubiam cię podług przepisów Mojżesza w Izraelu“.

Rabin, odwracając się do przyjacioł Zyzmy. rzekł: „Was. panowie, biorę na świadków tego uroczystego aktu, którzy w obec nadzwyczajnych, towarzyszących mu okoliczności, ważnym także jest podług ustaw obowiązujących. Władze policyjne sam bezwłocznie zawiadomię.“

Sporządzono akt, świadkowie w milczeniu podpisali, a rabin złożywszy nowożeńcom, w kilku serdecznych słowach, powinszowanie, wyszedł, odprowadzony, z należném uszanowaniem, przez Daniela, Natana i Józefa.

Żaneta cicho łkała, drżąc nerwowo. Zyzmie łzy zaświeciły w oczach, ocenił głębokość i prawdę uczucia dziewczyny. Rozkosz dotąd mu nieznana opanowała go. Ruchem ręki przyzwał do siebie Żani, a gdy się pochyliła ku niemu szepnął:

— Dziecko moje, to tylko dla tego abyś została przy mnie, abyś była panią w moim domu i rządziła w nim. Ja będę żył, ja muszę żyć dla ciebie.

Rozpacz i żal przycichły pod wpływem uśmiechu Zyzmy. Gorączka wypiekła rumieńce na jego twarzy i w oczach zapaliła ognie, dziewczynie i młodym ludziom zdawało się, że siły mu wracają.

Doktór zbliżył się z uszanowaniem do Żanety, powtarzając swe rozkazy.

— Jest nadzieja—szepnęła, odprowadzając go do salonu.

— Czy pani jéj nie masz?

— Mam, muszę mieć, pragnę ją mieć, lecz błagam pana, powiédz mi prawdę.

— I ja ją mam dotąd.

— Kiedyż ją stracisz?

— Wierzę, że jéj nie stracę.

Po odejściu doktora, zapanowała swoboda. Natan uścisnął siostrę, Daniel i Józef ucalowali jéj rękę. Zyzma był rozrzewniony. Patrzał na młodą swą żonę pieszczotliwie, na przyjaciół serdecznie.

Zbliżył się do niego Daniel i pchany siłą przywiązania i współczucia, pocałował go w ramię.

— Sali—szepnął Zyzma.

Młodzieniec zarumienił się.

— Ona nic jeszcze nie wié. Pani..... dodał, lecz nie dokończył.

Daniel wybiegł, na schodach dogonił go Józef.

— Odprowadź mnie — zawołał Daniel.

— Gdyby on umarł, byłoby straszne—mówił zrozpaczony młody Topaz.

— Straszne dla nas, nie jestem w stanie o tém myśleć, lecz idea która tworzy męczenników, ma przyszłość przed sobą.

— Ty bo zawsze jesteś filozofem — odpowiedział mu Józef smutno.

— Nikt pewno więcéj nademnie nie uczuł-by jego straty; każdy jednak fakt poważnéj doniosłości ma swoje skutki, a my, mój drogi, nie jesteśmy tylko jego przyjaciele, lecz i stowarzyszeni.

— Prawda, nie mogę jednak teraz o niczém myśléć, tak jestem przerażony. Nie wyobrażam sobie nawet tak wielkiéj dla nas straty. Jedynéni w téj chwili pragnieniem mém jest pochwycić żyda, który go mordował i udusić. Okropne, że my, ludzie ucywilizowani, pozwoliliśmy, aby bracia nasi doszli do takiego zdziczenia.

Józef nic nie odpowiedział, wyciągając do przyjaciela rękę.

— Gdzie idziesz?

— Nie wiém sam.

Rozstali się.

Daniel spójrzał przez drzwi otwartego sklepu. Pani jeszcze nie było. Pobiegł na górę.

Sali w swoim pokoju siedziała nad książką, lecz nie czytała. Oparła głowę na ręku, patrząc na szare chmury, poszarpane przez wiatr, cicho płynące na wschód.

I myśli jéj podobne do chmur przesuwały się w jéj umyśle spokojnie bez wzruszeń. Tyle przeobrażeń w tak krótkim czasie. Z żydówki, śpiewającéj po ulicach Krakowa i Wiednia, marzącéj o han-

dlu, bogactwie i zemście nad gojami czem jest dziś, pytała się sama siebie i uśmiechała się rzewnie.

— To on, to on—szepnęła, on jeden wszystko mi powiedział, i kazał patrzyć na świat oczami swego ducha... On mnie odrodził. Lecz cóż, nawet nie spojrzy na swe dzieło, a gdy patrzy serce mu nie bije z radości, nie uśmiechnie się, nie pochwali mnie... Może dla tego że nie chce chwalić siebie...

Usłyszała odgłos kroków.

— Idzie wcześnie?—biegnie. Co się stało powstała przyciskając ręką serce, które biło gwałtownie.

Wszedł Daniel, był blady i wzruszony,—dziewczyna wlepiła w niego wystraszony wzrok swych czarnych oczu.

— Panno Sali,—nie miał odwagi więcéj mówić.

— Co, co takiego—prędko nie bój się.

— Zyzma.

— Zdradził nas, uciekł. To niepodobna, wróci.

— Nie...

— Umarł,—szepnęła bledniąc.

— Ranny.

— W pojedynku?

— Jeden z hasydów fanatyk rzucił się na niego z nożem. Ciężko ranny.

— Nie ma nadziei?

— Nie wiem.

— Więc jéj nie ma. Łzy płynęły po jéj twarzy, zęby zacisnęła aby głośno nie płakać. Palce zaplotła, ręce wygięła i oparta o ścianę stała nieporuszona.

— Przysięgam że nie wiem, mówił Daniel. Doktora nie śmiałem pytać. Panno Sali... nie wiedział co mówić, chociaż miał dużo do powiedzenia.

Zamilkł patrząc na zrozpaczoną dziewczynę z wrastającém współczuciem. Nie mógł od niéj wzroku oderwać, rad był jéj przysiądz że on jéj zastąpi Zyzmę, lecz brakło mu na to odwagi.

Weszła pani.

— Nie powiecie teraz, zawołała prostując się dziewczyna, że żydzi są nędzni tchórze, nie zdolni do poświęceń, do pracy dla idei, uciekają od walki.

— Sali co tobie?

— Zyzmę przebił nożem hasyda, rzekł Daniel.

Dziewczyna zanosząc się od płaczu padła w objęcia pani.

— Żyje? zapytała przerażona młoda kobieta.

— Żyje lecz rana jest głęboka, dodał ciszéj.

— Chodźmy tam droga pani, chodźmy. On dla nas tyle zrobił. Ucieszy się gdy panią zobaczy.

Młoda kobieta zarumieniła się,—czuć było, że się waha, że walczy.

— Zyzma jest żyd, zawołała dziewczyna, więc choćby oddał nam swe życie iść do niego gdy kona, okazać mu współczucie, wyciągnąć rękę... to byłoby za wiele. Gwałtowność która w dzieciństwie panowała nad nią; wydobyła się zgłębi jéj serca.

— Chodźmy, przerwała jej gwałtownie pani. Rozpacz twoja moje dziecko usprawiedliwia wybuchy,—pocałowała ją. Gdybyś znała świat, ludzi.

— Przed godziną Zyzma wziął ślub ze swoją narzeczoną, odezwał się Daniel.

— Ona tam jest?—spytała pani.

— A gdzieżby była żona, gdy mąż śmiertelnie ranny,—odparła Sali.

Kobiety ubierały się gorączkowo, Daniel pobiegł przed hotel Europejski i sprowadził powóz.

Przez drogę Sali płakała, pani była uroczysta i zamyślona. W téj dopiero chwili oceniła czem był dla niéj Zyzma. Bezwiednie zadawała sobie pytanie jaka ją przyszłość czeka, ją i jéj syna. Przez żal i boleść wydobywała się obawa o byt własny i dziecka. Myśl dawania lekcyj przerażała ją, radaby przed nią uciec, odepchnąć ją, lecz nie była wstanie.

Powóz zatrzymał się przed bramą. Sali zaczęła łkać nerwowo...

— Niepodobna aby Zyzma zobaczył łzy pani, tłómaczył Daniel. Byłby pewny że godziny jego życia są policzone, doktór i żona nie wpuszczą cię do niego panno Sali, póki się pani nie ustroisz w uśmiech.

Sali zacisnęła usta, naciągnęła brwi idąc po schodach z pochyloną głową. Dwa lata blisko przebiegała je, zawsze prawie uśmiechnięta i szczęśliwa.

Pani nie miała sił iść. Niewytłómaczony przestrach i żal, tamowały jéj oddech i przykuwały do miejsca. Daniel podał jéj rękę i prowadził powoli odpoczywając co parę kroków.

Bojaźliwie zastukała Sali, nikt nie otwierał. Zadzwoniła, chłopiec otworzył, Żanetta stała we drzwiach przyległego pokoju. Znały się.—Zyzma je poznał. Sali nie wiedziała co powiedzieć. Bała się spytać o Zyzmę, nie śmiała jéj winszować.

— Pani, szepnęła, idzie pani, pan Daniel ją prowadzi.

— Żanetta domyśliła się kto jest „pani.“ Pulsa zaczęły jéj bić, zbladła i zarumieniła się. Nie wiedziała jak ją przyjąć, co do niéj mówić. Sali przeszła na palcach do pokoju Zyzmy.

Młoda kobieta w jedném mgnieniu oka zapanowała nad sobą, odzyskała siły, postąpiła szybko naprzód, objęła w pół Żanettę i pocałowała w usta. Wzruszenie dziewczyny połączone z uczuciem wdzięczności zapanowało nad nią, rozpłakała się i łkając tuliła się do młodéj kobiety. „Pani“ ją pieściła i szeptała jéj jakieś zaklęcia, jakieś czarowne wyrazy pod wpływem których potok łez zatrzymał się.

— Byleby tylko on żył, szepnęła, przyciskając chustkę do oczu aby je prędko osuszyć.

Zyzma uprzedzony przez Sali o przybyciu pani polecił ją prosić.

Oparta na ramieniu Żani weszła. Serdeczna zażyłość dwóch kobiet rozradowała Zyzmę, uśmiechnął się. Myśli jego rozwijały się na temat przyszłego szczęścia. Żal mu było umierać, bał się śmierci, nie chciał porzucać tych których kochał. Gorączka wypiekała mu rumieńce na policzkach i w oczach zapalała ognie. One to oszukiwały kobiety co do niebezpieczeństwa jego życia i nakazywały im mieć nadzieję.

Zyzma przycisnął rękę pani do ust.

Pani usiadła na fotelu, tuż obok niéj Żanetta Sali stanęła przy łóżku, tuż przy niéj Natan, Daniel. Wszyscy których kochał. Wodził po nich oczyma rozrzewniony, aż łzy zaświeciły mu w oczach. Nikt nie śmiał przerwać ciszy, nikt się nie odważył wymówić wyrazu...

Przyzwał do siebie Sali i ujął ją za rękę. Skinął na Daniela dziewczyna zbladła, że aż jéj wargi zsiniały. Nie śmiała odetchnąć, nie śmiała podnieść oczu. Czuła że wszyscy na nią patrzą, słyszała szmer spowodowany zbliżeniem się Daniela, nareszcie czuła dłoń swą w jego ręku.

— Przysiągłem jéj staremu ojcu... Danielu zastąp mnie, ona cię kocha.

Sali ze wzruszenia nie mogła mówić.

— Przysięgam, rzekł uroczyście Daniel.

— Sklep oddaję pani i jéj, one go stworzyły reszta méj żonie. Ona nie porzuci idei którą kochać mi kazała.

Młoda kobieta powstała. Zyzma ją prosił aby się zbliżyła do niego i gdy się pochyliła nad jego twarzą, szepnął jéj.

— Umierającym się nie odmawia, umierającym się nie zakłóca ostatnich chwil, oni rozkazują i przez wzgląd że odchodzą, słucha się ich.

— Danielu, rzekł głośniej, pani, Sali... Staś. Kochaj ich... Zbladł przymknął oczy. Krew, szepnął i zemdlał.

— Po doktora, zawołał Daniel, zwilżając wodą twarz Zyzmy. Młodzieniec odchylił kołdrę, krew sączyła się przez obandażowaną ranę. Żanetta z załamanemi rękami stała zapatrzona w jeden punkt. Pani objęła ją w pół, przytuliła do siebie i wyprowadziła z pokoju.

Przyjechał doktór, krew zatamował i stanowczo nikomu prócz żonie nie pozwolił wchodzić do chorego.

Wieczorem Sali siedziała w swoim pokoju cicho płacząc. Wszedł Daniel, dziewczyna zerwała się nerwowo.

— Panie, rzekła z mocą, ja nie zniosę poświęceń i ofiar. Przyrzeczenia dane ludziom chorym nie obowiązują.

— Odejdę jeżeli każesz, abyś nie pomyślała, że pożądam twego majątku, lecz przysięgam że cię kocham pierwszą miłością, młodéj méj duszy.

Położył rękę na klamce drzwi.

— Zostań, szepnęła wybuchając głośnym płaczem, i wśród łkania przerywanym głosem powiedziała.

— Żebyś ty wiedział jak cię kocham. Nogi jéj drżały, zsunęła się na kozetkę.

Młodzieniec ukląkł przy niéj, pochwycił ją za ręce i tuląc je do ust szeptał.

— Moja ty jedyna.

Wiadomość o usiłowaniu zamordowania Zyzmy, przez ciemnych fanatyków żydowstwa poruszyła opinią w mieście entuzjazmując ją na rzecz ofiary. Współczucie rosło z każdą chwilą, a z niem i podjęte w ostatnich czasach prace młodego człowieka nabierały rozgłosu i uznania.

Młodzież i inteligencya miasta tłumnie stukała do drzwi rannego zostawiając swe karty. Lepsza i szlachetniejsza część wykształconych żydów, stanowczo przeszła do stronnictwa „Agudas Achim."

Stary Topaz cieszył się w duchu, że odstępca z jego obozu i zdrajca wyższéj kultury został ukarany, lecz zarazem zaczął się bać starowierców. Przerazili go swoją zuchwałością. Częściej chodził do bóżnicy, staranniéj obserwował przepisy religii, rozmawia grzecznie z przywódcami hasydów i kłaniał się im. W domu wobec Józefa ani razu nie wspomniał o Zyzmie, jego ranie i zasadach. Zamknięty w swym pokoju grał zawzięcie na skrzypcach, czekając dalszych wypadków.

Inaczéj doktór Fuchs. Wielki ten polityk pragnął z każdego wypadku wyciągnąć dla siebie korzyść. Zyzma ustąpił mu z drogi, teraz on powinien działać, stanąć na czele żydów w Galicyi i pociągnąć za sobą całą ich inteligencyą. Zrozumiał nareszcie że ojczyzna i narodowość odgrywają dziś wielkie role, na kosmopolityzm jeszcze wcześnie.

— Musimy koniecznie i my żydzi znaleść sobie ojczyznę. Mamy ją przecie i to chwała Bogu daleko, rozśmiał się głośno i zatarł ręce,—dla tego tém wygodniejsza....

Palestyna!—ten głupiec syn Topaza, śmiał się z niéj lecz Hasydzi, Melamedy i cała czerń zalegająca Żółkiewskie i Krakowskie nie będzie się śmiać. Moi stronnicy zrozumieją że Palestyna do niczego ich nie zobowiązuje, a frazes zostanie zawsze efektownym frazesem i swoje zrobi.

Krzyczycie na nas że nie mamy ojczyzny, że żyjąc z wami jesteśmy pasorzytami uciekającymi od ofiar krwi i mienia na ołtarzu ukochanych przez was mrzonek;—otóż my wam pokażemy naszą ojczyznę i tym sposobem uwolnimy się od waszych niedorzecznych wymagań, a zostaniemy tém czém nam być wygodniéj, Niemcami w Austryi, Prusakami w Niemczech.

Aby tem większy wywołać efekt, pojechał do Wiednia i ztamtąd przywiózł manifest wzywający żydów do zjednoczenia pod sztandarem wielkiéj ich przeszłości jako dziedziców potężnego państwa, których hasłem i celem powinno być dążenie do odzyskania go.

Dla wywołania jak największego rozgłosu urządził we Lwowie wielką uroczystość. Nie zrobiła jednak oczekiwanego wrażenia, gdyż była to po prostu manifestacya niemczyzny i jéj protegowanie wśród polskich żydów. O Palestynie i Jerozolimie nie mówiono.

Żydzi dowiedli raz jeszcze swéj przysłowiowéj trzeźwości, nie śmiejąc głośno zajmować się kwestyami, w które nikt z nich nie wierzył. Hasydzi nie przyszli i swą nieobecnością dali do zrozumienia, że nie pragną powrotu do ziemi obiecanéj a Fuchsa i jego przyjacioł uważają za nieczystych.

Nie powodziło się Fuchsowi, „Ojczyzna“ wyszydziła Palestyńczyków, inne pisma zaledwo wspomniały o ich uroczystości w swych kronikach. Stary Topaz śmiał się w duchu z porażki przyjaciela i ręce zacierał.

— Po co te komedye, powtarzał, kultura niemiecka jest wyższą a nareszcie lepiéj nam jest z nią i dla tego przy niéj chcemy zostać.

Nie powodziło się Fuchsowi i to tém więcéj, że Zyzma powoli powracał do zdrowia.

U łóżka chorego zbierali się nietylko jego młodzi przyjaciele, lecz i ludzie wybitnych stanowisk z obozu postępowego. Mistrz bywał częstym gościem, porywał wymową, idealizmem i zapałem. „Altruizm,“ do którego w rozmowach zawsze wracał powoli stawał się ideałem i celem życia gromadki naszych znajomych.

Czasami przychodziła i pani ze Stasiem. Przyjąwszy od umierającego prawie testamentem połowę sklepu, nie śmiała się cofnąć. Każde jéj pojawienie się napełniało radością i dumą Żanettę i Sali, Zyzma całował jéj rękę z uczuciem wdzięczności, bawił się ze Stasiem i pieścił go.

W rok późniéj do Żółkwi, miasta sławnego grobami Sobieskich, na uroczystość jubileuszu bohatera z pod Wiednia, przyjechał Zyzma z żoną, Sali i jéj narzeczony, Natan, Józef, cała redakcya „Ojczyzny.“ Uproszona przyjechała i „Pani“ przyjechał i „Mistrz“...

Zyzma wystąpił w bóżnicy z mową. Pierwszy raz przemawiał publicznie, był blady, wzruszony, wargi mu lekko drżały:

Zrobiła się cisza, serca żony i Sali, Daniela i Natana zaczęły mocno bić. Mistrz wzrokiem i uśmiechem dodawał mu odwagi.

„Boruch habu beszem adonaj berachnichem mebet adonaj.“

„Witaj przybywający w imieniu wiekuistego. Wiekuisty błogosławi ci w domu swoim.“

Powstał szmer podziwu i ogólnego wzruszenia. Zanim skończył przytoczony tekst z biblii, wszedł do bóżnicy białowłosy starzec, za młodu żołnierz, dziś piędziesięcioletni sługa Chrystusa, ojciec i opiekun biednego ludu, bez różnicy wyznań. Żydzi całowali kraj jego szaty powtarzając:

„Wiekuisty błogosławi ci w domu swoim“...

Sewer.

UPADEK BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO.

III.

IV. Główna treść wewnętrznéj i zewnętrznéj polityki państwa polskiego przed Bolesławem Śmiałym.

Jeżeli się z mnóstwa hypotez, przypuszczeń i poglądów, jakie się w ostatnich latach pojawiły na polu badań nad powstaniem i pierwotnym ustrojem państwa i społeczeństwa polskiego (1), całkiem nawet usunie Piekosińskiego teoryą najazdu, jako téż wynikające z niéj wnioski, to i tak pozostanie jeszcze tyle punktów spornych, że stanowią nie małą trudność, kiedy się na téj podstawie z naukowych rezultatów tych studyów chce złożyć jeden prawdopodobny obraz wewnętrznych zwłaszcza stosunków w początkach naszego dziejowego życia. Do najważniejszych, tłómaczących to zjawisko przyczyn, należy bezwątpienia rozciąganie pojęcia „pierwotnego ustroju",

---

(1) Poglądy te złożone są głównie w XIV t. Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń wydz. hist.-filoz. ak. um. (Kraków 1881), gdzie się mieszczą rozprawy: 1) Bobrzyńskiego: „Geneza społeczeństwa polskiego, na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku". 2) Piekosińskiego: „O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju" i 3) Smolki: „Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiéj z powodu rozpraw pp. Bobrzyńskiego i Piekosińskiego." Smolka w téj rozprawie swojéj po części zmienił, a przedewszystkiém uzasadnił i uzupełnił swój pogląd, wyrażony już w „Mieszku Starym"; popularyzuje zaś poniekąd rezultaty tych najnowszych badań w dwóch szkicach historycznych: „Niepoprawny ród" (z czeskiéj genezy) w seryi I i „Gniazdo Tenczyńskich", w II seryi swych „Szkiców historycznych". Piekosiński broni nadto swéj hypotezy, w wydanéj wkrótce potém rozprawie: „Obrona mojéj teoryi najazdu".

aż w głąb' więcéj niż dwóch wieków naszéj historyi, wskutek czego ulega się mimowoli chwilowemu złudzeniu, że ma się przed sobą nieruchomy lub prawie nieruchomy organizm społeczny i państwowy i stąd zanadto mało uwzględnia się czynnik ewolucyjny, dzielnie i szybko działający, szczególniéj wówczas, kiedy społeczeństwo z przedhistorycznego bytu przechodzi w pierwsze wieki państwowego, historycznego rozwoju. Wprawdzie nikt temu dziwić się nie powinien, ponieważ jest-to zwykła i zdaje się konieczna droga w początkach badań nad taką, jak ta kwestyą, i przy takim zwłaszcza, jak w tym razie niedostatku źródeł. To wszakże jest niezawodną rzeczą, iż w ten labirynt poglądów i zdań wpadnie bardzo dużo promieni światła, odkąd więcéj się zwróci baczności na postępowy rozwój tych stosunków i będzie się je brało pod uwagę w różnych mniejszych okresach téj przeszło dwuwiekowéj epoki, śledząc zarazem przemiany, jakim z biegiem czasu ulegały.

Z tego stanowiska zapatrując się na poglądy dwóch głównych historyków tego przedmiotu, jako obejmujących całość jego, możnaby powiedzieć, że jeżeli chodzi o nasze stosunki XI stulecia, albo lepiéj jeszcze, pierwszéj połowy XI stulecia, to bliższym prawdy jest pogląd Bobrzyńskiego, wzięty w swéj całości, aniżeli podobnież uważany pogląd Smolki; wręcz przeciwnie miało-by się natomiast, gdyby chodziło o drugą połowę XII stulecia. Dokładniéj uwydatnić i objaśnić mogę takie twierdzenie na najważniejszych dwóch kontrowersach między zapatrywaniami Bobrzyńskiego i Smolki. Pierwszy z tych kontrowersów dotyczy, jak wiadomo, prawa indywidualnéj własności nieruchoméj włościan, czyli dziedziców. Otóż rzecz jasna, że jeżeli się rozchodzi nie o teoretyczne prawo, lecz o to, o ile ono było historycznym czynnikiem, wówczas istnieje różnica w doniosłości téj kwestyi dla stosunków pierwszéj połowy XI a drugiéj połowy XII wieku. Bo oczywiście wtedy, gdy faktyczna władza monarchiczna pierwszych Piastów stała bardzo wysoko i była istotnie nieograniczoną, tak, że się przed nią wszyscy bezwarunkowo korzyć musieli, gdy więc społeczeństwo było całkiem niesamodzielne, kultura rolnicza w zawiązku, a ziemia posiadała małą wartość, prawo indywidualnéj własności nieruchoméj traciło nadzwyczaj wiele na swéj doniosłości praktycznéj. Zyskiwało ją zaś w wysokim stopniu wówczas, kiedy obok władzy monarszéj wzniosła się druga potęga — możnowładztwo i kiedy ludność włościańska stanęła w ściślejszym stosunku już nie do jednéj, ale do obu tych, ścierających się z sobą, potęg. Jeżeli się nadto zważy na stanowisko, jakie Bobrzyński przyznaje włościanom pod najważniejszym, ekonomicznym względem, to w odniesieniu do pierwszéj połowy XI stulecia cała

doniosłość sporu o to prawo indywidualnéj własności niemal zupełnie dla naszego przedmiotu znika.

Tak samo ma się rzecz z drugim kontrowersem, o Smolki „teoryę bankructwa“ włościan (dziedziców), tak nazwaną przez Bobrzyńskiego. Według téj teoryi znaczna część włościan (dziedziców) wskutek bankructwa postradała grunta dziedziczne i albo weszła w skład ludności nieswobodnéj, albo spadła na stanowisko czynszowników, jako *homines liberi*, zamieszkujący przeważnie obszar posiadłości duchownych. Taki rezultat rozwoju stosunków społecznych i ekonomicznych mógł mieć miejsce i doniosłość, już dla XII wieku, ale dla wieku XI i to dla pierwszéj jego połowy ta teorya bankrutowania jest bez rzeczywistego znaczenia i nie miała-by szerszego zastosowania.

Kiedy się zatém pytamy o samo tylko powstanie państwa polskiego i o jego ustrój z czasów przed Bolesławem Śmiałym, to odpadają tym sposobem właściwie główne kontrowersa, a otrzymujemy odpowiedź w tych zgodnych już przeważnie zapatrywaniach, jakie zresztą pozostaną.

W przedhistorycznéj zatém epoce bytu żyło na terytoryum późniejszego państwa polskiego całe rojowisko lechickich drobnych ludów, których organizacya była bardzo prosta. Na czele stał jeden książe panujący nad masą wolnéj, między sobą równéj ludności, która uprawiała rolę, a była w danym razie obowiązaną do powszechnéj służby wojskowéj, jako téż nad pewną liczbą niewolników, rekrutujących się z brańców i jeńców wojennych, a używanych do uprawy ziemi książęcéj. Ochotniejsza do boju i awantur młodzież gromadziła się koło księcia i ruszała nieraz z nim na czele, na łupieską w okoliczne kraiki wyprawę. Tak pędziły te ludy swój żywot wśród częstych z sobą waśni i krwawych zapasów. Zdarzało się niekiedy, że któryś z tych książąt zdołał jednego lub potém i więcéj sąsiednich dynastów w zupełności pokonać, z władzy wyzuć i upokorzyć, a nad jego ludem swoje panowanie rozpostrzeć. Taką drogą utworzyło się parę szczepowych przedhistorycznych państewek. Ale najdzielniejszymi w podbojach byli książęta panujący pierwotnie w okolicach Gniezna. Stąd rozszerzyli oni z biegiem czasu panowanie swoje nad kilkoma sąsiedniemi ludami, do tego stopnia, że koło połowy X stulecia wyłoniło się na widownią dziejową dosyć już pokaźne państewko Mieszka I, z rodu Piastów.

Na podbojach i wojnie wyrosła zatém młoda Piastowska monarchia, a to nie mogło nie pociągnąć za sobą ważnych i doniosłych następstw. Boć oczywiście wśród nieustannych niemal bojów musiała przedewszystkiém spotężnieć władza książęca, musiała pewna

część ludności stale oddawać się wojennemu rzemiosłu, a rosnące wskutek tego potrzeby podbójczego państwa, narażanego nawzajem na najazdy z zewnątrz, zmuszały żądać od reszty wieśniaczéj, uprawą roli zajętéj ludności rolniczéj posług i danin, obarczać ją zatém całym systemem ciężarów publicznych. Był to nowy obyczaj. Z nim w parze szerzył się wpływ nowéj wiary. Odkąd bowiem zetknęła się Polska Mieszkowa z Niemcami, odkąd dotarła także do granic chrześciańskich już Czechów, to w przyjaznych i nieprzyjaznych z temi państwami stosunkach zapoznawała się z zachodnią cywilizacyą i religią, która też na Polskę oddziaływać poczęła teraz coraz silniéj, pozyskawszy zwolennika najprzód w samym księciu, chcącym się zbliżyć do zachodnich monarchów.

Schodzić z drogi podbojów, z których Polska wyrosła, nie było konieczności ani powodu. Jak dotąd tak i daléj wcielają Piastowie w swe państwo niezawisłe ludy i szczepy lechickie, a wskazanym przez Mieszka i utorowanym przez niego szlakiem szedł wielki syn jego, genialny wódz i polityk, Bolesław Chrobry. Siłą jego oręża dźwigła się Polska nagle, bo już w początkach jego rządów, jako potężne, sąsiednim Czechom co najmniéj równe a Niemcom groźne państwo. Z tą chwilą był zdecydowany na długie czasy główny kierunek zewnętrznéj polityki polskiéj. Jéj osią stała się rywalizacya z Czechami.

Na takiéj saméj zupełnie jak Polska podstawie wyrosło państwo czeskie, pół wieku wcześniéj, podbojem kilkunastu ludów przez jeden, w pośrodku nich mieszkający, pod panowaniem dynastyi Przemyślidów. I u niego zatém naturalną i konieczną była tendencya rozszerzenia się dalszego. Z kraju, okolonego trudnemi do przebycia górami, dwa tylko szersze prowadziły korytarze, jeden na południe w naddunajskie ziemie, drugi „bramą morawską“ na Szląsk i Chrobacyą. Tam nad modrym Dunajem siedziała obca, napływowa ludność i rządzili niemieccy margrabiowie pod egidą niemieckiego państwa, jako jego króla i rzymskiego cesarza podwładni książęta. Nie ku téj zatém stronie było wskazane i możliwe rozpościeranie się potęgi czeskiéj, ale ku stronie morawskiéj bramy, na Szląsk i Chrobacyą, gdzie pokrewne, słowiańskie plemiona mieszkały. I na tych to ziemiach szerzył się już od dosyć dawna wpływ zachodnich, wcześniéj niż Polska do życia dziejowego rozbudzonych ludów, które zajmowały kotlinę czeską i morawskie pagóry. Zanim więc polska potęga rozkwitła, czescy książęta oba te kraje pod swoją władzę zagarnęli. Na tém to przedewszystkiém terytoryum rozegrać się miała długa zapaśnicza walka. Lecz nie o samo tych ziem posiadanie. Dla czegóż-by bowiem te właśnie ziemie zdobyczy kresem być

miały? Gdy tylko jedno z tych dwóch zachodnio-słowiańskich państw w większą się wzbiło potęgę i silniejszém się uczuło, natychmiast książe drugiego przedstawiał się w roli władcy słowiańskiego, dosyć jeszcze możnego, ale podobnego tym, których już tylu ugiąć się musiało. A być jedynym na zachodzie słowiańskim władcą, to i niezmiernie nęciło i koniecznie wydawało się potrzebném dla bezpieczeństwa przed niszczącym Niemców orężem.

Już więc na schyłku życia i rządów pierwszego Mieszka stargała się przyjaźń z Czechami, a wszczęły wojenne o Szląsk zatargi. Zaledwie zaś potém Bolesław na tronie się usadowił, a rychło i to co z Szląska w czeskich było ręku i całą Chrobacyą, podlegającą dotychczas Przemyślidom, odbił, a z swojém połączył państwem. I wtedy to, a może już pierwéj zaświtała mu wielka myśl: stać się jedynym i Czech i Polski władcą, królem zachodniéj Słowiańszczyzny. W tym działał duchu. Zwłoki największego zachodniéj Słowiańszczyzny apostoła i męczennika do Gniezna sprowadził, aby tu zewsząd zdążali słowiańscy pielgrzymi cześć oddawać swemu patronowi i w grodzie Bolesława jego potęgę podziwiać. Dla planów jego bardzo pomyślnie składały się stosunki. Bo i z łatwością umiał sobie ująć i pozyskać marzycielskiego monarchę Niemiec i Czechy słabły i bezsilniały do reszty wewnętrznemi waśniami. Toż i nie długo trzeba było czekać a zagarnął Morawy i Pragę wreszcie opanował.

Dopóki obok siebie istniały dwa państwa słowiańskie, sąsiadujący z niemi Niemcy czuli się bezpiecznymi, bo jedno drugiém szachowali i w zawisłości trzymali, a z ich niezgody własne ciągnęli zyski. Z chwilą, kiedy ustał ten stosunek, najżywotniejsze ich interesa były zagrożone, walka stała się nieuniknioną i rzeczywiście przywróciła dawny stan rzeczy. Ale Bolesław Chrobry uroczystą koronacyą na króla myśl swoję przekazał swoim potomkom i następcom na tronie.

Rzućmyż teraz okiem na wnętrze Piastowskiego państwa. Władza monarchy, który się tak potężnym i groźnym uczynił, była absolutną, niczém nieograniczoną. W jego obliczu żadna z poddanych mu jednostek lub warstw ludności nie miała takich przywilejów i praw, do których poszanowania powinien-by się uważać prawnie obowiązanym. Od jego woli zależało życie i mienie każdego z poddanych. Nie stanowili wyjątku nawet ci udzielni niegdyś książęta lub ich potomkowie, których Bolesław i jego poprzednicy pozbawili władzy i ujarzmili. Przebywali oni zazwyczaj na dworze panującego, bawili się z nim razem i biesiadowali, odbierali różne odznacze-

nia i otrzymywali najwyższe urzędy nadworne i po grodach, ale to wszystko było *tylko łaską monarszą*, która tak długo trwała, jak długo tłumili w sobie wszelki głos opozycyi i zadawalniali się takiém niesamodzielném stanowiskiem.

Główną podporą monarszéj potęgi była siła zbrojna. Do służby wojskowéj obowiązaną była w razie potrzeby cała ludność wieśniacza osobiście wolna, a może nawet i niewolnicy książęcy w nadzwyczajnych wypadkach. Prócz tego jednak istniała kilkutysięczna drużyna rycerzy, stale oddanych zawodowi wojskowemu. Nie stanowiła ona zamkniętéj w sobie kasty, bo nie opierała się na prawie dziedzictwa, a uzupełniała się ciągle w przeważnéj części z pośród wolnéj ludności wieśniaczéj, jako téż w mniejszéj znacznie części z przybyszów z za granicy. Służba w drużynie książęcéj była najpewniejszą drogą do zaszczytów i nawet majątku, z niéj téż, nieliczne z razu zresztą, wyrastały jednostki, które powoli zrównywały się z potomkami zmedyatyzowanych książąt. Drużyna rycerska była w zupełności na utrzymaniu księcia, który zarazem troszczył się o rodziny swoich wojowników.

Masa wieśniaczéj ludności ponosiła ciężary publiczne, w postaci rozmaitych danin i posług, przedewszystkiém przy grodach. Nad ładem i bezpieczeństwem dla rozkazów książęcych i ścisłém spełnianiem powinności, czuwali urzędnicy, ślepo i bezwarunkowo poddani księciu, który sam we wszystko wglądał. Za organ jego władzy w tych pierwotnych czasach uchodzić może kościół przez Bolesława usamowolniony z pod zależności od Niemiec i poczynający dopiero swoję pracę w społeczeństwie, niedawno i powierzchownie tylko jeszcze dźwigniętém z pogaństwa.

Była to zatém świéża organizacya, która przecież odrazu nie mogła naturalnie głębszych zapuścić korzeni, jako narzucona ludności przemocą, zrywająca z dawnemi stosunkami i dawnemi obyczajami. Najtrudniéj przychodziło się pogodzić z nowym losem, tym niegdyś udzielnym dynastom, którzy przez szczęśliwszych, lecz równych im kiedyś Piastów strąceni z wyżyn niezawisłego, książęcego stanowiska, żywą nienawiścią pałali ku nim i każdéj chwili byli gotowi przy nadarzonéj sposobności pokusić się o odzyskanie tego co stracili. Dla ludu niezwykłą i uciążliwą rzeczą były nałożone nań podatki i w ogóle różne ciężary publiczne, nie miłym był nadzór organów władzy książęcéj, gniewało i oburzało zaniedbanie rodzimej wiary, wprowadzanie nowego bóstwa i cudzoziemskich kapłanów. Pełno było zatém *opozycyjnych*, odśrodkowo działających *żywiołów*.

Tylko że za rządów Bolesława Chrobrego znajdywali oni skuteczną *przeciwwagę*, która nie dopuszczała rozstroju i rozbicia. Najprzód w olbrzymiéj indywidualności samego monarchy; on umiał wszystkim zaimponować, czy to świetnością czynów wojennych, czy nadzwyczajną surowością, z jaką karał w zarodku wszelki przeciw swéj władzy opór, czy pieczołowitością o porządek i zapobieganie nadużyciom, czy wreszcie hojnością w szafowaniu swoją łaską i dobrodziejstwami. Powtóre, na to należy głównie zwrócić uwagę, że większa część wojen Bolesława Chrobrego miała charakter *zdobywczy*, zaczepny, a takie wyprawy przy ówczesnym sposobie prowadzenia wojen nietylko nie pociągały kosztów, ale były korzystne, bogaciły kraj własny ze szkodą najechanego, z którego uwożono bydło, ludzi i skarby. Szczególniéj wyprawy na Ruś, słynącą z bogactw, ten przedewszystkiém miały cel i znakomicie się opłacały. Zwycięscy w tych stronach książęta polscy nietylko obfite łupy stamtąd przywozili, ale nadto kazali sobie płacić nie mały haracz książętom ruskim (1). A jakież wynikało stąd następstwo? Oto *nie było potrzeba żądać od własnego społeczeństwa*, od ludności wieśniaczéj tak *wysokich danin i podatków*, przeciwnie można było zaprowadzić *rozmaite ulgi* i nawet śpieszyć z pomocą, lub *okazywać się szczodrym*. Dla tego to *przycichło niezadowolenie* i zdawało się, że pod rządami takiego monarchy, wśród takich warunków bytu społeczeństwo przywyknie do narzuconych mu karbów organizacyi państwowéj.

---

(1) Znanym jest przecież 12 rozdz. I ks. Galla, który rozpowiada, jaką to Polska „superfluitate pecuniae redundabat“ i zarazem podnosi, że Bolesław: „suos quoque rusticos non ut dominus in angariam coercebat, sed ut plus pater quiete eos vivere permittebat“ itd. (Mon. P. I, str. 408). Przypominam daléj 7 rozdz. I ks. Galla (M. P. I, str. 402—404) o najeździe Rusi przez Bolesława, gdzie czytamy słowa: „Igitur rex Bolezlavus urbe ditissima regnoque Ruthenorum potentissimo decem mensibus potitus, *inde pecuniam in Poloniam transmittendo* nunquam extitit otiosus.....; loco sui quodam ibi Rutheno sui generis in dominium constituto, *cum thezauro residuo Poloniam remeabat*“. Ciekawym jest także jeden ustęp z przemówienia Bolesława do żołnierzy: „Nam quid prodest tot et tantas prius victorias habuisse, vel quid prodest tanta regna nostro dominio subiugasse, tantasque divitias aliorum cumulasse etc.“ Kończy Gallus ten rozdział słowami: „Ex eo enim tempore Rusia Poloniae vectigalis diu fuit“. Na ten moment wpływu *zaczepnych przeważnie* wypraw Bolesława na wewnętrzny jego państwa stan, w szczególności zaś wpływu i znaczenia Rusi nie zwrócono dotychczas należytéj uwagi. Już na tém miejscu warto więc podnieść, że ten sam kierunek reprezentuje później Bolesław Śmiały, szukając na Rusi materyalnych środków dla swej potęgi i dla popierania głównego zadania swéj polityki. Wiadomo z ustępu 26, I ks. Galla (M. P. I, str. 421), że i jemu składali haracz Rusini, a ich książęta dobrze wiedzieli, jak najłatwiéj pozyskać monarchę polskiego: czy-to ów książe ruski, płacący całusy od księcia polskiego grzywnami złota (M. P. I. str. 420), czy szukający powtórnie w Polsce pomocy, zbiegły ze skarbami Izasław; zob. str. 76 w zeszycie styczniowym „Ateneum“.

Potém nastały czasy rządów Mieszka II. Powiedziano o nim (1), że „więcéj był on człowiekiem niźli monarchą. Brakło mu przedewszystkiém, tak się zdawało, téj energii ducha, która, bez względu na osobiste stosunki i głosy przeciwne, napiera go nieustannie w raz obranym kierunku, przymiotu niezbędnego dla władcy narodu". Nie był on bez cennych przymiotów, ale stanowiły one zaledwie cząstkę tego zasobu zalet, który zdobił jego ojca. A jakżeż wiele w owych czasach zależało na osobistości monarchy! Przy tém zaś wszystkiém rodzinne zawrzały waśnie: Mieszkowi zazdrościli władzy dwaj jego bracia, starszy od niego i młodszy. Tak niebezpiecznie nadwątliły się podwaliny absolutnéj władzy, tyle wówczas potrzebującéj wewnętrznéj siły i tęgości, bo prawie że na niéj tylko opierała się przyszłość niedawno zjednoczonego i stworzonego państwa.

Powtóre: pod Bolesławem Chrobrym nagle i gwałtownie rozdęła się polska potęga, dzięki nietylko jego geniuszowi, ale co ważniejsza, korzystnemu składowi stosunków zewnętrznych. Ale łatwo pojąć, że taki nadzwyczajny rozrost dotknął po kolei interesa wszystkich naokół sąsiadów. Mógł ich pokonać szczęśliwie, *jednego po drugim*, chrobry Bolesław, lecz *obecnie wszyscy naraz* czuli się obrażonymi i musieli się zbliżyć do siebie, w spólnéj ku Polsce nieprzyjaźni. Dla tego można było z góry powiedzićć, że przyjdzie do reakcyi z zewnątrz, że pod naciskiem tych wrogów pęknie i pokurczy się wielkość Polski. Nie zaczepne więc, jak Bolesław, lecz odporne o byt swego państwa musiał wieść boje Mieszko II, zewsząd przez nieprzyjaciół najeżdżany. Postradał wskutek tego wiele zdobyczy swego ojca, pozbawiony był z zewnątrz wszelkich dochodów, zwłaszcza gdy Ruś nie dosyć, że nie płaciła teraz trybutu, ale nawet stanęła w szeregu napastników. Z własnego zatém tylko kraju musiał czerpać środki materyalne i swoję siłę oprzéć na owym systemie ciężarów publicznych, które stworzył Bolesław, sam jednak korzystając z niego w bardzo ograniczonéj mierze. Niszczące walki odporne musiały wywołać oczywiście ucisk materyalny, a Mieszko nie był w stanie odpłacić ludności za to nawet zewnętrzną świetnością i blaskiem.

Cóż było takich warunków nieuniknioną konsekwencyą? Oto te opozycyjne żywioły, które pod brzemieniem żelaznéj dłoni Bolesława Chrobrego i pod jego mądremi a szczęśliwemi rządami, czy to tylko przycichły i przyczaiły się, czy téż nawet już po trosze za-

---

(1) A. Lewicki: Mieszko II, w Rozprawach wydz. hist.-filoz. ak. um. tom. V. Kraków 1876, str. 133.

czynały się pojednywać z nowém swojém położeniem, teraz gdy je przygniótł ciężar kilkuletniéj walki o byt, gdy owe ludy lechickie, które niedawno dopiero w państwo sprzęgnięte, nie utworzyły jeszcze narodu ożywionego poczuciem wspólności interesów, własnym wysiłkiem ratować miały jego egzystencyą, teraz one burzyć się szybko poczęły, rozpierać i targać więzy świeżéj organizacyi państwowéj. Zrazu bracia Mieszkowi wyzyskiwali podnoszącą się opozycyą na swoję korzyść. Bezprym na tron się wydobył, ale gdy ruch reakcyjny daléj postępował i on się czuł zniewolonym uciec się do surowości i okrucieństwa, aby mu stawić zaporę, lecz i sam zginął gwałtowną śmiercią i najmłodszy z synów Bolesława, Oton, w kwiecie wieku życie postradał i wreszcie sam Mieszko II w szaleństwo popadł i umarł. Całą Polskę ogarnął straszny zamęt.

Ta reakcya była wstecznym zapędem lechickich ludów, zmierzającym do przywrócenia obalonych podbojem i powstaniem państwa Piastowskiego stosunków, a więc skierowała się przedewszystkiém przeciw organom centralnéj władzy rządowéj, przeciw narzędziom absolutyzmu Piastowskiego (1). A z pośród nich najwięcéj znienawidzeni byli biskupi i księża, jako niosący zarazem zagładę staréj wierze, jako przybysze z za granicy, szerzący nowy obyczaj. Ich zatém sroga spotkała rzeź (2). Cała za to sympatya zbuntowanych ludów lechickich skierowała się oczywiście ku tym przez Piastów upokorzonym, niegdyś udzielnym książętom i ich potomkom, boć to były rodzime dynastye, to naturalni przywódcy reakcyjnego ruchu przeciw spanoszonemu, ciemiężącemu ich i lud rodowi Piastów; książątka te uwierzyły, że wybiła dla nich godzina pomsty i powrotu do samodzielnéj władzy. Zatrząsł się i zwalił gmach państwa polskiego. A dla czego powstał na nowo?

W tym właśnie czasie podniosła się i zakwitła czeska potęga a u steru nawy tego drugiego zachodnio-słowiańskiego państwa stanął (1037 r.) bitny Brzetysław I, Achillesem zwany. Jeżeli mówimy o historycznéj konieczności, to świetny tego przykład i ilustracyą zaznaczyć nam wypada w polityce Brzetysława I i odrodzeniu się państwa polskiego za Kazimierza Odnowiciela. Bo w chwili, gdy Polska było bezsilną, dzielny władza wzmocnionych Czech stawał się koniecznie spadkobiercą wielkich tendencyi Bolesława Chrobrego. Jakoż istotnie, kiedy oto Brzetysław, monarcha obdarzony niemałym

---

(1) Tak należy interpretować słowa Galla (M. P. I, str. 415): Nam in *dominos* servi, contra nobiles liberati, *se ipsos in dominium extulerunt*, aliis in servitio versa vice detentis, aliis peremptis, uxores eorum incestuose, *honoresque* sceleratissime rapuerunt.

(2) Gallus l. c. Nestor p. r. 1030 M. P., str. 697 i n.

także politycznym zmysłem, z wyniosłości utwierdzonego silnie a jedynego teraz tronu, który nad prawdziwém w zachodniéj Słowiańszczyźnie wznosił się państwem, spojrzał na tę gromadę luźnych kawałków rozbitéj polskiéj monarchii, kiedy się przyglądnął, jakto te książątka kłótliwe i zazdrosne o władzę, bez żadnéj między sobą żyją spójni i węzła, boć w reakcyi przeciw jednolitości byt swój zaczerpnęły, i kiedy sobie pomyślał, na jak oni chwiejnych stoją nogach wobec wewnętrznych na całéj przestrzeni dawnego państwa roztererk i zamieszek, to nie byłby zaprawdę dynastą z książęcéj krwi i kości, gdyby się wśród takich okoliczności nie był pokusił o zagarnięcie tych rozdrobnionych terytoryów pod Przemyślidów berło i nie zamarzył o utworzeniu takiéj potęgi, żeby się już nie potrzebował, jak jego poprzednicy, wspierać na Niemcach, których z pewnością nie kochał, dzieląc w gruncie duszy swych ziomków uczucia. Brzetysław zrobił swoje; ruszył na Polskę, podbijał, łamał i niszczył tych, co mu opór—rzecz prosta, nie energiczny, stawiali. A że nie o urwanie tylko jakiejś prowincyi i płatu polskiéj ziemi mu chodziło, zamanifestował to jasno dla tych, co widziéć chcieli i umieli, uwożąc z Gniezna relikwie św. Wojciecha, patrona zachodniéj Słowiańszczyzny, do czeskiéj Pragi.

Cóż na to rzekli i uczynili owi książęta, którzy w krótkowidzeniu swém chciwie i czémprędzéj rozdrapali spadek po Piaście? Rychło nauczył ich Brzetysław rozumu. Chcąc nie chcąc musieli się przekonać, że skutkiem swego rozbicia, z deszczu spadną pod rynnę, wzgardziwszy Piastem, wcale nie lepszego dostaną Przemyślidę, ku któremu nadto dlatego, że ich właśnie zawojowywał, nie czuli sympatyi. Ujrzeli, że między możnymi silny się tylko ostoi. Znalazło się więc niebawem kilku takich książąt, którzy pojęli potrzebę wspólności a nawet w szersze warstwy ludności przenikać musiała ta oczywista prawda. Nigdy zaś w takich chwilach nie braknie mniéj lub więcéj zdolnych mężów, co skorzystają ku ogólnemu pożytkowi a dla własnego wyniesienia się z przygotowanego w ten sposób gruntu. Skupiła się zatém wkrótce koło Mieczsława (Masława), na Mazowszu za Wisłą władającego, znaczniejsza potęga i wyraźnie się na to zaniosło, że bodaj czy z gruzów Polski nie powstanie mazowieckie państwo pod nową dynastyą. Ale nie powstało, bo żył i dorósł tymczasem syn Mieszka II Kazimierz, który przez matkę swoją z domami książąt niemieckich był spokrewniony i w Niemczech znalazł chwilowy przytułek. Kiedy zaś tutaj na tronie królewskim zasiadł Henryk III, tak bystrym wzrokiem umiejący oceniać sytuacyą, zrozumiał on i spostrzegł niebezpieczeństwo grożące jego państwu i interesom cesarstwa w razie utworzenia się wielkiéj słowiańskiéj Prze-

myślidów potęgi, łączącej w jedną całość te dwa organizmy, których rywalizacya i antagonizm tak ułatwiał niemieckiemu żywiołowi rozpościeranie swego wpływu a niemieckiemu państwu obronę granic i przewagę na wschodzie. Nietylko więc, nie z grzeczności i sympatyi lecz w interesie niemieckiego państwa, dał Kazimierzowi kilkuset rycerzy, z którymiby zdołał rozpocząć zabiegi w celu odzyskania dziedzictwa, ale nadto sam najechał Czechy i zmusił je do wydania zdobyczy na Polsce poczynionych, z wyjątkiem części Szląska tj. Wrocławia z okręgiem.

Wśród tego Kazimierz odbudowywał państwo polskie. W kraju zastał zamęt, nieład okropny i zapasy stronnictw, atoli nie brakło mu także sprzyjających warunków i żywiołów. Wewnętrzne walki, sprowadzające rozprzężenie się wszelkich stosunków i ruinę ekonomiczną, budziły i krzepiły pragnienie powrotu do rządów spokojnych, przynoszących opiekę uciśnionym. Już tego pragnienia objawem była emigracya znacznéj części ludności za Wisłę na Mazowsze, gdzie Mieczsław rozpostarł swoję władzę i więcéj uporządkowane istniały stosunki. Najłatwiéj zapewne było Kazimierzowi usadowić i umocnić się tam, gdzie było gniazdo i kolebka rodu i państwa Piastów, tu bowiem dynastyczne przywiązanie żywszém tętniło uczuciem. Stąd więc prawdopodobnie rozszerzała się coraz daléj pacyfikacya i odzyskiwanie utraconych ziem. A nietylko siłą zbrojną dziać się to zapewne musiało. Znajdywali się bezwątpienia i tacy książęta, którzy przekonawszy się, że dla ich samoistnego bytu nie ma już żadnéj racyi, że prędzéj czy późniéj czeskiemu księciu, niemieckiemu orężowi lub mazowieckiemu Mieczsławowi uledz będą zmuszeni i zginą, woleli w zgodny sposób poddać się Piastowi.

Dość, że z czasem zgromadził Kazimierz znaczne siły w swych ręku, pozyskał ruskiego Jarosława i mógł przystąpić teraz do najtrudniejszego zadania w swéj restauracyjnéj pracy, do rozstrzygającéj o losie Piastowskiéj dynastyi walki z mazowieckim Mieczsławem. Szala zwycięstwa na stronę Kazimierza stanowczo się przechyliła, Mieczsław zginął w téj krwawéj walce a późniejsza tradycya w rodzinie Piastów żyjąca, imię jego niesławą i nienawiścią okryła (1).

---

(1) Gallus roz. 20 M. P. I. str. 417 i 418; że Masław, albo według Galla, Mieczsław pochodził z książęcego, dynastycznego rodu, o tém świadczy jego nazwisko. Końcówka: *sław* jest z reguły właściwą najwyższéj szlachcie pochodzącéj z dynastycznych niegdy rodów; wykazał to Piekosiński w § 9 zacytowanéj już rozprawy; wyjątki w tych zwłaszcza czasach były nadzwyczaj rzadkie. Dopiero Wincenty wywiódł go „de sordido famulitii genere avo originario,“ co ma taką wartość i podstawę, jak opowiadanie o powieszeniu Masława na najwyższém drzewie, jakoby za karę za to, że był tak ambitny; Mon. Pol. II, str. 285 i 286.

Nie powstało więc ani mazowieckie państwo, ani też Polska nie dostala się pod czeskie berło. Panem sytuacyi był król niemiecki, który wstrzymał Czechy w zapędzie ku zjednoczeniu zachodniéj Słowiańszczyzny i przyczynił się do ocalenia odrębności polskiego państwa, aby utrzymać korzystny dla swéj monarchii antagonizm. Ta jednak rywalizacya Czech z Polską nie była rzeczą skończoną i załatwioną, ale tylko przerwaną chwilowo w swéj gwałtowności przez regulującą rękę króla niemieckiego. Już Kazimierza to nadzwyczajnie drażniło, że w ręku Czechów pozostał kawał jednéj z tych ziem, do których Czechy najwięcéj sobie rościły pretensyj. A jak pomocy niemieckiéj zawdzięczał w znacznéj części odzyskanie tronu i państwa, tak też i nadal opierał się o potęgę Henryka III, ulegał mu i zasługiwał się (1), nie zaniechawszy wszelkich zabiegów, aby postradaną część Szląska napowrót z Polską złączyć. Stało się to, może nie bez interwencyi niemieckiéj, za cenę rocznego trybutu na rzecz Czechów.

Punkt ciężkości kilkunastoletnich rządów Kazimierza I spoczywał jednak nie na zewnętrznéj polityce, ale w usilnéj pracy nad podniesieniem wewnętrznego stanu Polski, nad przywróceniem ładu i zaprowadzeniem dobréj administracyi, złagodzeniem przeciwieństw, jakie między władzą centralną z jednéj a masami ludu i potomkami zmedyatyzowanych dynastycznych rodów z drugiéj strony do starcia doprowadziły a teraz osłabły, lecz jeszcze ani się stanowczo nie ułożyły ani nie weszły w karby uregulowanego stosunku. Prawie nic pozytywnego nie jest nam wiadomo o téj Kazimierza pokojowéj działalności. O tém tylko nadmienia kronika (1) że zakładał i pomnażał szczególniéj klasztory, a o wielu innych rzeczach dla pośpiechu przemilcza. Tego się jednak łatwo domyślić, że straszne czasy reakcyi, która okropną całego kraju pomściła się klęską, stały się skuteczną nauką i dla mas ludu i dla tych dynastów, co jeszcze o udzielném zamarzyli stanowisku, że zatem to doświadczenie przekonało lud o dobrodziejstwie i potrzebie sprężystéj administracyi i silnéj władzy, a przez to zatarło jego niechęć ku Piastom i przygotowało drogę zwłaszcza pod rządami łagodnego Kazimierza do wytworzenia się z jednéj strony pewnego poczucia łączności, z drugiéj zaś strony przywiązania dynastycznego do panującéj rodziny. I dla potomków książęcych rodów nauka w las nie poszła. Bo teraz, gdy ponownie czy przez kompromis, czy ustępując przemocy Kazimierza,

---

(1) Herimanni Augiensis chronicon wspomina pod r. 1051 (Mon. Ger. Ss. V. str. 130) o udziale Polaków w wyprawie węgierskiéj.

(2) Gallus, roz. 21. Mon. Pol. I. str. 418 i 419.

ugięli karków przed Piastami, widząc niemożliwość samoistnéj egzystencyi jako udzielni drobnych ludów władcy, godzili się powoli z myślą poddańczego stanowiska swego w obec szczęśliwszéj i dzielniejszéj Piastów dynastyi, ale nie abdykowali oczywiście z wszelkiego wpływu i przodującéj roli w społeczeństwie i stanowili kadry dla tych uzupełniających się nieustannie, choć zwolna, zasługą w służbie książęcéj i kościola żywiołów, które udziału w rządach i politycznem życiu dobijać się poczynały a tem samém dążyły do ograniczenia absolutnéj władzy monarszéj.

V. Bolesław Śmiały i Wratysław II czeski.

Kiedy więc wewnętrzne Polski stosunki taki poczynały przybierać kierunek, zasiadł na tronie po śmierci Kazimierza I (1058) jego syn najstarszy Bolesław II, Śmiałym lub Szczodrym zwany.

Jest w dziejach dwóch pierwszych zwłaszcza Bolesławów uderzająca analogia sytuacyi, w jakiéj każdy z nich obejmował ster nawy polskiego państwa. I jeden i drugi swoję działalność i potęgę rozwijał przedewszystkiém na przygotowawczéj mozolnéj pracy poprzednika, Mieszka I i Kazimierza Odnowiciela, którzy obaj z maleńkich początków stawiali fundamenta pod te świetne gmachy państwowe, jakie za ich bezpośrednich następców szybko się powznosiły. Jak w chwili wstąpienia na tron Bolesława I tak i obecnie zewnętrzne stosunki przyjaźnie się składały, ponieważ groźna za Mieszka II ościennych ludów potęga, teraz w przeważnéj części bardzo osłabła: w Węgrzech już od śmierci Szczepana I wskutek ciągle ponawiających się wewnętrznych niepokojów, w Niemczech pod rządami rejencyjnymi przez czas małoletności Henryka IV, na Rusi przez podział państwa między synów zmarłego w r. 1054 Jarosława W-go. Tylko Czechy przedstawiały wówczas najwięcéj skonsolidowaną siłę a w r. 1061 przeszły pod panowanie jednego z swoich najznakomitszych książąt Wratysława II.

A jednak zasadnicza istniała zarazem różnica w położeniu niegdyś Bolesława Chrobrego a wstępującego na tron Bolesława Śmiałego. Pierwszy nie miał za sobą wielkich tradycyj swoich przodków i swego państwa, nowemi zatém musiał iść drogami ku téj wyżynie, na którą wspiąć się zdołał; drugi żył i wychował się pod wpływem świetnych wspomnień o czasach swego wielkiego poprzednika, i imiennika, w jego polityce widzieć musiał własne ideały, jego torami idąc, spodziewać się, że przywróci ledwie dźwigniętéj z zamętu Polsce jéj wspaniałą w rzeczywistości a wspanialszą jeszcze w ustach

tradycyi przeszłość. Jestto zjawisko często i niemal regularnie powtarzające się również w dziejach innych narodów.

Ta tradycya rwiącym a szerokim płynąca strumieniem w świeżo odnowionéj Polsce, była niepowstrzymanym motorem wprawiającym w ruch jego ambicyą, wolę i myśl, uwarunkowała stanowisko jego tak względem wewnętrznych państwa żywiołów, jak i w kierunku zewnętrznéj polityki. Wiadomo zaś, że reakcya po śmierci Mieszka II zwracała się przeciw tym stosunkom, których istotnym twórcą był Bolesław Chrobry, że separatystyczne zmedyatyzowanych książąt i ich potomków dążności były zapędem ku zniweczeniu absolutnéj władzy Piastów a najgroźniejszego tych dążności reprezentanta, mazowieckiego Mieczsława, okryła późniejsza tradycya nienawiścią. A zatém powrót do wielkości i świetności Polski i jéj monarchów, musiał się Bolesławowi Śmiałemu przedstawiać również jako powrót do nieograniczonego absolutyzmu Bolesława Chrobrego, który rozporządzał życiem poddanych a oporne, wyzute z władzy udzielnéj książątka i ich potomków zwykł był karać natychmiastową śmiercią. Takie atoli pojęcie stanowiska naczelnéj władzy państwowéj wobec podwładnych żywiołów stawało w dyametralnéj sprzeczności z dążeniami najwyższéj warstwy społecznéj, która zrezygnowawszy z planów odzyskania postradanéj władzy książęcéj, zmierzała jednak do ograniczenia absolutnego monarchy i chciała sobie obok niego wywalczyć wpływ i uprzywilejowany udział w rządach.

Ku zjednoczeniu Słowiańszczyzny zachodniéj kosztem samodzielności państwa czeskiego i jego władzców skierowaną była zewnętrzna polityka Chrobrego i znowu przeciw takim tendencyom były reakcyą ze strony czeskiéj—wojny z Mieszkiem II a następnie po jego śmierci najazd Polski, mający na celu zniweczenie jéj świetności i potęgi a nawet podbicie państwa Piastowskiego. Te tak zacięte z Czechami walki mogły dowodnie przekonać Bolesława Śmiałego, że najniebezpieczniejszymi Piastów wrogami są książęta czescy (1), którzy czyhają na zgubę Polski i przy każdéj sposobności na jéj poniżeniu i upadku chcą własną budować wielkość. Pozostałością tych zabiegów był haracz przez Polskę Czechom opłacany za odstąpienie Szląska Kazimierzowi I. Całkiem inny obraz Polski rysował się w tradycyi o czasach Bolesława Chrobrego. Tam upokorzone Czechy leżały u stóp zwycięskiego Piasta, który chociaż postradał następnie Pragę, ustępując przemocy Niemców, zatrzymał czeski

---

(1) Zauważył to Gallus nazywając Czechów „Polonorum infestissimi inimici;" M. P. I. str. 414.

od dawien dawna kraj Morawy i synowi swemu w spuściźnie przekazał. Teraz nie trzeba się było tak dalece obawiać energicznéj Niemiec interwencyi na korzyść Czechów. Nie było więc wątpliwości dla Bolesława Śmiałego, w którą stronę mają się zwrócić najgorętsze jego usiłowania i co ma być głównym jego polityki celem.

Ale Bolesław Chrobry dlatego tylko był bliskim stosunkowo osiągnięcia swych wielkich zamysłów, że właśnie wówczas potęga państwa czeskiego całkiem podupadła przez domowe rozterki, że wśród Przemyślidów nie było człowieka, któryby umiał ugiąć i poskromić burzące się wewnętrzne żywioły a skupić wszystkie siły w swoich ręku przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi. Teraz jednak taki właśnie zachodził przypadek. Od czasów Brzetysława I, który ostatnie lata swych rządów poświęcił wewnętrznéj pracy, kontynuowanéj przez Spitygniewa II, podniosły się Czechy znakomicie i kiedy w r. 1061 otrzymały nowego władcę w Wratysławie II, mogły się mierzyć z Polską, jako równorzędna z nią potęga. Co więcéj, nawet i Wratysław marzył także o większéj, lepszéj dla swego państwa przyszłości i plany ojca swego Brzetysława I, udaremnione przez Niemców, łatwiéj teraz spodziewał się urzeczywistnić, ponieważ nie żył już Henryk III, a rozstrój, jaki w Niemczech panował, niemożliwą czynił wszelką poważniejszą i energiczniejszą na zewnątrz akcyą, strącił Niemcy z ich górującego, rozjemczego stanowiska.

Było to więc pełnym doniosłości faktem dla dziejów, tak polskiego, jak czeskiego państwa w toku ich wiekowego z sobą spółzawodnictwa, że niemal współcześnie zasiedli na tronach książęcych monarchowie, z których każdy podjął ideę utworzenia wielkiéj jednolitéj potęgi zachodnio-słowiańskiéj. Wręcz sobie przeciwne były ich charaktery.

Pierwszy autokrata nie znoszący żadnego oporu, pochopny do gniewu i straszny, gdy nim zapłonął, skory do miecza, rycerski i waleczny osobiście, wódz dzielny, zawsze otwartéj szukający walki, podstępu nienawidzący. Wobec możnych dumny i absolutny, dla niższych i małych często pan hojny i łaskawy. Jak zwykle ludzie tego kroju, umysł w polityce niezbyt twórczy i zapatrzony tylko w tradycye po swym wielkim przodku, którego imię nosił, jego kroczący drogami a w czynach i działaniu o tyle konsekwentny, ile przykład i wzór Bolesława Chrobrego udało mu się szczęśliwie naśladować i odżywić, lecz pozbawiony właściwéj tamtemu bystrości i oględności, wszechstronnego poglądu, przymiotów prawdziwego męża stanu.

W wysokiéj je natomiast mierze posiadał czeski Wratysław. Zgodny z Bolesławem II w tém tylko, że obu daleko im było do genialności a nie ustępowali sobie w ambicyi, był wcale tęgim politykiem: przezorny i zapobiegliwy, niejednokrotnie podstępny i w wyborze wiodących do celu środków nie grzeszący skrupulatnością, rachował się zawsze z danymi warunkami, ugiąć się wolał niekiedy i ustąpić, niż głową mur rozbijać lub się narażać na trudne do pokonania kolizye. Dobry wódz, w boju nie gardzący atoli niekoniecznie nawet rycerskim fortelem.

Tacy zatém monarchowie stoją jako rywale naprzeciw siebie i dopóki jedna strona zostawała przy władzy, walczą z sobą na zabój, i na takiejto ogólnie naszkicowanéj podstawie wewnętrznych i zewnętrznych Polski stosunków rozgrywa się dramat dziejów Bolesława Śmiałego.

Niepomyślnym był skutek pierwszego zaczepnego działania przeciw Czechom, jakie rozpoczął Bolesław, obległszy nieprzyjacielski warowny zamek Gradec koło Opawy. Odparty przez Czechów a zaledwie uniknąwszy ich zasadzki, postradał równocześnie wywalczone przez Kazimierza I zwierzchnictwo Polski nad Pomorzanami (1). Atoli to doświadczenie na lepszą go wprowadziło drogę, dawszy mu dobitną nauczkę, że nie tak łatwą jest sprawa z wzmożonemi Czechami i ostrożnym ich księciem Wratysławem. Należało się pierwéj postarać o zgromadzenie znaczniejszych zasobów i środków, o pozyskanie silniejszego punktu oparcia dla tak daleko sięgających planów. Chwilowo zatém ustały zapasy wojenne z Czechami a nawet książę czeski spokrewnił się z Piastami, ożeniwszy się z siostrą Boleslawa, Swatawą (2). W r. 1063 jeszcze się więcéj wzmocniło stanowisko Wratysława, gdy po śmierci Beli I, któremu Polacy dopomogli do osiągnięcia węgierskiego tronu (3), jako wujowi swego księcia, przywrócony został dzięki interwencyi Henryka IV syn Andrzeja I Salomon na tron węgierski, a synowie Beli opuścić musieli Węgry i schronili się do Polski.

Aby się z tak osamotnionego położenia wydobyć, podejmuje Bolesław w podwójnym kierunku czynne zabiegi: wiąże się ściśle z narodową w Węgrzech partyą i popiera jéj reprezentanta, zbiegłe-

(1) Gallus, M. P. I str. 419,

(2) Cosmas, Font rer. boh. II, str. 95 (pod r. 1062).

(3) Kronika węgler. Thwrocza, pars II, cap. 44. w Schwandtnera „Scriptores rerum Hungaricarum, t. I. str. 112; Büdinger: „Ein Buch ungarischer Geschichte, str. 4, Roepell I str. 189.

go do Polski syna Beli, Gejzę (1), a z drugiéj strony skwapliwie chwyta sposobność, aby na Rusi przywrócić przewagę Polski i tam sobie zapewnić materyalną pomoc i podporę. Przywrócił więc w wyprawie do Kijowa (1069) wypędzonego stąd Izasława, najstarszego syna Jarosława, na tron wielko-książęcy, jako swego lennika. Był to nadzwyczaj doniosły sukces, albowiem wiadomo, jak żywotną sprawą było dla Polski i jéj książąt panowanie nad Rusią, skąd czerpano i pieniądze i jeńca i jak się zdaje orężne także posiłki w razie potrzeby (2). Wielkie téż niebezpieczeństwo widział Wratysław dla siebie w ugruntowaniu polskiéj przewagi nad Rusią i czyto chcąc temu przeszkodzić, czy osłabić Polskę strasznym łupieskim najazdem lub wreszcie oderwać od Polski jaki kawał ziemi, wpadł z silném wojskiem w czasie nieobecności Bolesława do jego kraju i tutaj się usadowił. Ale Bolesław już się ułatwił na Rusi, z niezmiernym pośpiechem wrócił do Polski i tak zdołał okrążyć Wratysława, że ten uznał za najwłaściwsze fortelem się ratować z kłopotu i niebezpiecznego położenia i wywinąwszy się z klatki, czémprędzéj uciekał do swego kraju, ścigany przez Bolesława po przez Morawy (3).

Odtąd nieustannie ponawiają się walki i waśnie między Polską a Czechami. Dowiadujemy się bowiem, że w r. 1071 król niemiecki Henryk IV, widząc te bardzo zacięte rozterki między polskim a czeskim księciem, wezwał ich do Miśni przed swój trybunał rozjemczy i nakazał, aby poprzestając na dotychczasowych granicach nie trapili się nawzajem najazdami, w przeciwnym zaś razie ten, kto pierwszy przekroczy zakaz, dozna pomsty jego oręża (4). Na nic się jednak nie przydała ta interwencya niemieckiego króla, gdyż mimo zakazu trwały daléj wojny i najazdy a zwłaszcza Bolesław strasznie ogniem i mieczem w Czechach grasował, tak że w r. 1073 Henryk IV ogłosił walną wszystkich książąt niemieckich wyprawę wojenną na nieposłusznego księcia polskiego (5). Do wojny z Niemcami teraz nie przyszło, dzięki wewnętrznym w ich w kraju stosunkom, tylko

(1) Tuż po wydaleniu się wojsk niemieckich, które osadziły po śmierci Beli I syna Andrzejowego Salomona, szwagra Henryka IV, zjawia się syn Beli Gejza, z wojskiem polskiem w Węgrzech i wymusza, za uznanie Salomona królem, oddanie sobie części królestwa jako podległego zwierzchnictwu króla węg. księstwa; zob. kronikę Thwrocza, II. cap. 47, u Schwandtnera str. 114. Büdinger str. 17 i 18. Roepell I, str. 191.

(2) Zob. wyżéj na str. 449 tekst i uw. 1), tudzież niżéj str. 461 niniejszéj rozprawy.

(3) Gallus, M. P. I. str. 420.

(4) Lamberti Hersfeldensis Annales a. 1071. Mon. Germ. Ss. V. str. 187.

(5) Lambert. M. G. Ss. V, str. 195; nie obchodzi nas tutaj, czy Henryk miał istotnie zamiar wyprawę na Polskę podjąć, czy chciał ją skierować przeciw Sasom a tylko pod pozorem wyprawy na Polskę zbierał siły zbrojne.

odtąd Henryk IV zajmuje w obec Polski stanowczo nieprzyjazne stanowisko a Wratysław jest jego wiernym sprzymierzeńcem.

Ten sojusz czesko-niemiecki nie był jednak groźnym dla Bolesława, bo on spotężniawszy znakomicie panowaniem nad Rusią i zwycięskiemi z Wratysławem walkami, ugruntował nadto i wzmocnił stanowisko swoje przez przewroty, jakie obecnie nie bez jego przyczynienia się nastąpiły w Węgrzech, właśnie w téj chwili, gdy wewnętrzne stosunki w państwie czeskiem paraliżowały Wratysława w jakiejkolwiek energiczniejszéj na zewnątrz akcyi.

Oto w Węgrzech przyszło wprawdzie już w pierwszych latach panowania Salomona do ugody z Gejzą, który otrzymał trzecią część państwa jako podległe sobie księstwo pod zwierzchnictwem króla węgierskiego, lecz w miarę, jak nieletni w chwili objęcia rządów Salomon w lata wzrastał a w narodzie nie cieszył się popularnością, wzmagała się téż w nim zazdrość o władzę a nie brakło takich, którzy tę zawiść podsycali i doprowadzili nareszcie do krwawego starcia. Gejza stanął na czele narodowego stronnictwa i szukał zewnątrz pomocy i opieki. Zanim jednak jeszcze otrzymał posiłki, zmuszony był stoczyć z Salomonem bitwę w lutym 1074 pod Kemey i został wskutek zdrady pokonany. Ale już w kilka dni odwróciła się karta. Po stronie Gejzy i jego brata Władysława przeciw Salomonowi nietylko stanęli książęta morawscy, zwłaszcza ołomuniecki, żyjący w rozterce z swym bratem i zwierzchnikiem, Wratysławem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, także i nasz Bolesław teraz właśnie najdzielniejszego użyczył poparcia zbrojnego (1), wskutek

(1) Twierdzenie to opieram na pierwszéj części 27 rozdz. I ks. kroniki Galla i zacytowanych już na str. 288 (zesz. lutowy) ustępach z 28 rozdz. jego kron. Wzmianki te wprawdzie odnosi Roepell (I, str. 191 przyp. *) do wypadków węgierskich tuż po wstąpieniu Salomona na tron węgierski, gdy Gejza pod grozą posiłków polskich wymógł na królu odstąpienie księstwa (Thwrocz II. cap. 47 u Schwandtnera I, str. 114). Jestto atoli kombinacya i zbyt naciągana i nawet wprost sprzeczna z tém co twierdzi Gallus; wyraźne bowiem jego słowa, że Bolesław osadził Władysława na tronie węgierskim, trzebaby uznać jako przesadne do tego stopnia, iż Gallus pomoc polską do pozyskania dla Gejzy, brata i poprzednika Władysławowego, księstwa Salomonowi podległego, uważa za punkt wyjścia i źródło władzy królewskiéj Władysława, który otrzymał koronę dopiero właściwie w 17 lat późniéj. A nadto cóż począć z twierdzeniem współczesnego prawie świadka, jakim jest Gallus dla czasów Bolesława Śmiałego, że ten ostatni *„wygnał z Węgier króla Salomona"*? Przecież Gejza w tym roku, do którego chce Roepell odnieść owe ustępy z Galla, właśnie uznał Salomona królem i Salomon od tego czasu jeszcze niemal 10 lat panował. Z tych powodów kombinacya Roepella nie jest możliwą. Z tych samych niemal powodów nie jest możliwém łączyć zacytowane wzmianki Galla z jeszcze wcześniejszymi wypadkami tj. z chwilą wstąpienie Beli I na tron węgierski w r. 1061. Pozostawałyby w obec tego dwie tylko kombinacye, tj. związać te ustępy kroniki Galla

czego Salomon, chociaż otrzymał, jak się zdaje, posiłki od Wratysława czeskiego, poniósł stanowczą klęskę pod Mogyorod (na północ od Pesztu), tak, iż tylko w kilku graniczących z Niemcami zamkach zdołał się utrzymać i znaleść dla siebie i rodziny schronienie. Natomiast Gejzie udało się odeprzeć raz zaniechaną (1), drugi raz do skutku doprowadzoną wyprawę Henryka IV (2) i tak utrwalić się na węgierskim tronie.

W tym także czasie zaszły ważne zmiany na Rusi, bez uszczerbku wszakże dla Bolesława Śmiałego. Osadzony przez niego w Kijowie Izasław postradał wprawdzie władzę, uległszy przemocy swych braci Świętosława i Wszewłoda, z których pierwszy zasiadł na wielkoksiążęcym tronie, lecz stało się to nie bez wiedzy i woli Bolesława, owszem bezwątpienia na podstawie korzystniejszych dla niego warunków, skoro odmówił Izasławowi wszelkiéj pomocy i ograbił go z skarbów a w r. 1076 synowie Wszewłoda i Świętosława, Włodzimierz i Oleg nieśli pomoc zbrojną Bolesławowi przeciw Czechom (3).

Jeżeli do tych faktów doda się i tę okoliczność, że zwycięztwem nad Pomorzanami zabezpieczył Bolesław swoje państwo od łupieskich tego wroga najazdów (4), to łatwo sobie wyobrazić, jak

---

z wstąpieniem Gejzy lub też z wstąpieniem Władysława na tron węgierski. Ta ostatnia interpretacya słów naszego kronikarza byłaby sama przez się najwłaściwszą i najprostszą, lecz przeciw niéj przemawia kron. Thwrocza II cap. 56 (u Schwandt. I. str. 129), gdzie jest mowa o spokojnym jednomyślnym wyborze Władysława na króla, bez jakiejkolwiek zewnętrznéj interwencyi. Możnaby wprawdzie Thwrocza uważać za mniéj w tym razie kompetentne niż Gallus źródło, atoli stwierdzeniem niejako słów Thwrocza, tyczących się spokojnego wstąpienia na tron Władysława, jest ustęp z listu Grzegorza VII do arc. strzygońskiego Nehemlasza, tuż po wstąpieniu Władysława na tron napisanego (9 czerw. 1077) (Mansi XX reg. Greg. l. IV. c. 25, str. 231 i 232), gdzie spotykamy słowa: „De caetero admonemus fraternitatem tuam, ut regem, *qui inter vos electus est*, cum aliis tuis confratribus notificantes et consulentes sibi ut etc.“ Na téj podstawie można zatém z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że wstąpienie na tron Władysława w r. 1077 odbyło się bez interwencyi polskiéj. Natomiast bez naciągania słów Galla i uzupełniając tylko jego wzmiankami źródła węgierskie, możemy owe wzmianki odnieść do wypadków z r. 1073 przy wstąpieniu na tron Gejzy. Wtedy bowiem istotnie Salomon po 10 letniem panowaniu został pozbawiony tronu i z Węgier wygnany; w wojnie zaś przeciwko niemu wybitniejszy nawet od samego Gejzy brał udział jego brat Władysław, który po wywalczeniu dla Gejzy tronu czynniejszą też już w czasie jego niedługiego panowania odgrywał rolę, tak iż można twierdzić, że zwycięstwo pod Mogyorod, odniesione prawdopodobnie z polską pomocą, było początkiem jego panowania.

(1) Lambert, Mon. Ger. Ss. V. str. 216.

(2) Lambert, M. G. Ss. V str. 217; Bertholdi ann. 1074, M. G. Ss. V, str. 277.

(3) Zob. niżéj str. 463. Nestor M. P. I. str. 731 i 748 i Nauka Monomacha M. P. I. str. 873.

(4) Gallus, M. P. I. str. 418.

imponującą przedstawiać się teraz musiała polska potęga, panująca nad Rusią a w przymierzu z Węgrami.

Zupełnie inaczéj działo się w Czechach. Wystarczy bowiem tylko przypomnieć, że na te właśnie lata przypadają najzawziętsze wewnętrzne zatargi, których przyczyną była ambicya młodszych braci Wratysławowych. Przez ten antagonizm ku zwierzchniéj władzy swego brata łączyli się oni z możnowładczymi w państwie żywiołami, które tutaj już tak znacznie samodzielniejszego i wybitniejszego dobiły się stanowiska i głosu aniżeli w Polsce, do tego stopnia, że przed ich zwartą opozycyą widział się zniewolonym ugiąć się i ustąpić Wratysław w sprawie nominacyi biskupa praskiego po śmierci Sewera (1). W swéj niechęci ku bratu nie wahali się téż książęta morawscy stanąć w przeciwnym obozie, kiedy się w Węgrzech rozgrywała walka o przewagę narodowéj lub niemieckiéj partyi. Do tego ognia dolały oliwy znane zawikłania w kościele czeskim, co wszystko naturalnie absorbowało prawie w zupełności uwagę księcia czeskiego, nie dozwalając mu pomyśleć o polityce zewnętrznéj na szerszą skalę. Nic téż dziwnego, że kiedy sprawa kościelna poszła przed trybunał papieski, Wratysław okazał się bardzo uległym i pochopnym do zgody, byle tylko mieć więcéj swobodne ręce i nie być tak krępowanym przez domowe sprawy w téj właśnie chwili, gdy jego rywal, książę polski, rozpościerał coraz daléj swój wpływ, zdawał się przywracać czasy téj wielkości, jaką się Polska cieszyła za Bolesława Chrobrego i osamotniony w początku swego panowania zodosobnił obecnie swego przeciwnika, który jak na teraz z nikąd nie mógł się spodziewać pomocy, chyba tylko ze strony króla niemieckiego, w razie gdyby mu się udało pokonać Sasów i zrestaurować powagę korony niemieckiéj.

Dlatego téż Wratysław, gdzie tylko mógł, wspierał swego sprzymierzeńca i teraz w r. 1075, ledwie się cokolwiek ukołysały w Czechach wewnętrzne niepokoje, pośpieszył Henrykowi na pomoc, gdy się miała stoczyć roztrzygająca z Sasami walka. Był to więc bardzo roztropny i polityczny krok ze strony naszego Bolesława, że swoje siły zbrojne skierował nie wprost na Czechy, lecz słał Sasom, widząc słusznie bezpieczeństwo swoje i gwarancyę przeprowadzenia dalszych planów w podtrzymaniu rozprzężenia w Niemczech, w poniżeniu niemieckiego tronu (2).

Ale szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Henryka i wydawało się, że zgnębi do szczętu opozycyą i stanie się prawdziwym

---

(1) Zob. wyżéj rozdz. II str. 83.

(2) Zob. wyżéj str. 78 i 79.

swego państwa panem. Był to jednakże tylko chwilowy błysk szczęścia, bo jeszcze z końcem tegoż roku 1075 zaczęły się zawikłania nowe z papiestwem. W styczniu następnego roku stali Henryk IV i Grzegorz VII naprzeciw siebie jako najzawziętsi przeciwnicy a każdy z nich wszystkie wytężał siły, aby na swojém postawić. Teraz też już nie było trudno Bolesławowi Śmiałemu ocenić sytuacyą polityczną i przekonać się, że król niemiecki będzie na dłuższy czas z imienia tylko sprzymierzeńcem Wratysława, ale faktycznéj pomocy i opieki zupełnie nie jest w stanie mu udzielić, że zatém książę czeski na własne ograniczony jest siły. A w takich warunkach mógł mieć Bolesław niechybną nadzieję stanowczego pokonania przeciwnika swego i posunięcia się naprzód w swych daleko sięgających zamysłach. Odrazu więc wystąpił do walki z rywalem. Ściągnął z Rusi posiłki pod przewodem synów panujących tam jako jego lennicy książąt i ruszył na wojenną wyprawę przeciw Czechom. Przez kilka miesięcy toczy się walka a jéj rezultat musiał być pomyślnym dla naszego księcia, bo przez Głogów aż do czeskiego zapędził się lasu (1). Czy poczynił jakie znaczniejsze zdobycze, nie jest wiadomo; bądź-co-bądź górował nad Wratysławem a cieszył się równocześnie z nieszczęścia i niemocy jego sprzymierzeńca Henryka IV, który ubezwładniony przez książąt, trzymany prawie na uwięzi, niepewnym był swego losu, spoczywającego w ręku jego nieprzyjaciół.

Nie można było istotnie życzyć sobie sposobniejszéj nad obecną chwili do rozwinięcia całego sztandaru, pod którym daléj kroczyć zamierzał potężny nasz książę. Przygotował więc na sam koniec tegoż jeszcze roku wspaniałą manifestacyą i w dzień święta Bożego Narodzenia, w tym właśnie czasie, kiedy Henryk IV umknąwszy ze Spiry, z narażeniem życia śpieszył do Kanossy, uwieńczył Bolesław swoje skronie w uroczysty sposób i wśród niezwykłéj okazałości królewską koroną (2). Boleśnie tém dotknął dumę Niemców, ale o ileż dotkliwiéj ubodło to z pewnością czeskiego Wratysława, że kiedy jego rywal polski królewskim otaczał się blaskiem, on tylko biskupią mitrę miał jako odznakę swego dostojeństwa i zawsze był tylko słowiańskim księciem, wasalem niemieckiéj korony. Bolesław był w pełni sił i wieku, nie przekroczywszy jeszcze lat 40 a już przodował w Słowiańszczyznie, był jéj niejako królem i tym faktem dokonanéj koronacyi wielkiego wbijał klina w ambitne plany czeskie-

---

(1) Nestor i Nauka Monom. l. c. Zob. wyżéj str. 457 i 461.

(2) Lambert p r. 1077 Mon. Ger. Ss. V. str. 255; Bernoldi Chronicon a. 1077 Mon. Ger. Ss. V. str. 433, i Roczniki: krak., świętokrzyski dawny, kapitulny (te wszystkie pod r. 1077) i krótki (pod r. 1078), oraz Roczn. Małopol. pod r. 1077, Mon. Pol. III, str. 148.

go monarchy. Co więcéj, trzeba się było spodziewać, że on nie poprzestanie na tém i oczekiwać wszystkiego złego od potężnego i długie jeszcze lata panowania zapowiadającego władcy. Już nie marzenia Wratysława o przyszłéj wielkości Czech ale sama egzystencya jego państwa wydawała się zagrożoną.

Lecz co się działo w Polsce i co się w Czechach działo w następujących potém dwóch latach, głuche o tém panuje milczenie i w naszéj i w czeskiéj kronice. Dolatuje nas tylko z Rusi wiadomość, że tam we dwa dni po koronacyi Bolesława umarł Świętosław a Wszewłod zasiadł na stolcu książęcym. Ale Polacy poszli przeciw niemu, prowadząc z sobą Izasława, który tron kijowski otrzymał i pokój z Wszewłodem zawarł (1). Aż dopiero na początku 1079 notują nasze roczniki śmierć biskupa krakowskiego Stanisława z ręki królewskiéj a Gallus donosi o zdradzie na królu popełnionéj, o srogiém ukaraniu winnych, między nimi biskupa (krakowskiego) i wygnaniu Bolesława z Polski. Jak gdyby nie mniéj tajemnicze od wzmianki naszego kronikarza echo nagłéj katastrofy, wypełnia te i w czeskich dziejach nierozjaśnioną pomroką osłonięte lata, owa opowieść Kosmasa o człowieku cudownie uwolnionym z krakowskiego więzienia i wyprawionym do Pragi przez Radima, brata św. Wojciecha.

I teraz niebawem wypływa na wierzch postać czeskiego Wratysława. W r. 1079 zatrudniały go sprawy kościoła czeskiego a w szczególności pragnął podnieść obrządek i liturgią słowiańską i uzyskać dla nich papieską sankcyą, co mu się jednakże nie udało (2). Zresztą zaś z nowym księciem polskim, przez rewolucyjne stronnictwo na tron wyniesionym Władysławem, żył w spokoju, zwłaszcza że to był jego zięć, a najściśléj związał się teraz z Henrykiem IV i służył mu jako jego najwierniejszy wasal, zdobywający sobie u niego w ciężkich walkach liczne i wielkie zasługi. We wszystkich najważniejszych bitwach, które król niemiecki staczać musiał z wewnętrznymi nieprzyjaciółmi, bierze on czynny udział, decydując niejednokrotnie o zwycięstwie (3). Czyż czynił to bezinteresownie? Zapewne że nie. On się nie zrzekł tych, które i dawniéj żywił, tendencyj i nie pogrążył w swéj duszy myśli o wielkiém zachodnio-słowiańskiém państwie. I teraz nie inna świeciła mu gwiazda przewodnia przy tych wszystkich, jakie świadczył Henrykowi IV przysługach, jak tylko nadzieja, że w zupełności przeciągnie na swoją stronę cesarza i pod je-

(1) Nestor p. r. 1076 i 1077, Mon. Pol, I. str. 748.
(2) Mansi XX. Reg. Greg. l. III. ep. 11, str. 296 i 297.
(3) Palacky: Gesch. v. B. I. str. 314 i n.

go orędziem, z jego pomocą zamysły swoje do skutku przywiedzie. Oto co się dzieje w r. 1086. Na synodzie w Moguncyi, w obecności wielu biskupów i panów świeckich otrzymał czeski książę od cesarza Henryka IV tytuł króla Czech *i Polski*. Istotnie odbyła się koronacya Wratysława na króla czeskiego *i polskiego* w Pradze dnia 15 czerwca a dokonał tego aktu arcybiskup trewirski Egilbert (1). Ale to jeszcze nie wszystko. Ważniejszą jest nawet dla nas druga okoliczność. Pogodził się już Wratysław zupełnie ze swym bratem Jaromirem, biskupem praskim, i obaj teraz sfałszowali dokument, rzekomo pochodzący od św. Wojciecha a zatwierdzony przez papieża Benedykta IV i cesarza Ottona I. Podrobiony ten przywilej wciągał do biskupstwa praskiego nietylko morawską dyecezyą, o którą się przedtém toczył taki spór zażarty, ale i znaczną część Polski a przedewszystkiém całą ziemię krakowską. Otóż ten przywilej podał Jaromir na tymże samym synodzie moguncкim, na którym Wratysław otrzymał królewskie wyszczególnienie, Henrykowi IV do ponownego zatwierdzenia i rzeczywiście je uzyskał za usilném wstawieniem się księcia czeskiego i arcybiskupa moguncкiego Wesilona (2). Tak koronacya księcia czeskiego na polskiego króla jak ten przywilej, wcielający ziemie polskie do dyecezyi praskiéj, były zamachem na niezawisłość i całość państwa polskiego (3). Tylko do tego nie przyszło, żeby te wszystkie zabiegi realną mogły mieć wartość, ponieważ Henryk obawiając się zapewne niechętnéj już i tak Wratysławowi opinii publicznéj w Niemczech, nie myślał dać mu czynnéj pomocy do przeprowadzenia jego z interesami Niemiec tak niezgodnych zamysłów a wskutek tego nadwyrężyła się między nimi przyjaźń.

---

(1) Głównem na to świadectwem jest Cosmas ks. II. w Font. rer. boh. II. str. 114 i n; daléj Annales pegavienses Mon. Ger. XVI str. 237, wreszcie listy arcyb. moguncк. Wesilo do Wratysława czeskiego (Mon. Pol. I str. 364 i n.) tudzież do Klemensa III antypapy (M. P. I str. 374 i n.), jak to wykazał Giesebrecht w „Gesch. der deutschen Kaiserzeit t. III (wyd. IV) str. 1171 i n. Bielowski mylnie uważał list pierwszy za pisany przez Wratysława do Bolesława Śmiałego a drugi za pisany przez Władysława Herm. do Klemensa III. Długo nie umiano tego faktu postawić w właściwém świetle i zaprzeczano nawet wiarogodności jego o ile się tyczy Polski; dopiero Giesebrecht w wymienioném dziele t. III. str. 616 przyjął i w uwagach str. 1170 i n. do pewnego stopnia uzasadnił całość podanéj przez Cosmasa wiadomości a szczegółowo i gruntownie rozwinął tę rzecz dopiero An. Lewicki w swéj pracy: Wratysław II czeski królem polskim.

(2) Cosmas str. 114—118. Bielowski oddrukował dokument Mon. Pol. I. str. 145—148. Przytoczone przez Zeissberga i Dümlera dowody na podrobienie dokumentu zestawia An. Lewicki str. 17 i n.

(3) Ciekawą i nie bez znaczenia jest dla nas ta okoliczność, że wiadomości o tém wszystkiém czerpiemy z kroniki Kosmasa, który opisał i synod moguncki i koronacyą Wratysława i podał dosłowny tekst przywileju z wzorem wyciśniętéj na nim pieczęci, jako naoczny świadek zdarzenia.

Taki był koniec rywalizacyi między Bolesławem Śmiałym a Wratysławem II. Przewija się ona nieprzerwaną nicią przez cały ciąg ich dziejów, jest tym węzłem, który łączy w sobie wszystkie, napozór rozstrzelone i nie mające z sobą związku zabiegi obu książąt.

I mogłaż ta rywalizacya nie odegrać żadnéj roli w wielkiéj katastrofie, jaka spadła na Bolesława, a która nie była przecież przypadkowém nieszczęściem, lecz rezultatem wielkich przyczyn, jakie dłuższy czas poprzednio działać musiały?

VI. Zestawienie i zakończenie.

Źródłowy materyał, który dostarczy podstawy do opowiedzenia upadku Bolesława Śmiałego rozebrałem w III rozdziale. Z téj analizy okazało się, że kronika Galla musi być uważaną za główne źródło i kryteryum dla wszelkich innych, późniejszych podań, jako téż naukowych hypotez. Dla tego należy się wyzyskać każde prawie słowo odpowiednich ustępów z Galla, unikając naciąganéj interpretacyi; należy zachować przekazany przez niego porządek w przebiegu wypadków, składających się na katastrofę Bolesława, tj. mówić najprzód o zdradzie, następnie o ukaraniu winnych, wreszcie o wygnaniu króla z Polski, do czego wiele się to przyczyniło, że między ofiarami gniewu królewskiego był także kapłan, biskup krakowski. Z kroniki Galla okazuje się również, iż „zdrajcami“ była najwyższa warstwa społeczna, możnowładztwo, skoro w ich szeregu stoi biskup krakowski, skoro następnie Gallus nazywa ich „quidam aemuli“—rywalami syna Bolesławowego, Mieszka, a w opisie jego pogrzebu, wyliczając wszystkie warstwy społeczne między opłakującymi śmierć ukochanego młodzieńca, przemilcza o szlachcie, zapisawszy poprzednio wieść, jakoby Mieszko otruty został przez owych rywalów z obawy, aby nie pomścił krzywdy ojcu wyrządzonéj. Stąd znowu ostatni wniosek, jaki wprost z Galla wyciągnąć można: że w katastrofie Bolesława starły się z królem żywioły, ubiegające się o władzę, a obawiające się ją postradać, gdyby syn Bolesława odziedziczył panowanie.

Te atoli ustępy z kroniki Galla nie wystarczają do stwierdzenia i wyjaśnienia, jakie przyczyny i czynniki złożyły się na sprowadzenie takiéj katastrofy i na czém się zasadzała popełniona na królu zdrada. Należy więc dopomódz sobie w tych punktach hypotezą. Uczyniłem już zatém, najprzód spostrzeżenie, że prawdopodobnie stara się Gallus, jako głębszy motyw upadku Bolesława, zaznaczyć

te ujemne strony jego charakteru, które mu wytyka, a więc „zbytek ambicyi“ i „dumę“. Zwróciłem następnie uwagę na dwa ustępy w kronice Kosmasa, o których przypuściłem, jak mi się zdaje, słusznie, że stoją w związku z upadkiem Bolesława Śmiałego. Pierwszy z nich zawiera opowiadanie o więźniu w Krakowie, drugi podaje wiadomość o wywyższeniu Wratysława przez cesarza Henryka IV na króla czeskiego i polskiego, o dokonaniu w Pradze koronacyi i dołącza przywiléj biskupstwa praskiego, przy téj sposobności przez Henryka zatwierdzony.

Co się tyczy pierwszego ustępu, to już ta okoliczność, że jest tu mowa o więźniu, trzy lata w *Krakowie* w podziemiu trzymanym, naprowadza na domysł, że Kosmas, pisząc to, ma w pamięci i na uwadze wypadki, istotnie w *Krakowie w tym samym czasie* zaszłe, skoro to opowiadanie właśnie wypełnia w kronice jego lukę, między latami 1075 a 1082. Jeżeli się do tego doda, że to opowiadanie jest skomponowane, i to, jak usiłowałem uzasadnić, przez samego Kosmasa, mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że jak Gallus stara się drażliwą nadzwyczaj kwestyę suchą zbyć wzmianką, tak i Kosmas nie uważał za stosowne wyraźniéj o tym fakcie wspomnieć, atoli czując jego doniosłość i dla czeskiego państwa, *zaznaczył* go tylko w swéj kronice. Mniéj jednak trzeźwy i suchy od naszego Gallusa użył do tego alegoryi, więcéj dla współczesnych, a mniéj dla nas zrozumiałéj. Ta zaś okoliczność, że unikał wyraźniejszéj i dokładniejszéj wzmianki, każe się domyślać, że czeski książe wplątany był w te wypadki, na co się zdaje wskazywać i ten wzgląd, iż wybawienie więźnia krakowskiego przychodzi z Czech i że tutaj ocalający go Radim każe mu szukać schronienia.

Domysł ten staje się prawdopodobniejszym, gdy weźmiemy pod uwagę ten drugi w kronice Kosmasa ustęp. Fakta w nim opowiedziane są po części skądinąd dostatecznie stwierdzone i nie podlegają wątpliwości, ale tak niespodziewanie w dziejach czeskich i naszych według dotychczasowego tychże przedstawienia na widownią występują, prawie jak *deus ex machina*, że przez długi czas były zaprzeczane, a ich stwierdzenie jest niczém innem jak tylko przywróceniem wiarogodności tym źródłom, z których wiadomość o tém czerpiemy. Jeżeli się teraz zastanowić bodaj tylko nad tą okolicznością, że Henryk IV już w r. 1071 występuje z interwencyą swoją w zatargi między Polską a Czechami, że w dwa lata późniéj przeciw nieposłusznemu księciu polskiemu gotuje wojnę, oczywiście w interesie Wratysława, a i potém jeszcze na niekorzyść Bolesława nieustannie stara się działać, to koniecznym niemal staje się postulat: szukać źródła tych zdarzeń, z moguńckim synodem 1086 roku

związanych, znacznie wcześniéj i pytać się o bliższy ich związek z poprzedniemi dziejami, tak ze względu na Czechy jak i na Polskę.

Z treściwego zaś przeglądu dziejów naszych przed Bolesławem Śmiałym okazało się, że rewolucya po śmierci Mieszka II sprowadziła przełom w wewnętrznym rozwoju naszego społeczeństwa; masy bowiem ludu znękane ruiną przedewszystkiém ekonomiczną, która była następstwem wywołanéj przez nie reakcyi, a wydobyte z nieszczęścia przez Kazimierza I, zaczęły odtąd w rządach Piastów dopatrywać się dobroczynnéj dla siebie opieki i lgnąć do nich coraz silniéj. Natomiast owe rody zmedyatyzowanych książąt i ich potomków zrezygnowały wprawdzie z planów odzyskania udzielnéj władzy, ale jak *niegdyś każdy* z nich nad swoim panował ludkiem, tak *teraz razem* stworzyli kadry dla możnowładztwa, dążącego do przeważnego w społeczeństwie stanowiska, ograniczenia władzy monarszéj i do uprzywilejowanego udziału w rządach.

W zewnętrznéj zaś polityce państwa polskiego w tym okresie, doślodziliśmy się głównego, górującego kierunku w rywalizacyi dwóch zachodnio - słowiańskich państw, a raczéj panujących nad nimi dynastyj, w rywalizacyi, która nie była niczém inném, jak tylko *dalszym ciągiem tego samego procesu, jaki stworzył oba te państwa* i musiał nakoniec pchnąć je do walki z sobą. W tym wątku naszych dziejów uderzyć musi każdego najściślejsza łącznia w rozwoju wewnętrznych i zewnętrznych, politycznych stosunków i wypadków, które nawzajem się przenikają i wpływają na siebie, boć inaczéj nigdy być nie może, skoro objektem rozwoju tak w jednym jak w drugim kierunku jest jedno i to samo społeczeństwo.

Kiedyśmy następnie przeszli do dziejów polskich pod panowaniem Bolesława Śmiałego, nie co innego mogło być naszém zadaniem, jak daléj śledzić i snuć tenże sam jak dotąd wątek naszego historycznego rozwoju. Co się więc tyczy wewnętrznych najprzód stosunków, to nie trudno odgadnąć istotę rzeczy w stanowisku władzy monarszéj względem poddanych, jeżeli się tylko uprzytomni sobie ów świat wyobrażeń i ideałów, w którym żył i obracał się Bolesław Śmiały i jeżeli się pozna jego bezwzględny, nadzwyczaj absolutny charakter. Oczywiście były to najniekorzystniejsze warunki dla emancypacyjnych dążności, jakiemi była ożywioną *możnowładcza warstwa* społeczeństwa, która też od samego początku *musiała stać w antagonizmie do tronu książęcego* i z rosnącą niechęcią spoglądała na jego postępowanie. Łatwo też pojąć i wytłómaczyć sobie, dla czego *masy ludu przychylnie były usposobione dla Bolesława* i coraz gorętszém otaczały go przywiązaniem, boć był to pan szczodry i łaskawy dla maluczkich, a nie miał potrzeby uciskać lud cięż-

kiemi podatkami, skoro obfite z Rusi zwoził skarby i kazał sobie jéj książętom hojny trybut opłacać, wiodąc zaś same prawie zaczepne wojny żywił rycerstwo swoje kosztem najechanych nieprzyjaciół. Dzielném ramieniem swojém umiał strzedz pilnie granic własnego państwa i tym sposobem ochraniać i ubezpieczać spokojną wieśniaka pracę. Tém więcéj za to wzmagało się niezadowolenie możnowładczych żywiołów, ponieważ świetne powodzenie, jakiego nieustannie doznawał, utwierdzały go w zaufaniu w swe własne siły, potęgowały jego ambicyą, dumę i absolutyzm. On co jednych strącał z książęcych tronów, innych na nie wynosił, co się niedawno wreszcie królewskim otoczył blaskiem, miałże-by znosić odmienną swoich poddanych wolę, dać się komukolwiek powodować?

Srogi to był i nie do zniesienia absolutyzm w oczach magnatów. Gdyby się Bolesławowi powinęła noga w jego świetnym zawodzie politycznym, gdyby na niego spadły z zewnątrz ciężkie klęski i ciosy, pewnie-by jawnie i śmiało burzyć się przeciw niemu poczęli, jak za Mieszka II, i otwarcie łączyli z nieprzyjaciółmi. Przy takiém wszakże powodzeniu, jakiém się cieszył Bolesław, przy takiéj, jaką rozporządzał potędze, każdy ocenić mógł niebezpieczeństwo otwartéj i jawnéj opozycyi i każdy taić a skrycie tylko pielęgnować mógł swoję nienawiść.

Ale Bolesław miał jeszcze innego, nie mniéj zażartego i groźnego wroga. Był to jego rywal polityczny, czeski Wratysław. Nigdy dotychczas w naszych dziejach nie było przypadku, aby i czeski Przemyślida i polski Piast *równocześnie* z całą stanowczością podjęli myśl zjednoczenia zachodniéj Słowiańszczyzny. Teraz dopiero stworzył bieg wypadków taką kolizyą dążności i postawił przeciwko sobie równie zrazu możnych, jednakowo ambitnych, a do tego samego zmierzających celu książąt, którzy przez kilkanaście lat nieustannie i zacięcie z sobą się potykają. Szczęście raz tylko zawiódłszy Bolesława, stale mu potém służyło, dało potęgę i dało sprzymierzeńców, a *osamotniło Wratysława*, który niczego od króla niemieckiego obecnie spodziewać się nie mógł, a zwalczany i trapiony przez rywala nietylko musiał znosić *upokorzenie ambicyi*, nietylko widzieć się coraz daléj odsuwanym od swoich dalekich celów, ale nadto *obawiać się o całość i nawet o byt niezawisły swego państwa*, bo się zdawało, że orężowi Bolesława nic się nie ostoi, że los go swym wybrańcem uczynił, i nic poskąpi mu może spełnienia najśmielszych, najwyższych jego życzeń.

Wratysław jednak ilekroć na prostéj drodze spotykał trudne do pokonania przeszkody i zawały, nie lubił ich ryzykownie, przemocą przełamywać, lecz wolał obejść i do podstępu się uciec, tak,

że w swoim własnym kraju był uważany za człowieka chytrego i podstępnego, a raz już podszedł samego Bolesława, gdy się obawiał otwartéj z nim bitwy. Znał on też bezwątpienia wybornie wewnętrzne w Polsce stosunki i nawzajem polscy malkontenci wiedzieli o tém doskonale, że Bolesław jest wspólnym ich i czeskiego księcia nieprzyjacielem. Sympatyczniejszym był dla nich Wratysław, ponieważ pod jego rządami swobodniéj oddychały pokrewne możnowładcze żywioły czeskie, które już nieraz wbrew księciu na swojém zdołały postawić i zajmowały obok niego bardzo poważne, wpływowe stanowisko. Nie brakło nawet do pewnego stopnia i tradycyj, które-by pomost niejako rzucały między polskiém możnowładztwem a czeskim księciem, boć przecież nie jeden z tych rodów książęcych, których potomkowie stanowili wówczas najważniejszą część polskiéj arystokracyi, podlegał bezwątpienia niegdyś Przemyślidom, zanim przez podbój głównie Bolesława Chrobrego pod Piastów nie dostał się berło.

Jeżeli więc Bolesław takich wewnętrznych miał nieprzyjaciół, to *Wratysław nie sprzeniewierzył się swéj zwykłéj, właściwéj sobie taktyce*, szukając z nimi porozumienia, aby podstępnie i zdradą, gdy otwarcie nie zdołał, zgubić przeciwnika i odrazu zrealizować swoje do Polski pretensye, przybliżyć tak dotychczas odległy, lecz ciągle przyświecający cel zjednoczenia zachodniéj Słowiańszczyzny. Istotnie znalazł posłuch przynajmniéj u części malkontentów, a między innemi u krakowskiego biskupa Stanisława, który również był prawdopodobnie potomkiem książęcego, kto wié czy nie jakiego chrobackiego rodu, a mógł mieć nadto swe specyalne powody niechęci do króla. Spiskowcom chodziło o zwalenie Bolesława z tronu, a Wratysławowi nadto o sąsiednie Czechom polskie prowincye, przedewszystkiém ziemię krakowską. Zdrada i związki z Czechami nie były naturalnie tak karygodnym i hańbiącym występkiem, za jaki tego rodzaju krok uchodzić-by musiał w świetle naszych, dzisiejszych pojęć. Magnaci uważali to za jedyny sposób wyswobodzenia się z pod gniotącego ich absolutyzmu króla, a o zarzucie zdrady narodowéj mowy być nie może bez dopuszczenia się rażącego anachronizmu, skoro przecież polskiego narodu, poczuwającego się silnie do politycznéj łączności w tym czasie jeszcze nie było. Nigdzie zaś częściéj jak w państwach słowiańskich nie dzieje się, że niezadowolony brat lub krewny szuka schronienia w nieprzyjacielskim kraju i z jego pomocą zwalcza własny, a nie nazbyt to gorszyło ogół, z wyjątkiem interesowanych książąt (1).

---

(1) Na domysł o związkach biskupa Stanisława z Czechami wpadł już Czacki i zaznaczył go w przypisku do Historyi narodu polskiego Naruszewicza (wyd. J. N. Bobro-

Uknuty atoli w ten sposób spisek, przedwcześnie został odkryty i doszedł do uszu Bolesława. Strasznym zawrzał gniewem i wściekłością krewki i gwałtowny król. Z mściwéj jego ręki padło wielu winnych, wielu srodze za karę pokaleczonych zgniło w więzieniu. Między ofiarami zemsty królewskiéj znajdował się i biskup krakowski Stanisław. Był to niespodziewany obrót sprawy. Bolesław miał się teraz na baczności, a książe czeski się skompromitował. Ale katastrofa ta odwlokła tylko upadek Bolesława, nie zapobiegła mu jednak bynajmniéj. Sam Bolesław i teraz sobie zaszkodził. Niesłychane bowiem oburzenie wywołał okrutném przelaniem krwi wysokiego dostojnika kościelnego. Pochwycili tę sposobność pozostali malkontenci, którzy nie wdawali się w spiski z Wratysławem i dla tego uszli kary, a teraz rozszerzali niechęć ku królowi, pozbawili go zapewne przedewszystkiem poparcia ze strony rycerstwa i tak podkopawszy jego władzę, zmusili do ustąpienia z Polski. Możnowładztwo wyniosło na tron brata Bolesławowego, Władysława, który swoim słabym charakterem dawał rękojmią uległości, w obec tych, którym tron zawdzięczał. Ukazują się téż niebawem na widowni naszych dziejów postacie najwybitniejszych reprezentantów możnowładztwa, Sieciecha i Magnusa, a wkrótce potém i innych.

Nie udały się na razie księciu czeskiemu zdradliwe jego przeciw Polsce zamiary, ale nie dał on za wygrane i złożył całą nadzieję w królu niemieckim, który się powoli wydobywał z poniżenia i uzyskiwał przewagę nad papieżem i wewnętrznymi nieprzyjaciółmi. Wszędzie przy jego boku stoi teraz Wratysław i stara się przyśpieszyć tę chwilę, w któréj będzie mógł żądać od cesarza nagrody i poparcia swych planów. Wiadomo, co się stało w r. 1086. Nie dość było Wratysławowi tytułu króla czeskiego i polskiego; aby upozorować swe do Polski pretensye uciekł się *teraz do fałszerstwa*, *jak niegdyś zdradą* chciał się posłużyć. Tylko miejsce biskupa Stanisława

---

wicza, t. V, str. 80), twierdząc tutaj, jakoby Marcin Gallus „wyraźnie mówił, że Stanisław biskup miał zmowy z Czechami". Bielowski także w przypisku (do 27 rozdz. I ks. Galla Mon. Pol. I, str. 422) przyznał, że to twierdzenie Czackiego „jest słuszne co do istoty, pomylił się w tém tylko, że ufając zanadto swojéj pamięci powiedział, jakoby to wszystko znajdowało się wyraźnie w kronice Galla". Bielowski oparł swe twierdzenie, prócz odnośnego ustępu kroniki Galla, w rzeczywistości na liście, który uważał za pisany przez Wratysława do Bolesława Śmiałego (M. P. I, str. 364 i n.), a o którym obecnie nie ma żadnéj wątpliwości, że był to list arcyb. moguńck. Wesilo do Wratysława czeskiego, który wówczas znów poróżnił się około 1088 r. ze swym bratem Jaromirem. Tak zatém na innéj zupełnie podstawie niż w niniejszéj rozprawie, oparł i Czacki i Bielowski swe przypuszczenie, ale ani jeden ani drugi nie starał się go bliżej i dokładniéj rozwinąć i uzasadnić, tylko okolicznościowo w krótkim przypisku rzucił taki domysł.

zajął obecnie Jaromir praski, który przygotował podrobiony przywiléj, włączający do dyecezyi praskiéj oprócz Moraw, także znaczną część Polski, a *głównie całą ziemię krakowską*. Przywiléj łączono z imieniem św. Wojciecha, odnosząc w ten sposób pretensye swoje do czasu, kiedy istotnie ziemia krakowska (Chrobacya) wchodziła w skład monarchii czeskiéj. Ale i teraz zawiódł się Wratysław, bo łatwiéj było Henrykowi IV wkładać na głowy korony i zatwierdzać przywileje niż czynnie wystąpić w obronie pretensyj czeskich, które tak rażąco sprzeciwiały się interesom Niemiec. Umarł więc Wratysław, nie dopiąwszy ostatecznie swych celów, do których zmierzał wszelkiemi sposobami, a jedynym zabiegów rezultatem był czczy tytuł polskiego króla.

* * *

Nie mogłem mieć i nie miałem zamiaru, żeby upadek Bolesława Śmiałego, ten tak ciekawy dziejów naszych ustęp przedstawić i wytłómaczyć w sposób mało lub żadnéj wątpliwości nie pozostawiający, ponieważ wszystkie tego rodzaju usiłowania zawsze rozbijać się będą o jeden nie do usunięcia szkopuł: o brak dostatecznych świadectw źródłowych. Z tym atoli materyałem, który się daje wyzyskać i spożytkować, starałem się obchodzić stosownie do jego natury i charakteru. Przy tém zaś sądzę, że nie należy naukowéj wartości hypotezy mojéj, jak wogóle każdéj, oceniać tylko stopniem prawdopodobieństwa *pojedyńczych* szczegółów i argumentów, *zosobna* branych pod uwagę, dla tego, że chociaż każdy z nich w odosobnieniu może się wydać niejasnym i małomównym, to jednak *razem zestawione i powiązane nawzajem się oświecają i podpierają*. A nadto, dwa szczególniéj względy przemawiać powinny za wielkiém prawdopodobieństwem i słusznością mojego opowiadania.

Oto najprzód okres naszych dziejów pod panowaniem Bolesława Śmiałego i sama osobistość tego monarchy rysuje się, w świetle mojéj hypotezy, w daleko naturalniejszych konturach, pojedyńcze fakta wykazują daleko więcéj wewnętrznéj łączni i przyczynowéj zależności jednych od drugich, aniżeli we wszystkich dotychczasowych przedstawieniach, gdzie szczegóły szły luzem po sobie, a zawsze się narzekało na awanturniczego w Bolesławie Śmiałym ducha, i na niego spychało winę, że niepodobna w działalności tego króla dośledzić przewodniéj myśli. Dla tego, kiedy nareszcie wypadało przecież jakoś wyjaśnić upadek jego, *to sprowadzono z zachodu prądy*, które tak gwałtownie zalały *Polskę Bolesława II*, że nie ostał się przed nimi tron absolutny: tym zaś *rodzimym prądom*, które ciągle

dotąd wstrząsały naszém państwem i społeczeństwem, które ciągle dotąd wytykały kierunek naszemu rozwojowi historycznemu, *kazano się skryć pod ziemię*, aby ich korytem obce przepłynąć mogły.

Dla mojego opowiadania o panowaniu i upadku Bolesława Śmiałego starałem się przeciwnie znaleść punkt oparcia w dotychczasowym, głównym wątku historycznego rozwoju, tak wewnętrznych, społecznych, jak zewnętrznych politycznych stosunków naszych. I rzeczywiście, z tego wyszedłszy założenia, łatwo mi już było z przekazanych szczątków wiadomości o Bolesławie II stworzyć sobie szeroką podstawę dla walki ścierających się żywiołów i dążności, zrozumiéć w ich wirze stanowisko naszego króla, odczuć, jak-to on przylgnął duszą i sercem do świetnych po wielkim imienniku tradycyj, jak podniósł na nowo upadły sztandar zachodnio-słowiańskiego państwa, śledzić, jak skupiał pod nim wszystkie, które tylko zdołał siły, jak poszedł na Ruś i shołdował jéj książąt, przebył Karpaty i wygnał Salomona, a tę całą potęgę rzucił na Wratysława, i aż do czeskiego zapędził się lasu; jak wzniósłszy się do zenitu znaczenia i chwały, nie widział, że właśnie ta jego wielkość i ta pewność siebie, które kazały mu utwierdzać się w absolutyzmie a rozszerzać horyzont pragnień, zgotowały mu tak tragiczny upadek, jak może nie ma w dziejach naszych drugiego przykładu.

Powtóre, spójrzyjmyż wstecz na nasze dzieje jeszcze przed Bolesławem Śmiałym i zapytajmy: czémże jest teraz w tych dziejach okres lat między śmiercią Mieszka II a upadkiem Bolesława Śmiałego? Oto *okresem przejściowym, w którego połowie mniéj więcéj, z chwilą śmierci Kazimierza Odnowiciela kończy się proces genezy państwa Piastowskiego*, a rozpoczyna historya rozwoju zjednoczonéj Polski.

Bo jak każdy wielki proces dziejowy dokonywa się w ten sposób, że dawne tendencye ustępują miejsca u stanowczéj większości społeczeństwa nowym przekonaniom i dążnościom, tak i proces genezy państwa polskiego dobiegł swéj mety, z tą chwilą, kiedy separatystyczne tendencye, jakie ożywiały ludki lechickie, wprzęgnięte siłą w organizm monarchii Piastowskiéj, ustąpiły miejsca u stanowczéj większości ówczesnego społeczeństwa polskiego przekonaniu o konieczności zjednoczenia się w silne państwo, kiedy zatém większość społeczeństwa porzuciła dawne dążności i tradycye, przeciągające się z jego przedhistorycznéj epoki w pierwsze czasy naszéj historyi, a przejęła się nowemi ideami, tj. uznała istnienie wielkiego Piastowskiego, zjednoczonego państwa, jako konieczny warunek swego bytu i tém samém poczuwać się poczęła między sobą do powinowactwa interesów. Taki zaś przełom w dążnościach społeczeństwa, zwłaszcza pierwotnego, nie następuje nigdy drogą

samej pokojowej, świadomej celu, chociaż by najgorliwszej propagandy, lecz zawsze jest następstwem krwawego doświadczenia. *Reakcya* ku końcowi życia i *po śmierci Mieszka II* ma właśnie w dziejach naszych znaczenie strasznego i krwawego doświadczenia, które *umożliwiło przewrót w przekonaniach naszego pierwotnego społeczeństwa, a pokojowe lata rządów Kazimierza I*, po uskutecznieniu restauracyi państwa polskiego, przez zwalczenie mazowieckiego Mieczysława, *kryją w sobie doniosłą niezmiernie treść*, *ponieważ w ciągu tego czasu większość naszego społeczeństwa*, *wziąwszy rozbrat z separatystycznemi tendencyami*, *uznała potrzebę istnienia zjednoczonej Piastowskiej monarchii*. *Odtąd* też, po dokonaniu genezy państwa polskiego, w łonie naszego społeczeństwa zaczynają się objawiać *nowe prądy*. Masy ludu odstąpiły swoich przewodników, ku którym dotychczas kierowały swe sympatye, tj. potomków dynastycznych rodów lechickich, a przywiązywały się do Piastów, jako wybawców z niedoli. Najwyższa zaś warstwa społeczna, rekrutująca się z owych książęcych potomków, a uzupełniająca powoli przez jednostki, które wypływają na wierzch w służbie panującego księcia i kościoła, porzuca myśli o powrocie do udzielnej władzy, lecz dąży do uprzywilejowanego stanowiska w państwie obok księcia, do ograniczenia absolutyzmu książęcego.

Najwspanialszém, rzeczywiście imponującém zjawiskiem w okresie téj genezy naszego państwa był olbrzymi rozkwit monarchii Piastowskiéj za Bolesława Chrobrego. Stąd też *tradycya* o jego czasach stała się *dziejowym czynnikiem* dla następnych pokoleń. Ani jednak w czasie Mieszka II, ani za bezkrólewia po jego śmierci, ani też w ciągu restauracyjnych zabiegów Kazimierza I nie znalazła korzystnych dla siebie warunków i ustąpić musiała chwilowo przewadze donioślejszych innego rodzaju czynników, aby swój wpływ objawić dopiero wówczas, kiedy w Polsce wzmocnionéj, odnowionéj obudzić się mogła i musiała tendencya do wzrostu i rozszerzenia potęgi, tendencya, któréj piastunem nie mógł być oczywiście w tych czasach nikt inny jak tylko panująca dynastya, a dla któréj drogowskaz był gotowy we wspomnieniach o Bolesławie Chrobrym.

Nad Bolesławem Śmiałym zawisło więc nieszczęsne fatum dziejowe, że jemu taka rola przypadła, że jego wola, ambicya i działalność obracała się *wyłącznie* w szrankach, przekazanych mu z przeszłości tradycyj o wielkim pradziadzie. Bolesław Śmiały istotnie odżywił te tradycye, ale wykopał przez to sam dla siebie przepaść, w którą nareszcie musiał runąć, sprowadziwszy swoją polityką gwałtowną kolizyą interesów, z jednéj strony między Piastami a Przemyślidami, z drugiéj między tronem a najwyższą warstwą społeczną, która jedynie obok księcia poszczycić się mogła pewném wykształ-

ceniem polityczném i szerszą ambicyą. W wynikłéj stąd katastrofie starły się zatém z sobą dawne tradycye z nowemi ideami i dążnościami, jakie się w naszém społeczeństwie zrodziły i ostatecznie zwyciężyły, jaką drogą, widzieliśmy.

Lecz nie zwyciężyły stanowczo i nie zapanowały odrazu wszechwładnie. Tego nie jest w stanie dokonać żadna rewolucya, która co najwięcéj utorować może tylko drogę nowym dążeniom. Chociaż zatém upadek Bolesława Śmiałego był klęską dla absolutyzmu Piastów, nie zdołał jednak natychmiast utrwalić rządów możnowładczych i już w kilka lat potém objawiła się pewna przeciw nim reakcya. Jéj reprezentantem jest Sieciech, usuwający od wspólnictwa w rządach te żywioły, z pośród których sam na wierzch się wydobył, i zmierzający do przywrócenia absolutnéj, ale w jego ręku skupionéj władzy. Nie był naturalnie w możności taki cel osiągnąć, ale rola, jaką odegrał w dziejach naszych jest świadectwem, jak zwolna, wśród nieustannych walk i zapasów jedne dążenia tracą siłę a inne ją uzyskują. Monarsza władza Bolesława III jest jeszcze dość znaczną i rozległą, lecz nie tak nieograniczoną i wyłączną, jak za drugiego Bolesława, gdyż *obok niéj* stoi już potężny zastęp możnowładztwa, dla którego śmierć Bolesława Krzywoustego otwiera nową erę: *przewagi nad książęcym tronem.*

Upadek Bolesława Śmiałego był jednak nietylko klęską absolutyzmu piastowskiego, lecz również pociągnął za sobą doniosłe i przeważnie smutne dla mas ludu wiejskiego następstwa. Albowiem z jednéj strony możnowładztwo polskie, duchowne i świeckie, poddawało masy ludu, dotychczas zależnego na równi z panami wprost od władzy monarszéj, w coraz ściślejszą od siebie zawisłość, przenosząc wpływ swój i przewagę, zdobywane na utorowanéj upadkiem Bolesława drodze, na pole stosunków ekonomicznych i społecznych. Z drugiéj zaś strony wybuchają niebawem w Polsce wojny domowe, ponawiające się ze spotęgowaną gwałtownością po śmierci Krzywoustego. Są to otwarte upadkiem Bolesława Śmiałego zapasy między władzą monarchiczną a polskiém możnowładztwem, które stara się utrwalić stworzony testamentem Bolesława Krzywoustego podział Polski na dzielnice. Książęta dzielnicowi, osłabieni utratą nieograniczonéj władzy nad jedną warstwą społeczną, zmuszeni dzielić na kilka części pomiędzy siebie skupioną przedtém w jednéj dłoni władzę nad całym krajem, odarci z blasku i korzyści, jakich źródłem była przewaga i panowanie Polski nad sąsiednimi, zamożnymi krajami w czasach Chrobrego i Śmiałego, czerpią całą swą materyalną potęgę i wszystkie zasoby do krwawych walk wewnętrznych z pracy, mienia i krwi mas podległego im ludu,

na który spada teraz całe brzemię ciężarów publicznych. Historya synodu, odbytego w Łęczycy (1177 r.)[1] dostarcza charakterystycznych rysów do poznania i ocenienia zmian, które się dokonały w doli i stosunkach mas ludu w ciągu 100 lat po upadku Bolesława Śmiałego. Jak bowiem z jednéj strony synod ten inauguruje program możnowładztwa, na razie i najprzód duchownéj jego połowy, zmierzający ku rozszerzeniu i wzmocnieniu władzy nad ludnością w jego dobrach osiadłą, a dotychczas podległą bezpośrednio władzy książęcéj, tak z drugiéj strony ilustruje udręczenie chłopów, w których obronie episkopat polski zmuszony był publicznie wystąpić.

I dla zewnętrznych z Czechami stosunków jest upadek Bolesława Śmiałego punktem zwrotnym, gdyż odtąd ustaje zawzięta rywalizacya, a ponawiające się więcéj niż w dwa wieki potém próby połączenia obu państw w jedno, już inny noszą charakter i z innych wynikły przyczyn. Ale chociaż żadne z nich na byt drugiego już nie nastaje w ten sposób jak dotychczas, to przecież na terytoryum granicznych między Polską a Czechami prowincyj stacza się walka między czeskim a polskim wpływem i Szląsk, Czechom najbliższy, coraz się więcéj ku nim chyli, z nimi łączy, od Polski odpada.

Franciszek Stefczyk.

NOWO-KANTYZM

JEGO RODOWÓD I ZNACZENIE.

Nie pierwszy to raz zdarza się w dziejach filozofii, że spekulacya metafizyczna, wyczerpawszy się w jakimś kierunku i nie znajdując nowych dróg przed sobą, powraca na stanowisko, które już niegdyś opuściła. Świeżym przykładem takiego powrotu do przeszłości jest najnowszy kierunek filozofii niemieckiéj, która, uznawszy dotychczasowe swe usiłowania za kręcenie się w zaklętem kole złudzeń, cofa się do Kanta i w jego nauce szuka zbawienia dla siebie.

Ponieważ kierunek ten nie ogranicza się na samych tylko Niemczech, lecz objawia się także w Anglii, Francyi, Włoszech, a nawet w Ameryce; wnosić by więc można, że „powrót do Kanta jest rzeczywiście powrotem do takiego sposobu pojmowania zagadnień filozoficznych, który zostaje w najściślejszym stosunku do potrzeb czasu, który pozwala przynajmniéj spodziewać się po sobie nowego tych zagadnień rozwiązania.“

O ile jest słuszném powyższe zapatrywanie się na filozofią Kanta, wypowiedziane przez jednego z jéj angielskich zwolenników, Roberta Adamsona, przekonamy się o tém w następstwie; tymczasem musimy zgodzić się, że fakt takiéj wagi, jakim jest zwrót do Kantyzmu, nie dzieje się bez ważnéj i głębokiéj przyczyny, że przezeń wypowiada się pewna potrzeba czasu, pewne wymagania umysłu ludzkiego, którym filozofia Kanta pod jakimś względem musi odpowiadać.

Najbliższą przyczyną powrotu do Kanta w Niemczech jest kierunek filozofii, jaki jéj nadali bezpośredni uczniowie królewieckiego mędrca—Fichte, Schelling i Hegel. Kierunek ten stanął w tak rażą-

céj sprzeczności z wynikami nauk przyrodniczych i z objawami życia rzeczywistego, że dalsze jego trzymanie się byłoby prostém zaślepieniem i majaczeniem na jawie.

Jak wiadomo, punktem wyjścia dla filozofii Fichtego, Schellinga, Hegla i Schopenhauera była nauka Kanta o rzeczy samej w sobie. Według niéj poznaniu ludzkiemu dostępne są tylko zjawiska rzeczy, czém zaś jest rzecz w saméj sobie, jaka jest jéj istota, o tém umysł ludzki nic wiedziéć nie może i wszelkie kuszenie się o rozwiązanie téj zagadki naraża myśl ludzką na sprzeczności, z których nie potrafi wywikłać się. Jedynym więc przedmiotem wiedzy ludzkiéj są zjawiska i nic więcéj tylko zjawiska; do poznania ich zaś prowadzi nas doświadczenie, składające się z dwóch czynników: z gotowych form myślenia i z materyału wrażeniowego, pochodzącego od rzeczy w sobie saméj.

Jakby na przekór téj nauce i zawartym w niéj przestrogom, bezpośredni uczniowie Kanta zajęli się właśnie odgadywaniem tego, co mistrz ich uznał za niezbadalne, za niedostępne poznaniu ludzkiemu, czém jest rzecz w sobie saméj. Ponieważ do rzeczy w sobie saméj, przed naszemi zmysłami zakrytéj i leżącéj przeto za obrębem wszelkich z nami stosunków, drogą doświadczenia dotrzeć nie można, więc postanowiono dostać się do niéj za pomocą czystego myślenia drogą dyalektyki. Tym sposobem rzucono się w sam wir metafizycznych dociekań. Zamiast wprzód zbadać, czém jest rzeczywistość w swych widomych, konkretnych objawach, jakie są prawa, rządzące temi objawami, i dopiero wtedy wyprowadzać wnioski, dotyczące istoty rzeczy; postąpiono sobie wręcz przeciwnie. Zabrano się przedewszystkiem do rozwiązania zagadnienia: czém jest rzecz w sobie saméj, jaka jest istota rzeczywistości, ażeby następnie drogą dedukcyi wykazać konieczność wszystkich form bytu, wszystkich zjawisk świata. Zgodność myślenia z sobą była jedynym dla tych wywodów sprawdzianem. Dla tego też Fichte nie zawahał się wygłosić zdania, że „nauka wyprowadzi niezależnie od wszelkiéj obserwacyi budowę źdźbła, jako też ruchy ciał niebieskich z prostych zasad wiedzy.“

Łatwo przewidzieć, do jakich wyników doprowadzić musiała tego rodzaju filozofia.

Kant uczył, że rzeczywistość stanowią *ja* i *nie ja*, podmiot i przedmiot; że zatém, jakkolwiek rzeczywistość, o ile ją znamy i pojmujemy, jest naszém wyobrażeniem, na wyobrażenie to wszakże składają się dwa niezależne od siebie czynniki: materyał wrażeniowy, którego dostarcza naszemu myśleniu za pośrednictwem zmysłów rzecz

sama w sobie, i myślenie z danemi formami *a priori*, za pomocą których przerabia ono materyał i uporządkowuje go.

Fichte zniósł rzecz w sobie saméj i zawyrokował, że jedyną rzeczywistością jest samo tylko *ja*, które trworzącym aktem myślenia, ale myślenia bezświadomego, stwarza dla siebie tak formy *a priori*, jako też materyał wrażeniowy i w ten sposób przychodzi tak do świadomości siebie, jako też do poznania przedmiotowego, do wiedzy. Rzeczywistość zatém jest nietylko naszém wyobrażeniem, ale nadto dziełem absolutnego *ja*, leżącego na dnie myślenia indywidualnego.

Schelling, niezadowolony z takiego wywodu, cofnął się do stanowiska Kanta, twierdząc, że tak *ja*, jak i *nie ja*, są rzeczywistemi. Przyczyną ich jest rozum najwyższy, bezosobowy, jest zasada równa sobie i obojętna, do żadnego z nich niepodobna. Natura jest tym rozumem o tyle, o ilę istnieje; umysł jest tym rozumem o tyle, o ile myśli. Tak umysł, jak i natura rozwijają się podług tych samych praw. Dzieje ich rozwoju stanowią rozwój absolutu. Do poznania absolutu, a tym samém i do zrozumienia dziejów świata potrzebna jest intuicya umysłowa.

Hegel, wychodząc z tego samego stanowiska, również przyjmuje podmiot i przedmiot, jako byty rzeczywiste, a właściwiéj jako formy tego samego bytu, którym jest idea bezwzględna. Odrzuca jednakże intuicyę umysłową, uznając za jedyną drogę wiodącą do poznania, dyalektykę czystego myślenia. Za pomocą téj dyalektyki myślenie czyste rozwikłowywa wewnętrzną treść swoją i w ten sposób, dobierając się do coraz wyższych kategoryj, rozpatruje się w sobie i przychodzi do pełnéj siebie świadomości, jako rozum bezwzględny. Świat cały, jak się on nam przedstawia w nieskończonéj rozmaitości swych zjawisk, jest objawem owego rozumu bezwzględnego, który w świecie fizycznym działa jako siły ślepe i głuche w sobie: w kamieniu, jako siła kształtująca, w organizmach, jako siły żywotne, aż nareszcie w człowieku przychodzi do zupełnéj siebie świadomości. Objawem tegoż samego rozumu bezwzględnego jest życie państwowe i dzieje całéj ludzkości. We wszystkich tych objawach unaocznia się ten sam proces dyalektycznego myślenia, jaki odnajdujemy w działaniu myśli ludzkiéj. Stąd dzieje przyrody i ludzkości są niejako odbiciem logiki myślenia ludzkiego i dla tego „wszystko, co jest ruzumne, jest też i rzeczywiste, a co jest rzeczywiste, musi być rozumne.“

W systemacie Hegla spekulacya metafizyczna doszła do najwyższego szczytu, ziściła wszystko, co ziścić mogla, wyczerpała cały zasób pomysłowości, na jaki stać było bujną i niekrępującą się za-

dnemi względami na rzeczywistość fantazyą. Zmierzyła ona cały obszar wiedzy ludzkiéj, uporządkowała ją podług logicznych kategoryj, wypełniła wszystkie jéj luki i podała zdumionéj ludzkości dokładny plan stworzenia we wszystkich jego szczegółach w najdoskonalszém powiązaniu. Daléj myślenie czyste sięgnąć już nie mogło. Zresztą, dumne z osiągniętych nabytków, nie widziało nawet potrzeby dalszych dociekań. Wszakże prawda bezwzględna była już w jego posiadaniu.

Dzisiaj, kiedy sprawy realnego życia pochłaniają całą naszę uwagę, kiedy myśl nasza przyuczyła się pilnie rachować z wypadkami doświadczenia, trudno nam zrozumiéć, jak mogła zapanować nad umysłami swego czasu filozofia, która, przepuściwszy rzeczywistość przez sitko subtelnéj dyalektyki, zamieniła ją na czczą i pustą marę, w téj marze kazała widziéć prawdę bezwzględną. Nie trzeba atoli zapominać, że każda filozofia jest wyrazem umysłowego nastroju pewnéj epoki, jest wypadkową niejako panujących w danym czasie prądów cywilizacyjnych. Spekulacya niemiecka onego czasu jaknajściśléj zgadzała się z romantycznym kierunkiem oświaty i zadość czyniła wszystkim jego wymaganiom. Byłato filozofia w całém znaczeniu tego wyrazu romantyczna. Jakoż rozpatrzywszy się w niéj pilnie, nie wiemy, czemu mamy się bardziéj dziwić, czy fantastyczności pomysłów, nierzadko wzniosłych, ale zawsze prawie szalonych, czy subtelności i ścisłości wywodów logicznych, godnych średniowiecznego scholastycyzmu.

Bądź co bądź, filozofia Hegla, najbardziéj wykończona ze wszystkich systematów spekulacyi niemieckiéj, została uznaną za ostateczny wyraz prawdy, za koronę wszelkich dotychczasowych usiłowań ludzkości na polu filozoficznego myślenia. Nie dziw więc, że zawróciła ona głowy Niemców, którzy uwierzyli, że są narodem wybranym, wcieleniem idei bezwzględnéj, ogniskiem oświaty i całego ruchu dziejowego ludzkości.

Ale jeżeli wielka była duma Niemców z posiadania mądrości heglowskiéj, przed którą obce nawet narody kornie pochyliły głowy; nie mniejszém także było późniejsze upokorzenie, jakiego doznali, gdy się okazało, że cała budowa heglowskiéj mądrości, zdumiewająca rozmiarami i architektonicznym porządkiem, nie jest czem innném, jak zamkiem na lodzie, jak wytworem fantazyi, wprawdzie wspaniałym, ale pozbawionym gruntu i na nic nieprzydatnym. Upadek ducha, zwątpienie we własne siły musiały nastąpić wskutek tego rozczarowania. Stąd pochodzi owa jałowość, jaką się odznaczają wszystkie późniejsze wysiłki spekulacyi niemieckiéj.

Upadek heglowskiéj filozofii zaczyna się ze śmiercią jéj twórcy. Bezpośredni jego uczniowie pierwsi podważyli jéj fundamenty. Kiedy jedni z nich, docierając do ostatecznych jéj konsekwencyj, zaczęli głosić krańcowe pojęcia, zasady, które zdawały się zagrażać panującemu porządkowi rzeczy; to inni, obawiając się zgubnych następstw heglowskiego radykalizmu, stanęli w obronie tradycyj i uświęconych form bytu społecznego. Tak jedni, jak i drudzy, występując z tych samych założeń, ustanowionych przez Hegla, odwoływali się do jego powagi i ogłaszali się za wiernych tłómaczów jego myśli. Wobec tego sporu zaciętego, w którym chodziło o to, jak należy rozumiéć i tłómaczyć naukę Hegla, sporu bez końca i bez dodatniego rezultatu, nie mogła nie zachwiać się powaga zmarłego mistrza. Ogół, świadek nieczynny tego sporu, musiał stracić wiarę w nieomylność swego mędrca, a to tém bardziéj, że nauka jego tak w jednem, jak i w drugiém przedstawieniu, żywo obrażała uczucia i zapatrywania jednostek i całych stronnictw. Nareszcie ostateczny cios zadały jéj wypadki polityczne z 1848 r. i rozwój nauk przyrodniczych.

Ruch ludów w r. 1848, który wstrząsnął całą Europą w jéj podstawach, był dla Niemców czemś nakształt burzy letniéj, rozpędzającéj nagromadzone w powietrzu miazmaty i odświeżającéj zatęchłą i usposabiającą do snu atmosferę. Huk armat, odpowiadający ludom na ich upominanie się o swe prawa, rozbudził Niemców z ich metafizycznéj drzemki. Spojrzawszy na świat trzeźwiejszém okiem, łatwo mogli się przekonać, że nie wszystko co jest rzeczywiste, jest już przez to samo i rozumném, jak również, że nie wszystko, co jest rozumne, może się stać rzeczywistém. Drogą ciężkiego doświadczenia dowiedzieli się, że życie ludzkie, że dzieje ludzkości mają własną swą logikę, która szydzi sobie z dyalektycznéj tezy, antytezy, i syntezy, że do poznania téj logiki potrzebna jest przedewszystkiém znajomość warunków życia.

Ze swéj strony, nauki przyrodnicze, które w tym czasie znacznie były postąpiły, wykazały rażącą sprzeczność między wywodami berlińskiego mistrza, a wypadkami doświadczenia. Wykryte przez nauki przyrodnicze prawa natury nie miały nic wspólnego z logicznemi formułkami jego filozofii natury.

Fatalne bankructwo filozofii Hegla, zdawałoby się, powinno było uleczyć Niemców raz na zawsze z ich mrzonek metafizycznych, powinno było przekonać ich, że gruntem wszelkich wniosków i przypuszczeń jest poznanie rzeczywistości widoméj, że filozofia, pozbawiona naturalnéj swéj podstawy, jaką jest doświadczenie, musi skończyć albo na marzycielskiem mistycyzmie, albo na oschłym schola-

stycyzmie. Ale za długo przebywali oni w mglistych sferach metafizycznéj spekulacyi, ażeby odrazu mogli się strząsnąć z uroku, jaki miały dla nich pomysły Fichtego, Schellinga i Hegla.

Łatwo nam dzisiaj krytykować te pomysły i wykazywać ich błędy; z tém wszystkiém musimy przyznać, że jest w nich jakaś siła imponująca, któréj współczesnym, wychowanym w duchu tych pomysłów, niepodobna było oprzeć się. Dla tego też, chociaż wygłoszono nowe hasło, pod którém filozofia miała odtąd rozwijać się, hasło to pozostało tylko teoretyczną maksymą, która nie wiele zmieniła bieg rzeczy.

Powiedziano sobie, że prawda leży nie w saméj tylko zgodności myślenia z sobą, ale nadto w zgodności jego ze światem. Nie umiano atoli wynaleść właściwéj drogi, któraby zdolna była doprowadzić do praktycznego téj zasady rozwiązania. Zawsze jeszcze pozostawało panującém przekonanie, że, co pochodzi z doświadczenia, to jest tylko przypadkowem i nie ma w sobie żadnéj rozumnéj konieczności, że zatém całe doświadczenie musi być podporządkowaném pod pewne prawdy, które człowiek drogą intuicyi, za pośrednictwem zmysłu wewnętrznego, odkrywa we własnym umyśle. Stąd za punkt wyjścia dla całéj filozofii po upadku Hegla służyły pewne pojęcia metafizyczne, uświęcone tradycyą, a na fakty doświadczenia powoływano się na to tylko, ażeby swém świadectwem stwierdzały prawdziwość dogmatów z góry przyjętych. Filozofia ta, znana pod nazwą idealnego realizmu, pozbawiona jest wszelkiéj samodzielności i w budowie swéj jest najzwyklejszym eklektyzmem. Przerabiano w niéj w najrozmaitszy sposób poglądy Fichtego, Schellinga i Hegla, bądź łącząc je razem z sobą, bądź sztukując je pojęciami, dawniejszych filozofów. Nauki zaś przyrodnicze odgrywały w niéj rolę jasełek, w których figurki poruszają się podług ułożonego planu i milcząc, pozostawiają głos za siebie ukrytemu reżyserowi.

Zupełny brak samodzielności, uboga pomysłowość stanowią wybitną cechę wszystkich dzieł filozoficznych tego kierunku. Twórczość filozoficzna Niemców wyczerpała się do dna. Oprócz szkoły Herbarta, która, stanowiąc jednolity zastęp, stworzyła doświadczalną psychologią, oprócz badaczów, którzy wzięli sobie za zadanie zgłębienie przeszłych dziejów filozofii tak w ich całości, jakotéż w pojedyńczych ich momentach, wszyscy filozofowie owego czasu zajęci byli każdy na własną rękę rozsnuwaniem pajęczéj tkanki myślenia na temat metafizyczny w duchu spirytualistycznym. Nie brakowało wśród nich pewnych talentów, ale żaden z nich nie potrafił zaimponować swemi pomysłami tak dalece, ażeby mógł około siebie zgro-

madzić zastęp współwyznawców i naśladowców. Każdy z nich występował z własną swą filozofią, która w gruncie rzeczy była tylko przeróbką starych pomysłów, na stary sposób umotywowanych.

Tymczasem nauki przyrodnicze rozwijały się szybko, wzbogacając wiedzę ludzką nowemi prawdami, wywołując w społeczeństwie nowe potrzeby, zaprowadzając ważne zmiany w warunkach życia i dążnościach. Dążności tych nie podobna było pomijać, gdyż one stały się tłem i podstawą uczuć i myśli ogółu. Filozofia jednakże nie zwracała na nie uwagi i lekceważyła sobie wypadki nauk przyrodniczych, które doszły do wniosków wręcz przeciwnych jéj założeniom. Przyszło więc do tego, że wytworzył się zawzięty antagonizm między filozofią wogóle, a naukami przyrodniczemi. Przyrodnicy z pogardą spozierali na filozofów, uważając ich za zwykłych maniaków, z którymi wszelkie porozumienie się jest niemożliwém; nawzajem filozofowie, odpłacając się piękném za nadobne, traktowali przyrodników, jako grubych empiryków i materyalistów, którzy znają się tylko na tém, co im zmysły podają i nie mają prawa głosu w zagadnieniach filozoficznych. A jakkolwiek nie każdy z przyrodników ma być już przez to samo materyalistą, znaleźli się przecież wśród nich i tacy, którzy utożsamiwszy z przyrodoznawstwem materyalizm, uznali go za jedyną filozofią, godną rozumu ludzkiego i odpowiadającą wymaganiom czasu. Jako apostołowie jego wystąpili Czolbe, Moleschot, Vogt i Büchner.

Rozpoczęła się walka na wszystkich punktach, walka zaciekła, któréj koniec łatwym był do przewidzenia. Kiedy materyalizm, przejęty na wskroś duchem czasu, wywiesił chorągiew z godłem wolności politycznéj i sumienia, i odwołał się do mas, których językiem przemawiał; to filozofia, obładowana martwą erudycyą, posługująca się językiem rozwlekłym i upstrzonym niezrozumiałą terminologią, stanęła w obronie powagi i tradycyi. Na fakty doświadczenia, których nie można było zaprzeczyć, które były jawne i zrozumiałe dla wszystkich, odpowiadała filozofia subtelnościami dyalektycznemi i sofizmatami, które nikogo nie mogły nawrócić. Gdy nadto materyalizm każdy dowód rozumowy umiał jeszcze zaostrzyć dowcipem lub zaprawić gryzącą wonią—filozofia z całym swym rynsztunkiem średniowiecznego scholastycyzmu została ośmieszoną i straciła zupełnie wiarę u ogółu. Musiała w końcu uznać, że metafizyczne stanowisko nie da się obronić, że nie potrafi pokonać materyalizmu samemi wywodami logicznemi, ani też z dołu odstraszyć od niego ogółu, wykazywaniem groźnych jego następstw, które robiły wrażenie malowanych smoków, jakiemi ongi chińczycy usiłowali przestraszyć europejczyków, kartaczujących ich szeregi.

Przypomniano sobie wtedy starego Kanta i jego opozycyą przeciwko metafizyce, jego naukę, że rozum ludzki musi jak najściślej trzymać się granic doświadczenia, po za któremi czeka go złuda i sprzeczności bez wyjścia. Przypomniano sobie także, że nauka Kanta okazała się w swoim czasie bardzo skuteczną w zwalczeniu materyalizmu, który właśnie wtedy dopiero podniósł znowu głowę, gdy tradycya téj nauki została zatraconą w powodzi spekulacyj metafizycznych. Nie pozostawało więc, jak zaprzéć się wszystkiego co dotąd zrobiono, i powróciwszy do Kanta, rozpocząć pracę na nowo. Jakoż w r. 1856 po raz pierwszy dało się słyszeć hasło: powrót do Kanta. Że ten powrót nie mógł się dokonać bez pewnego upokorzenia wewnętrznego, świadczy o tém najwyraźniéj niechęć i lekceważenie, z jakiém nowi kantyści odzywają się o całym okresie filozofii po-kantowskiéj.

Nawoływanie do nawrotu znalazło najniespodziewaniéj poparcie ze strony, z któréj najmniéj można było tego się spodziewać, bo ze strony nauk przyrodniczych.

Główni przedstawiciele przyrodnictwa w Niemczech, Helmholtz, Virchow, Du - Bois - Raymond i inni, drogą ścisłych badań doszli do uogólnień, które ich oddaliły od materyalizmu, ale za to zbliżyły do stanowiska Kanta. Fizyologia zmysłów przekonała ich, że wyobrażenia nasze o świecie nie odpowiadają rzeczywistości, która, zanim się stanie naszém wyobrażeniem, ulega zupełnemu przeistoczeniu, jakiego doznaje, przechodząc przez organa zmysłów, jako ich bodziec, i przemieniając się na akt czysto psychiczny, jako wrażenie i wyobrażenie świadome. Poznawać więc możemy tylko objawy rzeczy; saméj zaś rzeczy, jaką ona jest w sobie, zbadać nie jesteśmy w stanie.

W ten sposób powrót do Kanta był zdecydowany. Pozostawała jeszcze tylko wątpliwość, w jakim kierunku ma być ów powrót uskutecznionym.

Wątpliwość tę usunął na razie Lange, który w r. 1857 wydał dzieło: „Historya Materyalizmu“.

Dzieło to, poświęcone przedmiotowi, który wtedy najbardziéj wszystkim leżał na sercu, rozbierające krytycznie wszystkie założenia materyalizmu, jak one wywijały się z jednego wątku w dziejowym rozwoju ludzkości, odznaczało się wiedzą tak obszerną, taką bystrością, a zarazem bezstronnością sądów i wykładem tak pełnym życia, wolnym od wszelkiéj pedanteryi, że od razu zyskało największą popularność w Niemczech. Rozbrajało ono wprawdzie materyalizm, wykazując niesłuszność jego uroszczeń, i w ten sposób od-

dawało znakomitą usługę filozofii; ale jednocześnie wyjaśniało jego cywilizacyjne znaczenie i wskazywało. w jakich granicach ludzkiego poznania jest on prawomocnym, czém zjednywało sobie najzagorzalszych wyznawców samegoż materyalizmu. Ponieważ napisane było w duchu kantowskim, więc powodzenie jego zostało policzoném na rachunek filozofii Kanta. Nie było ono atoli wiernem jéj powtórzeniem. Lange, stosując zasady Kanta do wyników doświadczenia, zachował z nich te tylko, które uznał za konieczne do nadania swym poglądom charakteru idealistycznego. W ten sposób stał się on założycielem kierunku, który można-by nazwać pozytywizmem idealnym, a który dla tego, że się opiera przeważnie na Krytyce Czystego Rozumu, znanym jest powszechnie, jako Neo-Kantyzm.

Kierunek ten jest obecnie panującym w Niemczech. Wątpić jednakże należy, żeby zdołał długo się utrzymać. Wywołany koniecznością walki z materyalizmem, wraz z nim musi on ustąpić z widowni dziejowéj. Sam przez się nie posiada warunków bytu. Jakoż w obecnéj chwili zdradza on już wewnętrzną słabość. Jakkolwiek trwa już blisko lat trzydziestu, jakkolwiek ogromny zastęp pracowników krząta się niezmordowanie nad jego ugruntowaniem, pozostaje on dotąd tak dalece nieokreślonym w swych założeniach, że nie podobna o nim mówić, jako o doktrynie wykończonéj, jako o systemacie filozoficznym, mającym podstawy ustalone. Jest-to wprawdzie kierunek, który bierze swój początek w Krytyce Czystego Rozumu, ale który nie trzyma się ściśle jéj zakresu, a co więcéj, w dalszym swym przebiegu rozchodzi się na tyle dróg i ścieżek, ile jest pracowników. Każdy z główniejszych przedstawicieli neo-kantyzmu tłómaczy i przerabia Kanta na swój sposób, przyjmując jedną z jego zasad, a odrzucając inne, wprowadzając do jego nauki poprawki, których inni znowu nie przyjmują. Nie dość na tém, sam charakter pozytywny, jaki temu kierunkowi nadał Lange, zaczyna wywoływać opozycyą ze strony tych, którzy nie chcąc zrezygnować z metafizycznych dociekań, upatrują w „Krytyce Praktycznego Rozumu“ nowe ich ugruntowanie. Nie brak nareszcie i takich, co widzą w filozofii Kanta całość jaknajdoskonaléj powiązaną, z któréj nic ująć, ani téż nic do niéj dodać nie można—i dla tego całe zadanie dzisiejszéj filozofii pragnęli-by ograniczyć do prostego jéj komentowania i rozwijania jéj zasad.

Dla tego téż, pragnąc ocenić, w jakiéj mierze nowy ten zwrot filozofii niemieckiéj odpowiada potrzebom czasu, wymaganiom dzisiejszéj wiedzy, musimy z konieczności cofnąć się do samego źródła, do filozofii Kanta i poddać ją ścisłéj krytyce. W niéj bowiem za-

wierają się pierwiastki, jakie odnajdujemy we wszystkich odcieniach nowego kantyzmu, przedstawione z mniejszém lub większém uwydatnieniem.

Przedewszystkiém musimy uprzytomnić sobie, jaka-to myśl przewodniczyła Kantowi w jego pracy.

Rozpatrując się w dziejowym rozwoju filozofii, spostrzegł on, że metafizyka od najdawniejszych czasów, kręcąc się ciągle w kółku tych samych pytań i odpowiedzi, pozostaje zawsze na tém samém stanowisku i żadnego postępu nie robi.

Spostrzeżenie to nasunęło mu pytanie, które stało się nicią przewodnią jego badania, a mianowicie: w czém leży przyczyna niepłodności metafizyki? Czy w tém, że przedmiot metafizyki jest wogóle niedostępnym dla umysłu ludzkiego, czy może w tém, że zapatrywano się na jéj zagadnienia z niewłaściwego stanowiska?

Ażeby rozstrzygnąć tę wątpliwość, potrzeba było zbadać, jakie są warunki ludzkiego poznania. Zbadaniem tych warunków zajmuje się właśnie „Krytyka Czystego Rozumu“.

W badaniach swych Kant postępuje drogą empiryczną. Ponieważ nie przyjmuje on wewnętrznéj obserwacyi, za pomocą któréj można-by poznawać bezpośrednio działania rozumu, więc zwraca się do jego objawów, do wyobrażeń, pojęć, sądów i wniosków, i w nich stara się odkryć warunki, oraz granicę poznania. Punktem zaś wyjścia i osią całéj „Krytyki Czystego Rozumu“ jest nauka o prawdach rozumowych i doświadczalnych.

Nauka ta głosi, że to, co jest konieczném i powszechném, pochodzi z rozumu, daném mu jest *a priori*; co zaś jest przypadkowém i zmienném, pochodzi z doświadczenia, daném jest rozumowi *a posteriori*. Dowodem prawdziwości téj nauki są: matematyka i czysta fizyka, któréj prawdy nie pochodzą z doświadczenia, ale z czystego rozumu. Stosując tę naukę do poznania ludzkiego, odróżnia w nim Kant dwa czynniki: czysto rozumowy, stanowiący jego formę i doświadczalny, będący jego materyałem. Formy te, które rozum czysty dodaje za pomocą sądów syntetycznych *a priori* do materyału doświadczalnego i przerabia go na poznanie, są: czas i przestrzeń, będące formami poglądu zmysłowego; kategorye myślenia, jak ilość, jakość, konieczność, istota, przyczynowość itd; ideje rozumu: świat, dusza i Bóg. Materyał zaś poznania stanowi doświadczenie, które Kant raz pojmuje jako zmysłowe wrażenie, to znowu nadaje mu znaczenie obszerniejsze i rozumie przez nie całość poznania ludzkiego. Wszystkie te formy, wzięte w sobie, są to czcze abstrakcye, a nabierają znaczenia dopiero w związku z doświadczeniem, na którém też całe nasze poznanie musi się ograniczać.

Poznanie ludzkie, już z tego względu, że jest syntezą dwóch czynników, rozumowego i doświadczalnego, nie może się uważać za równoważne rzeczywistości. Nie uczy nas ono, czém rzeczywistość jest w sobie, jaka jest jego istota, ale tylko, jaki jest jéj stosunek do nas, jak się nam objawia. Słowem, przedmiotem naszego poznania nie jest rzecz w sobie saméj, ale jéj zjawiska. Wprawdzie rozum czysty posiada takie ideje, jak świat, dusza, Bóg, które mu wskazują, że doświadczenie nie wyczerpuje całego zakresu rzeczywistości, że są zagadnienia, leżące po za jego granicami. Zagadnienia te atoli są niedostępne dla czystego rozumu, który nie może do nich stosować swych kategoryj pod karą uwikłania się w sprzeczności bez wyjścia. Ponieważ te to właśnie zagadnienia stanowią przedmiot metafizyki, zatém metafizyka, traktowana ze stanowiska czystego rozumu, nie ma racyi bytu i musi być stanowczo odrzuconą.

Z tém wszystkiém zagadnienia te pozostają zawsze zagadnieniami. I potrzeba szukać ich rozwiązania na innéj drodze.

Człowiek nie jest samym tylko rozumem, ale nadto uczuciem i wolą. Przeznaczeniem jego nie jest samo poznanie, ale przedewszystkiém działanie. Musi on żyć w społeczeństwie, musi brać udział w jego sprawach i musi swój stosunek do innych ludzi uregulować podług zasad moralności. Otóż, jak w poznaniu ludzkiém, tak i w postępowaniu dają się odkryć dwa pierwiastki: empiryczny i aprioryczny. Empiryczną pobudką działania ludzkiego jest szczęście osobiste; pobudką zaś *a priori* jest głos sumienia, poczucie obowiązku, nakazujące człowiekowi spełniać swą powinność bezwarunkowo, chociaż-by ta była przeciwną jego szczęściu. Ten kategoryczny rozkaźnik, nakazujący człowiekowi działać tak, ażeby zasada jego postępowania mogła stać się prawem powszechném—dowodzi autonomii duszy, wolności woli, oraz świadczy nam, że dobro, które jest harmonią szczęścia i powinności, może być osiągnięte przez człowieka. Z tego pierwszego postulatu wypływają w logicznem następstwie dwa inne. Ponieważ w życiu doczesném dobro nie może być osiągniętém, więc musi być życie pośmiertne, czyli, że dusza jest nieśmiertelna, a zarazem Bóg, jako najwyższe dobro, musi istnieć. Taka jest treść „Krytyki Praktycznego Rozumu".

Okazuje się z niéj, że zagadnienia metafizyczne, które pod względem teoretycznem są tylko prostemi abstrakcyami, służącemi ku temu, ażeby wiedzy ludzkiéj można było nadać jedność syntetyczną; na stanowisku praktyczném, w odniesieniu do potrzeb życia ludzkiego; stają się prawdami, pełnemi treści i znaczenia, jako wymagalniki moralności. Stąd naturalny wniosek jest taki, że metafi-

zyka o tyle tylko jest usprawiedliwiona, o ile zasadza się na moralności. Przed Kantem opierano zwykle moralność na religii i metafizyce. Podług niego porządek musi być odwracanym—-musi odtąd tak metafizyka, jak i religia opierać się na moralności, jako na swym naturalnym gruncie.

Nie podobna mi tu wdawać się w szczegółowy rozbiór filozofii kantowskiéj. Muszę się ograniczyć na dotknięciu takich tylko punktów, które stanowią jéj podstawę (1).

Zasadą całéj filozofii Kanta, jak powiedziałem, jest nauka o prawdach rozumowych i doświadczalnych. Nauka ta, zawdzięczająca swe ugruntowanie Platonowi, przechodziła rozmaite koleje. Kant nadał jéj formę, która, zdawało mu się, zabezpieczy ją od ciężkich zarzutów i ustali jej panowanie. Tymczasem fałszywość jéj leży nie w tym lub owym kształcie, jaki jéj nadawano, ale w samém jéj założeniu. Powiada ona, że doświadczenie nie daje nam poznać tego, co jest konieczném i powszechném. A przecież samemu tylko doświadczeniu zawdzięczamy prawo powszechnego ciążenia, które jest i konieczném i powszechném. Dowód prawdziwości téj nauki upatruje Kant w matematyce i czystéj fizyce, których prawdy nie dają się ani wykryć, ani dowieść drogą doświadczalną. Dowód ten jednakże traci całą swą wartość w obec zdania największych matematyków dzisiejszych, a w téj liczbie i Helmholtza, który całéj matematyce przypisuje początek doświadczalny; co się zaś tyczy prawd czystéj fizyki, to sama ich historya dowodzi, że wykryte zostały drogą doświadczenia. Zresztą geometrya imaginacyjna wykazuje naocznie, że prawdy geometryi euklidesowéj przestają być prawdami dla przestrzeni o mniéj lub o więcéj, niż o trzech wymiarach. Konieczność więc prawd naszéj geometryi jest warunkowa, związana jaknajściśléj z doświadczeniem naszych zmysłów, którym świat zewnętrzny przedstawia się w trzech rozmiarach. Gdyby geometrya euklidesowa była czysto rozumowa, a więc konieczna, to niedała-by

---

(1) Chcących się zaś obeznać bliżéj z zarzutami, jakie jéj robi współczesna nauka, odsyłam do dzieł następujących: Ueberweg: „Geschichte drer Ppilosophie", t. III; Lewes: „History of Philosophy", t. II; tegoż: „Problems of Life and Mind", t. I; a szczególniéj znakomity artykuł H. Sidgwick'a, zamieszczony w kwartalniku „Mind" z 1883: „A criticism of the Critical Philosophy". W końcu musimy nadmienić, że krytykę systematu Kanta dokładną, acz nie wolną od namiętnych wycieczek, usprawiedliwionych zresztą obawami, które się sprawdziły, znajdzie czytelnik u naszego Śniadeckiego, który głębiéj wniknął w filozofię Kanta i lepiéj ją pojmował niż ci, co mu zarzucają brak jéj zrozumienia. Wszystkie zarzuty Śniadeckiego powtarza niemal dosłownie dzisiejsza krytyka, jak o tém przekonywa zacytowany wyżéj artykuł H. Sidgwick'a, znakomitego filozofa angielskiego.

się obok niéj wytworzyć geometrya imaginacyjna, któréj twierdzenia są zrozumiałe, jakkolwiek wyobrazić ich sobie nie możemy.

Błędność całéj nauki o prawdach rozumowych i doświadczalnych polega na tém, że uważamy zwykle powszechność za równoznacznik konieczności. Nie wszystko, co jest koniecznêm, ma być już przez to samo powszechném w tém znaczeniu, jakie pospolicie temu wyrazowi nadajemy. Ciążenie powszechne jest zjawiskiem, panującém w całym, znanym nam dotąd, świecie, i dla tego zdaje się nam, że jest bardziéj koniecznêm niż jakiś szczególny jego objaw. Tymczasem spadnięcie cegły z dachu jest tak samo koniecznêm, a nawet powszechném, jak samo prawo ciążenia. Cegła, znajdująca się na dachu w danych warunkach, musi spaść i spadnie zawsze i wszędzie, gdy się znajdzie w tych samych warunkach. Cała różnica między prawdami ogólnemi i abstrakcyjnemi, a szczegółowemi i konkretnemi leży w tém, że gdy tamte pojmujemy bezwarunkowo, a przynajmniéj pomijamy warunki, o których zapomnieliśmy, albo ich nie domyślamy się, to te przeciwnie przedstawiamy sobie zawsze w ścisłéj zależności od pewnych mniéj lub więcéj znanych nam warunków. Prawdy matematyczne są abstrakcyami; zdaje się nam przeto, że nie zależą od żadnych warunków. Tymczasem oznaczając ilościowe stosunki świata rzeczywistego, jak je spostrzegamy drogą zmysłów, zostają one w jaknajściślejszéj zależności od warunków przyrody i ludzkiego organizmu. Dla istot inaczéj uorganizowanych i żyjących w przestrzeni o dwóch lub czterech wymiarach, prawdy naszéj matematyki przestaną być prawdami. Prawd bezwzględnych i bezwarukowych nie znamy. Każda prawda dla nas jest tylko względną i warunkową, ale nie mniéj przeto konieczną i powszechną i powtarzającą się względnie i zawsze, skoro się znajdą te same warunki.

Kant, pragnąc obmyśléć taki systemat filozoficzny, na którego gruncie dały-by się pogodzić wszystkie kierunki myślenia filozoficznego i zabezpieczyć od ataków sceptycyzmu, uważał naukę o prawdach rozumowych i doświadczalnych, jako najskuteczniejszą broń przeciwko zarzutowi Hume'a, którego najniesłuszniéj zaliczał do sceptyków. W téj atoli postaci, w jakiéj ona panowała za jego czasów, nie mógł jéj przyjąć. Była ona już wtedy dość zdyskredytowaną, kiedy Kartezyusz nie wahał się jéj wyprzéć jak najuroczyściéj. Dla tego przerobił ją po swojemu, zapożyczywszy do tego pomysłu od Arystotelesa, który formę i materyą uważał jako coś, co istnieje niezależnie od siebie. Możemy wprawdzie myśléć o formie w oderwaniu od materyi, ale w rzeczywistości nie masz formy, któraby nie była zarazem i materyą. Zdawało się Kantowi, że prze-

prowadziwszy te pojęcia oderwane ze sfery metafizycznéj na grunt psychologiczny, zabezpieczy je od zarzutu powyższego. Tymczasem natura ich przez to bynajmniéj nie zmieniła się. Pozostały one, jak były, abstrakcyami, które niezależnie od siebie nie mogą istniéć, jakkolwiek w myśli możemy je rozdzielić. Formy czystego rozumu nie mogą być czém innem, jak uogólnieniami indukcyjnemi, wyrażającemi pewne stałe i niezmienne stosunki świata rzeczywistego; materya zaś doświadczalna, to suma spostrzeżeń, służących za podstawę owym uogólnieniom. W tém zaś znaczeniu, jakie im nadaje Kant, jako formy rozumu gotowe i wrodzone, formy, którym w rzeczywistości nic nie odpowiada, są one czémś zgoła niezrozumiałém. Sam już wymyślony przez Kanta aparat psychiczny, za pomocą którego formy czystego rozumu mają się łączyć z materyą doświadczalną, jest tak sztuczny i tyle w nim dowolności i naciągania, że musimy go zaliczyć do scholastycznych łamigłówek. Zresztą opiera się on na niewłaściwém rozróżnianiu sądów syntetycznych i analitycznych, między któremi różnica bynajmniéj nie jest tak znacząca, jak to Kant utrzymuje. Są to zwykłe sądy rzeczowe i słowne.

Cała ta teorya o formach rozumowych jest tak nienaturalna, tak przeciwna zwykłym warunkom pojmowania ludzkiego, że dziwić się temu nie można, iż uwikłała ona Kanta w liczne sprzeczności, stała się główną przyczyną ciemności i zawiłości jego filozofii, a w końcu przywiodła go do tego, że sam ją zgwałcił w tém, co stanowi jéj istotę.

Kant najwyraźniéj powiada, że formy *a priori* są to abstrakcye czcze i pozbawione wszelkiéj treści, z których rozum nic zgoła wysnuć nie potrafi, że formy te nabierają dopiero znaczenia wtedy, gdy zostaną zespolone z materyą doświadczalną. Uznaje on przez to, że tak formy rozumowe, jako téż materya doświadczalna są niczém więcéj, jak warunkami poznania, ale warunkami koniecznemi. Wszelkie bowiem poznanie na jakie stać człowieka, jest syntezą doświadczenia i form rozumu. Jakoż niejednokrotnie przestrzega, ażeby się trzymano gruntu doświadczenia, gdyż ono stanowi jedyny zakres poznania ludzkiego, że raz przekroczywszy granice doświadczenia, rozum ludzki ulega złudzeniom i popada w obłęd. Wszystko to jednakże nie przeszkadza mu utrzymywać, że oprócz poznania doświadczalnego jest jeszcze poznanie czysto rozumowe, *a priori*, wolne od wszelkiéj przymieszki doświadczenia—poznanie, którego wzorem jest matematyka i fizyka czysta. A nie jest to niekonsekwencya błaha. Jakkolwiek u samego Kanta pozostała ona bez następstw, za to dla jego uczniów stała się źródłem najjaskrawszych błędów. Oni to właśnie, pochwyciwszy tę myśl, że może być

poznanie czysto rozumowe, zaczęli snuć ze swéj głowy pajęczą tkaninę czystego myślenia, nie troszcząc się o doświadczenie, a nawet z pogardą o nim odzywając się, jako o empiryi, która zajmuje się tylko zjawiskami, kiedy oni za pomocą czystego myślenia mogą odrazu i bez wielkiego zachodu pochwycić i objąć rzecz samę w sobie.

Przyjęcie przez Kanta form rozumowych transcendentalnych, form, którym w rzeczywistości nic nie odpowiada, które rozum wnosi od siebie w doświadczenie i w ten sposób przerabia daną treść zmysłową, musiało w logiczném następstwie doprowadzić go do agnostycyzmu i idealizmu. Jakoż twierdzi on stanowczo, że rzeczy, jaką ona jest w sobie, nie znamy i poznać nie możemy, że znamy tylko jéj zjawiska, jéj oddziaływanie na nas za pośrednictwem zmysłów. Nie mniéj jednakże stanowczo utrzymuje, że rzecz w sobie nie ma nic wspólnego ze zjawiskiem, że to, czém się nam rzecz w sobie przedstawia, w niczém do téj rzeczy nie jest podobne. A zatém wiemy, czém jest rzecz w sobie, o tyle przynajmniéj, że możemy powiedziéć, czém ona nie jest. Nie jest-że to wyraźna sprzeczność? Nie dość tego; mielibyśmy jeszcze prawo zapytać, skąd nam wiadomo, że rzecz w sobie różną jest od swych zjawisk? Wszakże o podobieństwie lub różnicy dwóch rzeczy możemy sądzić tylko z porównania, a jakże możemy porównywać to, czego zgoła nie znamy, z tém, co przynajmniéj do pewnego stopnia poznać możemy? Idźmy daléj. Ponieważ wrażenia zmysłowe, które podług Kanta, są natury czysto przedmiotowéj, rozum przerabia podług form apryorycznych, nie mających nic wspólnego z temi wrażeniami; cała więc rzeczywistość, jak ją sobie przedstawiamy, jak ją wyobrażamy i pojmujemy, jako przedmiot zewnętrzny, nie jest niczém inném, jak naszém wyobrażeniem, wytworem naszéj myśli, słowem—ideją. Wprawdzie zmuszeni jesteśmy przypuszczać zewnątrz naszego *ja* jakiś byt, który jest przyczyną naszych wrażeń; ale ponieważ to przypuszczenie opiera się na zasadzie przyczynowości, która jako forma naszego myślenia, ma znaczenie czysto podmiotowe, więc do tego przypuszczenia nie można przywiązywać wielkiéj wagi. Zresztą zachodzi pytanie, powiada Kant, czy ów byt niezależny od nas, owa rzecz w sobie, nie jest tém samém co *ja*?

Tych kilka uwag, zapożyczonych od I. H. Lewes'a, wystarczy, sądzę, do przekonania, że „Krytyka Czystego Rozumu" nie odpowiada już dziś wymaganiom wiedzy, że całe jéj rusztowanie, noszące na sobie wyraźne piętno scholastycznego formalizmu, nie da się obecnie użyć do celów, jakie sobie wytknęła filozofia współczesna.

Co się tyczy „Krytyki Praktycznego Rozumu", to ta ściąga na siebie cięższe jeszcze zarzuty, niż „Krytyka Czystego Rozumu".

Przedewszystkiém trudno pojąć, jak mogą w człowieku znajdować się obok siebie dwa tak przeciwne rozumy, z których jeden odbudowuje to, co drugi burzy. Kazać rozumowi praktycznemu przyjmować prawdy, którym rozum czysty odmawia wszelkiéj wartości—nie jest że to wznawiać średniowieczną naukę o dwojakiéj prawdzie: filozoficznéj i religijnéj? To nie jest rozwiązanie odwiecznego sporu między wiarą a rozumem, lecz proste przeniesienie go ze sfery religijnéj na grunt moralny. Prawdy, które religia podaje jako dogmaty, uświęcone nadziemską powagą i w które wierzyć każe z zaparciem się rozumu, sprowadza Kant do znaczenia postulatów moralności i każe je przyjmować ze względów praktycznych, pomimo, że w teoryi nie dają się niczém uzasadnić. W ten sposób antagonizm między wiedzą a praktyką, nietylko się nie znosi, ale bardziéj się zaostrza, okazuje się bowiem, że nie jest on rzeczą przygodną, nieporozumieniem, ale objawem koniecznym, który ma swe ugruntowanie w naturze umysłu ludzkiego, w panującéj w nim samym sprzeczności wewnętrznéj.

Zresztą, jest że to ratować metafizykę od rozbicia, szukać uzasadnienia dla jéj zagadnień w moralności? Zagadnienia metafizyczne są natury czysto rozumowéj. Będąc wynikiem myślenia, zastanawiania się ludzkości nad sobą i nad światem, badania stosunków widoméj rzeczywistości, mogą one być rozwiązane tylko na drodze rozumowéj, za pomocą sposobów, jakiemi się nauka zwykle posługuje w swych dochodzeniach. Gdyby się zaś okazało, że żaden z tych sposobów nie daje się do nich zastosować, będzie to dowodem, że albo są prostą fikcyą, albo stanowią zagadki, przechodzące zakres poznania ludzkiego. W pierwszym razie należy je zostawić poezyi, dla któréj mogą one być bogatém źródłem natchnienia, w drugim — zaliczyć je potrzeba do pojęć religijnych, w które się albo wierzy, albo nie wierzy, ale o których się nie rozumuje. W każdym razie nie mogą one być przedmiotem naukowych dochodzeń, które muszą opierać się na danych, czy-to doświadczalnych, czyli też logicznych. Szukać zaś dla nich uzasadnienia w moralności, w jéj założeniach upatrywać dowód konieczności zagadnień rozumu, jest-to to samo, co utrzymywać, że nędza ludzka i cierpienie są konieczne, gdyż inaczéj nie było-by powodu do miłosierdzia i litości. Słowem, opierać metafizykę na etyce, jest-to usadawiać ją na „płytkim gruncie rozbujałych fluktów". Zadanie bowiem moralności jest natury czysto praktycznéj. Mając swą podstawę w uczuciu, które jest wytworem dziejowego życia, wypowiada się ona w zasadach, które nie są niczém więcéj, jak uogólnieniem warunków życia społecznego. Jako fakt czysto empiryczny, różną jest ona w różnych cza-

sach i u różnych ludów, jak różnemi są warunki bytu tych ludów i różnemi były stopnie oświaty w okresach dziejów powszechnych. Żadna więc dana moralność, jako pewien systemat etyczny, nie może rościć prawa do bezwzględności, gdyż jako produkt historyi, nie posiada cechy konieczności i powszechności, które, podług Kanta, właściwe są prawdom rozumowym, a zgoła obce są prawdom z doświadczenia pochodzącym. Moralność więc, jako pewien systemat etyczny, nie jest ową opoką, na któréj możnaby zbudować świątynię prawdy, przesięgającéj po za cele praktycznego użytku i dążącéj do powszechności.

Pamiętajmy nareszcie, że jedynem zadaniem moralności jest zachowanie bytu społeczeństwa, którego życie z tém większą objawia się potęga, im więcéj jest dobréj woli i poświęcenia w jego członkach, im większa między niemi panuje solidarność w sprawach dobra ogólnego. Jak z powodu swego zadania, tak i dla swéj natury przeważnie uczuciowéj, moralność jest pierwiastkiem czysto konserwatywnym. Stopień rozwoju, do jakiego dochodzi ona drogą dziejowego doświadczenia, uważa za stopień najwyższéj swéj doskonałości. Jakoż jest on dla niéj jedyném stanowiskiem, z jakiego może wyrokować o wszystkiém, co staje przed jéj trybnnałem. Ponieważ w dzisiejszym swym rozwoju kojarzy się ona zwykle z tém, co temu rozwojowi towarzyszyło, co przyczyniło się do jéj ustalenia, przeto wszystko to, co stanowi dorobek przeszłości, chociaż nie należy do jej istoty, ale jest jéj przydatkiem, uważa ona za święte i nienaruszone, za konieczne warunki swego istnienia, za swe postulaty. Co się z temi postulatami nie zgadza, co im zagraża i podkopuje je, ogłasza ona za zgubne i przewrotne. Gdy zaś żadna nowa prawda nie może ustalić się, nie obaliwszy starych, gdy każda do pewnego stopnia jest negacyą i wiedzie do przewrotu w dotychczasowych zapatrywaniach, dążnościach, a po części i w uczuciach, dla tego też każda nowa prawda w obliczu moralności musi być podejrzaną i musi napotykać z jéj strony opór i nieprzyjaźń. Chcieć więc opierać zagadnienia rozumowe na podstawach etycznych; szukać uzasadnienia dla metafizyki w założeniach danego systematu moralności, jestto stwarzać nowy rodzaj dogmatyzmu, o wiele gorszy od dogmatyzmu powagi. Bo gdy ten zawsze w ostatecznéj instancyi odwołuje się do rozumu, chociażby dla tego, by go zniewolić do abdykacyi, do zaparcia się swéj samodzielności; to dogmatyzm, ustanowiony przez Kanta, opiera się na uczuciu, które nie tylko o tém, co jest, ale i o tém co być powinno, ani wie, ani wiedziéć może.

W nim to właśnie, w owym dogmatyzmie moralnym, leży źródło owego sposobu zapatrywania się na kwestye naukowe, sposobu,

który szczególniéj u nas rozpanoszył się nie tylko w potoczném rozprawianiu. ale i w rozbiorach naukowych, a który polega na tém, że teorye i fakty naukowe podciągają się pod etyczny punkt widzenia i ulegają sądowi nie na podstawie wymagań rozumowych, nie podług dowodów faktycznych i logicznych ale podług tego, jakie dają się z nich wyciągnąć wnioski pod względem moralnym, w jakim stosunku mają się ich wyniki do danych postulatów moralności.

W podstawie tego rodzaju zapatrywania się na zagadnienia teoretyczne leży to błędne przekonanie, że ludzkość w zużytkowaniu prawd czysto rozumowych kieruje się nie potrzebami naturalnemi życia, które jéj wskazują. co z nich ma przyjąć. a co odrzucić; ale sofistyką logiczną, która jéj nakazuje docierać do ostatecznych wyników; że w rzeczywistości znajdują się warunki do zrealizowania wszelkich możliwych następstw teoryi i pomysłów mniéj lub więcéj abstrakcyjnych; że w starciu się różnorodnych żywiołów, z jakich się składa życie społeczne, nie ma dostatecznéj siły do zrównoważenia krańcowych dążności i do sprowadzenia ich do właściwéj miary.

Że obok tych wad organicznych systematu Kanta znajdują się także wielkie zalety, głębokie pomysły, które stały się niespożytym nabytkiem filozofii, zbytecznem byłoby dowodzić. Do największych zasług Kanta należy zaliczyć to, że ugruntował ostatecznie zasadę, którą przed nim usiłowali przeprowadzić w swych dziełach myśliciele angielscy, a mianowicie, że filozofia powinna zaczynać od zbadania warunków poznania ludzkiego, że w ten tylko sposób można oznaczyć dokładnie, co ma być przedmiotem jéj dochodzeń i do jakich granic mogą być jéj dochodzenia doprowadzone.

Nie małą też zasługą jego jest i to, że nie zrywał on nigdy naturalnego związku, łączącego filozoficzne myślenie z widomą rzeczywistością i pilnie śledząc rozwój nauk przyrodniczych. korzystał ze wszystkich nabytków doświadczenia. Jakkolwiek bowiem filozofia jego jest idealistyczna, idealizm jéj, będąc transcendentalnym, dotyczy tylko istoty rzeczy, nie zaś jéj zjawisk. Monistyczna w zasadzie, nie znosi ona dualizmu fenomenalnego i pozostawia nie naruszonym charakter, właściwy zjawiskom zewnętrznym i wewnętrznym. Co więcéj, wykluczając wszelkie zaciekanie się nad istotą rzeczy, nad rzeczą w sobie saméj, za jedyny przedmiot poznania ludzkiego ogłasza same tylko zjawiska tak zewnętrzne, jakoteż wewnętrzne; jedyną zaś metodę poznania upatruje w doświadczeniu.

Tym to właśnie zasługom, które teraz dopiero zostały należycie ocenione, zawdzięcza Kant obecne swe powodzenie. Wprawdzie założenia kantowskiéj filozofii daleko gruntowniéj i w sposób natural-

niejszy opracowała filozofia angielska, mająca takich przedstawicieli, jak Mill, Bain, Spencer itd. i właściwiéj byłoby Niemcom do niéj udać się dla zaczerpnięcia nowych sił, a to tém bardziéj, że wśród nich samych tacy uczeni, jak Helmholtz i Wundt dostarczają swemi badaniami najlepszy dowód, ile żywotności posiada filozofia realistyczna. Pamiętać atoli należy, że umysł niemiecki natury spekulacyjnéj, zbyt długo przebywał w sferach czystego idealizmu, ażeby mógł od razu przerzucić się na stanowisko wręcz przeciwne. Filozofia Kanta jest dla niego naturalném przejściem od idealizmu oderwanego, czysto podmiotowego, jakim była filozofia Hegla, do realizmu, który stanowi charakterystyczną cechę obecnéj doby. Trzeba jeszcze i to mieć na uwadze, że w tym powrocie Niemców do Kanta ważną odgrywa rolę wzgląd na materyalizm, do pokonania którego zasady Kanta zdają się być najwłaściwszą bronią. Czy są one nią rzeczywiście? Wątpić o tém można. Pokonano nią wprawdzie hałaśliwą rzeszę materyalistów, z lekka harcujących na swym koniku; ale pozostaje zastęp ludzi uczonych, ścisłych badaczów, których nie można rozbić tym argumentem, że materya jest abstrakcyą, gdyż tak samo jest abstrakcyą idea, forma *a priori*.

Do przywrócenia Kantowi utraconego pod wpływem spekulacyi metafizycznéj znaczenia przyczyniła się nie mało i ta okoliczność, że pomimo zupełnego bankructwa metafizyki racyonalnéj, nie wygasła nadzieja, że zagadnienia metafizyczne na innéj drodze dadzą się rozwiązać. Jakoż tę inną drogę wskazuje Kant w swéj Krytyce Praktycznego Rozumu, która rozwiązania tych zagadnień każe szukać w zasadach moralności.

Tym spobem filozofia Kanta, czyniąc zadość wymaganiom czasu, który, przesycony domysłami, na niczém nie opartemi, szuka prawdy w doświadczeniu, zaspakaja jednocześnie dążność umysłu ludzkiego do odgadywania tego, co wychodzi po za doświadczenie, a jest przecież jego podstawą i warunkiem koniecznym. Gdyż bądź co bądź, zagadnienia metafizyczne nie dadzą się wygluzować ani z uczuć, ani z myślenia przez proste ich zaprzeczenie. Stają one w poprzek najściślejszym badaniom i nie pozwalają się obchodzić bezkarnie. Ominięte w jednéin miejscu, zastępują one natrętnie drogę w innéin. To, że spekulacya nie umie sobie z niemi poradzić, dowodzi tylko, że spekulacya w oderwaniu od doświadczenia tak tu, jak i gdzieindziéj nie na wiele się przydać może. Potrzeba próbować innych sposobów poznania. I to właśnie stanowi zasługę Krytyki Praktycznego Rozumu, że wskazuje ona nową drogę do rozwiązania zagadnień metafizycznych. Że droga, którą ona wskazuje, jest fałszywą—może to być dla wielu jeszcze kwestyą sporną. Że w każdym

razie jest jeszcze inna droga, łatwo się przekonać ze szczęśliwych prób, jakich nam dostarczają Spencer i Lewes, którzy starają się rozwiązać zagadnienia metafizyczne za pomocą metody doświadczalnéj.

Nowo-Kantyzm, jak to już powiedziałem, nie stanowi osobnéj i jednolitéj w sobie doktryny, na któréj założenia zgodzonoby się powszechnie. Jest on właściwie kierunkiem filozoficznym, który, chociaż ze wspólnego wychodzi źródła, w dalszym biegu rozpada się na dwa główne, rozbieżne kierunki. Same te kierunki przybierają znowu pewne odcienia, opierające się na głębokich nieraz różnicach w pojmowaniu zasad filozofii kantowskiéj.

Jakoż, kiedy jedni przyjmują za punkt oparcia Krytykę Czystego Rozumu i zajmują stanowisko sceptyczne wobec zagadnień metafizycznych, które podług nich nie dają się podciągnąć pod warunki poznania ludzkiego; to inni, przenosząc całą wagę filozofii kantowskiéj, na Krytykę Praktycznego Rozumu, w jéj duchu przerabiają całą filozofią Kanta i usiłują wykazać, że wyniki sceptyczne bynajmniéj nie leżą w jéj założeniu.

Zbyteczném byłoby wdawać się w ocenienie obu tych kierunków Nowo-Kantyzmu. To, co się rzekło o filozofii Kanta w ogóle, samo przez się i do nich się odnosi. Zwrócę tu tylko uwagę na to, że nie wszyscy zwolennicy Nowo-Kantyzmu zapatrują się jednakowo na zasadnicze pojęcia filozofii kantowskiéj, że pod tym względem zachodzą między nimi tak ważne różnice, że pomijać ich nie godzi się. Różnice te bowiem, dotyczące zasad, które stanowią istotę kantyzmu, dowodzą lepiéj i dokładniéj, niż najsurowsza krytyka, jak dalece te zasady są trudne do wyrozumienia, jak niepodobna ich pogodzić z wymaganiami dzisiejszéj wiedzy bez zadania im gwałtu, nie raz bardzo krzyczącego.

Cała filozofia Kanta, jak wiemy, opiera się na nauce o formach apriorycznych czystego rozumu. Formy te mają być czemś danem i niezmiennem, czemś, co rozum znajduje w sobie gotowe i wykończone, jako pierwsze prawdy, bezpośrednio mu znane, a więc nie potrzebujące dowodzenia, gdyż same służą za dowód prawd, które dopiero za ich pośrednictwem poznaje.

Dzisiejsi jego uczniowie, niezadowoleni z takiego określenia czysto formalnego, starają się bliżéj oznaczyć istotę form rozumowych i odpowiedzieć wprost na pytanie: czém są właściwie te formy, jak mamy je pojmować. Tłómaczenia ich i wyjaśnienia są tak z sobą niezgodne, a wszystkie razem tak od stanowiska filozofii kantowskiéj oddalone, że w żaden sposób nie można ich uważać za wierny wyraz myśli królewieckiego mędrca. O wszystkich tych różnicach

nie podobna mówić na tém miejscu. Dość będzie, gdy dla dania o nich ogólnego pojęcia przytoczę kilka ważniejszych przykładów.

Zeller w swéj historyi filozofii niemieckiéj utrzymuje, że czas i przestrzeń nie są wyobrażeniami gotowemi w rozumie, są one właściwie wyrobkiem. Powstają one w nim w skutek wrażeń zewnętrznych, jako jego oddziaływanie na nie, mocą przyrodzonych własności, które stanowią jego istotę. Lange znów zapatruje się na formy rozumowe, jako na organizacyą w ogóle, mniejsza, czy ją nazwiemy duchową, czy fizyczną, „organizacya bowiem fizyczna—powiada on, jest tylko mojem wyobrażeniem i w istocie swéj nie może się różnić od tego, co nazywamy duchowém.“ Ponieważ Lange jest zwolennikiem teoryi rozwojowéj, co za tém idzie, przyjmuje powolne przeobrażanie się organizmów, przeto i same formy rozumowe, pojęte jako organizacya ludzka wogóle, muszą być zmienne i zdolne do dalszego rozwijania się. Schultze, najnowszy przedstawiciel Nowo-kantyzmu, odrzuca stanowczo pojmowanie form rozumowych w tém znaczeniu, jakie im nadaje teorya rozwojowa, a mianowicie, że są one uorganizowaném doświadczeniem rasy, i widzi w nich stałe i niezmienne formy duchowe, właściwe rozumowi bez względu na to, czy on się objawia w organizmie ludzkim, czy zwierzęcym. Chociaż więc organizmy przeobrażają się i rozwijają, formy aprioryczne pozostają zawsze te same. Adamsen, jeden z angielskich kantystów, rozumie przez formy rozumowe znowu co innego. Podług niego nie są one czém inném, jak wyrazem syntetycznego działania świadomości ludzkiéj, która będąc w sobie jedną i niepodzielną, jedność tę objawia w każdéj swéj czynności i do niéj sprowadza wszelką treść doświadczalną.

Podobnaż niezgodność zachodzi w kwestyi, dotyczącéj ilości kategoryj, ustanowionych przez Kanta. Kiedy jedni przyjmują bezwarunkowo wszystkie, to inni znowu powiększają ich liczbę, albo téż zmniejszają. Tak np. Lange, oprócz czasu i przestrzeni, zalicza jeszcze do form zmysłowego postrzegania wszystkie w ogóle wrażenia zmysłowe, oraz wyobrażenie ruchu. Ale za to odrzuca idee czystego rozumu. Wprawdzie przyznaje on ideom świata i duszy znaczenie formalne i o tyle tylko uznaje ich konieczność; odmawia atoli tego znaczenia idei Boga na téj zasadzie, że są ludzie i plemiona, dla których ta idea bynajmniéj nie jest konieczną. Schultze przeciwnie wszystkie kantowskie formy *a priori* sprowadza do trzech kategoryj: czasu, przestrzeni i przyczynowości.

Możnaby tu dotknąć innych jeszcze różnic, jakie dają się spostrzegać w szczególnych odcieniach Nowo Kantyzmu; sądzę atoli, że

te wystarczą do ogólnéj charakterystyki owego kierunku filozofii niemieckiéj, którego hasłem jest: powrót do Kanta.

Lange upatruje w téj niezgodności w zapatrywaniu się na zasadnicze kwestye Kantyzmu dowód żywotności powyższego kierunku. Być to może; w każdym razie świadczy on zarówno, że brakuje téj żywotności samemu kantyzmowi. Jeżeli bowiem właśni uczniowie Kanta nie mogą porozumieć się, jak mają pojmować ten lub inny szczegół nauki swego mistrza, co z niéj można zatrzymać a co odrzucić; to jak można wymagać od ogółu, ażeby ten szedł za tém lub inném tłómaczeniem tekstu i jego wykładem, kiedy ogół nie może, ani chce zabawiać się subtelnemi wątpliwościami, nie mającemi pod względem praktycznym wielkiego znaczenia?

Pomimo tego wszystkiego, co się powiedziało tak o kantyzmie w ogóle, jak i o najnowszych jego przeróbkach, nie da się zaprzeczyć, że powrót do Kanta jest zwrotem zbawiennym dla filozofii niemieckiéj. Zasługa jego leży nie w odnowieniu doktryny filozofa królewieckiego, ale jego metody. Przyuczy on filozofią niemiecką do pilniejszego rachowania się z danemi doświadczenia, a zarazem oduczy ją zbytecznego polegania na dyalektyce, obniży do pewnego stopnia metafizyczny jéj polot. Ponieważ on pierwszy w Niemczech potrafił zużytkować umiejętnie fakty nauk przyrodniczych, które w ręku materyalistów stały się niebezpiecznemi dla filozofii spekulacyjnéj; przeto dziwić się nie można, że odrazu pozyskał tylu zwolenników i stał się kierunkiem popularnym. Panowanie jego jednakże nie może być trwałem, musi on z czasem ustąpić miejsca filozofii doświadczalnéj, którą w Niemczech reprezentują Wundt, Helmholtz i kilku innych.

Nowo-Kantyzm ma swych zwolenników także we Francyi i w Anglii. W obu tych krajach jednakże nie ma on tego znaczenia co w Niemczech. Wprawdzie we Francyi objawił się on także, jako reakcya przeciwko płytkiemu i deklamatorskiemu eklektyzmowi Cousin'a. Na nieszczęście główny jego przedstawiciel, Renouvier, przemówił do swych rodaków, obałamuconych oratorską swadą Cousin'a, językiem godnym prawego ucznia Kanta. Dla tego téż Nowo-Kantyzm nie wywarł żadnego wpływu na rozwój filozofii francuskiéj. A chociaż dzisiaj cieszy się większém uznaniem, niż dawniéj, napotyka on niebezpiecznego współzawodnika w filozofii doświadczalnéj, któréj wpływowi nie umie się oprzéć nawet kierunek spirytualistyczny we Francyi.

W Anglii Nowo-Kantyzm zawdzięcza swe powodzenie głównie erudycyi filozoficznéj. Pojawienie się jego w kraju, który wyrobił sobie własną swą filozofią, jak najściśléj odpowiadającą tak przeszło-

ści narodowej, jak i obecnym dążnościom, nie da się uzasadnić dziejowo. Wprawdzie możnaby dopatrzyć w filozofii Hamiltona pewien łącznik pomiędzy filozofią szkocką, a Nowo-Kantyzmem; trudno jednakże zgodzić się na to, żeby Nowo-Kantyzm miał być logiczną konsekwencyą zasad, jakie rozwijali Locke, Hume, Berkeley i Reid — jak to utrzymuje Adamson. Dla tego też, chociaż obóz kantystów w Anglii jest dość liczny i posiada ludzi z wielką nauką i talentem, nie można go uważać za co innego, jak za wysuniętą placówkę, która przeznaczona jest na stracenie. Trzyma się on tém tylko, że wszędzie i zawsze znajdują się jednostki, których umysł z natury swéj niezadowala się prawdami przytycznemi, lecz szuka zaspokojenia swych pragnień w sferach, leżących po za doświadczeniem. Jakoż Nowo-Kantyzm angielski rozwija się wyłącznie w duchu Krytyki Praktycznego Rozumu.

Władysław Kozłowski.

TAINE
O REWOLUCYI FRANCUSKIÉJ.

Les Origines de la France Contemporaine par H. Taine, de l'académie française, La Révolution. Tome III Le gouvernement révolutionnaire. Paris, Libraire Hachette et Cnie, 1885.

Wielkie dzieło Taine'a o początkach współczesnéj Francyi zdąża w obecnym tomie do swego końca. Zdawaliśmy sprawę w łamach „Ateneum“ z pierwszych dwóch tomów (1), z których jeden przedstawiał w tak jaskrawych barwach Baltazarowe istnie dni staréj monarchii, z których drugi skreślał z nie mniejszą plastyką pierwszy akt olbrzymiéj katastrofy, jaka téjże monarchii położyła koniec. Trzeci tom wziął sobie za zadanie zapuścić analityczny skalpel w owę epokę, która obaliwszy monarchią, która zrzuciwszy głowę nieszczęsnego Ludwika XVI, która posługując się teroryzmem, jako środkiém rządzenia na wewnątrz i zewnątrz, błyszczała przecież w zamian, w ogólném przekonaniu historografii i opinii powszechnéj, ponurem światłem niezłomnéj energii, obfitością wielkich charakterów w błędnym, czy zdrożnym choć-by kierunku, nie mniejszą również obfitością bohaterskich na zewnątrz, wielkich pod względem organicznym czynów na wewnątrz. Ta epoka stanowi w seryi studiów znakomitego pisarza nad dziejami rewolucyi francuskiéj przedmiot osobnego opowiadania, pod tytułem „Podboju Jakobińskiego“ (La Conquéte jacobine).

W interesie zrozumiałości przedmiotu, który nas w niniejszém sprawozdaniu zatrudniać będzie, wypadnie nam poświęcić kilka słów rekapitulacyi rezultatom wynikającym z tomów poprzednich. Nie-

(1) Patrz „Ateneum“ 1878, tom III, str. 529.

zbędne one, jeżeli mamy zrozumiéć należycie stanowisko, jakie autor w obecnym zajmuje tomie.

Czyż mamy zrozumiale a krótko streścić stanowisko i dążność Taine'a w jego dwóch pierwszych tomach, poświęconych wielkiéj katastrofie przeszłego wieku? Dążnością tą jest zniszczyć dotychczasową legendę o rewolucyi francuskiéj w pojęciu własnego narodu i świata całego. Trudno bowiem zaprzeczyć, że nie inaczéj jak legenda napoleońska, tak w dziejopisarstwie i ogólnéj opinii europejskiéj istniała legenda o rewolucyi, która miała swych czcicieli, wyznawców, dziejopisów, na równi z tamtą. Jedna i druga legenda zaczyna ulegać krytyce, być może nawet, iż krytyce przesadnéj równie, jak przesadną była dawniejsza cześć; jedna i druga legenda zaczyna się starzéć i przedawniać, czyż zaś tylko pod wpływem rozbudzonéj w dodatnim kierunku prawdy historycznéj? Bez wątpienia nie byłoby źle, gdyby tak było. O ile nam się jednakże zdaje i o ile my dobrze rzecz rozumiemy, jest, owo pesymizmem nacechowane zwrócenie się w stronę prozaicznéj i dotykalnéj prawdy historycznéj, wynikiem czynników innéj natury, poprostu wypływem zewnętrznych i wewnętrznych klęsk, jakie Francyą ostatniemi czasy dotknęły. Legendę cesarstwa pochował ostatecznie Sedan, legendę rewolucyi pochowała paryska komuna. Mamy to przekonanie, że bez Sedanu i komuny nie była-by literatura francuska, ani historyografia europejska cieszyły się posiadaniem dzieła, jakiém są „Początki współczesnéj Francyi“ Taine'a. W obec tego nasuwa się pytanie, czy mimo wszelkich przymiotów, jakie krytyka dziełu Taine'a pod względem naukowym i stylistycznym przyzna, podobna geneza nie odbiła się z pewną szkodą dla rzeczy na obrazie, jaki przedstawia; czy żal pesymistyczny, pod którego wrażeniem, wspaniały ten cokolwiekbądź historyograficzny utwór powstał, nie wpłynął na popełnienie jednego z najważniejszych błędów, jakich się historyk dopuścić może, przeinaczenia dziejowego oblicza pewnéj epoki, nie dopowiedzenia całéj jéj prawdy moralnéj i duchowéj, jakkolwiek bez grzechu przeciw prawdzie faktycznéj. Rozbiór tego właśnie pytania, wyznajemy szczerze, nasuwał nam się ciągle przy czytaniu Taine'owego dzieła, a odpowiedź pozwalamy sobie taką, jaka się przedstawia naszemu sumiennemu rozumieniu i pojmowaniu rzeczy, nakreślić tém skwapliwiéj zaraz tutaj zgóry, iż równocześnie stanowi krótkie streszczenie ustępu, z którego „Ateneum“ nie miało dotąd sprawozdania, ustępu poświęconego tak zwanemu „Podbojowi Jakobińskiemu.“

Otóż powiedzielibyśmy, że pesymistycznie krytyczny pogląd autora, czy-to na pierwszą fazę wielkiéj rewolucyi, czy na jéj epokę

późniejszą, którój daje dopiero-co wspomnianą nazwę, wymaga ze strony czytelnika, chcącego pozostać na stanowisku sprawiedliwéj równowagi, własnéj, czujnéj, samodzielnéj kontroli. Nie myślimy ani nauce, ani talentowi Taine'a zaprzeczać pierwszorzędnych przymiotów, ale, zdaje się, iż każdy pragnący dociec prawdy czytelnik popełnił-by wielki błąd przeciw podobnéj intencyi, gdyby chciał przysięgać na słowa mistrza, gdyby to, co mu znakomity pisarz powiada, zechciał uważać za ostatnie słowo. Bez wątpienia trzeba było w imię historycznéj prawdy zniszczyć legendę rowolucyi, nauczyć rozkoszujących się ciągle jeszcze świętem 14 lipca Francuzów, że szturm Bastylii nie był czynem bohaterstwa, ale raczéj wybrykiem taniéj swawoli i niegodnego cywilizacyi barbarzyństwa, że w idealizowanych przez Lamartine'a i Ludwika Blanca, wystąpieniach różnych Brissotów, Barnaveów, Kamillów Desmoulin'ów, Vergniaudów i Guadetów, było wiele frazesów i deklamacyi, że często, czy-to w zgromadzeniu ustawodawczém, czy prawodawczém zapadały w ciągu kilku godzin najważniejsze uchwały, do których by inne społeczeństwa były potrzebowały lat namysłu i dojrzałego zastanowienia; że ani Robespierre nie był, jak go Blanc nazywa „wielkim mężem stanu rewolucyi", ani Saint-Just jéj „26-letnim Katonem". Wszystko to jest bardzo słuszne. Kto tę legendę w imię dziejowéj prawdy rozwiewa, wyświadcza swemu różnie przez różnych bałamuconemu społeczeństwu niezaprzeczoną przysługę, a nie mniéj i dla nas pozostanie krótkotrwałe panowanie komuny paryskiéj z r. 1871 najlepszym, najwięcéj pouczającym kursem historyi o rzeczach i ludziach wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Pod tym zaś względem mógł autor, gdyby był obeznany ze współczesną niemiecką historyografią epoki rewolucyjnéj, czego z jego dzieła dopatrzéć się nie możemy, powiedzićć na rzecz swojéj tezy wiele więcéj, aniżeli rzeczywiście powiedział. Tak np. odzierając choć-by z wszelkiego uroku teroryzm i terorystów rewolucyi francuskiéj, przyznają im ich przeciwnicy (jako rzecz nieulegającą wątpliwości) jednę zasługę, zasługę, iż owym teroryzmem wydeptali z Francyi „czternaście armij", że je wśród dźwięku hymnu Rougeta de Lisle prowadzili na zewnętrznego i wewnętrznego nieprzyjaciela, że dzięki swéj energii zbawili Francyą. Na nieszczęście i to w nieskąpéj mierze, to także tylko część legendy, którą Taine w ciągu całego swego dzieła najzupełniéj przemilcza, któréj, jak innych nie niszczy, ale o któréj by powinien powiedzićć, że ją już zniszczyli inni. Owczesnéj Francyi nie zbawiło ani bajecznych czternaście armij, ani teroryzm, ani energia terorystów, ani Marsylianka, ale ocaliła je po prostu Polska, któréj podział ostatni i zawikłania, wywołane nim między trzema pół-

nocnemi mocarstwami, nie pozwoliły rywalizującym z sobą, przeszkadzającym sobie ciągle nawzajem nad Wisłą Prusom i Austryi, wystąpić z należytą energią na teatrze wojny francuskim.....

Znajdując się więc, jak niechaj choć-by i ta uwaga naszych czytelników przekona, najzupełniéj na stanowisku Taine'a w ocenieniu ludzi i wypadków rewolucyi francuskiéj, będąc daléj nawet zdania, że nie wszystko może powiedział, co by się pod tym względem powiedziéć dało, tylko krytyczna strona dzieła przedstawia się dodatnio, kiedy organiczna, niezaprzeczalna przecież faktycznie, strona rewolucyi przedstawia w opowiadaniu autora szczerbę, która pozostawia ostatecznie czytelnika pod nieopisanie przykrém wrażeniem, pod mimowolném, wzrastającém z każdą przeczytaną kartą pragnieniem—organicznéj konkluzyi. Wśród barwnéj, krwawo i pożarnie często jaskrawéj mozajki przerażających szczegółów, ginie i tonie nawet konieczny w każdym obrazie historycznym bieg i rozwój wypadków, rzecz sama rozprasza się w świetne często charakterystyki osób, sytuacyj, polityczno-społecznych programów, w niezrównanéj trafności i prawdy spostrzeżenia, najczęściéj może w nieprzeliczone mnóstwo jaskrawych drobiazgów, z których każdy z osobna mógł-by figurować wybornie w jakimbądź zbiorze ciekawych „przypadków kryminalnych“, *des causes célèbres.* Wszystko to jednakże niestarczy dla rozważnego czytelnika, który nie może nie łaknąć konkluzyi i pyta mimowolnie o pierwiastki organicznéj natury wśród tego strasznego chaosu. A były one przecież, znamienowały wyraźnie swą obecność w początkach rewolucyi, utonęły następnie na pozór w morzu krwi epoki teroryzmu, by po jego ustaniu wybrnąć na wierzch, stać się daléj podwalinami nowego porządku rzeczy we Francyi i w całéj cywilizowanéj Europie. Pozostawmy swobodę każdemu zapatrywania się z jakiego stanowiska chce na tak zwane zasady roku 1789, na prawa człowieka, na zasadnicze idee ustawy konstytucyjnéj francuskiéj z r. 1791. Wolno się z tém wszystkiém zgadzać lub nie zgadzać. Czego jednakże trudno zaprzeczyć, to faktu, że na podstawie tych organicznych pierwiastków pierwszéj fazy rewolucyjnéj stanęła Francya nowa XIX wieku, a że żaden historyk rewolucyi ubić ich milczeniem nie może. Tymczasem mimo wszelkiego podziwu dla nauki i pisarskiego artyzmu autora, trudno nam nie stwierdzić dotykalnéj prawdy, że czy-to w tomie opowiadającym początki rewolucyi, czy-to w tomie obejmującym już dzieje teroryzmu aż do upadku Żyrondystów w pierwszych dniach czerwca 1793 r., znajdujemy się ciągle i ciągle tylko w morzu skrzętnie zebranych, malowniczo przedstawionych, strasznych i śmiesznych na przemian szczegółów katastrofy, wśród których gi-

nie i rozpada się budowa „konstytuanty“ i „legislatywy“, wśród których ginie z kolei rzeczy monarchia i monarcha, wśród któréj wreszcie nie ma możności jakiegobądź zatrzymania się, jakiéjbądź egzystencyi dla tych nawet, co obaliwszy monarchią, pragnęli wznieść na jéj gruzach jakąś ważną budowę organizmu państwowego. Co w podobnym, skreślonym przez znakomitego pisarza, obrazie uderza, to z jednéj strony: uczciwy gniew, że wszelkie żywioły dawnéj Francyi, na których przecież nie zbywa, że wszelkie jéj organicznych aspiracyj pierwiastki, bez których żadne społeczeństwo istniéć nie może, kapitulują tak bez żadnego oporu w obec „inwazyi jakobińskiéj“; to z drugiéj strony wręcz odmienne od wszystkich dotychczasowych ocenienia głównych aktorów téj strasznéj epoki.

Do jakich to wstrętnych niekiedy, ale tytanicznych rozmiarów wyrastają we wszystkich dotychczasowych opisach rewolucyi francuskiéj owi, czy to żyrondyści, czy montaniardzi, czy teroryści, czy komisarze rządowi, wysełani na prowincye i do armii, czy mówcy konwencyi, czy bohaterowie klubu Jakóbinów! Jakże wszystkie te postacie maleją w opowiadaniu Taine'a, jak téż czy-to Brissoty, czy Condorcety nawet przestają kroczyć w koturnach; jak Vergniaud czy Camille Desmoulins wychodzą na miernych deklamatorów, jak całe stronnictwo Żyrondystów spada ze swego wspaniałego Lamartinowego piedestału na poziom frazesowiczów, nie umiejących ani wyintrygować sobie władzy, ani nawet pokorą i rezygnacyą okupić sobie choć-by tylko życia! W obec podobnych nędzot charakteru i zdolności politycznéj, niewiadomo już doprawdy, czy autor nie wolał-by już może postawić na świeczniku nie cnoty, naturalnie obywatelskiéj, ani mądrości politycznéj, ale przynajmniéj jakiéjś występnéj i zbrodniczéj energii Jakóbinów, którą to ogólną nazwą obejmuje wszystkich terorystów, bez względu na to, jak się sami klasyfikowali i przezywali na różnych ławach, zakątkach i miejscach „manežu“, gdzie obradowała konwencya narodowa.

Otóż to ostatni, wydany przed kilku tygodniami tom Taine'owego dzieła, trudni się epoką rewolucyi od dnia 2 czerwca 1793 r., czyli od zwycięstwa Robespierre'a i tak zwanéj Góry (Montagne) nad stronnictwem Żyrondystów. Zbyteczną było-by mówić rzeczą, że jeżeli wstręt autora do stronnictw i ludzi umiarkowańszych objawiał się w tak energiczny sposób, dzieje się to stokroć silniéj w obec téj nowéj, najohydniejszéj fazy wulkanicznego wybuchu rewolucyi. Jeżeli autor zniszczył śmiałą ręką legendę rewolucyjną nawet w objawach, w których zasługiwała może na pewne oszczędzania, niszczy ją tém energiczniéj w bożyszczach „epoki jakobińskiéj“. Nie zapominajmy zaś, że to wcale nie nadaremna robota, że ją niszczyć trze-

ba, bo i Robespierre, bo i Saint-Just, bo i Marat mieli, ostatniemi czasy mianowicie, swoich osobnych czcicieli, swoich biografów, wielbicieli i panegirystów. Metoda, którą autor w charakterystyce téj strasznéj epoki się posługuje, jest, ze względu na cel jaki sobie założył, nader racyonalnego charakteru. Przyznając rządowi, który w czerwcu roku 1793 stanął na gruzach obalonéj władzy Żyrondystów, zasługę pewnéj siły i dzikiéj energii, w porównaniu z esłabością i chwiejnością wszystkich poprzednich, przedstawia przecież autor równocześnie „program jakobiński“, jako ideał, który tenże rząd z pogwałceniem wszelkich podstaw i zasad polityki, potrzeb ekonomicznych, bezpieczeństwa osobistego, najprostszéj swobody, stosunków rodzinnych, krajowi narzuca. Program ten „jakobiński", nie ujęty żadnym jakimś zamkniętym w sobie kodeksem, żadną ustawą konstytucyjną, ani ściśle określoném prawodawstwem, zbiera autor. ze zwykłą swéj metodzie skrzętnością i zasobem badawczéj nauki, w wyrazistą a zgroźliwą całość z mnóstwa najrozmaitszych szczegółów. Materyału dostarczają mu z kolei, bądź to prawodawstwo konwencyi, niszczące kościół i religią chrześciańską, własność, rodzinę, bądź mowy i wystąpienia co wybitniejszych postaci owéj epoki. Lepelletier de Saint - Forgeau ze swoim testamentem, pozostawionym epoce teroryzmu, Robespierre, Saint-Just, Barrère składają się razem autorowi na liczne cegiełki, z których on wznosi całość owego ujemnego, społeczno - moralno - politycznego ideału, jakim Jakobini chcieli uszczęśliwiać Francyą i jakim ją uszczęśliwiali rzeczywiście przez ciąg swych kilkoletnich rządów. Program ten wypełniający w swych szczegółach nie poślednią część niniejszego tomu Taine'owego dzieła, jest bez wątpienia przerażającym, ale rzecz dziwna, nie przedstawia się nam i naszéj dzisiejszéj epoce jako cóś nowego i nieznanego. Ów program Jakobinów, to po prostu od początku do końca program dzisiejszych socyalistów, z wszelkiemi swemi szczegółami o wszechwładztwie państwa, ze zniesieniem wszelkiéj własności prywatnéj na rzecz jego, z rozbiciem rodziny, z konfiskatą dzieci na rzecz państwowego wychowania, z zakazem czci Boga i wszelkiéj objawionéj wiary. Ideał podobny, straszny w teoryi, staje się tém straszniejszym, gdy wprowadzony w życie, dostaje się w ręce ludzi, którzy pamiętają w pierwszym rzędzie o sobie, bądź-to o swéj ambicyi, bądź o kieszeni a uwaga ta naprowadza autora na konieczność przypatrzenia się, pokazania z bliska bohaterów téj epoki czytelnikowi. Tutaj to świeci istotnie niezrównanym blaskiem artyzm autora w przedstawianiu ponurych okazów owéj epoki. Trzy osoby przedewszystkiém wyprowadza na scenę, Marata, Dantona i Robespierra, by każdego z osobna przedstawić

w świetle bijącéj w oczy prawdy. Każda z tych trzech osobistości odegrała w epoce teroryzmu rewolucyjnego właściwą sobie rolę; Marat jako zły duch rewolucyjnego dziennikarstwa, jako podżegacz złych namiętności u bezkrytycznego, podejrzliwego i rozwścieklonego pospólstwa, Danton i Robespierre jako reprezentanci i czynniki panującego chwilowego systemu politycznego. Każdy z nich z osobna, jak już zauważyliśmy wyżéj, miał swego czasu swoich wielbicieli, swych pochlebców i czcicieli. Marata serce, złożone w Panteonie, było przez chwilę przedmiotem osobnego kultu; Robespierre uchodził długo, mniejsza już że za pierwowzór katońskiéj cnoty obywatela kraju, ale nadto za pierwszorzędnego mówcę i wielkiego męża stanu; Danton za zbawcę Francyi przez organizacyą teroryzmu a choć-by nawet przez ohydne mordy wrześniowe z roku 1792. Jakże, zapytać-by należało, wygląda ta ponura trójca jakobińskiéj orgii w obrazie skreślonym wymównem piórem Taine'a?

Nie najmniéj ciekawie choć-by dla naszych doświadczeń i dla naszéj epoki wychodzi z tego aparatu fotograficznego autora portret Marata, wraz z nieodłącznym od swéj osoby organem szaleństwa i nienawiści *Ami du Peuple.* Taine widzi w nim najniewątpliwiéj prawdziwie, nie jakiś okaz wybujałego, ale świadomego przecież siebie, swych celów i swego programu fanatyka rewolucyjnego, ale po prostu chodzącego swobodnie szaleńca, którego każdy lekarz - alienista byłby poznał na pierwszy rzut oka, a nawet zaklasyfikował do kategoryi dotkniętych umysłowym obłędem. Obłąkańcy tego rodzaju zaliczają się do tak zwanych maniaków ambicyi, którzy, ponieważ nikt naturalnie zdrowy na umyśle prawa ich ambicyi nie uznaje, popadają w sąsiadujące z pierwszém maniactwo prześladowania. Marat, głowa przewrotna, umysłowo chora, rzucająca się z równém niepowodzeniem na pole naukowe i spekulacyjne, miał o sobie i swéj wielkości niesłychane wyobrażenie, uważał się za jedynego zbawcę Francyi, za ostrowidza wszelkich zdrad i podstępów zagrażających bezpieczeństwu i swobodzie kraju. Ponieważ jego szamotań i krzyków zdrowy rozsądek na seryo brać nie chciał, upatrywał w podobnéj obojętności i w podobném milczeniu tyleż dowodów najwidoczniejszéj zdrady przeciw sprawie rewolucyi, spisków i nastawań na bezpieczeństwo własnéj osoby, a jako jedyne lekarstwo ku ocaleniu jednéj i drugiéj powtarzała się w łamach jego „Ami du Peuple" inwokacya do zbawczéj interwencyi gilotyny. Uprzytomnijmy sobie ówczesny, nie normalnie nerwowy nastrój społeczeństwa paryskiego przedewszystkiém, ferment rewolucyjny, rozdrażniony nastrój umysłów i serc, stan rozbudzonych dzikich instynktów w masach ludowych, ich łatwowierną podejrzliwość, obok najzupełniejszéj ciem-

noty, a nie będzie nam trudno odgadnąć tajniki owego magnetycznego prądu, jaki szaleństwo takiego Marata łączył z szaleństwem mas ludowych, czynił pierwsze niebezpieczeństwem i grozą dla społeczności.

Innym psychologicznym okazem przedstawia się w artystycznéj charakterystyce autora drugie bożyszcze terroryzmu i jego dotychczasowych apologetów,—Robespierre. Sąd Taine'a o nim schodzi się w znacznéj mierze ze zdaniem, jakie o ofierze 9 Termidora wypowiada pisarz zkądinąd nam bardzo mało sympatyczny, słynny historyk angielski Carlyle. Dla Carlyle'a jest olbrzymie powodzenie Robespierre'a, choćby nawet w epoce jaką stanowi ferment terroryzmu rewolucyjnego, rodzajem społeczno-psychologicznéj zagadki, ponieważ nie może się w nim żadną miarą dopatrzéć jakiejbądź wyższéj zdolności, jakichbądź przymiotów umysłu i charakteru, kwalifikujących go na męża stanu. W Robespierze nie ma według charakterystyki wielkiego pisarza francuzkiego żadnej strony, któraby wychodziła po za najwzorowszą mierność. Błędem byłoby przypuszczać np. wraz z Ludwikiem Blankiem, że „był mężem stanu rewolucyi," że stanął w polityce wewnętrznéj ówczesnéj Francyi na wysokości stanowiska jakie zajmował, że posiadał choćby elementarne warunki czy to nabytej czy przyrodzonej inteligencyi, któreby mu do zajmowania go były dawały prawo. Cały jego rozum stanu kończył się na doktrynerstwie skleconem źle i mozajkowo z nieprzetrawionych społeczno-politycznych teoryi Rousse'a. Polityczna wymowa jego, któréj liczne przykłady autor przytacza,—sprawia wrażenie pełnego zdawkowych frazesów deklamatorskiego, niesmacznego dla dzisiejszych pojęć o parlamentarnéj retoryce, szkolnego traktatu, jakich owa epoka jest pełna. Powtarzającą się w nich ciągle zwrotką sielankowe inwokacye „Najwyższéj istności," ludzkiego szczęścia, ogólnéj wolności, co nie przeszkadza wcale, aby z podobną sielanką sąsiadowały deklamacye przeciw „tyranowi," przeciw „zdrajcom i intrygantom," kończące się niewinnem żądaniem strącenia im głów. Jeżeli się zapytamy o tajemnicę powodzenia tego rodzaju zjawiska, tłomaczy nam ją chyba tylko stwierdzające się tylokrotnie w świecie fizycznym prawo atrakcyi przeciwieństw. Stopniem nabytéj wiedzy, wystarczającym w normalnych czasach do wypełnienia stanowiska trzeciorzędnego adwokata, przerastał cokolwiekbądź Robespierre swoje dzikie i ciemne otoczenie. Był uczniem jakiegoś kollegium w Arras, rozwiązywał z powodzeniem zadania konkursowe. Przedstawiał więc pośród osobistości, jakie burza rewolucyjna wynosiła ślepo na powierzchnią wypadków, względnie rzeczy biorąc, żywioł inteligencyi. Nadto posiadał równocześnie ów zasób zimnéj krwi

i pozornéj oględności, który nie przeszkadzał jego popularności, ponieważ tego samego, czego hieny i tygrysy rewolucyi domagały się dzikim rykiem, on domagał się może wstrętniejszym jeszcze tylko sykiem żmii. Ta pozorna zimnota postępująca w tak dziwnéj zgodzie z krwiożerczością, ta sielankowość i zewnętrzna przyzwoitość formy w publicznych wystąpieniach, „imponowała" dzikim instynktom czy to ówczesnych mas ludowych, czy ówczesnych choragów, namaszczała istotnie Robespierre'a na męża stanu swego kroju i swojéj epoki. Być może iż stronniczość nie pozwala autorowi przyznać téj, wstrętnéj zkądinąd pod każdym względem, postaci jednego ważnego, tém ważniejszego, im rzadszego w bohaterach terroryzmu przymiotu. Jest nim osobista bezinteresowność i nieskazitelność, któréj autor sam Robespierre'owi nie odmawia a która, jak dalsze jego opowiadanie najdowodniéj wykazuje, nie jest wcale przymiotem zdobiącym ogół mężów owéj epoki, nie wyjmując nawet Dantona, który przecież wychodzi najobronniejszą ręką z pod krytycznego skalpelu Taine'a.

Dziwna rzecz! Jeżeli może być mowa o jakiejś sympatyi jego dla ludzi i zjawisk rewolucyi, objawia się ona dla jędnego Dantona, dla sprawcy mordów wrześniowych, i organizatora teroryzmu. Jemu jednemu przyznaje autor przymioty i warunki rzeczywistego męża stanu, a jak go ocenia posłuchajmy własnego jego opowiadania: „W Dantonie nie ma nic z obłąkańca. Przeciwnie ma nie tylko umysł najzdrowszy, lecz jest obdarzony uzdolnieniem politycznem i to w stopniu znakomitym, w stopniu takim, że pod tym względem żaden z jego współpracowników czy przeciwników nie może się z nim równać i że pomiędzy ludźmi rewolucyi, jeden Mirabeau może tylko mu wyrównał lub go przewyższał. Jest to umysł oryginalny, samodzielny a nie, jak większa część jego współczesnych, pismak lub rozprawiający teoretyk, to jest fanatyk pedancki, stworzenie sztuczne i sfabrykowane przez książki, koń deptakowy, który chodzi z zawiązanemi oczami i obraca się ciągle w zamkniętem kole bez wyjścia. Swobody jego sądu nie zaćmiewają abstrakcyjne przesądy. Nie występuje z kontraktem społecznym, jak Rousseau, ani ze sztuką społeczną, jak Sieyes, pojęciami lub kombinacyami gabinetowemi. Pozostał od nich wolnym instynktowo, być może iż przez pogardę, nie wiedział by co z niemi począć. Systemy są szczudlami na użytek niedołęgów, a on jest zdrowym. Formuły są okularami dobremi dla krótkowidzów a on ma oczy wyborne. Czytał i zastanawiał się mało, mówi o nim świadek obznajmiony z literaturą i filozofią, nie umiał prawie nic i nie miał zarozumiałości odgadywania wszystkiego, ale za to widział i patrzał. Przyrodzona jego zdolność, która była

wielką, a nie wypełniona niczém, zamykała się naturalnie dla pojęć ogólnikowych, powikłanych i fałszywych, otwierała się naturalnie wszystkim pojęciom doświadczalnym, których prawdziwość była oczywista. Tymczasem jego pogląd na ludzi i rzeczy, jasny, szybki, bezstronny i prawdziwy, posiadał przymiot gruntownego i praktycznego rozsądku. Uprzytomnić sobie dokładnie chęci czy to z sobą zgodne, czy różniące się między sobą, powierzchowne czy głębokie, rzeczywiste czy możliwe rozmaitych stronnictw i 26 milionów dusz; ocenić trafnie siłę prawdopodobnego oporu i wartość żywiołów rozporządzalnych; spostrzedz i pochwycić stosowną jedynie chwilę, skombinować środki wykonania; znaleść ludzi czynu, obliczyć wywołany skutek, przewidzieć następstwa odwetowe dalsze i bliższe, nie żałować i nie upierać się, przyznawać się do zbrodni w stosunku odpowiednim do ich politycznéj skuteczności, działać podstępnie wobec zbyt silnych przeszkód, powstrzymać się lub zbaczać nawet z lekceważeniem zasad które się roztacza, uważać rzeczy i ludzi tylko na wzór mechanika, wyrabiającego sprężyny i obliczającego siły,— otóż wszystkie zdolności, jakich złożył próbę w dniach 10 sierpnia, 2 września, podczas rzeczywistéj dyktatury, jaką sobie przywłaszczył między 10 sierpnia a 21 września, następnie w konwencyi, w pierwszym komitecie dobra publicznego, w dniach 31 maja i 7 czerwca. Widziano go natenczas przy wykonaniu dzieła. Aż do ostateczności wbrew swoim stronnikom, usiłował zmniejszyć a przynajmniéj nie zwiększać przeszkód, jakie rząd miał do przezwyciężenia. Aż do ostateczności, wbrew swoim przeciwnikom, usiłował zwiększać a przynajmniéj nie niszczyć czynników, jakiemi się rząd mógł posługiwać. Wśród wrzasków klubów, które się domagały wytępienia Prusaków, wzięcia do niewoli króla pruskiego, obalenia wszystkich tronów i zamordowania Ludwika XVI, podjął układy o spokojny prawie odwrót księcia Brunświckiego, pracował nad oderwaniem Prus od koalicyi, chciał zamienić wojnę propagandy na wojnę interesu, kazał zadekretować konwencyi, że Francya nie będzie się mieszala pod żadnym względem do rządów innych mocarstw, pozyskał alians Szwecyi, położył z góry podstawy traktatu Bazylejskiego, myślał o ocaleniu króla. Wskroś nieufności i zaczepek żyrondystów, którzy go chcą zbeszcześcić i zgubić, sili się, aby im podać rękę, wypowiada im dla tego tylko wojnę, że mu odmawiają pokoju, stara się ich ocalić, gdy już są powaleni o ziemię. Pośród tylu rozprawiaczy i pismaków, których logika ogranicza się na słowach, których wściekłość jest ślepą, którzy są pozytywkami frazesowemi lub mechanicznemi narzędziami mordu, zdąża jego inteligencya, zawsze szeroka a zręczna, do faktu, nie aby go przekrzywić lub sfał-

szować, lecz aby się do niego nagiąć, aby go zastosować do swojéj potrzeby i zrozumiéć. Z umysłem obdarzonêm takiemi przymiotami, idzie się daleko, mniejsza o to jaką drogą; trzeba naturalnie wybrać ją sobie. Mandrin również za staréj monarchii był w znaczeniu pokrewnêm, człowiekiem wyższym; różnica ta tylko, że za drogę obrał sobie rozbój na publicznéj drodze."

Otóż to charakterystyka najwybitniejszéj a zarazem i najsympatyczniejszéj jeszcze sobie ze wszystkich postaci rewolucyjnych ze strony autora. Z téj próbki powziąść łatwo wyobrażenie o reszcie. Smutny to istotnie, istnie katakumbowy pochód, pochód wśród krwi, pożaru, zgliszczów i ruin, nie oświeconych żadnym promieniem światła, nie wskazujących choćby przypadkiem nawet żadnym dodatniéj i pocieszającéj natury pojawów. Co może zaś wśród owéj epoki i wśród owych ludzi zjawiskiem najwięcéj przygnębiającêm, to że ogromna większość smutnych tych bohaterów nie składa się z szaleńców dobréj wiary, z fanatyków, ale fanatyków szczerych przynajmniéj, lecz zwykle z okazów zimnéj i dzikiéj przewrotności, oszukujących popularnemi godłami i frazesami wściekłe instynkty mas ludowych a spekulujących tymczasem kosztem cudzéj własności na rzecz własną. Autor, dodajmy, obala i pod tym jeszcze ubocznym względem rewolucyjną legendę. Dotychczas lubiła historyografia rewolucyi francuskiéj rozróżniać w swêm ocenieniu tak zwanych komisarzów ludu, owéj na przemian zohydzonéj, na przemian podziwianéj instytucyi, która pomiędzy owymi bohaterami zapisuje nazwiska Saint Justa, młodego Robespierre'a, Fouchego, Lebasa, Lebona, Talliena, Carriera, Collot'a d'Herbois, a któréj rewolucya miała zawdzięczać główną część swych powodzeń. Autor, jak dopiero co powiedziano, niszczy tę legendę rewolucyjną, czy nie ze zbytkiem może pessymizmu, czy nie bez krzywdy dziejowéj dokładności, niechajby pozostało jeszcze kwestyą otwartą dla badaczy historyi rewolucyi. Nie ma co naturalnie mówić o potworach, jakiemi byli Carrier w Nantes lub Collot d'Herbois w Lyonie, nie ma co mówić o rabusiach pospolitych jak o bohaterze 9 Termidora, Tallienie w Bordeaux, o zimnym cyniku, jakim był Lebon w Arras. Ku zaszczytowi natury ludzkiéj można powiedzieć jednakże, iż i w podobnym zastępie były różnice, że Robespierre młodszy na południu Francyi starał się powstrzymać mordy, że Lebas z Pikardyi nie był bez pewnych uczciwszych i łagodniejszych popędów, że mianowicie według bardzo niepodejrzanego świadectwa Karola Nodier w jego wspomnieniach, Saint-Just w Strasburgu odznaczał się uczuciem sprawiedliwości i posłał nawet na rusztowanie jako winnego strasznych wybryków i kompromitującego sprawę rewolucyi zbiegłego mnicha,

Niemca Eulogiusza Schneidera. Nie bez pewnego przykrego wrażenia przychodzi nam stwierdzić, że różnice te, niewątpliwéj ścisłości i prawdy historycznéj, dla Taine'a nie istnieją, a że nie chcąc znać wcale owych, rzadkich może, ale niezaprzeczalnych przecież faktycznie dodatniejszych pojawów, woli ograniczyć się wyłącznie na przedstawieniu samych tylko postaci złowrogich i czarnych. A tutaj to mamy znów, w opowiadaniu jego ową jaskrawą licznych, ciekawych, niewątpliwéj autentyczności i prawdy mozajkę faktów, w któréj autor umie być niezrównanym artystą. Stają więc przed oczyma czytelnika w całéj swej zgrozie krwawe postaci czy to Carriera wyprawiającego w Nantes swe „topienia“ i „małżeństwa republikanckie,“ czy Collota d'Herbois kartaczującego w Lyonie całe tłumy wskazanych, gdyż powolna robota „matki gilotyny“ nie wystarcza; Fouchego i Dubois—Crancé zajętych systematyczném niszczeniem opornego grodu, Tallien'a okradającego nie mniéj systematycznie bogate mieszczaństwo w Bordeaux, by następnie z rabunku prowadzić rozkoszne życie nie ustępujące w niczém orgiom zepsutych paniczów „de l'ancien regime.“ Zgroza i zbrodnia mięsza się tu częstokroć z jaskrawą śmiesznością. Regułą według autora jest, że taki „komisarz ludu,“ najczęściéj osobistość, mniejsza już o to, że ciemna, nieokrzesana, pospolita; ale, co gorsza, kryminalnie poszlakowana, pracuje podczas „swéj misyi“ na rzecz własnéj kieszeni, że mniéj lub więcéj wyraźnie praktykuje kradzież, że przyswaja sobie bez ceremonii pieniądze, kosztowności, meble gospodarza domu, do którego mu się na prowincyi zdarzyło zajechać. Niekiedy jest jednakże ów „komisarz ludu“ istotą choć pospolitą, to dobroduszną, z którą „na stronie“ naładowawszy zwłaszcza jego kieszeń i zaspokoiwszy pragnienie, „pogadać można.“ Takie przykłady wyjątkowego dla prowincyi szczęścia są jednakże rzadkie, a regułą bezceremonialny rabunek, praktykowany wśród frazesów o wolności, szczęściu i wszechwładztwie ludu, świetle filozofii i wzgardzie przesądów.

Otóż to w dziele Taine'a najkrócéj, o ile się dało, streszczona charakterystyka żywiołu rządzącego naówczas Francyą, obdarzonego przez autura nazwą „des gouvernants“. Wpatrując się w oblicze ich, jak je wielki pisarz, choć-by może z przepomnieniem i opuszczeniem dodatniejszych i uczciwszych postaci, ale cokolwiekbądź z fotograficzną wiernością tych, które wyprowadza na scenę, przedstawia, trudno się oprzéć wrażeniu, że się tu spotykamy z dobrze znanemi fizyonomiami świéższéj daty. Komuż z nas, co zna opowiadanie Maxyma du Camp o ludziach, więzieniach, gospodarce, polityce komuny paryskiéj z roku 1871 nie odzywają w różnych Raoul Rigaultach, Assych, Cluseretach, postacie Henriotów, Heber-

tów, Couthonów. Dziwna rzecz, do jakiego stopnia gleba francuska znalazła się odpowiednią do wydawania tak żywcem sobie podobnych okazów psychologicznych po upływie 80 blisko lat srogich doświadczeń. Zbyteczną naturalnie było-by powiadać rzeczą, że los rządzonych pod takimi rządzącymi, pozazdroszczenia godnym nie był, a druga, obszerniejsza nierównie część dzieła, którą znakomity pisarz „rządzonym“ poświęca, pozostanie istnie kartą wyrwaną z martyrologii pierwszych chrześcian. Zauważmy zaraz z góry, że i pod tym względem niszczy autor „legendę rewolucyjną“, która idealizowała niekiedy rządy teroryzmu, jako „niezrównanie sympatyczne“ poczciwemu ludowi, a nad upadkiem braci Robespierre'ów temuż „ludowi łzy żalu“ wylewać kazała. Taine przedstawia los owych „rządzonych“, w najrozmaitszych ich odmianach społecznych, majątkowych, stanowych w przerażających barwach. Warstwy arystokracyi rodowéj zmuszone emigrować, bo bezpieczeństwa w kraju dla nich nie ma; bogate mieszczaństwo staje się nasamprzód podejrzaném, następnie prześladowaném, z powodu nie czego innego właśnie jak swéj zamożności. Najpożądańsza to zresztą gleba dla wyzysku rewolucyjnéj spekulacyi „komisarzów ludu“. Wieśniak był początkowo oszczędzany na swém uboczu prowincyalném przez rewolucyjny huragan. Niezadługo jednakże skończył się dlań ten stan względnego bezpieczeństwa; rewolucyjna administracya zajrzała do jego zagrody, brała w rekwizycyą jego bydło pociągowe, dobrała się do jego gotówki, konfiskowała jego zasoby w zbożu, karała go jako chcącego ogłodzić lud przywłaszczyciela (accapareur) gilotyną, prześladowała w nim więzieniem, karami pieniężnemi, niekiedy i gilotyną zdrajcę Rzeczypospolitéj, gdy nie chciał przyjmować w wysokości nominalnego kursu osławionych asygnat, których wartość spadała z każdym dniem niemal niżéj. W przedstawieniu autora wygląda téż wcale nie różowo owa sława finansowéj zręczności, jaką sobie w pojęciu wielu swych historyków, nie wyjmując nawet Thiersa, zyskała epoka rewolucyjna, mianowicie w osobie ministra skarbu, Cambona. Asygnaty, jak już wspomniano wyżéj, nie przestawały spadać ciągle, skutkiem bezopatrznego, nie ulegającego żadnéj kontroli pomnażania. Następstwem tego bezpośredniém poczynała być stagnacya handlu i stagnacya w przemyśle; zbywało na rękach potrzebnych do uprawy roli, nad Francyą roztaczała się coraz groźniéj, coraz powszechniéj groza nędzy, głodu i spustoszenia. Dodajmy do tego owe mordy i barbarzyństwa, owe rozdzierające sceny w Lyonie, Nantes i Toulonie. Ozdoba ówczesnéj poezyi francuskiéj, Andrzej Chenier, wyprawiony pod gilotynę przez sędziów niezdolnych ortograficznie nakreślić odbytego z nim,

zachowanego dotąd w oryginale protokółu śledczego, a za przestępstwo jakie? Że nie wiedział gdzie się w dniu 10 sierpnia, dniu szturmu Tuileriów, znajdował jego, posądzony o zły patryotyzm, służący. Sławny chemik Lavoisier wskazany „za zły sposób myślenia" na gilotynę, żąda zwłoki dwutygodniowéj, by módz jeszcze stwierdzić praktyczną wartość pewnego swego naukowego odkrycia.... „Rzeczpospolita nie potrzebuje uczonych" odpowiada na to brutalnie jego współziemianin, prezydent trybunału Coffinhal, a wielki uczony idzie bezzwłocznie pod gilotynę.

Z pośród jaskrawéj, składającéj się z nieprzeliczonego mnóstwa szczegółów podobnych mozajki, wyjmijmy rzewny ustęp, poświęcony w opowiadaniu autora nieszczęsnéj postaci małego Ludwika XVII. „Na przeciwnym krańcu Paryża", mówi autor, „w wieży Templu, oderwany od swéj siostry, wydarty swéj matce, mały Delfin żyje jeszcze. Nikt we Francyi nie zasługuje więcéj odeń na litość i szacunek, bo jeżeli jest Francya, zawdzięcza to trzydziestu pięciu wodzom, czy koronowanym królom, których jest ostatnim bezpośrednim potomkiem. Bez ich dziesięciu wieków wytrwałej polityki i dziedzicznego zwierzchnictwa, konwencyoniści, którzy bezczeszczą świętokradzko ich groby w Saint-Denis i rzucają ich kości do wspólnego dołu, nie byli-by Francuzami. W ówczesnéj chwili, gdyby głosy były swobodne, ogromna większość narodu, dziewiętnastu Francuzów na dwudziestu, uznała-by za króla swego niewinne a drogie dziecię, dziedzica rodu, któremu zawdzięczają, że są narodem i mają ojczyznę. Jest-to dziecię ośmioletnie, rzadkiéj, a przedwczesnéj dojrzałości, równie bystre ile dobre, twarzy łagodnéj i wdzięcznéj. Spójrzcie obok niego na inną postać, z przekleństwem na ustach, podniesioną pięścią, o twarzy szubienicznika, rozczerwienionéj wódką, jego urzędowego kierownika wychowania, oficyalnego nauczyciela, absolutnego pana, szewca Simona, równie złego, jak obrzydliwego, nikczemnego sercem i obyczajami, który rozpaja go przymusowo, który go głodzi, przeszkadza mu spać, okłada go razami, a który z rozkazu, z instynktu i przez zasadę ciąży na nim całą swą brutalnością, całém swém zepsuciem, aby jego naturę przeinaczyć, aby go stępić i zdemoralizować".

Naturalnie, że taki stan rzeczy trwałym być nie mógł, że jakobińska Rzeczpospolita, gwałcąca wszystkie prawa, wszystkie uczucia, wypowiadająca wojnę normalnemu biegowi rzeczy i przykazom natury, runąć nareszcie była nieubłaganie skazaną. Autor porównywa owo państwo jakobińskie z organizmem człowieka, który, postawiony przymusowo głową na dół nogami do góry, skończył-by nareszcie żywot zalewem krwi i przerwaniem wszelkich niezbęd-

nych ciału ludzkiemu funkcyj. Skończyła też więc jakobińska Rzeczpospolita swój żywot w słynnym dniu 9 termidora, z upadkiem Robespierre'a, Saint - Justa i Couthona; ale raz jeszcze, niszczy Taine „legendę rewolucyjną“ i pod tym względem, jakoby „zwyciężcy Termidora“ byli lepsi od zwyciężonych, jakoby mianowicie stworzony przez zwycięźców organizm posiadał lepsze i podstawniejsze warunki życia, zaręczał Francyi jakąbądź promienniejszą przyszłość. Najsamprzód są, według niego, zwyciężcy Termidora moralnie z pewnością nie lepszymi ludźmi od swych przeciwników, Tallieny, Barrasy, Amary, Voulandy nie są lepsi od Robespierrów, Saint-Justów, Couthonów. Co się zaś tyczy politycznego uzdolnienia, są spadkobiercy władzy po epoce teroryzmu niedołęgami, pośród których prawdziwa zdolność jak Carnota, dla tego się tylko cudownie utrzymuje, iż obca polityce, oddaje się jedynie swojej specyalności. Zresztą jest to zastęp ludzi luźnych obyczajów, łatwego sumienia, rozwiązłego życia, którego materyalny koszt opędzają z łupiestwa publicznego grosza, a pod grozą teroryzmu własnego autoramentu. Nadto nie dość oni silni, aby powstrzymać i powściągnąć gwałtowne wybuchy odżywającego raz po raz fanatyzmu mas. Czy-to 13 vendèmiaire'a zapisujący fakt zwycięstwa młodego Bonapartego na bruku paryskim; czy-to 1-szy prairiala upamiętniony krwawo mordem deputowanego Fèranda na trybunie przez rozwścieklone masy ludowe; czy idealizowany przez fanatyków rewolucyi zamach Babeufa; czy 18 fructidora, stwierdzający barbarzyńsko wyzyskany tryumf dyrektoriatu nad zagrażającą reakcyą monarchizmu,—wszystko to dowodzi, według autora, widocznej słabości, tymczasowości przemijającej wszystkich kombinacyj, jakiemi wypalony wulkan rewolucyjny wybuchy swoje chciał przedłużać. Co zaś rzeczą najzgubniejszą dla kraju i narodu, dla ich przyszłości i powodzenia, to że taki stan rzeczy niszczył publiczną moralność, podlił charaktery, przygotowywał glebę pod siejbę jakiegobądź despotyzmu, byle przedstawiającego możność wytchnienia, spokoju i jakiego takiego wypoczynku. Takie widoki, takie rękojmie trwałości i spokoju przedstawiała naówczas, według autora „Francya wojskowa“, która wbrew „Francyi cywilnej“ zdołała wykształcić charaktery, nauczyć w swej szkole ludzi ładu i składu, przyuczyć do poświęceń i męstwa. Niechaj-by tylko nadarzył się znakomity wódz; byle zachował pozory, pójdą za nim wszędzie, gdzie ich powoła. I zdarza się taki w osobie Bonapartego, przynoszącego z jednej strony blask zewnętrznych zwycięstw, bawiącego tłum z drugiej mamidłem republikańskich tytułów. „Według własnego wyrażenia jego“, mówi autor, „jest rząd, który przynosi, połączeniem filozofii i szabli. To, co rozumieją naówczas przez

filozofią, jest zastosowaniem oderwanych pojęć do polityki, logiczną konstrukcyą państwa, według niektórych prostych i ogólnych zasad, plan społeczny jednolity i prostych linij; nie należy zaś zapominać że teorya przyjmuje dwojaki taki plan, jeden anarchiczny, drugi despotyczny. Naturalnie przyjmuje władca drugi z nich i podług tegoż to planu buduje, jako człowiek praktyczny, z piasku i wapna, gmach trwały, dobrze zastosowany do zamierzonego celu. Wszystkie pierwiastki wielkiego dzieła: kodeks cywilny, uniwersytet, konkordat, administracya prefekturalna i scentralizowana, wszystkie szczegóły tworzenia zasobów i rozporządzania niemi, zbiegają się do wspólnego celu, którym jest wszechwładza państwa, wszechobecność rządu, zniszczenie inicyatywy miejscowéj i prywatnéj, stłumienie asocyacyi swobodnéj i samodzielnéj, rozproszenie stopniowe małych gron samorodnych, zakaz, zapobiegający fundacyom dziedzicznym w odleglejszą przyszłość, zgnębienie uczuć, za pomocą których człowiek żyje po za obrębem własnéj istności, tak na przeszłość, jak przyszłość. Nie wzniesiono nigdy jeszcze piękniejszych koszar, symetryczniejszych i ozdobniejszych na zewnątrz, zadawalniających więcéj powierzchowny rozum, pożądańszych dla tuzinkowego rozsądku, wygodniejszych dla ograniczonego egoizmu, utrzymywanych lepiéj i czyściéj, urządzonych stosowniéj ku wynurtowaniu średnich i poziomych stron natury ludzkiéj, ku stłumieniu lub zepsuciu szlachetnych stron tejże natury. W tych filozoficznych koszarach żyjemy od lat ośmdziesięciu“.

Ostatnie to słowa ostatniego tomu dzieła Taine'a, pod którém czytamy znaczący wyraz „koniec.“ Czyżto ma być rzeczywiście koniec już jego zastanowień nad „początkami współczesnéj Francyi,“ a czyż taki koniec, jeżeli ma być końcem jest w stanie zadowolnić zastanawiającego się samodzielnie nad temiż początkami czytelnika? Wszakże, jeżeli już nic więcéj, to takiemu czytelnikowi nasuwa się bardzo naturalna refleksya, że jeżeli Napoleon wzniósł na gruzach rewolucyi owe „koszary“ które w autorze budzą same tylko wstręty, kiedy dla większości ucywilizowanéj Europy stały się społecznym, humanitarnym, administracyjnym i militarnym wzorem, — Francya, która odtąd przeszła metamorfozę trzech konstytucyjno - parlamentarnych monarchij i dwóch rzeczypospolitych, miała zaprawdę dość czasu i sposobności owe „koszary“ przebudować, nie używać ich „przez lat 80“, zastosować do obecnéj potrzeby. Czyż w ocenieniu owéj organicznéj budowy, jaką rządy pierwszego cesarstwa wzniosły z pierwiastków dodatnich, które ocalały wśród i mimo potopu rewolucyjnego, znakomity pisarz nie grzeszy pesymizmem, tak względem dodatniéj strony rewolucyi, jak względem organicznéj działalności cesarstwa?

Odpowiedź na to pytanie naprowadza nas w nieuniknionéj swéj konsekwencyi na kwestyą historycznéj wartości Taine'owego dzieła wogóle. Być może, iż odpowiedź, jaką nam przekonanie nasze podyktuje, wejdzie w zatarg z sądem, jaki o tém znakomitém cokolwiekbądź dziele wydała większość krytyki francuskiéj i zagranicznéj. Nie przeszkadza to jednakże w niczém swobodnemu objawowi naszego zdania. Otóż według nas, jest dzieło Taine'a, jako pojaw sztuki dziejopisarskiéj mocno przecenione, jakkolwiek przedstawia znakomite strony, na które niżéj jeszcze zwrócimy szczególną uwagę. Zaczynając naszą krytyczną czynność od strony zewnętrznéj, nie sądzilibyśmy, aby naśladowania godną, aby szczęśliwą była metoda historycznéj „ekspozycyi“, która, zamiast trzymać się zawsze bezpiecznéj i pewnéj poręczy porządku chronologicznego i wypadków po sobie idących, czy z siebie logicznie wynikających,—przedstawia dzieje pewnéj epoki w postaci barwnéj tysiącznemi szczegółami mozajki. Co w zażyciu podobnéj metody następstwem nader niebezpieczném dla prawdy i dokładności historycznéj, to nieunikniona jednostronność. Ciągłe pragmatyczne przedstawianie jakiéjbądź epoki, jakiegobądź wypadku dziejowego, czyni poniekąd koniecznością równy podział światła i cieniów, zmusza historyka, pragnącego pozostać w zgodzie z prawdą, do wypowiedzenia wielu rzeczy, które się z jego dążnością nie zgadzają. Owa „mozajkowa“ metoda jest wygodną dla jakiéjbądź tendencyjności w historyografii i pozwala, poddającemu się jéj autorowi, bez fałszowania faktów, bez najlżejszego występku przeciw ich prawdzie, skrzywdzić ją jednakże, przeinaczyć dziejowe oblicze przez przemilczenie tego, co z tendencyą wchodzi w sprzeczność lub jéj się niepodoba. Talent pisarski autora, promieniejący właśnie w owém mozajkowém zestawieniu ciemnych i ponurych szczegółów, przekupuje niewątpliwie czytelnika, ale czyż autora samego zdolny uwolnić od zarzutu, co najmniéj, jednostronności? Czyż wśród téj rewolucyi francuskiéj, czyż choć-by nawet pośród strasznéj epoki terroryzmu nie miało już być nic więcéj we Francyi, aniżeli mord, pożoga, rabunek, głód i nędza, aniżeli hieny i tygrysy z jednéj, cierpliwe baranki z drugiéj strony? Nam i naszéj intuicyi dziejowéj przedstawia się straszna katastrofa inaczéj. Nie czarna to noc tylko bez żadnego światła i promienia, ale raczéj Rembrandtowy światłocieniowy obraz, na którym dotknięta katastrofą ludzkość kroczy ostatecznie przez czerwone morze krwi nie bez nadziei promienniejszych przeznaczeń. Jak już napomknęliśmy wyżéj, uchroniły się ze strasznego potopu wielkie pojęcia zasadnicze i prawdy społeczne, niewzruszonéj ogniotrwałości pierwiastki, z których gmach nowéj

Francyi powstał. Nieobecność owych prawd zasadniczych, nieobecność owych organicznych i dodatnich rewolucyi pierwiastków, razi i ziębi jako nie dość pożałowania godna szczerba i niedokładność w tyle znakomitém zkądinąd dziele. Poświęcić czarnéj, wywrotnéj i przewrotnéj stronie rewolucyi grube dwa tomy, by organicznéj budowie nowéj Francyi poświęcić dwie ostatnie, lekceważące kartki; zapełniać całe rozdziały i długie stronice szakalowemi wybrykami Maratów, Robespierrów, Carrierów, by nie znaleść ani jednéj dla osobistości starożytnego odlewu jak Hoche'a, Marceau, Jouberta, dla spartańskiéj często cnoty, a częściéj dla spartańskiego męstwa republikańskiego żołnierza Francyi; nie znaleść w ciągu całego opowiadania ani jednego słowa dla świecącego przecież tak szerokim udziałem w dziejach i rezultatach rewolucyi „obozu wojennego“ Francyi, owego obozu, któremu autor sam na ostatniéj niemal stronicy przyznaje pobieżnie właściwość i zasługę zbawczego i ozdrawiającego dla kraju i społeczeństwa pierwiastku,—to mniejsza, że zbytek pesymizmu, ale co ważniejsza, że to nie dość pożałowania godna luka w wierności i dokładności historycznego obrazu. I otóż to główny nasz zarzut przeciw doskonałości Taine'owego dzieła, otóż przyczyna główna, która odsłania nam w niém raczéj świetny przeciw epoce rewolucyjnéj pamflet, aniżeli przedstawia jéj wierny i wszechstronny obraz.

Dalekimi jednakże jesteśmy od twierdzenia, aby znakomite dzieło wielkiego pisarza francuskiego, choć by nawet w podobnym stanie pesymistycznéj okaleczałości, nie miało oddawać równie nauce dziejowéj, jak więcéj może jeszcze własnemu narodowi, doniosłéj przysługi, nie mówiąc już o talencie pisarskim i zewnętrznych przymiotach dzieła. Przysługą tą jest, jak powiedziano wyżéj, zniszczenie legendy rewolucyjnéj, owéj legendy, która bałamuciła do ostatnich dni umysły Francuzów, a może i nie Francuzów tylko, przedstawiając im teroryzm, jako synonim narodowéj energii, zwycięstwa waleczności narodowéj, jako bezpośrednie następstwo terorystycznych gwałtów; krwiożerczych protoplastów paryskiéj komuny, w roli natchnionych proroków, nakazujących po Jezusowemu zwyciężać zastępom republikańskim. Zniszczyć ten niegodny przesąd, wykazać, że ponure osobistości konwencyi są obce orężnym powodzeniom republikańskiéj Francyi, że zwycięstwa pod Valmy, Jemappes, Hondschvote, Toulonem i Leane są czyste od zetknięcia się z kałem paryskiego bruku,—otóż, raz jeszcze niespożyta zasługa Taine'owego dzieła, w obec nauki dziejowéj i sumienia własnego narodu. Wielkiém i prawdziwém w tém, co powiada, przedstawia według nas ujemną stronę tylko w tém, co pesymistycznie przemilcza.

ZARYSY I SYLWETKI

Z KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO.

„Towarzystwo oszczędności i zaliczek w Cieszynie."

Ta ciężka skomplikowana firma, którą musieliśmy zaznaczyć w cudzysłowie z konieczności jako urzędową dla Cieszyńskiego Towarzystwa Zaliczkowego, charakteryzuje nieźle te ciężkie warunki, wśród których istnieć muszą instytucye polskie na Szlązku. Wszelkie Towarzystwa Zaliczkowe na całym świecie przyjmują u siebie wkładki na oszczędności, a mimo to firma *„Towarzystwa Zaliczkowego"* wystarcza na to; Opawski rząd krajowy zażądał jednak aby ten zakres działania Towarzystwa Cieszyńskiego był uwidoczniony w samej firmie.

Ale dobrze że przynajmniej choć pod tym warunkiem pomieniony zakład przyszedł do życia, co zresztą zawdzięczać należy nowej ustawie z 9-go kwietnia 1873. Przedtem mimo próśb i żądań Polaków rząd Opawski niechciał pozwolić na założenie kasy zaliczkowej. W sferach niemieckich mówiono o zbyteczności jéj i o niepotrzebnéj konkurencyi, jakąby wywołać ona musiala względem istniejącej już w Cieszynie podobnego rodzaju instytucyi niemieckiéj pod firmą *„Teschner Volksbank,"* która jak każda prawie instytucya niemiecka ma obok właściwych zadań i cel germanizatorski. Członkiem jéj zarządu i rady nadzorczéj może być „nur deutsch gesinnt" (1). Nic niepomagały i rekursa do ministeryum.

Potrzeba było dopiero dobrodziejstwa nowéj ustawy, którą właśnie w owym czasie uchwalono, aby na jéj podstawie, niedopraszając

---

(1) Co nieprzeszkadza zarządowi do zwabiania polskiéj ludności plakatami lub cyrkularzami polskiemi,

się łaski rządu, zainaugurować byt Towarzystwa Zaliczkowego przez proste podanie wiadomości o jego ukonstytuowaniu się do c. k. władzy rządowéj, a następnie wpisanie onego do rejestru spółek zarobkowych i gospodarczych przy sądzie obwodowym cieszyńskim.

Godzi się na tém miejscu wspomnieć pana Lecha Władysława, jako jednego z pierwszych inicyatorów myśli założenia tego towarzystwa przed dziesięciu laty. Wówczas to na dniu 25 września 1873 r. zostali wybrani do pierwszéj rady nadzorczéj pp. Jerzy Cięciała. Folwarczny Jan, dr. Gałecki Bronisław. Glajcar Jerzy, Habiński Adam, Stonawski Jan (junior) i Wisła Jan. Do dyrekcyi zaś: pp. Hillenbrand Franciszek na kontrolera, Klebinder Józef na kasyera, Lech Władysław Wacław na referenta.

Towarzystwo rozpoczęło działalność swoję bardzo skromnemi środkami. Od czasu rozpoczęcia czynności aż do końca pierwszego roku obrotowego, tj. do dnia 31 grudnia 1874 r. przystąpiło do Towarzystwa 258 członków, którzy obowiązali się złożyć na swe udziały 10341 złr., złożyli zaś rzeczywiście do dnia owego gotówką 3256 złr. i 60 ct. (1). Po upływie siedmiolecia tj. z końcem roku 1881 liczba, członków wynosiła 1529, suma zaś deklarowanych udziałów 83 035. a wpłaconych 32.603 złr. i 90 ctn. Wzrastać więc musiało znacznie zaufanie publiczne do kierowników młodéj instytucyi nierozrządzającéj wielkiemi funduszami, skoro liczba uczęstników zwiększyła się prawie o siedemkroć razy. W liczbie bowiem tych 1529 członków było właścicieli nieruchomości miejskich lub wiejskich prawie 77% (1174 osób), a nieposiadających żadnéj nieruchomości przeszło 23% (355 osób), co wielce jest wymownem w obec przyjętéj przez Towarzystwo zasady odpowiedzialności ograniczonéj majątkiem własnym członków za wszelkie operacye Towarzystwa (2).

O stopniu zaufania do zakładu wśród szerszéj publiczności świadczy stan wkładek na książeczki oszczędności, (który z 5.061 zł.

---

(1) Towarzystwo istnieje na zasadzie nieograniczonéj poręki, najmniejszy udział wynosi 25 złr. największy 500 złr. Spłacać można ratami począwszy od 50 ct. miesięcznie.

(2) Poszczególne stany uczestników tak się przedstawiają

rolników	846	czyli	55'35%
rękodzielników i przemysłowców	328	„	21'45%
umysłowo pracujących	129	„	8'43%
kapitalistów i bez określonego zajęcia	132	„	8'63%
kupców, kramarzy itp.	86	„	5'62%
instytucyj (stowarzyszeń, spółek itp.)	6	„	0'39%
fabrykantów	2	„	0'13%
Razem	1529	czyli	100'00%

r. i 85 ct. w 1874 r. podniósł się do 316.193 zł. r. i 26 ct. 1881 r.) a zaś wśród instytucyj finansowych—nizka stopa procentowa, z jakiéj korzysta Zakład w chwili gdy uzna za właściwe korzystać z obcych funduszów, do czego jednak mniéj potrzebuje się uciekać w obec zwiększających się wkładek oszczędności. Gdy jeszcze w końcu 1876 roku płacił Zakład od obcych kapitałów 7 i 7½%, to już w początkach następnego roku nie miało Stowarzyszenie ani jednego guldena takiego obcego kapitału, od któregoby płaciło większy procent nad 6%.

Na jaki procent udziela w téj chwili Towarzystwo członkom własnym przy pożyczkach przez nich zaciąganych, niemożemy stanowczo powiedzieć, bo takiéj wiadomości nieznajdujemy niestety w sprawozdaniach zarządu. A szkoda, bo obok innych wskazówek, wysokość odnośnéj stopy procentowéj świadczyłaby także bezpośrednio o użyteczności Towarzystwa, a jeszcze bardziéj o usiłowaniach jego w spełnianiu głównego zadania instytucyi, umożliwienia taniego kredytu własnym członkom.

Że jednakowoż ustawiczne w tym kierunku czynią się usiłowania Zarządu, widać już z dokonanego zniżenia stopy odsetkowéj od udzielanych pożyczek o 1% a odsetek za zwłokę o 2% w 1881 r., jak to zaznaczono w sprawozdaniu. Czysty zysk we wspomnionym roku wynosił 4.350 złr. i 86 ctn. (w 1874 tylko 153 złr. i 31 ctn.) i był przeszło dwa razy większy niż w bezpośrednio poprzedzającym go roku 1880, na co się poczęści złożył większy kapitał obrotowy i mniejszy stosunkowo koszt administracyi, ale głównie nowa ustawa podatkowa, wydana dla Towarzystw Zaliczkowych, wskutek któréj podatek dochodowy stał się bez porównania mniejszym a zarobkowy w zupełności odpadł. Dzięki temu jako téż dokonanéj w 1881 r. zmianie statutu, działalność Towarzystwa jeszcze bardziéj rozszerzać się poczęła i we dwa lata późniéj czysty zysk za rok 1883 podniósł się, do 6.773 złr. 56 ctn. a ogólny obrót kasowy do 2.229.327 złr. wówczas gdy 1881 r. wynosił 1.273.404 złr. przy 1.529 członkach i 32.600 złr. udziałów. Z tych rezultatów wnosząc, Towarzystwo Cieszyńskie zaliczyć można do szczęśliwie operujących i wzorowo rządzonych Towarzystw, co zawdzięczać należy gorliwość pp. H. Filasiewicza, Adama Sikory, Jana Glajcara, wchodzących w skład zarządu.

Czytelnia ludowa.

Dziwnie charakterystycznie brzmi nazwa téj najstarszéj instytucyi polskiéj na Szlązku. Czem była przed 20 laty, tém i dziś pozo-

stała a przynajmniéj pozostać usiłuje—ogniskiem życia nietylko umysłowego, ale wogóle *narodowego* w księstwie Cieszyńskiem. Przyjąwszy nazwę *ludowej*, czy uderzyła w ten sposób skargą na przeszłość dziejową Szlązka za to, że krainę tę pozbawiła wszelkich innych stanów dla myśli narodowéj krom ludu, czy wionęła nadzieją na przyszłość, że odrodzenia narodowego na Szlązku dokona tylko lud?

Założona w 1861 r. staraniem najgorętszych patryotów miejscowych, z pomiędzy których Ś. p. Klucki ówczesny burmistrz Cieszyna złożył obligacyą 20 złr. na jéj fundusz żelazny, czytelnia Cieszyńska stała się macierzą i opiekunką wszystkich innych czytelni zakładanych odtąd w Cieszyńskiém. Jakoż i zewnętrznem urządzeniem, i powagą odpowiada ona temu stanowisku. Mieści się na pierwszém piętrze Bazaru Cieszyńskiego, tuż obok Towarzystwa Zaliczkowego, zajmując na swój użytek cztery pokoje i salę dużą.

Biblioteka jéj założona i zbierana staraniem członków, znacznie się wzmogła wspaniałym zapisem (8.000 dzieł) S. p. księdza Teligi prałata krakowskiego. Kilkadziesiąt czasopism polskich, bądź to prenumerowanych, bądź nadsyłanych w darze od redakcyi, zostaje zawsze do rozporządzenia członkom. Tak więc, już majątkiem samym i zewnętrzną prezentacyą, zajmuje ona pierwsze miejsce pomiędzy instytucyami, które noszą nazwę Czytelni, a które istnieją na ziemiach polskich lub za granicą dla użytku ludności polskiéj. Ale na tém nie ogranicza się jéj znaczenie. Budząc i podtrzymując życie towarzyskie, a pośrednio i polityczne pomiędzy ludnością polską w Cieszyńskiém, stała się dla niéj do pewnego stopnia łącznikiem moralnym i materyalnym, tak na wewnątrz jak na zewnątrz. Gdy który z jéj członków, rozrzuconych po całém księstwie, przybędzie do Cieszyna, czy to w sprawach własnych ekonomicznych, czy w potrzebie publicznéj, lub choćby tylko dla rozrywki, zabawy—zajrzeć musi koniecznie do czytelni. Tam znajdzie najświeższe wiadomości obchodzące go, tam się spotka ze znajomymi, tam załatwi niejeden interes, a w każdym razie odetchnie atmosferą wspólności narodowéj, pokrzepiającą jego siły i nadzieje, tam też a nie gdzie indziéj może spotkać rodaków z dalszych stron Polski, którzy również w Czytelni szukają zetknięcia się ze Szlązakami, łączność tę wzmacniając i pokrzepiając samą obecnością swoją.

Tak bywało często i tak być miało zawsze, zgodnie z myślą i pragnieniami takich Kluckich, Stalmachów, tudzież ich towarzyszy i następców. Ponieważ potrzeby polityczne, socyalne, religijne, ekonomiczne znajdować mogą ostateczny swój wyraz w odpowiednio ku temu istniejących instytucyach, stowarzyszeniach i korporacyach oddzielnych, przeto zadaniem Czytelni było łagodzenie możliwych

między niemi sprzeczności, sprowadzanie rozstrzelonych na każdém polu dążeń do wspólnego mianownika narodowego, znajdywanie dla nich téj duchownéj jedności, któréj zewnętrznym zbiornikiem miał być Dom Narodowy.

Takiéj potrzebie, takiemu zadaniu sprostać mogły nie żadne z góry stawiane programy polityczne, nie leżące w zakresie statutowego działania Czytelni, nie żadna ogólna organizacya polityczna, któréj Szlązk wytworzyć nie mógł, lecz sfera życia towarzyskiego, dostępna dla wszytkich, jednocząca wszelkie stany i opinie, zbliżająca do siebie ludzi różnych zawodów, kształcąca ducha narodowego, zamiłowanie piękna i wznawiająca tradycye społeczeństwa polskiego.

Taka sfera życia towarzyskiego za staraniem i pod kierunkiem Czytelni znajdowała swój wyraz w zabawach towarzyskich, i w teatrze amatorskim. U nas w wewnętrznych prowincyach Polski gdzie istnieją teatry, koncerty, bale, gdzie zachowała się tradycya obyczaju polskiego, gdzie ognisko rodzinne z jednéj strony ogrzewa ciepłem swojém nie tylko wszystkich członków i nie zmusza ich szukać ciężkiéj a sztucznem ciepłem ogrzanéj atmosfery piwiarnianéj, ale nawet nęci i zbliża do siebie ludzi obcych; gdzie istnieją stany wyższe i bogata inteligencya, nadające dobry ton towarzystwu; gdzie nareście kobieta zająwszy wydatne stanowisko, stała się kwiatem tego towarzystwa, rozpościerającym na okół wdzięki i powab form jego,— u nas powiadam nie ma mowy o zadaniach urządzania specyalnych zabaw towarzyskich w tym celu, aby one odgrywały jakąś rolę kulturną lub potrzebowały odradzać społeczeństwo. Ale inne zupełnie mają one znaczenie na tych kresach nadodrzańskich, gdzie germanizm zamiast stawić kobietę na piedestalu towarzyskim zamknął ją tylko w kuchni, gdzie wdzięk tego życia utopiono w kuflu piwa, a społeczeństwo całe rozbite na samolubne atomy, znajdujące łączność mechaniczną w codziennéj walce o byt, lub sztucznem ich kojarzeniu dla wymarzonéj myśli politycznéj lub chęci materyalistycznego panowania nad obcego ducha żywiołami. Dla ludności polskiéj na Szlązku, wciągniętéj od wieków w taką sferę giermańską, najsłabszy nawet promień życia towarzyskiego, byle tylko w nim drgało ciepło polskie, stawał się nie tylko symbolem tego życia, ale odradzał je, ogrzewał swém ciepłem i przywracał bodaj częściowo organizmowi polskiemu.

Zrozumieli to zadanie ludzie z *Czytelni*, którzy czuć i myśléć umieli po polsku, a że droga działania była wiadomą i stała dla każdego otworem, kto chciał tedy, a miał w tym lub owym kierunku zdolności, jął się pracy zgodnéj z innymi, bez żadnego uciekania się

do wielkich lub sztucznych planów. Zabawa towarzyska, połączona najczęściéj z tańcami, następowała prawie zawsze po teatrze amatorskim, była jego uzupełnieniem i niejako nagrodą zarówno, dla kierowników i aktorów za trudy poniesione przy inscenowaniu sztuki, jak i dla widzów za ich obecność na przedstawieniu. Bo w Cieszynie jeszcze bardziéj niż gdzieindziéj brano scenę narodową za instytucyą kształcącą w mowie ojczystéj (kaleczonéj tutaj codziennie w szkołach i życiu publiczném) w obyczajach, w dobrym tonie i tradycyi polskiéj. Odegrać teatr amatorski to łatwo powiedzieć: a nawet łatwo wykonać w prowincyach wewnętrznych Polski, a na Szlązku to rzecz nader trudna i w pierwszych chwilach wydawała się nawet niewykonalną, z powodu zupełnego braku odpowiednich żywiołów dla wystawienia choćby najdrobniejszéj sztuki: ani sceny, ani rutyny, ani obznajomienia się z dramatyczną literaturą polską, ani środków pieniężnych, ani nareszcie personalu odpowiedniego. A jednak wszystkie te trudności pokonano. Zebrano szczupły fundusik, który następnie pomnażał się skromną opłatą za wstęp na zabawę; urządzono scenę w sali Czytelni i sporządzono potrzebne dekoracye. Oczywiście mowy tu niebyło o sprowadzaniu sił fachowych. Każdy z członków chętnych po temu zabrał się do pracy: jeden malował kurtynę, drugi kulisy, trzeci i czwarty pomagał, piąty sprowadzał materyały, szósty zajmował się muzyką, siódmy maszyneryą itd. Najtrudniejszą rzeczą było kierownictwo artystyczne teatru, składające się z dwóch zadań: literackiego i reżyserskiego. Najczęściéj trzeba było nie dla sztuki organizować personal, lecz dla istniejącego personalu wyszukiwać odpowiednią sztukę. Mężczyzni acz nie przywykli do sceny, mogli jeszcze być na zawołanie, ale co począć z rolami kobiecemi, gdzie szukać kobiet, skoro przedtém nie było żadnéj łączności towarzyskiéj, mogącéj ułatwić wzajemne zbliżenie się? Nareszcie znalazła się jedna ochotniczka: trzeba było gwoli niéj znaleść odpowiednią sztukę teatralną z jedną rolą kobiecą, niezbyt trudną dla początkującéj amatorki. I stało się tak, że przy dość bogatéj literaturze, stojącéj otworem dla całego społeczeństwa naszego i karmiącéj płodami swemi miliony ludzi, musiano się łamać z takiemi trudnościami i karmić się tak skromnemi okruszynami Melpomeny, jak gdybyśmy byli sierocą garstką pariasów, których niestać nawet na jednoaktówkę.

W miarę jednak tego jak przy pracy i wytrwałości rozwijała się ta kresowa scena, gdy na odbywających się w Czytelni zabawach towarzyskich znajomili się i zbliżali między sobą ludzie, gdy przedstawienia teatralne podobały się powszechnie, a słuchacze wdzięcznością i sympatyą otaczali grających artystów, zaczęło się i więcéj

zgłaszać chętnych do sceny kobiet,. córek i żon miejscowych obywateli, nie bez próśb i namowy członków Czytelni. Był to już materyał, ale materyał bardzo surowy. Ileż to potrzeba było pracy, ile prawdziwego poświęcenia, aby go ułożyć i wdrożyć do sceny! Nie jedna z debiutantek nie widziała w życiu swojem sceny, co więcéj nie posiadała nietylko manier elastyczności i przytomności umysłu, koniecznéj dla publicznego wystąpienia, ale nawet zwykłéj ogłady towarzyskiéj i téj niewymuszonéj swobody w obejściu, połączonéj z wdziękiem, które cechują kobietę polską, słowem tych warunków, które są niezbędne nawet w życiu prywatném, a cóż dopiero na deskach teatralnych. A język? Odrębnie od pnia macierzystego w ciągu tylu wieków rozwijająca się gwara Szlązka bądź jako djalekt ludowy, bądź pod wpływem rozczytującego się w religijnych pisarzach Zygmuntowskiéj „epoki ewangielika, przechowała ona tyle cennych a rodzinnych skarbów, że może stać się odradzającym źródłem dla tegoż pnia ogólnéj mowy polskiéj. Ale jaką drogą? przez badaczy i literaturę. Zaprawiona jednakże niemczyzną, która do niéj wsiąkając różnemi drogami, skaziła ją nietylko pod względem leksykalnym i syntaktycznym, obdarowawszy tysiącem słów i zwrotów niemieckich, ale i wymowę jéj zepsuła lub wynaturzyła,—tak jak jest— nie nadawała się dla sceny narodowéj, jeżeli ta scena stać miała na straży czystości języka. Zanim wystąpili na niéj z debiutem amatorowie, aktor lub aktorka, musieli wpierw przejść przez formalną szkołę gramatyczną, w któréj obowiązek nauczycieli przyjmowali na siebie reżyser i w ogóle ludzie należący do Czytelni, którzy bywali w Polsce pozaszląskiéj i mieli sposobność nawyknienia do czystéj polszczyzny.

Po trudach i nauce zbierano owoce podjętéj pracy. Ileż to wrażeń dla publiczności pozbawionéj dotychczas widowiska teatralnego i słyszenia w całéj czystości téj dźwięcznéj mowy naszéj. Starannością, wykonaniem i dobrą grą amatorów nęcona publiczność cisnęła się gromadnie do sali bazarowéj, a połączona z przedstawieniem ochocza zabawa polska zaczęła roztaczać urok do koła nie tylko dla miejscowych i okolicznych rodaków, ale i dla cudzoziemców. Uczęszczanie na zabawy Czytelni zaczynało być oznaką dobrego tonu dla niemieckich rodzin w Cieszynie. Z jednéj więc strony polszczyzna nabierała znaczenia i powagi wśród żywiołów obcych, pogardliwie ją dotychczas traktujących, a z drugiéj ścieśniały się coraz bardziéj węzły towarzyskie między rodakami: rozszerzała się sfera polskości a z nią wzmagała się siła rodziny polskiéj. Tak rodziny polskiéj. Wyda się to może na pozór paradoksalném lub przesadzoném, ale tak było w istocie. Nie jedna panna bez Czytelni i bez tego aktor-

stwa pozostała-by wasser-polką, a wyszedłszy za niemca powiększyła-by zastęp germanizatorów. W Czytelni i na scenie wyuczyła się po polsku nietylko mówić ale i czuć; w Czytelni poznała się z kolegą scenicznym, wyszła za niego za mąż i założyła własne ognisko polskie, z rozkoszą i dziś wspominając o przyjemnych chwilach swojéj metamorfozy. Takich małżeństw, pod opieką muzy polskiéj, nie mało się skojarzyło. Domy ich są dziś pepinierami polskości na Szląsku, tak jak pepinierą onéj była Czytelnia cieszyńska.

Germanizatorom naszym nie mogły się podobać rosnące wpływy nawet téj skromnéj instytucyi. Że zaś do stłumienia jéj brakowało motywów *politycznych*, chwycono się *policyjnych* i z tych przy pierwszéj sposobności skorzystano.

Niebawem po pożarze wiedeńskiego Ring-teatru, kiedy zapanowała manja przesądnéj ostrożności w zastosowaniu przepisów bezpieczeństwa dla lokalów publicznych, burmistrz Cieszyński, pan Demel pozostawiwszy otworem wszystkie inne sale niemieckie, kazał zamknąć salę Czytelni polskiéj i wzbronił dawania w niéj przedstawień scenicznych, koncertów i zabaw towarzyskich, mimo że sala ta w urządzeniu swojém przedstawia o wiele więcéj warunków bezpieczeństwa od pożaru niż inne sale, mimo, że zarząd Czytelni zobowiązał się jeszcze bardziéj je zwiększyć i obostrzyć, tudzież wypełnić wszystkie warunki policyjne, jakie magistrat uzna za stosowne nakazać.

Naprόżno: rozporządzenie nie dało się cofnąć, nawet w drodze rekursu do prezydenta krajowego. Scena polska została w ten sposób zwinięta, ustały miłe a gwarne zebrania polskich Towarzystw, ucichły zabawy, rozpierzchło się nietylko amatorskie Towarzystwo dramatyczne, ale i ludzie je składający gdzieś poznikali. Niestało jedynego łącznika towarzyskiego, który, gromadząc kobiety i mężczyzn w jedném ognisku, nadawał Cieszynowi jaką taką fizjognomią polską.

Był to cios nie mały dla rozwoju życia narodowego na Szląsku. Ale większa była-by małoduszność, gdyby gwoli niego załamano ręce bezczynnie i pozwolono cieszyć się wrogom, że lada rozporządzenie burmistrzowskie zdoła przełamać albo nadwątlić wytrwałość narodową. Słabsze i mniéj w poczuciu narodowém wyrobione umysły, jak przy każdéj przeszkodzie, tak i przy téj zachwiały się, ale zahartowani w boju patryoci nie zatrzymali się w pracy narodowéj i z tém większą skrzętnością zaczęli snuć ją po dawnemu. Prawda, szczupła ich garstka, nie jeden wśród pracy upada, przygnębiony zwątpieniem, ale natomiast znajduje się nowy bojownik i zastępuje znużonego towarzysza. Bez chluby, bez rozgłosu, mrówcza ich pra-

ca ma coś w sobie z niezmordowanego uporu owada, który na rozburzoném przed godziną mrowisku, ima się na nowo jego budowy, bez skarg i żalów, z jednaką zapobiegliwością i skrzętnością, z tym samym instyktowym porządkiem i spokojem. Suchą w oczach tych ludzi źrenicę, zdaje się jakby oddawna przepaliły bezpłodne skargi posyłane w niebo, a jednak wiele tam ciepłéj musi być nadziei w sercach, skoro one po tylu zawodach poruszają jeszcze ich pragnieniami.

Saméj Czytelni nie mógł rząd zamknąć, a własnym jéj członkom nie godziło się ustać w pracy dla tego tylko, że nieprzyjaciel na nią czyha. Przeciwnie, gdy jedne objawy jéj życia przytłumiono na czas, trzeba było tém raźniej myśléć o rozwoju innych, o zabezpieczeniu całości, o utrwaleniu jéj bytu. Bieżące dochody z rocznych wkładek (po 4 reńskie od członków miejscowych, zamieszkałych w Cieszynie, a po dwa reńskie od zamiejscowych z prowincyi), ledwo wystarczają i to nie zawsze na bieżące wydatki — na najem i utrzymanie lokalu. Skąd jednak wziąć funduszów na wydatki nieprzewidziane, albo na zabezpieczenie Czytelni w razie, gdyby się kiedy znalazła bez lokalu w Bazarze? Założono fundusz żelazny. Ale ten stworzony z drobnych części bieżących dochodów, tak słabo wzrastał, że od roku 1861 do 1874 wynosił tylko 85 reńskich! Przy tak powolnym wzroście ustawała niemal nadzieja doczekania się znaczniejszego funduszu, nawet po kilku pokoleniach. I oto za inicyatywą Filasiewicza i Sikory zbiera się pewnego dnia gromadka patryotów, a po smutnym bilansie teraźniejszości zdobywa się na zaprowadzenie wkładek centowych. Zgromadzeni, żyjący z własnéj codziennéj pracy, postanowili codzienny procent centowy z dochodów téj pracy składać na fundusz żelazny Czytelni. Odnośne oświadczenie koleżeńskie zostało spisane na prostéj ćwiartce papieru i dotychczas jak relikwia przechowuje się u P. Sikory. Kiedyś będzie to ciekawy akt do dziejów pracy narodowéj na Szląsku. Brzmi on tak:

„My niżéj podpisani obowiązujemy się wzajemnie sobie danem słowem, że od dnia podpisu na tym arkuszu płacić będziemy codzień po jednym cencie walutą austryacką na rzecz funduszu żelaznego „*Czytelni ludowéj*“ w Cieszynie i to tak długo, jak długo przebywać będziemy w Cieszynie lub w księstwie Cieszyńskiém“.

Data tego pamiętnego dnia była 20 czerwca 1875 roku.

Do dnia 5 maja 1884 roku, kiedym czytał to oświadczenie, było na niém zapisanych już 49 osób, z których znaczna część, zajmując zawisłe od niemców miejsca, prosiła aby ich nazwiska wpisano tylko początkowemi literami. Dla tego też wogóle nazwisk owych 49 nie-

śmiertelnych szlązaków nie mógłbym podać do wiadomości publicznéj, bez pewnéj dla nich przykrości.

Oczywiście nie od razu zastęp wpisanych dosięgnął powyższéj cyfry: był on z początku bardzo szczupły; ale téż wpisani nie ograniczali się na ustanowionéj wkładce centowéj, lecz z każdéj sposobności korzystali, aby nadarzony przygodnie grosz wrzucać do skarbony na fundusz żelazny. Za przykładem wpisanych szli i niewpisani. Sikora każdą ofiarę wpisywał do oddzielnego raptularzyka, który zawsze nosi przy sobie. Jakich téż tam nie ma składek! Niekiedy bez rozrzewnienia niepodobna czytać tych rachunków. Tak np. widzimy rubrykę: za sprzedane cygaro 5 centów. A skąd powstały? X. ofiaruje Y cygaro, ale Y nie pali, chowa więc prezent do kieszeni, a wieczorem gdy członkowie zejdą się do Czytelni i ktokolwiek zażąda cygara. Y niepozwala służącemu iść do bufetu, lecz sprzedaje ofiarowane sobie cygaro o centa taniéj: Dochód poszedł na rzecz żelaznego funduszu. W jednéj z sal zasiadają niekiedy starsi do taroka lub preferansa. ale wygrana idzie najczęściéj na *żelazny fundusz.* Poseł ks. Swieży, wracając z posiedzeń sejmu opawskiego, zwykle pierwszą wizytę składa w Czytelni, i zwraca się do Sikory, podając jednę rękę na powitanie a drugą sięgając w zanadrze: to znak, że szanowny poseł oszczędził na dyetach poselskich i tę oszczędność składa na fundusz żelazny Czytelni.

Ktoś zamiast wyprawiać imieniny, składa na tenże sam cel guldena, dwa, trzy itd., stosownie do zamożności, spotykamy takie rachunki: z dochodu przy bilardzie 10 centów: Sikora z wygranéj w Jabłonkowie na niemcach – 6 centów; znaleziono 1 grajcar; M. z okazyi zaręczyn 5 zł. reńskich itp.

Razu pewnego zasiadło w Czytelni poufne grono bliższych znajomych. Była mowa o kobietach i o ożenieniu. Ktoś z obecnych wyraził ciekawość oglądania Filasiewicza w życiu familijném. Sikora znając swego kolegę, odezwał się z powątpiewaniem: już jeśli Filasiewicz kiedy się ożeni, to ja dam 40 reńskich na Czytelnię. W pół roku potém Filasiewicz ożenił się i Sikora będąc urzędnikiem w Towarzystwie Zaliczkowém, z pensyą kilkuset reńskich, musiał zdobyć się na zapłacenie ratami 10 guldenowemi zapowiedzianéj kwoty i dotrzymał słowa. Bywały więc znaczniejsze wkładki. jak np. od Mamicy 100 reńskich, od p-ni Heleny Otto na uczczenie pamięci ś. p. dr. Leopolda Otto, pastora, 116 reńskich i 75 centów.

W ten sposób pierwotny szczupły fundusz 85 zł. wzrosł ku końcowi 1881 roku, tj. do czasu wydania publicznéj odezwy z zaproszeniem do składek na 1100 reńskich. W maju 1884 r wynosił on już 2.170 zł. reńskich.

W chwilach rozstroju i sporów między obu obozami narodowemi w Cieszyńskiém roku zeszłego „Czytelnia ludowa“ doznała pewnego zaniedbania, tak ze strony niektórych członków jak i szerszego ogółu, ale wpisani na liście z 20 czerwca 1875 r. nie ustawali na chwilę w przyjętych na się dobrowolnie obowiązkach: składki centowe i przygodne wpływały zawsze do skarbony. Jednocześnie przedniejsze umysły nawoływały ogół do gorętszego zajęcia się tą instytucyą. „Czytelnia ludowa“—mówił ksiądz ewangielicki, Franciszek Michejda, do zebranego ludu, na walném zgromadzeniu „*Politycznego Towarzystwa ludowego*“, d. 16 kwietnia 1884 r. w Sali Bazaru cieszyńskiego — „*Czytelnia ludowa*“ jest przedstawicielką stronnictwa narodowego, narodowości polskiéj na Szląsku w obec nienaszych i w obec gości i braci odwiedzających nas z innych krajów polskich. Któż nas, czém my tu jesteśmy i co tu znaczymy, ma reprezentować i przedstawiać i przed nienaszymi i przed gośćmi naszymi zkądinąd, jeżeli nie *Czytelnia*?.... każdy, choć-by i skromny gospodarz ma w swojém domu izbę, nie przeznaczoną do powszedniego użytku, *świetnicę* dla gości i przyjaciół. *Czytelnia*, to jest *świetnica* stronnictwa narodowego, polskiéj ludności na Szląsku, a musi nam przecież wszystkim na tém zależéć, żeby nikt, kto nas odwiedzi, ani nasz, ani nie nasz nie powiedział: Ci Polacy na Szląsku, to takie żebractwo. Na ostatku atoli, a co jest rzeczą najważniejszą, *Czytelnia ludowa* ma spory księgozbiór....“ itd.

Znaczenie *Czytelni* w życiu narodowém Szląska i potrzebę gorącego nią zajęcia się zawsze żywiéj uczuwano, ilekroć nadeszła chwila mocniejszéj pulsacyi tego życia. To téż i w zeszlym roku, kiedy przed wyborami sejmowemi podniesiono potrzebę zawarcia ugody między katolikami i ewangielikami, dokonano jéj w *Czytelni*; stroniący od niéj patrioci wpisali się na nowo w poczet jéj członków i oba obozy przyrzekły goręcéj pracować nad jéj rozwojem.

Towarzystwo rolnicze.

Cieszyńskie Towarzystwo rolnicze założone zostało wyłącznie: dla mniejszych polskich gospodarstw rolnych w obrębie księstwa Cieszyńskiego, a członkami jego przeważnie są Siedlacy. W obec tak ograniczonego zakresu działalności wydaje się na pozór dziwném i trudném istnienie towarzystwa, wśród wielkich towarzystw rolniczych, z jednéj strony Galicyjskich, a z drugiéj czeskich i morawskich, dziwném i trudném, bo mogło być jako słabsze pochłonięte przez jedno lub drugie. A jednak żyje ono i rozwija się.

Założone w r. 1869, składa się ono obecnie ze 170 członków czynnych, 2-ch honorowych i jednego protektora. Rozrządza budżetem mniej więcej półtrzecia tysiącznym. W r. 1882 dochody jego wynosiły 2.686 reńskich i 75 cent., a wydatki 2.596 złr. 34 cent. Najpoważniejszą rubrykę dochodów stanowiły wkładki członków (rocznie 1 złr. od mniejszych gospodarzy mających 20 morgów i niżej, a 2 złr. od gospodarzy posiadających więcej 20 morgów), subwencya sejmowa (dla samego podniesienia chowu bydła wynosiła 750 złr.) i za sprzedane zboże (sam sprzedany owies przyniósł przeszło 807 reńskich). W wydatkach figurują najpoważniej rubryki: zakupienie buhai i subwencya na ich utrzymanie (808 złr.), zakupienie nasion i narzędzi rolniczych (owies sam z gór niemieckich prawie 886 złr.), prenumerata gazet rolniczych (samego „*Gospodarza*“ zaprenumerowano dla członków za 195½ reńskich).

Już z samego pobieżnego rzutu oka na główniejsze rubryki skromnego budżetu powziąć można wyobrażenie o kierunku działalności Towarzystwa, który jest zarazem teoretycznym i praktycznym. Towarzystwo czuwa zarówno nad postępem gospodarskim swych członków, jako też w granicach wymagań tego postępu i swojej możliwości pomaga gospodarzom w rozwoju ich gospodarstwa.

Chów bydła przez poprawienie rasy miejscowej, pielęgnowanie doborowych okazów roślin zbożowych i pastewnych, a również służących dla celów przemysłowych (jak np. uprawa i rozpowszechnienie wierzby koszykarskiej), nie wyczerpują całej działalności Towarzystwa. Dla braku własnej szkoły rolniczej, tem większą wytęża ona uwagę na konieczność pouczania swych członków o rezultatach postępu rolniczego. W tym celu urządza wycieczki gromadne do wzorowych w kraju gospodarstw, gdzie wskazuje dobre i złe strony gospodarki na praktycznych okazach i rezultatach, a jednocześnie tamże na miejscu urządza wykłady i odczyty teoretyczne, połączone z demonstracyą praktyczną. Na nic by się nie przydały takie wykłady, gdyby się ograniczono na samych wskazówkach lub na daleko stawianych desideratach. Towarzystwo w miarę możności, jak z jednej strony sprowadza nasiona zbożowe lub rozpłodniki dla bydła, tak z drugiej zakupuje odpowiednie maszyny rolnicze dla użytku swych członków, a mianowicie takie, których dobroć i jakość została wypróbowaną teoretycznie i praktycznie w zastosowaniu do środków mniejszych gospodarstw i gleby miejscowej.

Wycieczki takie bywają połączone z małemi miejscowemi wystawami rolniczemi, na których tak wystawcy, jak sędziowie-biegli składają się z samych gospodarzy rolnych. Premiowanie bywa tu

najczęściej pieniężne. Większe wystawy urządzają się w większych centrach. Tak w przeszłym roku Towarzystwo urządziło w Cieszynie wystawę ogrodniczo - sadowniczą, której celem było przedstawienie obrazu postępu w téj gałęzi gospodarstwa i zaznajomienie producentów z konsumentami. Ten drugi cel wyda się nieznającym Szląska czytelnikom dziwnym, bo jakich producentów przedstawić może stan włościański, w którego łonie wyłącznie tylko rozszerza działalność swoję Towarzystwo? A jednak stan ten spory dostarcza w Cieszyńskiém zastęp dobrych producentów, lepszych niż np. właściciele obszarów dworskich w Galicyi, a o produkta ich dobijają się konsumenci nawet zamiejscowi. Na wystawie przeszłorocznéj wiele było gości i kupców, nietylko miejscowych ale i z po za granicy Szląska. Towarzystwo nie mogło na premje wyznaczać wielkich funduszów, ale ta maluczka instytucya potrafiła pożyteczną swą działalnością włościańską zainteresować wyższe sfery, tak, że ministeryum rolnictwa przeznaczyło ze swojéj strony na tę wystawę pięć medali państwowych: 2 srebrne, a 3 bronzowe.

Że Cieszyńskie Towarzystwo rolnicze, ograniczone wyłącznie do nielicznego tam polskiego stanu włościańskiego, a przeważnie do siedlaków tego stanu—utrzymywać się i rozwijać zdola, to zawdzięczać należy żywotności tego stanu, wykształceniu Siedlaków i intensywnéj ich gospodarce. Nie łączą się oni w Towarzystwo z właścicielami większych obszarów dla rozmaitych przyczyn: ekonomicznych, narodowych, politycznych i społecznych. Właściciele ci Niemcy, są obcy ich pojęciom, interesom i dążnościom. Gdyby te obszary były w ręku polskiéj szlachty, Siedlacy ze względów narodowych może by się połączyli z nimi w jedno towarzystwo rolnicze. Powiadam „może“ i to ze względów narodowych, bo towarzysko-społeczne i gospodarskie różnice między nimi stanowiły-by nie małą przeszkodę. Gdzie indziéj w Polsce, a zwłaszcza w Galicyi znają dwa tylko sposoby gospodarowania: chłopski i szlachecki, które między sobą się różnią chyba rozmiarami używanéj do pracy roli i wielkością aparatu administracyjnego. Średniego gospodarstwa tam nie ma. A takiém właśnie jest gospodarstwo Siedlaków szląskich—racyonalne, intensywne, oparte na przemyśle miejscowym i dające poparcie temuż przemysłowi, rozwijające bogatą produkcyą, która zaspakaja i wzmaga miejscową konsumcyą i z niéj nawzajem czerpie własne siły. Krótki szkic gospodarstwa siedlackiego podaliśmy w niniejszéj publikacyi przy opisie zagrody Glajcarowéj. Korzyści społeczne i ekonomiczne takiego średniego gospodarstwa wywołały dwukrotnie w Galicyi projekt kolonizowania Szlązakami dworskich obszarów Czerwonéj Rusi, przy zamierzonéj tam parcelacyi tychże

obszarów, raz dla utworzenia średniego stanu rolnego, drugi raz dla ratowania tamtejszéj własności większéj. Jedną i drugą ewentualność poddawaliśmy analizie krytycznéj, w obu razach wypowiadając zdanie nasze. Odsyłamy więc czytelnika do tych gdzieindziéj zamieszczonych ustępów (1), a tu zaznaczamy tylko, że projekt téj kolonizacyi odnośnie do Szlązaków, aczkolwiek bardzo zbawienny byłby dla Galicyi pod względem ekonomicznym, to w większéj mierze szkodliwy dla polskiego Szląska pod względem narodowym i politycznym i w takim tylko razie dla obu stron zapewnił-by korzyści. gdyby Szląsk otrzymał odpowiedni ekwiwalent w polskich kolonizatorach z Galicyi, tj. gdyby w zamian za wziętych z Cieszyńskiego rolników - siedlaków dla Galicyi, sprowadzono dla Szląska rolników z większych posiadłości w Galicyi, gdyby szlachta galicyjska kupowała dobra w Cieszyńskiém. W ten sposób tylko wynagrodzoną by została strata narodowa, jaką-by poniósł Szląsk przez ubytek jego sił narodowych, reprezentowanych w stanie siedlackim.

To są jednak uwagi, które-by się dały z czasem urzeczywistnić, przy dobréj woli naszych ziemian i rozumnie podjętéj inicyatywie, co też odrazu i na zawołanie stać się nie może. Jeśli atoli idzie o natychmiastowe, wspólne oddziaływanie Galicyi i Szląska w kierunku rolniczym i społecznym, to ono jest łatwe, możliwe i teraz nawet, przez bliższe nawiązanie stosunków między obu Galicyjskiemi Towarzystwami rolniczemi (lwoskiém i krakowskiém) a Cieszyńskiém, a nawet przez połączenie ich w jedno Towarzystwo. tak aby Cieszyńskie było filią lub oddziałem galicyjskiego. Zyskały-by na tém obie strony: Cieszyńskie czułoby się wzmocnione narodowo i społecznie, galicyjskie pozyskały-by wyborną szkołę dla swoich rolników. Myśl ta, jeśli przedstawia się nową, względnie do towarzystw rolniczych, nie jest taką odnośnie wogóle do połączenia usiłowań asocyacyjnych, w obu prowincyach. Towarzystwo pedagogiczne dawno już się stara o to, aby oddział swój założyć w Cieszynie. Rzecz jeno utyka o drobne formalności statutowe, których zmiany domaga się władza opawska. Ale jeśli w stosunkach Towarzystwa pedagogicznego, między głównym jego zarządem a przyszłym oddziałem cieszyńskim, pożyteczną była-by centralizacya i poddanie drugiego pod silny wpływ pierwszego, gwoli słabych sił narodowych nauczycielstwa polskiego na Szląsku, które potrzebują silnéj opieki, to natomiast w stosunkach między Towarzystwami rolni-

(1) W Nr. 35 petersburskiego „Kraju“ z r. 1884, w artykule p. t. „*Kolonizacya mazurska na Rusi*“ i w Nr. 18 tegoż pisma, z tegoż roku „o projekcie dr. H. Jasińskiego“.

czemi, pożądanym byłby najrozleglejszy samorząd dla oddziału cieszyńskiego, a to ze względu na odmienne potrzeby społeczne, rolne i ekonomiczne rolników szląskich.

Pomoc naukowa dla księstwa Cieszyńskiego.

Dawno to spostrzeżono, że Galicya nietylko ze wszystkich krajów koronnych Austryi, ale i wogóle pomiędzy krajami europejskiemi posiada najwięcéj stosunkowo stypendyów i fundacyj dla kształcenia się młodzieży w różnych zawodach i szkołach, a zwłaszcza średnich i mniejszych naukowych zakładów. Sąsiedni i bratni kraj Szląsk, którego ludność wyrosła z jednego, wspólnego z tamtą częścią Polski, pnia macierzystego, dziwny pod tym względem tworzy z Galicyą kontrast, szczególne upośledzenie losu: ani jednego nie posiada stypendyum, ani jednéj fundacyi naukowéj, o ile nam wiadomo. A jeśli gdzie, to tam by się one najbardziéj przydały, gdzie szlachty narodowéj nie ma, mieszczaństwo bogatsze niemieckie i co uboższego — to po stronie ludności polskiéj. Kształcenie się więc młodzieży niezamożnéj nader utrudnione. Jeszcze dla szkół ludowych nauka jako tako ułatwiona, bo nie pociąga za sobą znacznych kosztów; w każdéj prawie gminie jest szkoła i kształcenie dziatwy żywionéj i utrzymywanéj u rodziców téjże saméj gminy nie bywa utrudnioném. Ale posłać dziecko do szkoły średniéj, a więc do miasta, gdzie trzeba zapłacić i szkolne i wikt i pomieszkanie, a i sprawić przyzwoitszy przyodziewek, to już trudniéj; i nie każdego stać na to. Lud siedlacki zamożny i zamożniejszy niż w reszcie Polski, ale dla niego wystarcza szkoła ludowa: jedni po wyjściu z niéj sami własną pracą uzupełniają nabyte początkowe wykształcenie i niém się dzielą z dziatwą: drudzy, a tych jest bardzo mało, posyłają swych synów do galicyjskich zakładów naukowych, trzeci nareszcie, a tych jest największa liczba, nie czują potrzeby wyższego kształcenia się, albo mają odrazę do szkół zgermanizowanych i germanizujących. Pozostała liczniejsza część ludności zanadto jest uboga i ciemna, aby mogła i chciała myśléć o wyższéj oświacie. Dla tego to tak mały procent dzieci polskich w gimnazyum cieszyńskiém i szkole realnéj, co wielce dogodny stwarza argument dla niemców przeciw wprowadzeniu języka wykładowego polskiego do szkół średnich w Cieszyńskiém. Patrzcie—powiadają kultutregery—dla kogo ma być polska szkoła, skoro do istniejących polacy nie są w stanie dostarczyć nawet 4-éj części uczących się, a i tych połowa zapisuje się jako niemcy?

Te to względy zniewoliły garstkę patryotów jeszcze przed 12 laty (9 grudnia 1872 r.) do założenia w Cieszynie *Towarzystwa naukowéj pomocy*, którego celem udzielanie zapomogi pieniężnéj kształcącym się w szkołach średnich i wyższych szlązakom. Fundusz do tego potrzebny powstaje z jednorazowych darów, tudzież wkładek członków, z których zwyczajni obowiązani są płacić 1 reńskiego rocznie, a wieczyści najwięcéj 20 reńskich jednorazowo. Z tak drobnych ofiar może powstać znaczny fundusz tylko w takim razie, jeśli tysiączne masy członków należéć będą do Towarzystwa. W Polsce jednak duch asocyacyi nadzwyczaj słabe robi postępy. To téż od skromnych środków zaczęło swe działanie Towarzystwo i skromnemi rozrządza dotychczas funduszami, chociaż na małą skalę widać ogromny stosunkowo postęp. Z kilkudziesięciu członków w pierwszych dwóch latach wzrosła ich liczba teraz do setek i zdąża ku tysiącowi. Główna w tém praca i zasługa Stalmacha, będącego duszą Towarzystwa. W skutek niesnasek i sporów, powstałych w łonie patryotów w ciągu ostatnich dwóch lat, Stalmach usunąwszy się prawie ze wszystkich innych instytucyj narodowych w Cieszyńskiém, został przy *pomocy naukowéj*, poświęciwszy się jéj całém sercem, całą duszą. Niezmordowany, czynny, rozrządzający licznemi stosunkami w całéj Polsce, z tytułu redaktorstwa *Gwiazdki Cieszyńskiéj* i kilkudziesięcioletnéj działalności publicznéj, kołatał on bez znużenia i bez zrażenia się odmowami do wszystkich instytucyj, i różnych osób, zbierając skrzętnie wdowi grosz dla młodzieży, w któréj słusznie widzi przyszłość kraju. Dzięki jemu w ciągu jednego roku 1881/82 przybyło 120, a w 1882/83—139 nowych członków. Dziś liczy Towarzystwo 734 członków (1), z których 94 wieczystych, a reszta zwyczajni. Szlązacy stanowią prawie trzecią część, bo na 94 wieczystych członków przypada ich 31, a w takim samym niemal stosunku zostają i do zwyczajnych, bo liczą 189 na ogół 662. Pomiędzy ich członkami widzimy najuboższe warstwy ludu i kilka chałupnic figuruje między wieczystymi członkami, z wkładką po 20 reńskich. Galicyanie tworzą najliczniejszy zastęp, bo 365 dostarczają członków zwyczajnych.

Cały majątek Towarzystwa wynosi 8.043 reńskich 16 cent., włączając w to i fundacyę imienia J. I. Kraszewskiego (1089 złr. 17 c.) (2).

---

(1) Podług sprawozdania dyrekcyi z roku 1882/83 w téj chwili, tj. w r. 1884 zapewne liczba ta podniosła się do 800.

(2) Ulokowane na domu Bazaru Cieszyńskiego (3.000 zł. reń., w obligacyi państwowéj (100), w książeczkach udziałowych *Bazaru Cieszyńskiego* (300) zahypotekowane na gruncie (100), w Towarzystwie Oszczędności i zaliczkowém (4530.34), w gotówce kasowéj (12.82).

Z rachunków prowadzonch przez Dyrekcyą nie mogliśmy wyrozumieć dokładnie jakiéj normy trzyma się ona w tworzeniu kapitału żelaznego i wydatkach na bieżące potrzeby,—czy stale określony procent od kapitału i corocznych dochodów idzie na wydatki, a jaka znów część bieżących dochodów odkłada się na fundusz żelazny. Rachunki prowadzone są sumiennie, ale zbyt po gospodarsku, z chłopska—po szlachecku, tak że trudno dojść do jakiejś przewodniéj idei finansowéj. Sama dyrekcya zapewne nie wytknęła kasyerowi swemu normy z powodu braku jednéj części stałych dochodów, których wpływ zależny zupełnie od dobréj woli publiczności. By jednak dać wyobrażenie w jaki sposób spełnia się główne zadanie celu Towarzystwa,—pomoc dla młodzieży, dość będzie wskazać na rachunki jednego roku. Otóż z ogólnego dochodu za rok 1882/83 w kwocie 1853 zł. r. 60 cnt. udzielono zapomóg dla studentów w kwocie 560 zł. r. (reszta po potrąceniu kosztów administracyjnych poszła na rzecz żelaznego funduszu). Jeśli się zważy, że z téj kwoty korzystało 39 uczniów, to można sobie wyobrazić, jak skromny dla każdedo z nich wypadł zasiłek. Jakoż otrzymali: 7 teologów katolickich w Ołomuńcu 125 reńskich (jeden 25 zł. dwóch po 20 reń., czterech po 15 reń.) 1 teolog ewangielicki w Wiedniu 50 r.; 1 słuchacz filologii w Krakowie z fundacyi imienia Kraszewskiego 50 reń. 1 słuchacz farmacyi w Wiedniu 30 zł. r., 20 gimnazistów w Cieszynie, Bielsku, Opawie i Wiedniu 194 zł. r. (dwóch po 20, dwóch po 15, dziewięciu po 10, siedmiu po 5 zł. r.) 1 dziewczyna przygotowująca się na nauczycielkę 10 zł. r., 1 uczeń szkoły realnéj 10 zł. r.

W ten sposób, oczywiście, mogło w ciągu lat dwunastu otrzymać pomoc około 200 młodzieży, z któréj, jak powiada dyrekcya w poczuciu zadowolenia nawet z tak skromnego działania Towarzystwa, wiele zajmuje dzisiaj poważne stanowiska w kraju i wywdzięcza się Towarzystwu gorliwem popieraniem sprawy narodowéj. Ale gdy się zważy, że tym dwustu dostało się nawet niespełna pół pięta tysiąca guldenów, a więc mało co więcéj nad 20 reńskich przeciętnie na każdego—kwota zaledwo wystarczająca na sprawienie obuwia i kaftana, a gdyby Towarzystwo wzięło swych pupilów na zupełne utrzymanie, mogłoby za powyższą kwotę zaledwo 2-ch rocznie utrzymać, to doprawdy zadumać się przychodzi nad tém ubóstwem, nad przyszłością naszą i Szlązka.

Jakże więc słabe, powtarzamy raz jeszcze, czyni postępy duch asocyacyi u nas, jak słaby, gdy się wspomni mniejszy liczebnie, a zaledwo powstały z gruzów naród czeski, którego Towarzystwa pedagogiczne z groszowych wkładek utrzymują dziesiątki szkół, zakładają z własnych prywatnych funduszów gimnazja. Gdy Niemcy twardą

ręką prowadzą szkoły publiczne na Szlązku po torach germańskich, wrogich słowiańskości, czesi nie mogąc na razie od rządu wywalczyć wprowadzenia tam języka czeskiego, nie bawili się w skromne zasiłki pomocy 20-guldenowéj, lecz założyli w powyższy sposób gimnazyum w Opawie.

Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne mogłoby wiele okazać pomocy dla Szlązka, gdyby go objęło dzlałalnością swoją. Poczucie potrzeby okazania tam pomocy nie zdaje się mu być obcem, skoro zarząd Towarzystwa usiłował założyć w Cieszynie swoję filję—oddział Cieszyński. Niestety usiłowania te nie odniosły dotychczas pożądanego skutku: władze miejscowe na Szlązku stawiają w téj mierze przeszkody, wynajdują różne formalności, byle tylko nie dopuścić Szlązaków do korzystania z pożytecznych prac Towarzystwa, chociaż z drugiéj strony nie podobna zaprzeczyć, że i z naszéj strony nie bardzo gorliwie popieramy te sprawę.

A jednak pomoc naukowa gwałtownie potrzebna jest z naszéj strony dla Szlązka. Jeśli w Galicyi— z powodu teoryi o ekonomicznej wartości człowieka, wolno mówić o hyperprodukcyi umysłowéj, to na Szlązku, odwrotnie, daje się namacalnie czuć brak średniego i wyższego wykształcenia, w skutek czego Szlązacy i nie mogą téż skutecznie walczyć w obronie narodowości i żółwim tylko krokiem dźwigać mogą dzieło odrodzenia narodowego. Przy normalnych warunkach bytu, dla rozwoju sił czysto ludowych, dotychczasowe ich wykształcenie ludowe byłoby wystarczającém, ale w obec wykształconych niemców, nierówna broń do walki dostaje się braci naszéj w udziale.

Brak średniego wyższego wykształcenia stwarza jeszcze inną niedogodność, jeśli nie niebezpieczeństwo, dyscharmonią między Szlązkiem a resztą Polski, bądź co bądź wykształconéj i dorównywującéj innym narodom w oświacie i saméj wypracowującéj rodzimą oświatę. Cóż kiedy z niéj najstarsza dzielnica téjże Polski nie korzysta. Szlązacy są przedewszystkiém społeczeństwem ludowem, którego potrzebom, jak powiedzieliśmy, odpowiadałoby dzisiejsze wykształcenie ludowe, gdyby to społeczeństwo stanowiło dla siebie odrębną całość narodową.

Pozbawione szlachty i wykształconego stanu średniego, mogłoby ono czekać spokojnie długie lata na wytworzenie, w miejsce téj szlachty i tego mieszczaństwa, z łona swego odpowiednich żywiołów inteligentnych, drogą stopniowego i organicznego podnoszenia poziomu wykształcenia innych warstw społecznych, jak czeka i wytwarza lud czeski, część serbskiego, bulgarski, a poniekąd i ruski. Ale Szlązk jest częścią Polski i jeśli z nią ma jedno czucie zachować, musi się

dostrajać do wspólnego kamertonu. Tymczasem tak nie jest. Dziwny dysonans panuje między dziećmi jednéj matki: polsko szlacheckie nad dolną Wisłą nie rozumieją z niemiecka-chłopskich nad Górną, a ci ostatni jeszcze mniéj tamtych. Czy tak długo trwać będzie, aż całkiem zapomną o jednéj krwi?

Zgoda o wybory szlązkie.

Jeśli czytelnicy pamiętają artykuł nasz styczniowy o sprawie szlązkiéj, zamieszczony w N. 3 „*Kraju*“ (r. 1884) to raczą wspomnienia jego nawiązać do niniejszych faktów, jako będących bezpośredniem następstwem tamtych. Podaliśmy wówczas wiadomość o powstaniu w Cieszynie „*Politycznego Towarzystwa katolickiego,*“ czyli t. z. „związku szlązkich katolików,“ za inicyatywą i pod przywództwem ks. Świeżego, posła sejmowego, o sporach z tego powodu polaków ewangielickich z katolickimi, sporach o tyle gorących, że w nich dość wybitne po stronie katolików zajęła stanowisko „*Gwiazdka Cieszyńska,*“ zostająca pod redakcyą Pawła Stalmacha, jak wiadomo, ewangielika. Katolicy starali się uzasadnić konieczność odrębnego Towarzystwa tém, że ewangielicy nie dotrzymali danego im słowa przy wyborach, wskutek czego wyszedł kandydat antinarodowy, że na nich liczyć nie mogąc, muszą sami się zorganizować i solidarnością swoją wywalczyć należne Szlązkowi narodowe, a swojéj większości katolickie prawa; przyczém wskazywali na Jerzego Cieńciałę, ewangielika, który wbrew ugodzie obustronnie zawartéj, postawił kandydaturę swoję do Rady Państwa w 1879 r, mimo, iż w myśl téj ugody kolej przypadała na kandydata katolickiego, ks. Świeżego. Ewangelicy przyznawali słuszność temu ostatniemu twierdzeniu, ale częściowo, bo podług nich ugoda brzmiała: raz ewangielik, raz katolik, ale nie ksiądz-katolik, co na Szlązku nie wszystko jedno znaczy, choćby tym księdzem był ks. Świeży, dla którego osobiście mają sympatyą i szacunek, mimo iż niektórzy z nich posądzają go o osobiste pobudki w założeniu Związku katolików (w sprawie kandydatury poselskiéj), a sam *Związek* o dążność wyzyskania liczebnéj przewagi katolików na niekorzyść i krzywdę ewangielików.

Spór się zaogniał coraz bardziéj i doszedł do gwałtownych rozterek, gdy z jednéj strony „*Gwiazdka*“ stanowczo wystąpiła przeciw ewangielikom, a z drugiéj w obronie ich stanęło właśnie w owym czasie założone „*Polityczne Towarzystwo ludowe,*“ w skład którego weszli téż wszyscy przywódzcy polskich ewangielików w księztwie Cieszyńskiém. Wówczas téż i bezpośredni organ Towarzystwa kato-

lickiego p. t. „*Poseł Związku szlązkich katolików*,“ dotychczas spokojny, oględny i mówiący tylko o solidarności katolickiéj, wystąpił dość ostro przeciw ewangelikom i „Towarzystwu ludowemu,“ zarzucając mu, iż założone zostało przeciw katolikom i w celu rozerwania ich „Związku,“ żądając wraz z „*Gwiazdką*,“ aby zamieniło się i przekształciło w czysto ewangielickie stowarzyszenie.

Czytelnik zrozumie powody tego żądania, tak na pozór dziwnego w ustach katolików i istotę owych zarzutów, jeśli zważyć zechce obawy żywione w obozie „Związku,“ że dopóki „Polityczne Towarzystwo ludowe,“ nie wywiesiło sztandaru jednego wyznania, mogą się do niego garnąć i katolicy, tak stojący po za „Związkiem,“ jak i należący do niego, przez co siła tegoż byłaby na szwank narażoną; gdyby zaś „Towarzystwo ludowe,“ stało się wyłącznie ewangielickiem, to już oczywiście katolicy, jako tacy nie mieliby w nim udziału, a przynajmniéj minimalny i bardzo słaby.

Staraliśmy się zbadać istotę sporu i przekonać się osobiście na miejscu, jak dalece rozterki te mają podstawę w ludzie, lub same sięgnęły w głąb mas ludowych. Jakoż i cała prasa polska w obawie natężenia sporu i szkodliwych z tego powodu następstw dla sprawy narodowéj na Szlązku, potępiła jednogłośnie świadome dalsze szerzenie waśni i wezwała kilkakrotnie obie strony do zgody. Jednomyślność ta prasy polskiéj była tak wielką, że organa wychodzące po za Szlązkiem nawet ultrakatolickie i uważane za ultramontańskie, zganiły „*Gwiazdkę*,“ za jéj walkę przeciw „Towarzystwu ludowemu,“ i ewangielikom. Wprawdzie p. Stalmach rozgniewał się na całą prasę polską i zarzucił jéj (ba, nawet krakowskiemu „*Czasowi*,“ że jest w zmowie z ewangielikami i „Towarzystwemu ludowem,“ niemniéj przeto grunt pojednawczy zdawał się być już nieco przygotowanym i kiedy hr. Konstanty Rey z Krakowa wyjechał w końcu czerwca do Cieszyna, udało mu się sprowadzić razem przywodców obu obozów wraz z p. Stalmachem do podania wzajem sobie ręki i zawarcia ugody, na podstawie któréj obie strony miały téż głosować w porozumieniu przy wyborach sejmowych, rozpisanych na 5 lipca z kuryi gmin miejskich.

W prasie polskiéj wnet dano jednomyślny wyraz szczeréj radości z tego powodu, a przy radości, nadziejom stanowczości i zupełności téj zgody, tudzież miru między obu wyznaniami, mającego błogie przynieść dla Szlązka korzyści. Nadzieje te były cokolwiek zawczesne, bo zapomniano, że co ugoda, to jeszcze nie zgoda, że ta ostatnia byłaby wtenczas zupełną, gdyby nastała nietylko między przywódzcami, ale i masami ludu.

Lud jednak jak nie łatwo daje przystęp waśniom, uprzedzeniom, lub w ogóle jakim nowym zapatrywaniom i uczuciom, tak też nie tak łacno i rychło pozbywa się już raz nabytych i nie tak łatwo zawiera kompromisa słowne.

Podczas pobytu mojego w kwietniu i maju z. r. w Cieszyńskiém byłem świadkiem, jak chłopi ewangielicy tu i owdzie na wzmiankę o katolikach i zgodném z nimi pożyciu, odwracali się i milczeli, lub krzywili się i patrzyli z niedowierzaniem na mówiącego o zgodzie; w hutach zaś i kopalniach robotnicy katolicy, mający tam przewagę, przezywali ewangielików lutrami i grozili im wypędzeniem. Jużci, nie wszędzie tak jest i nie wszędzie niechęć się pojawia. Ale symptom to znaczący, ma on własności epidemiczne i w rachubę powinien być brany. A właśnie przy zawieraniu ugody nie uwzględniono go, licząc chyba na wpływ przywódców.

Fakta nie zupełnie odpowiedziały oczekiwaniom.

Podług ugody obie frakcye narodowe miały solidarnie głosować na ks. Świeżego uznanego za wspólnego kandydata narodowego; co do dwóch innych kandydatów pozostawiono obu stronom wolność głosowania, byle tylko na narodowego kandydata, że zaś oprócz ks. Świeżego był jeszcze jeden mandat poselski do wzięcia, przeto oczywiście ten miał szanse wyboru, kto należał do obozu większości, że zaś katolicy mieli większość, kandydat więc „Związku,“ pan Paweł, Kania burmistrz i rolnik z Orłowej, miał już z góry nad drugim kandydatem p. Jerzym Cieńciałą, dotychczasowym posłem, tę przewagę, jaką daje zaufanie w siłę większości. I na tém też należało poprzestać, skoro już był zapewniony jeden kandydat katolicki i skoro popełniono ten błąd, że dla drugiego mandatu dopuszczono współubieganie się aż dwóch kandydatów narodowych. Ta pozostawiona wolność głosowania natychmiast zrodziła złe owoce, bo skoro jedna część katolików spostrzegła, że z drugiéj niektórzy głosować mogą za ewangielikiem Jerzym Cieńciałą (bądź polegając na jego zasługach obywatelskich i doświadczeniu poselskiem, bądź dla zadośćuczynienia sprawiedliwości i konieczności wybrania jednego ewangielika, skoro miano pewność wyboru jednego katolika), zaczęto agitować przeciw niemu, apelując do katolickich uczuć wyborców i przez wywieranie na nich takiéj presyi naruszając ugodę i wolność głosowania. Dosadnym wyrazem téj agitacyi była owa gwałtowna mowa ks. Goryla z Domosławic, którą nawet *czas* krakowski widział się zmuszonym bezwarunkowo potępić. Nic nie pomogły gorące i pojednawcze przemówienia ks. Świeżego i gościa krakowskiego. Rezultat był taki, że kandydat niemiecki otrzymał wprawdzie tylko 22 głosy a narodowiec ks. Świeży i p. Kania przeszli, pierwszy wię-

kszością 110, drugi 107 głosów, ale Jerzy Cieńciała otrzymał tylko 70 głosów i upadł. A skoro o upadku jego dowiedzieli się telegraficznie wyborcy ewangieliccy w okręgu bielskim, gdzie mają przewagę, natychmiast opuścili kandydata narodowego, którego im w osobie p. Tomaszczuka postawiło sympatyczne dla nich „Towarzystwo ludowe,“ połączyli się z niemieckimi ewangielikami i dali głosy swoje p. Pellarowi, który też w ściślejszém głosowaniu przeszedł uzyskawszy 60 głosów (więc zawsze o 1 głos więcéj od przeciwnika). Wprawdzie p. Pellar nie zdaje się być takim antinarodowcem, za jakiego w pierwszéj chwili okrzyczano, bo jeśli, jak głoszą, bywał w stosunkach z super intendentem dr. Haasem, to z drugiéj strony trzeba pamiętać, że powiadają, iż jest bratem księgarza rzeszowskiego Pellara i wejdzie prawdopodobnie do koła posłów narodowych w sejmie opawskim; można się daléj pocieszać rezultatem wyborów w obu okręgach frydeckich, bo w wiejskim przepadł osławiony Obratschaj, zwyciężył kandydat narodowy Pietrzyk prawie po myśli programu ugodowego, a w mieście Frydku upadł kandydat narodowy ks. Hudziec bardzo poważną mniejszością (otrzymał 147 głosów przeciw centraliście Komarkowi wybranemu 232 głosami), ale w obu tych okręgach znaczniejszą jest zasługa po stronie narodowców czeskich niż polskich; również pocieszającą wiadomość dostarczył okręg Jabłonkowski gdzie kandydat niemiecki otrzymał tylko o 13 głosów więcéj, ale pociecha jedna i druga nie zatrze przykrych wrażeń z powodu nieufności i niechęci między dwiema frakcyami narodowemi, które pomiędzy niemi tak się wszczepiać zaczęły, że ich łatwo wyplenić nie zdoła doraźna, z zewnątrz organizmu szlązkiego przeprowadzona ugoda przez paru ludzi dobréj, a choćby najlepszéj nawet, woli.

To téż dziś jest mowa o utrwaleniu téj ugody, o zamienieniu jéj na zgodę, sięgającą w głąb mas ludowych przez dłuższe a ciągłe na nie w tym kierunku oddziaływanie. W tym celu zamierzono nabyć „*Gwiazdkę Cieszyńską*“. Jeden z mecenasów przyrzekł w nabyciu jéj pomoc pod warunkiem, aby była redagowaną w duchu tego dziennika galicyjskiego, który mecenas uznaje za swój organ. Mnie się zdaje, że Szlązka nie można mierzyć miarą stosunków galicyjskich, czy ona będzie konserwatywną lub liberalną, ani żadną inną, ultramontańską, czy wolnomyślną, bo tam niema takich, którzyby się mogli ubrać w podobną suknię. Niech mi wolno będzie powtórzyć to, co na innem miejscu przy téj saméj sposobności powiedziałem, że dotychczasowe stosunki szlązkie nie wiele się zmienią na lepsze, jeśli tamtejszym pracom dodatnim nie przyjdzie całe społeczeństwo z pomocą, jeśli się pośredniczyć nie będzie pracą, a pracą niedoryw-

czą, lecz ciągłą i rozumną dla obu wyznań, z jednaką miłością i poszanowaniem dla obojga, bez niweczenia tych korzyści, jakie siła religijna każdego z nich daje im w ręce. Z drugiéj znów strony pomoc nie powinna być narzucona całkowicie z zewnątrz, lecz oprzeć się o siły i środki miejscowe. Skład wyborców z większych posiadłości ziemskich i z miasta Cieszyna, a więc wyborców, nadających niemiecki ton ekonomiczny, towarzyski i polityczny Szląskowi, świadczy, jakie to są siły i środki miejscowe, któremi w stolicy Cieszyńskiéj rozporządzają dziesiątki mieszczan, a na prowincyi w całym Szlązku kilkanaście jednostek szlacheckich, a jednak między nimi nieznalazło się ani jednego (oprócz ks. Jerzego Czartoryskiego w ciągu dwóch lat) polaka z pomiędzy owych licznych nabywców dóbr po za granicami Szlązka!

Gdy się nieżyje z ludem, a zostawia się go cudzoziemcom przez lata i wieki całe, i chce się w ciągu dwóch dni za pomocą dwóch jednostek wyrównać różnice wiekowe, to się w końcu przychodzi słuchać takiéj cierpkiéj uwagi, jak owa, którą wypowiedział niedawno organ Cieszyński: „przyjechali panowie z Krakowa—i Kraków stracił potrzebny dla ludu urok.“

ELEWATORY I WARANTY.

Wśród niepokoju ogólnego o losy naszego rolnictwa i obaw, jakie wywołuje konkurencya amerykańska, nietylko interesującém ale i pouczającém będzie zapewne bliższe poznanie warunków technicznych wśród których działa i środków jakiemi rozporządza handel zbożowy w Ameryce, a w części i na Zachodzie Europy.

Na szybki wzrost prudukcyi rolnéj w Ameryce północnéj, składało się sporo czynników — urodzajność gleby, przedsiębiorczość i energiczna praca kolonistów, umiejętność stosowania wynalazków w dziale machin rolnych, łatwość uzyskiwania machin na kredyt długoterminowy itp. Do zawładnięcia rynkiem międzynarodowym handlu zbożowego to wszystko nie wystarczało, — należało mieć możność zgromadzenia wielkich ilości zboża w portach i na głównych linjach komunikacyjnych, by w danéj chwili umieć wstrzymać odpływ, lub téż jednorazowo rzucić wielkie ilości na targi Europy.

Widzieliśmy jak w ciągu jednego tylko tygodnia. załadowano z 3 portów Nowego Yorku, Filadelfii i Bostonu, przeszło milion korcy pszenicy, jak obroty w jednym dniu na giełdzie Nowoyorskiéj dosięgły cyfry 10.000.000 buszli pszenicy (przeszło 15.000.000 pudów). Jednym z ważniejszych środków do przeprowadzenia olbrzymich obrotów zbożowych są magazyny zbożowe, z elewatorami skombinowane i waranty.

Obie te instytucye nie znane są jeszcze w praktyce u nas. a jednak w ciągu ostatnich lat dwudziestu, mianowicie téż od chwili wykończenia z grubszego komunikacyj kolejowych w Cesarstwie i Królestwie, odbyt zboża za granicę wzmagać się zaczął i doszedł do cyfr dawniéj niebywałych, już to wskutek spotęgowanéj udoskonalonéj produkcyi, z chwilą zniesienia pańszczyzny i poddaństwa, już to wskutek znacznego przyrostu ludności.

Eksport całej Rosyi wszelkiego zboża wynosił średnio rocznie:

od 1830—1854	. . . . 3 918.000	czetwierti.
„ 1855—1859	. . . . 7.072.000	„
„ 1860—1864	. . . . 8.778.000	„
„ 1865—1869	. . . . 10.085.000	„
„ 1870—1874	. . . . 21.606.000	„
„ 1876	. . . . 25.403.000	„
„ 1877	. . . . 30.579.000	„
„ 1878	. . . . 41.815.000	„
„ 1879	. . . . 39.728.000	„
„ 1880	. . . . 23.830.000	„
„ 1881	. . . . 28.780.000	„

Wysokie ceny na zboże, utrzymujące się prawie bez przerwy w ciągu lat 30 do roku 1881 w Anglii, średnio około 50 szylingów za kwarter, pobudziły produkcyą i w zamorskich krajach, zniewoliwszy uprzednio do emigracyi z Europy miliony rolników.

W młodych społeczeństwach, cieszących się pełnią samorządu gminnego i prowincyonalnego, nieobciążonych wielkiemi budżetami wydatków na utrzymanie stałych armij, pobudowano dziesiątki tysięcy kilometrów kolei żelaznych, uwolniono kanały od opłat, pobudowano porty i magazyny, a potężne floty handlowe na każde skinienie, w niebywale dawniéj krótkim czasie, przerzucają produkcyą jednéj półkuli na drugą. Lata 1878 i 1879 obfitego urodzaju w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, przy równoczesnym słabym urodzaju w Europie, uwydatniły odrazu stanowisko tego kraju w handlu zbożowym i wywołały przewrót zupełny w pojęciach, kierujących do owego czasu kombinacyami tego handlu.

Pierwszy znaczniejszy eksport Ameryki miał miejsce w r. 1870 w ilości 52.574.111 buszli, w r. 1877, 92.141.626 buszli, w 1878, 150.502.506, a w roku 1879 wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych 448.700.000 buszli eksportowano 183 309.890 buszli. Produkcya 1884 wynosiła 545.000.000 buszli pszenicy. Przewrót dokonał się kosztem ciężkich ofiar ze strony pośredniczących między producentami jednego a konsumentami drugich krajów.

Dawniéj rozumiano, iż należy kupować zboże zaraz po żniwach, gromadzić zapasy do wiosny, to jest do pory wyczerpania się rezultatu plonów w krajach niewystarczających własną produkcyą na wyżywienie ludności i realizować je wtedy ze znacznym zarobkiem.

W świeżéj jeszcze pamięci są te czasy, gdy kupiona pszenica w Zawichoście lub Kazimierzu przedstawiała zarobek rubla na korcu,

przy równoczesnéj sprzedaży na termin wiosennéj dostawy w Szczecinie i Gdańsku. Lecz gdy cena w Londynie cofnęła się z 50 szylingów na 45, następnie na 40, zaś w grudniu 1884 r. doszła do 30 szylingów, to łatwo zrozumiéć ile strat ponieśli pośrednicy, trzymający się dawnéj rutyny i nietylko nasi krajowi, lecz w całém cesarstwie, i na zachodzie Europy.

Obniżenie się ceny w Anglii, sprowadziło cofanie się ceny we wszystkich krajach produkujących zboże po nad własną potrzebę. Zniżka nie była równomierną, Anglia wyprzedziła zniżką inne kraje, i mieliśmy zjawisko prawie doskonałego wyrównania się ceny wszędzie; skutkiem czego w tranzakcyach międzynarodowego handlu zapanował zastój i trwał do pierwszych dni stycznia 1885 roku, to jest do chwili znacznego zmniejszenia się zapasów w Anglii nagromadzonych. Przez cały rok 1884 trwająca zniżka, spowodowała kolosalne bankructwa handlujących; zakupy na późniejsze dostawy ustały, a przystępowano jedynie przy zniżonych cenach do kupna gotowego produktu, przedstawiającego daleko mniejsze szanse straty. Skutkiem tego daléj postępująca zniżka, spadła całym ciężarem na producentów.

Może myśl nasza jaśniejszą będzie, jeśli poprzemy ją przykładem podobnego zupełnie przesunięcia się straty z handlujących na producentów, gdy przytoczymy fakt dosyć ogólnie znany ze sfery handlu cukrem. W zeszłéj kampanii cukrowéj spekulanci porobili ogromne zakupy, nabywając prawie całą produkcyą cukrownictwa, zanim była gotową. Ceny zaczęły się cofać, gniotąc handlujących i spekulantów. Nastąpiły bankructwa, najprzód w Berdyczowie następnie w Moskwie. Ceny spadały daléj, a gdy zaczęła się nowa kampania, spekulanci powstrzymali się od zakupów i cukrownie były zmuszone straty na cenie ponieść same, bo sprzedawać musiały po cenach zniżonych towar gotowy.

To samo zaszło w handlu zbożowym, nabywcy powstrzymują się od kupna, cena spada, zbytu nie ma, więc ratowanie zachwianéj pozycyi rolników stało się kwestyą palącą,—posypały się projekta; w jednych krajach zaproponowano istniejące cła zbożowe podwyższyć, w innych cła te zaprowadzić. w innych znów krajach starają się przez udogodnienia w transportowaniu, w przechowywaniu zboża, przez udzielanie kredytów rolnikom, umożliwić konkurencyą na targach międzynarodowych.

Nie od rzeczy będzie tu wspomniéć, że w ciągu ostatnich lat zaludnienie kuli ziemskiéj wzrosło znakomicie, bo przeszło o połowę, spożycie i wymiana wzrosły równolegle, a ztąd i handel ma też inne zupełnie zadania, jak np. w epoce kongresu Wiedeńskiego.

Ilość samej pszenicy, jaka jest przedmiotem międzynarodowego handlu w bieżącym sezonie (od 1 lipca 1884. do 1 lipca 1885), ocenia „London Miller“ d. 6 października 1884 r. na 47.442.000 kwarterów, czyli przeszło 616.000.000 pudów. Pozostałe gatunki zbóż ozimych, jarych i oleistych, oraz mąki reprezentują przeszło 1.000.000.000 pudów. Dla manipulowania takiemi olbrzymiemi ilościami, wypadło koniecznie uciec się do nowych środków, tak co do samego transportowania i przechowywania zboża, jak również i finansowania operacyi kupna i sprzedaży.

Dawnéj konstrukcyi śpichlerze zastępują teraz magazyny—elewatory. Są to takie spichlerze, w których motor parowy podnosi zboże z wagonów, ze statków wodnych, lub rezerwoarów u stóp magazynów umieszczonych, na kondygnacye wyższe, gdzie po dopełnieniu przewagi, rozmieszcza je w skrzyniach idących przez całą wysokość budynku i piramidalnie u dołu zakończonych.

Pierwsze tego rodzaju śpichlerze powstały naprzód przy młynach, które znajdowały się w potrzebie konserwowania dużych zapasów zboża w ziarnie. Operacya ta w śpichlerzach starego autoramentu powodowała znaczny koszt robocizny, spory wydatek na pokrycie dachem dużych powierzchni, a nadewszystko, bardzo powoli odbywać się musiała.

Udoskonalenie techniki motorów parowych, pozwoliło stopniowo doskonalić urządzenia śpichlerzy, z oszczędnością miejsca i siły roboczéj, przyczém system magazynów zbożowych młynarskich, zastosowanych zwykle do jednego gatunku zboża, skupowanego na różnych targach, w różnym czasie, przyjęto również dla magazynów publicznych. Dla zrozumienia, że zboże z różnych folwarków i okolic może bez szkody dla właściciela znaleść się w jednym zbiorniku, musimy wyjaśnić, że dawniéj już nabywano i sprzedawano zboże na giełdach zagranicznych bez próby, lecz przy określeniu przymiotów, jakie posiadać powinno, by za kontraktowe uznane zostało. Sprzedaże takie zowią się terminowemi (*à la livrée*, *auf Termine*). Przy dopełnieniu dostawy, gdy nabywca odmawia przyjęcia, utrzymując, że zboże nie odpowiada warunkom umowy, funkcyonująca stale komisya przy każdéj giełdzie produktowéj orzeka bez apelacyi, o przymiotach towaru. Koszt zejścia komisyi płaci strona nieutrzymująca się przy swojém żądaniu. Otóż, gdy w Europie poprzestawano dla głównych artykułów handlu zbożowego na jednym typie kontraktowym dla każdego z tych artykułów, Amerykanie poszli daléj i ustanowili po kilka, a często i po kilkanaście typów handlowych danego gatunku zboża, szczególniéj téż pszenicy, owsa i kukurydzy.

Długiéj historyi usiłowań w tym kierunku, debatów w izbach handlowych, poprawek etc. powtarzać tu nie będziemy, ograniczymy się jedynie na stwierdzeniu faktu, że od lat kilkunastu, szczególniéj zaś od 1877 r. coraz szerzéj praktykuje się w Ameryce handel zbożem klasyfikowaném (*graded*) i od tego téż czasu budowa elewatorów szybko postępować zaczęła, rugując z użycia śpichlerze zwykłéj konstrukcyi. Wspaniałym wzorem nowych magazynów jest elewator, będący własnością kolei New-York Central, który może jednocześnie przyjmować zboże z wagonów lub barek i wydawać je na okręty. Magazyn ten pomieścić może jednocześnie około 4.000.000 pudów zboża, czyli ładunek przeszło 6.500 waganów. Do jednoczesnego wyładowania 60 wagonów zboża, oczyszczenia, przeważenia takowego i wydania na okręt potrzeba jednéj godziny czasu. Olbrzymie parowce, w regularnych odstępach czasu kursujące między Nowym Yorkiem i Londynem, w braku kosztowniejszego ładunku, w wilię odjazdu decydują się ładować zboże za bardzo tanią opłatą, byle nie brać balastu, lecz za warunek stawiają, aby w ciągu 24 godzin załadowane zostały. Jeśli w dodatku nie chcą ruszać się ze swéj przystani, to ładunek z magazynu wydany na barki, a zbarek, za pomocą pływającego elewatora, przerzucony zostaje na okręt parowy. Dzięki takim urządzeniom, wspomniana droga mogła przewieść w ciągu jednego zbożowego sezonu przeszło 81.000 wagonów pszenicy i ten kolosalny ładunek bez strat i opóźnienia oddać na okręty. Z świeżéj zupełnie praktyki handlowéj cytujemy fakt, że do Chicago przybyło d. 30 września 1884 r. przeszło 3.000 ładunków wagonowych zboża i cała ta ilość natychmiast, bez kosztów osiowego etc., znalazła bezpieczne pomieszczenie w elewatorach.

Mylił by się jednak, powtarzamy, ktoby sądził, że zaprowadzenie elewatorów zredukowało pewne odmiany zboża do kilku tylko typów (numerów), przeciwnie, pszenicy ozimej zna giełda w New-Yorku kilkanaście gatunków, a elewatory, służąc przeważnie dla lokowania większych partyj zboża, bynajmniéj nie pozbawiają indywidualności danéj partyi, o ile na utrzymaniu takowéj zależy stronie interesowanéj.

Najpowszechniéj dzieje się tak, że pszenica pewnych okolic, w większych ilościach produkowana, dzieli się na dwa gatunki: szklistą-twardą i białą-miękką, a dopiero każdy z tych gatunków, w miarę dobroci dostaje numera, odnośnie do wagi gatunkowéj. Nr. 1 waży 60 funtów angielskich w buszlu i wyżéj; Nr. 2 waży 58 funtów i wyżéj; Nr. 3 nie mniéj 56 funtów w buszlu, gorsza pszenica uważaną jest za poślad (*rejected*). Takim sposobem jednéj pszenicy Michigan już jest 6 klasyfikowanych odmian. Łatwo czytelnik zro-

zumie jakby się dała przeprowadzić u nas klasyfikacya pszenicy, któréj mamy kilka wybitnych odmian, np. czerwona, banatka, biała kostromka, sandomierka, etc. i każdą z tych odmian podzielono-by na numera, odpowiadające pszenicy wyborowéj, dobréj i pośledniéj.

Na starym lądzie Europy elewatory większe pobudowano przy młynach w Węgrzech; z publicznych wymienić można jeden wielki w Peszcie, do konstrukcyi którego użyto przeszło 50.000 cetnarów metrycznych żelaza (przeszło 305.000 pudów), drugi, elewator pływający na Tamizie, który wyładować potrafi w ciągu 24 godzin zboże z największych okrętów, co jest nie mało, bo zdarzają się ładunki po 140.000 buszli, czyli przeszło 210.000 pudów (300 ładunków wagonowych).

Koszt pobudowania magazynów - elewatorów jest wysoki tam, gdzie wypada głębokie dawać fundamenta, jak np. nad brzegami wielkich rzek. Normalnie liczą teraz koszt budowy w Ameryce na 30 centów za buszel objętości magazynu; tak więc magazyn, mogący pomieścić 1.000.000 buszli pszenicy (około 1.600.000 pudów) kosztował-by 300.000 dolarów, czyli około 570.000 rubli. Podobno budowle, podług świeżego patentu Nagel et Kaemp kosztują taniéj.

Główna zaleta elewatorów polega na szybkości roboty, dokładności takowéj i taniości; a ponieważ budynki w tym celu stawiane mogą być bardzo wysokie, bo koszt podniesienia zboża pod sam dach prawie wcale drożéj nie wypada jak przeniesienie zboża z jednego punktu na drugi tego samego poziomu; przeto zyskuje się wiele swobodnego miejsca bardzo przydatnego na tory dla wagonów i przystanie okrętowe. Niemniéj ważną zaletą elewatorów jest taniość przeróbki zboża, gdyż byleby jedna skrzynia (rezerwoar) była próżna, łatwo jest poruszyć wszystko zboże w magazynie będące, przyczém rozpoczyna się robota od warstw najgłębiéj leżących. Łyżki blaszane, osadzone na pasach bez końca, czerpią zboże ze spodu, podnosząc je pod dach, a ztamtąd jak deszcz spada ono do pustéj skrzyni, każde więc ziarno z osobna znaleść się musi w zetknięciu z powietrzem. Niezależnie od przeróbki, za pomocą przesypywania zboża ze skrzyni do skrzyni, istnieje stała wentylacya za pomocą kanałów drewnianych, które przebiegają przez całą szerokość i długość magazynu. Kanały te ułożone w kształcie długich korytek dnem do góry obróconych, czerpią powietrze bezpośrednio z zewnątrz budynku. Bywają jednak wypadki częściowego zagrzewania się zboża, lecz trafiają się one nie często i zwykle tylko wśród najskwarniejszych letnich miesięcy, gdy szczelnie zapełniono magazyny, nie zupełnie suchém zbożem.

Na dowód jaką wartość mają udogodnienia, któremi się handel zbożowy w Ameryce posługuje, niech nam wolno będzie zanotować fakt podany przez p. Rudolfa Meyer w jego dziele o powodach konkurencyi Ameryki. Dnia 2 lipca załadowano 2 barki pszenicy 30.000 buszli w St. Paul w Minnesota do New Orleans. Powyżej St. Louis gdzie rzeka jest głębszą, pływający elewator przeładował z nich pszenicę do jednéj barki, niezatrzymując barek w drodze. Przeładowanie z barki na okręt w New Orleans nastąpiło znów za pomocą elewatora i pszenica była w Glasgowie w Szkocyi 27 lipca. Ogólny koszt transportu z St. Paul do Glasgowa wyniósł 29 centów na buszlu, *manco* tylko 1 buszel 33 funtów na całéj partyi. Jakże niesłychanie mały jest powyższy brak wagi w porównaniu z ustaloną już w handlowéj praktyce u nas i w Cesarstwie normą niedoboru. Na stratę przez rozsypanie się zboża w transporcie ze stacyi kolejowéj do śpichlerza, a ztamtąd na okręt, przyjęto liczyć w Odesie do 4%, w Petersburgu 3—4%, w Rydze 2—4%.

Podkomisya kijowska, w epoce znanéj ankiety hr. Baranowa, podała koszta odstawy z wagonu do śpichlerza i ze śpichlerza na okręt, na rs. 1,45 od czetwerti, co przy cenie średniéj 10 rubli za czetwert wynosi $14\frac{1}{2}$% dodając do tego komisowe i meklerne około 3%, stratę na wadze około 4%, wypadnie że koszta odeskie pochłaniały w owéj epoce około 21% wartości towaru. W roku 1878 wynosiły koszta wspomniane prócz komisowego i meklernego w Mikołajewie $3\frac{1}{2}$ miljona rubli czyli 13% wartości całego zbożowego wywozu z tego portu.

W Taganrogu koszta powyższe wynoszą rs. 1 na czetwert, więc około 10% wartości, w Petersburgu około 8%.

Natomiast dzięki elewatorom w Ameryce kosztuje, przy cenie 1 dolara za buszel pszenicy, wyładowanie z barki lub wagonu, magazynowanie przez dni 10, naładowanie na statek, łącznie z ważeniem, czyszczeniem lub chłodzeniem zboża $1\frac{1}{4}$ centa od buszla, zatém około $1\frac{1}{4}$% wartości towaru. Taksowanie zboża, do jakiéj klasy należy, kosztuje od wagonu 20—30 centów, czyli około 40—60 kop. za 600—700 pudów. W Chicago, taksowanie 25 centów od wagona, przyjęcie do elewatora, magazynowanie 10 dniowe, asekuracya, czyszczenie zboża i wydanie do wagonu lub na statek razem $1\frac{3}{4}$ centa od buszla, co przy obecnéj cenie pszenicy 2% wynosi. Uważają jednak za doskonały interes manipulowanie zbożem przy takich opłatach, i niektóre koleje zredukowały już opłaty do $\frac{1}{2}$ centa w swoich elewatorach, a świeżo powstało towarzystwo akcyjne, w Montreal ofiaruje powyższe czynności załatwiać za $\frac{1}{4}$ centa.

Nie mamy u nas podobnych urządzeń, więc ceny téj z naszemi porównywać nie można; wysoki koszt magazynowania w spichlerzu tranzytowym na Pradze, nie może być branym pod uwagę, ponieważ magazyn ten, jak jego nazwa wskazuje, pobudowany został nie w celu konserwowania zboża przez długie miesiące, lecz dla chwilowego zatrzymywania transportów dalszéj ekspedycyi bez straty przywileju taryfy bezpośredniéj komunikacyi. Magazyn ten w obec olbrzymiéj opłaty składowego na stacyach kolei żelaznych, wcale nie gwarantujących całości transportów, oddaje ogromne usługi, lecz jednocześnie praktyka dowiodła jak trudno, przy środkach którémi rozporządza i dotychczasowym sposobie manipulowania w nim towarami,—podołać zwiększonéj potrzebie ruchu towarowego.

W roku zeszłym, gdy dowozy owsa, kaszy i mąki się wzmogły, magazyn tranzytowy co najwyżéj mógł wyładować i załadować około 130 wagonów na dobę. Wreszcie magazynowanie w elewatorach jak w ogóle w składach publicznych, daje w wielu krajach prawo otrzymywania dowodów depozytowych, warantów, stanowiących tytuł własności towaru i dających prawo sprzedaży towaru bez sprawdzenia ilości i jakości takowego, bez potrzeby przenoszenia towaru od sprzedającego do nabywcy. Nakoniec certyfikaty magazynów mogą być podstawą do zaciągnięcia pożyczki.

Wkrótce w drodze prawodawczéj ustaloną zostanie forma dowodów magazynowych (warantów), i wcześniéj niż rzecz samę tj. możność składania towaru w magazynie, mieć będziemy rozwiązanie zadania, jak korzystać ze złożonego towaru i handel nim prowadzić, będą waranty a prawie nie ma jeszcze magazynów. Na zachodzie, mianowicie w Anglii, gdzie waranty powstały, dotąd nie ma regulaminu rządowego, pomimo że właśnie tam ekonomiczna funkcya warantów uznaną została w całéj rozciągłości. Z pomiędzy wszelkich nowatorstw, zmian, ulepszeń, jakich w ciągu ostatnich 50 lat doznał handel w Anglii, nie ma zapewne ważniejszego nad rosnące ciągle znaczenie systemu warantów. Za pomocą tych dokumentów miljony funtów szterlingów w towarach przechodzą z ręki do ręki. Tak wielką jest korzyść tego systemu, tak zrósł się z handlem importowym i tak wysoko ceniony jest przez handlujących, że trudnoby sobie wyobrazić dzisiejszy rozwój handlu bez warantów; instytucya ta powiada p. John Ella (znany pisarz o warantach) należy do skarbów kraju.

Pierwsza wzmianka o warantach znajduje się w księdze protokołów Wschodnio-indyjskiéj kompanii z r. 1733. Pierwotnie wystawiano waranty jedynie na towary sprzedane przez importerów, a wystawcami były zarządy magazynów wspomnianéj kompanii.

Jeśli wyobrazimy sobie, że przybył cały ładunek okrętowy kawy, własnością jednéj osoby będący, to zanim sprzedaż nastąpi musi być towar wyładowany, a koszt przewozu i pewien peryod magazynowania opłacony. Sprzedaż towaru powierzają meklerom, a ci rozdzieliwszy ładunek na partye, otrzymują z polecenia importera, od zarządu magazynu (dock Company) książeczki (weight-note) zawierające specyfikacye wagi każdéj sztuki (worka, skrzyni lub t. p.) danéj partyi brutto i netto, oraz uwagę że na powyższą partyą wydany został warant i że tylko osobie przedstawiającéj ów warant, należycie indosowany, towar wydany zostanie. Stosownie do rodzaju towarów przyjęto opłacać koszta magazynu od 1 do 6 miesięcy naprzód i przez przeciąg tego czasu *prompt* zwanym, towar, na który wystawiano warant i specyfikacye wagi, może być wydany z magazynu tylko za złożeniem obydwóch dokumentów jednocześnie.

Otóż gdy mekler sprzeda pewną partyą towaru, w zamian za zadatek wręcza nabywcy specyfikacyą wagi (weight-note) a nabywcy służy prawo w ciągu trwania wspomnianego *prompt*, zapłaciwszy resztę należności, pozyskać warant i towar bez dalszéj opłaty z magazynu zabrać.

Jeśli do chwili upływu *prompt* nabywca nie dopłacił reszty, utraca prawo na pozyskanie warantu, a jego zaliczenie przepada, właścicielowi zaś warantu służy prawo, towary objęte warantem sprzedać przez publiczną licytacyą, a jeśliby suma uzyskana, z powodu spadku ceny targowéj, nie pokryła należności, mocen jest poszukiwać jeszcze strat od nabywcy *weight note*. W Londynie rozróżniają trzy główne rodzaje warantów, mianowicie:

a) Warant prosty, opiewa iż taki a taki magazyn wystawia niniejszy certyfikat, że posiada pewną ilość towarów, które, firmie X. lub zlecenie mającemu, wydane zostaną po zapłaceniu wyszczególnionych kosztów i za zwrotem tego dokumentu.

b) Warant z cedułą wagi (weight note) obejmuje tę samę treść co poprzedni, lecz w nagłówku nosi dodatek że na towary warantem objęte wydana została ceduła wagowa.

c) Wreszcie warant pierwszy (prime) wydawany tylko w razach, gdy importer potrzebuje zastąpić u swego bankiera tamże deponowany konosament.

Pierwsze dwa rodzaje warantów najczęściéj spotykają się w praktyce i jakkolwiek różnią się od siebie, mogą zachodzić okoliczności że na jeden i ten sam towar w różnych peryodach czasu, to warant zwykły, to warant z cedułą wagową wydany być może.

Na towar zapłacony w całości, biorą warant prosty, na towar sprzedany lecz tylko zadatkowany wydają warant z cedułą wagową.

Prawo wystawiania warantów w Londynie posiada każdy właściciel magazynów towarowych publicznych, lecz rzeczywistą wartość zamienną lub wartość dobréj hypoteki dla pozyskania pożyczki, posiadają jedynie waranty wystawiane, na towary importowane, przez wielkie towarzystwa doków.

Gdy lokowane bywają towary w magazynach należących do osób lub towarzystw mniéj znanych, wtedy warant przez nie wystawiony idzie wprost do portfelu banku lub bankiera, protegującego daną instytucyą magazynową, właściciel zaś towaru podnosi u bankiera stosowne zaliczenie.

Cedowanie warantu przy sprzedaży towaru, nie pociąga regresu do żyranta, lecz w razie zastawu warantu, zastawiający osobnym listem do warantu dołączonym, przyjmuje na siebie odpowiedzialność względem pożyczającego pieniądze: za

a) wykupienie w terminie umówionym.

b) zapłacenie procentów i prowizyi.

c) w razie spadku ceny targowéj niżéj poziomu wskazanego w tymże liście, wpłacenia odpowiedniéj kwoty lub dostarczenia innéj stosownéj gwarancyi. Co gdy nie nastąpi biorący zastaw do sprzedaży towaru przystąpić może.

d) upoważnia do sprzedania w terminie, lub w przypadku przewidzianym, tak za prywatnym kontraktem, jak przez licytacyą publiczną, bez potrzeby wzywania.

Jedynie przyjęto sprzedawać przez publiczną licytacyą towary objęte warantami z cedułą. Powód do tego leży mniéj w obawie nadużyć ile raczéj w saméj naturze towarów, dla których z tego lub innego powodu urządzane bywają peryodycznie wielkie aukcye w dokach Londynu. W Szkocyi instytucya warantów kwitnie w Glasgowie i w Middelborough, a w pierwszém mieście główne zastosowanie znalazła dla uruchomienia wartości żelaza surowego już wyprodukowanego, jak i dla zapewnienia ceny na produkcyą przyszłą, ponieważ nie tylko istnieje łatwość zastawu warantów lecz istnieje możność sprzedania dowodów w przyszłości wystawić się mających. Fabrykanci bowiem przy cenie korzystniéj sprzedają żelazo surowe jeszcze na rynek nie dostawione, zobowiązując się dostarczyć w oznaczonym terminie pewną ilość warunków na ten towar.

Naturalnie sprzedaże na dostawę późniejszą, normalnie następują bez zadatku, wystarcza zamiana między stronami korespondencyi potwierdzającéj zrobiony interes.

W roku 1872 znajdowało się deponowanego surowcu, na który wydano waranty 194.000 ton, a w roku 1881 już 940.000. W ostatnim roku cyfra ta o wiele przechodzi 1.000.000 ton. W Holandyi znano już w połowie 17 stulecia ceduły magazynowe kompanii wschodnio indyjskiéj i posługiwano się niemi od tego czasu przy kupnach i sprzedażach towarów importowanych przez ową kompanią. Jednak dopiero od 1827 r. to jest od czasu gdy król Wilhelm zalecił pobudowanie w Amsterdamie ogólnych magazynów publicznych (algemeen Rijks Entrepôt) i osobiście zagwarantował 5% od pożyczki 1.600.000 guldenów, na ten cel zaciągniętéj, rozpoczęła się nowa era dla handlu holenderskiego i w drodze prawodawczéj ustalono stosunki, prawa i obowiązki wzajemne administracyi magazynów i deponujących towary.

Przyjęto za zasadę, iż do magazynów publicznych przyjmowane być mogą wszelkie towary, tak lądem jak morzem przybyłe, wolne od cła, lub podlegające ocleniu, narówni z towarami krajowéj produkcyi.

Państwo uważa owe magazyny jako wolny port (porto-franco) w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu i jedynie baczy przez swe organa, funkcyonujące *ex officio* w administracyi magazynów, aby przy wyściu towarów odpowiednie cło opłacone zostało, i co ważniejsze, jedynie za ilości faktycznie wychodzące, a nie za te które weszły do magazynu. Zatém ubytek w skutek wycieknięcia, wyparowania, rozkruszenia etc. jest wolny od opłaty. Tak liberalne zasady pobudziły kupiectwo innych miast Holandyi, mianowicie téż Rotterdamu, do budowania i urządzania magazynów.

W roku 1837 miasto Amsterdam dla powiększenia magazynów publicznych zaciągnęło nowę pożyczkę 3.000.000 guldenów na $4\frac{1}{2}$%, spłacając resztę pierwszéj, gwarancyą procentów przyjął znów król osobiście a dopiero w 1874 gwarancyą téj pożyczki przyjęło na siebie państwo.

Prócz Rijks entrepôt, funkcyonuje sporo przez prywatne osoby zarządzanych magazynów dla publicznego użytku, np. Blaawhoede veem, Vriesse, Withoede, Groenhoeden, Hop, Leydsche veem. Wszystkim tym instytucyom służy prawo wystawiania warantów, których rozróżniają dwa rodzaje:

1) *bewijzen van apslag.*

2) *ontvangeedullen aan tonder.*

Pierwsze z nich są kwitami wystawianemi przez depozytaryusza na rzecz deponującego, z możnością cesyi, z przyjęcia ściśle oznaczonéj ilości towarów. Deponujący lub jego legitymowany prawonabywca, po zapłaceniu kosztów magazynowania i ewentualnie

poniesionych przez depozytaryusza innych wydatków ma prawo odebrać towary w kwicie wyszczególnione.

Drugie zaś, wystawione na okaziciela, dają temuż prawo, po zaspokojeniu regulaminem przewidzianych kosztów, odebrać towary klasyfikowane, to jest w pojęciu handlowém gotowe do sprzedaży. Cesya warantu (bewijzen van apslag), nie pociąga żadnéj odpowiedzialności cedenta i nabywca dokumentu uważany jest jako mandataryusz pierwotnego właściciela towaru, do którego z regresem zwrócić się nie może, o ile specyalna umowa nie nastąpiła. W ontvangcedullen przyjęto rozróżniać takie, które pochodząc od importerów zamorskich towarów zawierają wyszczególnienie portu załadowania i okrętu który przywiózł towar, mniéj chętnie dają pieniądze pod zastaw dokumentów na towary w drugiéj ręce będące.

Bank Niderlandzki wydaje zaliczenia na waranty w stosunku 80% do wartości targowéj cyny, 75% bawełny amerykańskiéj i cukru Jawa, 70% zboża, 60% nafty.

Waranty, pochodzące z magazynów stowarzyszeń lub osób prywatnych bank wtedy tylko uwzględnia, gdy depozytaryusze towarów posiadają w banku kaucye od 50.000 do 100.000 guldenów wynoszące.

Rotterdamski Vrij Entrepot posiada główny magazyn 200 metrów długi, 36 metrów szeroki, a trzy piętra wysoki, z powierzchnią ładunkową 21.000 metrów kwadratowych. Liczba ceduł przez ten magazyn rocznie wystawianych przechodzi cyfrę 25.000. Statystycznych danych o ilości towarów mieszczących się w składach publicznych miejskich i prywatnych nieznamy, wiemy tylko że polisa ubezpieczenia od ognia magazynu Blaawhocde veem obejmowała w r. 1881 cyfrę 3.000.000 guldenów.

Najwięcéj skomplikowany a tém samém najmniéj naśladowania godnym jest system warantów francuzkich, którym usiłowano nadać formę obiegową, przez podciągnięcie ich w wielu wypadkach pod formy przysługujące zobowiązaniom wekslowym.

W roku 1848 pod wpływem pojęć przez Augusta Cieszkowskiego, Józefa Garnier, Baudrillarta i Boccardo głoszonych, pozwolono instytucyi *magasins généraux* wydawać dowody depozytowe (*récépissés*) na zlecenie.

Artykuł 4 i 5 dekretu z 23 marca 1848 r. stanowił, że *récépissé* opiewać ma cenę sprzedażną, skonstatowaną przez ekspertyzę w dniu deponowania towaru. Ekspertyza wtajemniczała niepotrzebnie osoby trzecie w szczegóły interesów deponującego, pociągała za sobą koszt i stratę czasu, a stawała się zbyteczną skutkiem fluktuacyi ceny targowéj. Artykuł 7 wymagał aby w razie indosowania ceduły, (*récépissé*) w razie zmiany właściciela towaru, indos regestrowany był w księgach magazynu.

Znów nie potrzebnie informowane były osoby trzecie o obrotach handlowych posiadacza towaru.

Artykuł 11 wreszcie dozwalał właścicielowi ceduły, gdy w terminie nie został zapłacony, mieć regres podług swego wyboru, albo do żyrantów, i pożyczającego na towar, albo do towaru. W latach 1858, 1859 i wreszcie 1870, zaprowadzono znaczne zmiany w pierwotnéj ustawie. Odnośne rozporządzenia są bardzo interesujące, gdyż określają stosunki prawne, tak deponentów, jak i magazynów względem posiadaczy towarów, cendentów i zastawników.

Między innemi postanowiono jako zasadę, że zarząd magazynów nie może dla nikogo robić ustępstw (*point de faveur pour personne*), jak rownież nie wolno zarządowi magazynów wchodzić w jakiekolwiek kombinacye z jednérn towarzystwem transportowém, które-by nie przysługiwały wszelkim innym towarzystwom transportowym.

Spotykamy się tam po raz pierwszy z dozwoleniem jednemu towarzystwu magazynów (*magasin général de Lyon*) gwarantowania wartości towaru, w stosunku $^9/_{10}$ szacunku, wykazanego przez taksę dyrekcyi magazynu. Gwarancya ta nie może rozciągać sie na czas dłuższy jak dni 90, i udzielona być moża za wniesieniem specyalnéj opłaty. Wiele towarzystw, późniejszemi czasy powstałych, mają to pozwolenie w swoich statutach, nie sądzimy jednak by ztąd poważną jaką korzyść mógł handel odnieść; wartość bowiem gwarantowana, jeżeli nie ma narazić na straty gwarantującego, musi być znacznie niższa od ceny bieżącéj rynkowéj, do zawierania więc interesów w niczém pomocną być nie może. Wreszcie prawo z dnia 28 mają 1858 postanawia, aby właściciel lub konsygnataryusz (1) towaru, deponowanego w magazynie, otrzymywał *récépissé* i warant (*bulletin de gage*). Pierwszy dokument daje prawo do sprzedania, do dysponowania towarem, drugi jest dokumentem kredytowym, dającym pożyczającemu prawo zastawu na towarze w warancie wyszczególnionym. Waranty i *récépissé* muszą być jednéj treści, *récépissé* zawiera wiadomość czy i na jaką sumę, z jakim terminem warant ustąpionym został.

Cesya może nastąpić: obydwóch dokumentów jednéj osobie,— *récépissé* odstąpione być może jednéj, a warant drugiéj osobie. Cedowanie warantu musi jednak poprzedać cesyą *récépissé*, ponieważ ktoś, co sprzedał towar nie może go zastawiać. Indosowanie wa-

---

(1) Konsygnataryusz w terminologii handlowéj oznacza osobę, któréj towar do sprzedania powierzony.

rantu, gdy poprzedza cesyą *récépissé*, ma znaczenie zastawienia towaru u osoby, na którę warant zcedowany został. Dla tego téż wymaganém jest wymienienie dokładne literami lub cyframi, sumy otrzymanéj, umówionej stopy procentowéj i terminu płatności téj sumy, nadto mieszkanie i stan dłużnika przy podpisie figurować powinny. Pierwsza cesya warantu musi być zarejestrowana w księgach magazynu, a to znów dla tego, że wierzyciele pierwotnego właściciela towaru mogli-by położyć areszt na towarze, ze szkodą posiadacza warantu, lub znowu przeciw wierzycielom. Dalsze indosy mogą, lecz nie potrzebują być regestrowane i prawnie mają tylko znaczenie zmiany w osobie pierwszego zastawnika towaru. Właściciel warantu powinien w dniu płatności żądać zapłaty, co gdy nie nastąpi, poleca sporządzić protest w pierwszym następującym dniu roboczym. Prawo wymaga zachowania wszystkich znanych z kodeksu handl. francuskiego przepisów, stosowanych przy sporządzaniu protestów wekslowych. Jeśli w ciągu 8 dni od daty protestu, kapitał z procentem i kosztami nie został zapłacony, przystępują do sprzedaży towaru przez licytacyą przed notaryuszem. Gdy ze sprzedaży towaru pretensya nie jest w zupełności zaspokojoną, właściciel warantu udaje się z regresem do dłużnika i cedentów, do wszystkich razem lub każdego z osobna, podług swego wyboru.

Bank francuski, podług specyalnego katalogu, *des marchandises warrantées*, wydaje zaliczenia na waranty, w stosunku około 75% wartości towarów i wymaga przynajmniéj dwóch podpisów, zatém właściciela towaru i zastawnika warantu, tym ostatnim zwykle jest bankier kupca, dającego towary pod zastaw. Dotąd głównie używane są waranty w Paryżu, w Havre i Rouen.

Oddział banku francuskiego w Havre wydał pod zastaw warantów w r. 1875—62.000.000, a r. 1881—130.000.000 franków.

W Niemczech, Belgii, Austryi dotąd mało korzystano z dogodności warantów. We Włoszech tylko w Medyolanie waranty na jedwab są w obiegu, prawne zasady zbliżone do francuskich. W Stanach Zjednoczonych miejsce warantów zastępują certefikaty magazynowe (*store receipts*), które o ile na nich nie wypisano *not negotiable*, zatém nie zastrzeżono, iż odstępowane być nie mogą, posiadają wartość zupełnego prawnego tytułu do rozporządzania się towarem, objętym owemi certyfikatami. Głównie waranty zbożowe są w obiegu, i naturalnie zboża klasyfikowanego, mającego codziennie giełdową cenę. Obok cesyi certyfikatu magazynowego przez indosowanie, biorący pożyczkę składa list podobnéj zupełnie treści, do używanego w Anglii.

Prawo w Stanach Zjednoczonych odróżnia magazyny państwowe (*public stores*), magazyny prywatne, specyalnie przez jednę firmę używane, tak dla towarów krajowych jak i importowanych, wreszcie, magazyny prywatne, lecz dla publicznego użytku przeznaczone.

Towary nieoclone pozostawać mogą do chwili oclenia w każdym z tych składów, lecz pod podwójnym zamkiem urzędu celnego i magazyniera. Kaucyą (*bond*) składa tam w formie wekslu, wystawionego na zlecenie kontrolera celnego, bank lub bankier zainteresowany w prosperowaniu przedsiębiorstwa magazynów.

W żadnym kraju na świecie tak obszernych, tak doskonałych magazynów, z takiém bezpieczeństwem w razie ognia, z tak dogodnemi komunikacyami na wewnątrz i zewnątrz urządzonych nie ma jak w portach Unii północno amerykańskiéj.

Prawa, które określiły znaczenie prawne certyfikatów magazynowych, na zlecenie lub na okaziciela wystawionych, wydane zostały jeszcze w r. 1849 na skutek raportu delegatów rządu Unii, wysłanych do Anglii, Holandyi, Belgii i Francyi dla zbadania instytucyi warantów.

Raport delegatów zawiera ustęp, który, pomimo że upłynęło już lat 36 od daty jego zamieszczenia w zbiorze dokumentów amerykańskiego kongresu, nic jeszcze nie stracił na praktycznéj doniosłości.

„Gdy prawo magazynowania towarów importowanych—powiedziano tam — przysługiwać będzie osobom prywatnym, i powstaną obszerne, dogodne magazyny, właściciele takowych dołożą starań, by zapełnić posiadane pomieszczenia nietylko importowanym, lecz wszelkim towarem. Istnieje bowiem ścisły związek interesów zewnętrznego i wewnętrznego handlu, a przodowanie nasze w handlu międzynarodowym zależy od pomyślnéj dla nas odpowiedzi na pytanie: W czyim kraju głównie znajdą się na składzie, artykuły surowe handlu zamiennego i fabrykaty, od chwili ich wytworzenia do chwili spożycia. Jaki kraj pośredniczyć będzie w tym wielkim interesie? Kto się zajmie transportowaniem; czyje maszyny i robotnicy obsługiwać będą doki i porty? Kto pozyszcze opłaty magazynowania, asekuracyi, komisowego i zysków ze sprzedaży?“

Różnimy się wielce od społeczeństw zamieszkujących brzegi Atlantyku, nietylko położeniem geograficznym, lecz zarówno rozmiarem interesów towarowych, jak i środkami, służyć mogącymi do wprowadzenia w wykonanie instytucyi magazynów publicznych. Gdy tam potrafią tworzyć samodzielnie, dla nas pozostaje jedynie naśladownictwo i to w rozmiarach miniaturowych.

Niemniéj jednak byłoby do życzenia, aby funkcyonujące obecnie na Pradze magazyny tranzytowe, stać się mogły zawiązkiem przedsiębiorstwa magazynowego, opartego z jednéj strony na komunikacyi ze stacyami kolei żelaznych zbiegających się w Warszawie, z drugiéj strony na spławie Wisłą.

Naturalnie, urządzenie wygodnéj przystani dla ładowania berlinek, dla ich zimowania, łącznie z pobudowaniem magazynów elewatorów, mogło-by się przyczynić do skoncentrowania u nas zapasów towaru, a tém samém i do ustalenia bezpośredniego a korzystniejszego stosunku z odleglejszemi rynkami odbytu.

B. Werner.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Studya literackie. Napisał Wł. Nehring. Poznań. Nakładem księgarni A. Cybulskiego, str. 398. (Pamięci Jana Kochanowskiego w roku jubileuszowym 1884).

P. Władysław Nehring, od lat wielu profesor slawistyki w uniwersytecie wrocławskim, jest jednym z twórców naukowego badania dziejów literatury naszéj. Co p. Józef Przyborowski zrobił dla Jana Kochanowskiego, to Nehring uczynił dla trzech historyków wieku XVI. Heidensteina, Joachima Bielskiego i Solikowskiego. Wszechstronne rozpatrzenie się w źródłach, ścisła ich krytyka, staranie o ustalenie przedmiotowego sądu zamiast dawania zdań subjektywnych: oto główne znamiona tego nowego w poszukiwaniach zwrotu. Prace te przypadają na lata 1857—1862.

Po ogłoszeniu w r. 1866 mniéj szczęśliwie ułożonego „kursu literatury polskiéj dla użytku szkół,“ prof. Nehring z zadania swego zawodu oddał się przeważnie badaniu staropolszczyzny w jéj najdawniejszych zabytkach a przedewszystkiém „Psałterza Floryańskiego.“ Z tych mozolnych dociekań powstały cenne rozprawy już-to po polsku, już-to po niemiecku publikowane, oraz krytyczne wydanie części polskiéj Psałterza.

Dopiero po latach dziesięciu od wydrukowania „Kursu“ powrócił prof. Nehring do prac krytycznych nad dziejami literatury, a powrót ten zaznaczył znakomitą rozprawą p. n. „Psyche Andrzeja Morsztyna,“ drukowaną w *Bibliotece Warszawskiéj*. Okazał w niéj dokładnie i dowodnie, co wziął nasz poeta z włoskiego, co z łaciny, a co dodał własnego. Jest to rzecz mogąca służyć za wzór dla poszukiwań tego rodzaju. Od wydrukowania téj prawdziwie akademickiéj pod względem ścisłości rozprawy, autor podawał ogółowi, lubo

nie zbyt często, owoce swoich badań krytycznych, ogarniając zwolna wszystkie wieki rozwoju naszego piśmiennictwa i rozszerzając zakres swych sądów, nie tylko do szczegółów biograficznych lub odkrywania źródeł, ale także i do artyzmu rozbieranych przez siebie utworów.

Z tych właśnie rozpraw ogłaszanych w przeciągu 8-u lat ostatnich powstał zbiór, który prof. Nehring poświęcił „pamięci Jana Kochanowskiego w roku jubileuszowym 1884“ i p. n. „Studya literackie“ w Poznaniu drukiem ogłosił.

Zbiór ten ułożony jest chronologicznie; rozpoczyna się od „Bogarodzicy,“ kończy się rozbiorem „Irydyona.“ Wiek XVI, XVII i XVIII mają w nim swoich najznakomitszych przedstawicieli. Niektóre rozprawy, i to najobszerniejsze, pojawiają się tu po raz pierwszy.

Rozprawa o „Bogarodzicy,“ początkowo w języku niemieckim napisana i drukowana, jest próbą rekonstrukcyi błędnie przekazanego nam tekstu oraz dochodzenia, w jaki sposób mogła powstać myśl przypisania téj pieśni ś. Wojciechowi. Główna poprawka proponowana przez prof. Nehringa odnosi się do pierwszego wiersza drugiéj zwrotki. Zamiast niezrozumiałego: „Twego dla krzciciela“ czyta on: „Twego *dzieła krwi i ciela* bożycze usłysz głosy.“ Ma to znaczyć: „Twojéj cząstki z krwi i ciała bożycze usłysz głosy,“ czyli: „słuchaj głosu dzieciątka z twéj krwi i ciała.“ Pomijając już kwestyą, czy był w staropolskiem wyraz *dziel* (w Psałterzu floryańskim jest tylko *dział*), dziwną wydaje się rzeczą, iż modlący się napomina niejako Matkę Boską, ażeby słuchała głosu swego dzieciątka, a powtóre związek z dalszym ciągiem („Słysz modlitwę jąż nosimy) nie przedstawia się jasno umysłowi.

Uczeń prof. Nehringa, p. Bobowski w rozprawie inauguracyjnéj „Die polnische Dichtung der XV Jahrhunderts“ odrzucił jego hipotezę i słusznie uważając drugą strofkę za modlitwę nie do Matki Boskiéj, lecz do Chrystusa, poczytuje wyraz bożycze nie za dopełniacz lecz za wołacz i proponuje poprawkę, która istotnie czyni rzecz zrozumiałą. Czyta on: Twego dzieła krzyżowa dla, bożycze, usłysz głosy“ itd. a swój sposób czytania opiera na analogicznych wyrażeniach w hymnach łacińskich: „opus salutis, mysterium crucis; per tuae mortis merita dele nostra peccamina.“ Trudność w przyjęciu proponowanéj przez p. Bobowskiego poprawki polega głównie na tém, że w wyrazie *Krzciczela* trudno znaleść podstawę do wyczytania zgłoski *wa* lub *va* (*krzczi* odpowiada: *krzizo*, *ela* = *dla*).

Co do myśli przypisania téj pieśni św. Wojciechowi, Nehring widzi jéj składniki w następnych okolicznościach: czechizmy spo-

tykane nie tylko w pierwszych dwu ale i w dalszych zwrotkach, pewna zgoda treści z pieśnią: Hospodine pomiluj ny; odśpiewy: kyrie eleison i krlesz; wiara w autorstwo św. Wojciecha co do staroczeskiéj pieśni; wreszcie przeznaczenie wojenne i polskiéj i czeskiéj; wszystko to mogło nasunąć przodkom naszym z XVI wieku obeznanym z językiem i piśmiennictwem czeskiém przypuszczenie, iż Bogarodzica powstała w takim czasie, kiedy czeski i polski były prawie jednym językiem; pomiędzy tymi, którym można było autorstwo téj pieśni przypisać, mógł św. Wojciech jako patron zarówno polskiego jak czeskiego kościoła przedewszystkiém uchodzić za twórcę polskiego wojennego hymu, tém bardziéj że jemu powszechnie przypisywano autorstwo pieśni wojennéj staroczeskiéj.

Kochanowskiemu poświęca prof. Nehring dwie rozprawy: o Trenach i o Odprawie Posłów Greckich. Ponieważ ta druga stylowo tylko i paru drobnemi szczegółami różni się od téj, która pomieszczona została w drugim tomie pomnikowego wydania dzieł Jana z Czarnolasu, a któréj rozbiór podałem już w *Ateneum*, zajmę się więc tylko pierwszą.

Zasadniczém twierdzeniem autora co do sposobu powstania Trenów jest, iż niepodobna przypuścić, ażeby Treny lub przynajmniéj pewna ich część napisana była w pierwszych dniach żałoby, pod świeżém wrażeniem. Z Trenów przemawia—zdaniem Nehringa—spokój ducha artystycznego, myśl człowieka świadomego walki uczuć, który nie stał się ich ofiarą, ale podziwu godnym tłómaczem; wszędzie téż widać tu zachody około formy w obrazach i w mitologicznym przystroju. Nie wypływa jednakże z téj uwagi, iżby „poszczególne Treny pisane były za jednym zapędem wedle pewnéj zgóry powziętéj dyspozycyi; owszem powtarzanie myśli tych samych i brak związku pomiędzy niektóremi trenami wyraźnie czuć się daje. Treny powstawały w różnych czasach i wśród niejednakowych faz usposobienia. Tren I, II i XIX należą do najpóźniejszych; do najwcześniejszych zaś tren III: są tu bowiem złożone dwa motywa, które w dalszych poeta szczegółowo rozprowadza: przymioty Urszulki i myśl pójścia śladem córeczki (tren VI, XII, XIV). O trenie IV da się również powiedzieć, że jest rychlejszy od trenu XV, głównie dla motywu, stanowiącego w obydwu jądro myśli; motywem tym jest wspomnienie Nioby. W trenie IV dzieje się to tylko w sposobie epigramatycznego ucinku; w trenie zaś XV wspomnienie to stanowi treść całéj elegii. Oddając utwór swój do druku, Kochanowski starał się zaprowadzić jakiś ład wśród trenów, które powstawały od siebie niezależnie i tak: po dwóch wstępnych, umieścił *sześć trenów epicznych* (III—VIII), w których zdał sprawę z tego, co się stało; dalej umieścił

pięć trenów (IX—XIII), w których wyraził pogardę mądrości, rozpaczliwy głos przeciw wierze w nieśmiertelność duszy, szyderstwo z cnoty, wielkość straty i brak nadziei, wreszcie ów „płacz i narzekanie“ w nagrobku, który kończy tren VIII; jest to część utworu, któréj osnową jest brak wszelkiéj pociechy. Od trenu XIV aż do XVIII wybija się inna myśl na wierzch, bo poeta pragnie i szuka pociechy; szuka jéj w poezyi i chce iść z lutnią jak Orfeusz za Eurydyką, za swoją Urszulką; daléj szuka ulgi we wspomnieniu o Niobie jakby chciał powiedzieć, że ulgą w cierpieniu jest cierpienie innych; w trenie XVI szuka ulgi w płaczu i obiecuje sobie, że czas ranę zabliźni; w trenie XVII znów wraca do płaczu i w końcu woła, że Bóg może płacz ten pohamować, w trenie XVIII „prawdziwie Dawidowym psalmie“ ucieka się wprost do Boga i do jego miłosierdzia; poczém już idzie rozwiązanie wszystkiego w trenie XIX. Tak więc wypadłoby cały utwór podzielić na trzy części: rozpamiętywanie smutnéj katastrofy, rozpaczliwy brak pociechy i szukanie pociechy; drugą i trzecią część w braku innego wyrażenia można nazwać *liryczną* w przeciwieństwie do pierwszéj, *epicznej*. Uporządkowanie to według Nehring'a nie zastąpiło braku dobrze obmyślanéj dyspozycyi; sądzi ona że tren XII dałby się pomieścić w epicznéj części, III i V w lirycznéj; tren X lepszeby miał miejsce przed IX; od trenu VIII począwszy odpowiedniejszy może byłby porządek taki: VIII, X (XII), XIV, XV, XIII, IX, XI, XVI, XVII. W większéj części wywodów Nehringa mających na celu wykazanie prawdziwości przypuszczenia, iż Kochanowski pisał Treny jako osobne elegie, uznać wypadnie najzupełniejsze uzasadnienie; wsparte one są bowiem na mocnym gruncie przedmiotowego rozpatrzenia się w samym utworze bez ubocznéj myśli dojrzenia artystycznéj całości, któréjby nasze dzisiejsze pojęcia estetyczne domagały się. Co do strony wewnętrznéj Treny, co do myśli ich przewodniéj, co do wskazania niektórych źródeł, z których pewne przekonania do Trenów poeta poczerpnął (Seneka, Cyceron, może Plutarch) również zgodę z prof. Nehringiem wyrazić potrzeba; możeby tylko nie należało tak bardzo akcentować owego „mdłego przyrodzenia,“ które poprzednicy autora aż zanadto uwydatnili, możeby także nie z taką pewnością utrzymywać wypadało, iż w dobie Trenów poeta nasz wyrzekł się filozofii pogańskiéj, któréj hołdował w pieśni i w życiu, a wrócił się do uznania prawd i pociech chrześcijańskich; utwory bowiem powstałe po napisaniu Trenów nie świadczą bynajmniéj, iżby w pojęciach jego i poglądach zaszła jakaś ważniejsza zmiana.

Z wieku XVII opracował autor dwu znakomitych pisarzów: Kochowskiego i Morsztyna. O wartości i znaczeniu rozprawy, do-

tyczącéj Morsztyna jużem wspomniał: pod względem krytycznéj ścisłości jest to rzecz najcenniejsza w całym obecnym zbiorze „Studyów.“

Kochowskiego uważa prof. Nehring za najlepszego przedstawiciela literatury XVII stulecia. „Rzadko który poeta polski, mówi autor, repezentuje tak wybitnie wiek swój, rzadko który jednoczy w sobie tak bardzo rozstrzelone promienie ducha czasu, jak Wespazyan Kochowski: żołnierz, rolnik, historyk, poeta, obeznany więc z życiem publiczném i prywatném, zaszczycony zaufaniem króla Jana i zaszczycony zaufaniem narodu, jest on pod wielu względami wiernem odbiciem narodu i czasu“ (str. 83). Szczegółowy rozbiór poetyckiéj twórczości Kochowskiego a szczególniéj Liryków i epigramatów, upoważnia autora do skreślenia ogólnéj charakterystyki, która jest bardzo trafną ale zamało wycieniowaną a czasami w wyrażeniach sprzeczną. Według prof. Nehringa zanosiło się u Kochowskiego na stworzenie samodzielnego rodzaju poezyi; pieśni jego wesołe i ironiczne obiecywały być zawiązkiem poezyi choć nie całkiem nowéj, to jednakże *całkiem* (?) *od wzorów cudzych swobodnéj*; ale późniejszy kierunek przez poetę obrany stał się „temu rodzajowi przeszkodą, granicą, grobem.“ Coraz więcéj czuł, że odbieżawszy od źródła oryginalnego natchnienia, potrzeba mu wzorów; to téż szukał ich najprzód zapewne w psałterzu Kochanowskiego co do poezyi religijnéj, a co do poezyi politycznéj, w Twardowskim. W młodzieńczych poezyach Wespazyana *znać wprawdzie wzory*, ale nie znać naśladowania; w późniejszym jego zawodzie poetyckim znać aż nadto naśladowanie, szczególniéj Twardowskiego i to nie tylko w wyrażeniach, porównaniach, ale i w całych zwrotach i w „całym sposobie poetycznym,“ szczególniéj w utworach politycznych i panegirycznych .. Naturalny pociąg do muzyki i nawet techniczna jéj znajomość, zamiłowanie w naturze, jak widać z niektórych opisów, myśl nie pozioma, ale owszem wznioślejsza lub głębsza, przytém żywa imaginacya—to są przyrodzone talenta naszego liryka. Forma zaś jego utworów jest nadzwyczaj bogata i sztuczna; oprócz 13-zgłoskowego wiersza bardzo szczęśliwie używa 11 i 8 zgłoskowego w połączeniu z krótszemi jeszcze; strofy począwszy od 8-wierszowéj stancy i od 4-wierszowéj zwrotki są najrozmaitsze i przechodzą skalę szeroką aż do najsztuczniejszych. Używa on dość często wyrazów: *sonet*, *kancona* lub *madrygał* jako napisów dla swych wierszy, ale formy odpowiedniéj tym wyrazom wcale nie zastosowuje w wykonaniu utworów.

Wiek XVIII reprezentowany jest w książce prof. Nehringa rozprawą o poezyach Krasickiego. Koleją chronologiczną rozbiera najważniejsze i najbardziéj znamienne. Rozpoczyna naturalnie od My-

szeidy. Poemat ten uważa za punkt zwrotny w historyi poezyi polskiéj; jako „w małych ramkach znicowanie przeszłowiecznego społeczeństwa, jego moralnego stanu i smaku“. „Ów brak treści, powiada—lub rzeczy małe w przesadnéj formie i wielkich słowach są tu sprowadzone ad absurdum w arcyzabawny sposób; rzecz szczęśliwie obrana z bajecznych powieści pokazuje łatwowierność, ciemnotę i przesądność wieku, a wystawienie tego wszystkiego jest takie, że daje sposobność scharakteryzowania zacofanego i gnuśnego społeczeństwa, które niepowodzenia składa na panującego“ (str. 200). Aluzyj szczegółowych nie dopatruje się autor w Myszeidzie, a lubo zna przypuszczenia (mojém zdaniem bardzo prawdopodobne) Gruszczyńskiego, nie poddaje ich wszelako krytyce, twierdząc tylko ogólnikowo, iż aluzye osobiste „nie były Krasickiemu właściwe.“ Ależ takie właśnie twierdzenie musiałoby być wprzódy dobrze dowiedzionêm. „Monachomachia“ według prof. Nehringa nie była „ani na czasie ani w swém miejscu.“ Zdaje się, że ośmieszenie ciemnoty, opilstwa, zabobonów, zawsze jest i na czasie i w swém miejscu; żadne reformy, żaden postęp ku lepszemu bez krytyki tego, co już żywotném być przestaje, dokonać się chyba nie da. „Monachomachia“ w otrząśnięciu się społeczeństw ze średniowiecznéj pleśni ważną odegrała rolę; uznały to umysły rozważne i bardzo praktyczne, że tylko przypomnę Jana Śniadeckiego. Odmienny od poprzednich ton słusznie zaznacza autor w Satyrach Krasickiego; ze śmiałego głosiciela reformy staje się w nich ksiądz biskup chwalcą starego porządku rzeczy. Jakże to objaśnić. Prof. Nehring twierdzi, że ta zmiana, którą „pozorném przeniewierzeniem się liberalnemu stanowisku“ nazywa, wypływa wogóle z usposobienia Krasickiego, który się stanowczością nie odznaczał, w szczególności zaś stąd, że Krasicki pisał nie z koniecznego popędu, wedle którego dificile est satiram non scribere, ale z pobudek artystycznych, aby poezya polska miała satyry wzorowe i aby w formie portretów obyczajowych spożytkować swój talent obrazowania. Ten drugi powód nie tłómaczy przedewszystkiém, dlaczego to artystyczna wzorowość satyr miała koniecznie łączyć się z zachowawczym poglądem, a powtóre sam przez się prawdziwym być nie może; dość odczytać satyrę „Pan nie wart sługi,“ ażeby nabrać przekonania, że nie artystyczne tylko względy kierowały myślą i piórem poety. Dla rzetelnéj i sprawiedliwéj oceny Satyr potrzeba ściśle odróżnić satyry księgi I od satyr księgi II i dwie te grupy rozpatrywać oddzielnie, śledząc pilnie, jak usposobienie Krasickiego przemieniało się pod wpływem stosunków czasowych i przybywających lat. Rozbiór „Wojny Chocimskiéj“ i króciutka charakterystyka „Bajek“ kończy rozprawę: o „Listach poetyckich“ autor przepomniał. W całym arty-

kule dużo jest trafnych spostrzeżeń, ale uogólnienia nie zawsze zyskać mogą powszechniejsze uznanie; dlatego, jak się zdaje, że są wynikiem bardziéj subjektywnie ferowanych wyroków, niż konsekwencyą, wynikającą z dostatecznéj liczby dowodów.

Najmniéj może z całego zbioru zadawalniają prace, poświęcone ocenie trzech największych poetów naszych XIX stulecia: wszędzie poznać można raczéj pracę uczonego badacza, niż odczuwającego subtelne piękności estetyka. Spostrzeżenie to wszakże nie powinno uszczuplać w umyśle czytelnika wartości naukowéj rozpraw o Grażynie, Konradzie Wallenrodzie, Panu Tadeuszu, Balladynie, Lilli Wenedzie, Nieboskiéj Komedyi i Irydyonie. W każdym artykule znaleść można bardzo wiele słusznych uwag krytycznych, słabe mianowicie strony utworów są umiejętnie wskazane, tylko wszędzie niemal chciało-by się zrobić autorowi uwagę, iżby zdanie swe inaczéj troszkę sformułować i uporządkować powinien. Zupełnie uzasadnione są krytyczne spostrzeżenia co do sprzeczności, niejasności, zagadkowości w Grażynie. Dlaczego Rymwid wprzód otrąbić kazał rycerstwo, a dopiero potém poszedł do księżny, a nieodwrotnie, przez co cel widzenia się z Grażyną mógł był skuteczniéj być osiągniętym? Najmniéj zrozumiałym, choć głównym w poemacie punktem jest rzecz, dotycząca odprawy posłów krzyżackich? Czemu Litawor nie zawołał posłów przed siebie, skoro wiedział, poco przychodzą, albo przynajmniéj czemu nie kazał im dać odpowiedzi uczciwéj i pozwolił czekać pod gołém niebem?... Skoro książę nie dał odpowiedzi, dała ją księżna przez giermka, a chociaż odpowiedź ta, zdaje się, była wymijająca i z intencyą odwłoki, stanowiła wszakże dopełnienie zniewagi wyrządzonéj przez księcia. Te i tym podobne pytania nasuwają się rozważnemu czytelnikowi „Grażyny“, którą dotychczas tradycyjnie przeceniano. W ostatnich czasach po odczycie prof. Tarnowskiego, który wszystkie dawniejsze pochwały zebrał i podniósł do wyższéj jeszcze potęgi, nastąpiła reakcya przeciw temu poglądowi; a wśród niéj głos prof. Nehringa był pierwszym (r. 1882), równocześnie dał poznać swe zdanie p. Tretiak (1883).

Rzecz o Konradzie Wallenrodzie ma głównie na celu nie tyle estetyczną ocenę poematu, ile wykazanie, że Wallenrod Mickiewicza nie ma prócz nazwiska nic wspólnego z Wallenrodem historycznym, i że pomysł poety powstał przy czytaniu dzieła Kotzebuego o dawnéj historyi Prus.

Artykuł o Panu Tadeuszu znany jest czytelnikom naszym; *Ateneum* drukowało go w r. 1877, t. IV.

W ocenie twórczości Słowackiego najdotkliwiéj uczuć się daje niejaka pobieżność w traktowauiu jego kreacyj; właściwie nie kom-

pozycya, nie sytuacye, nie charaktery zajmują krytyka, ale tylko myśl przewodnia. W Balladynie chciał poeta tchnieniem wieszczém do życia przywołać ludzi i czasy dawno zmarłe, a że jako materyał do tego „przypadła mu baśń i jeszcze raz baśń, jedna z ust ludu, którą opiewali nowsi poeci, druga z kronik, więc znalazł się poeta w samym środku fantastycznego świata i mógł oddać ster wypadków bajecznéj Goplanie i jéj drużynie. Lilla Weneda jest już nierównie więcéj do rzeczywistości i do dojrzałego na świat spójrzenia zbliżoną. Osoby w niéj wyprowadzone noszą wprawdzie zanadto piętno kaprysu Słowackiego i jego wyobrażeń o przedhistorycznych ludziach, ale są mimo to o wiele zrozumialszemi i o wiele więcéj ludzkiemi, aniżeli osoby z Balladyny".

Rozbiór „Nieboskiéj Komedyi" i „Irydyona" należy do udatnych. I tu wprawdzie chodzi autorowi głównie o myśl przewodnią, ale charakter rozbieranych utworów jest właśnie tego rodzaju, że ona istotnie najważniejsze miejsce zajmuje, o niéj więc krytyk najwięcéj rozpisać się musi. W „Nieboskiéj" postawił poeta pytanie: czy historycznie wytworzony porządek społeczny, z prawami indywidualnemi, ma się utrzymać, czy też absolutna wolność i równość ma osieść na gruzach dawnego porządku (str. 370). W „Irydyonie" prześwieca myśl przestrogi, że wobec *nemesis* historycznéj, nienawiść nic oprócz ruiny nie tworzy, jest siłą hamującą, obudza czujność i energią nieprzyjaciela" (str. 397).

Taka jest bogata treść „Studyów" prof. Nehringa. Niektóre tylko rozprawy (Bogarodzica, Treny, Odprawa Posłów, Psyche) mogą się nazwać wyczerpującemi, ale każda zawiera mnóstwo szczegółów nauczających, których niepodobna było zaznaczyć w tém sprawozdaniu. Życzyć-by tylko wypadało, ażeby autor częściéj niż dotąd dzielił się owocami swych trudów z ogółem polskim.

P. Chmielowski.

Wiara Słowian, ich byt domowy i społeczny przed i po podboju lechickim i warago-ruskim, przez Romualda Świerzbieńskiego, kand. pr. dr. med. Warszawa 1884, str. IV. 111.

Drżyjcie językoznawcy, co wywodzicie Słowian od jakiegoś „zagadkowego ludu Aryów", i wy historycy, co „nie znając wiary Słowian", ważycie się coś pisać o pierwotnych początkach Polski i Słowiańszczyzny! Bo oto mamy książkę, która wszystkie wasze wywody i teorye jednym zamachem obala. Przeciw językoznawcom wytoczył jéj autor działa „patologii ośrodków nerwowych" i do

wiódł, że żadnych Aryów nigdy na świecie nie było; dziejopisom zaś i innym badaczom, począwszy od Nestora, Helmolda i Galla, aż do Szafarzyka, Szajnochy, Roepella i „uczelni dziejowej krakowskiej", wykazał, że o historyi Polski i Słowiańszczyzny nie mają najmniejszego pojęcia. A to dla czego? Bo tak kronikarze dawniejsi, jak późniejsi i dzisiejsi uczeni „krojący na wszechwiedztwo", nasi i obcy, nic a nic nie wiedzą o pierwotnej „rokowej" wierze Słowian. Jeżeli „dr. med. Mateusz z Miechowa" (str. 3) może obalać wywody etymologiczne ks. Malinowskiego, dla czegoż by „dr. med. i kand. pr." p. Romuald Świerzbieński nie miał obalić nauki językoznawców, historyków i mitologów, jacy tylko dotychczas się ukazali? Nie każdemu to dane mieć objawienia, a że p. S. liczy się widocznie do tych nie wielu na świecie wybrańców, nie trudno mu pomiatać całym wysiłkiem ludzkiego rozumu. Jakaż więc treść jest tego objawienia, wobec którego upaść muszą badania lat tysiąca? Na to odpowiedź: Wiara pierwotnych Słowian w *Roka*, *bogi*, *bożki* i *gady*. Na *czterech* świętych prawdach oparł naukę swą Buddha i pozyskał wyznawców w połowie niemal ludzkości; dla czegóż by więc druga połowa nie miała uwierzyć w naukę pana Świerzbieńskiego, opartą również na *czterech* potęgach pierwotnej wiary Słowian? O przedmiocie tym pisał już p. S. przed kilku laty i wywołał nie małe wrażenie. Kto tylko miał w ręku broszurę, podobnym opatrzoną tytułem, nie mało się ubawił jéj treścią, a imię autora pewnie dobrze mu wbiło się w pamięć. Mimo to uważał p. S za stosowne powtórzyć jeszcze to wszystko, i opierając się na tym, objaśnić początek Polski i „skreślić przeszłość naszą" (str. 71). Czytamy tu więc znowu o *Roku*, który na *rokach*, *roczkach* i *srokach* *rokował*, *wyrokował* i *uroczył*, miał swych *naroków*, *otroków*, *odroków* i *obroków*, dalej *wyrocznie*, *wyrokinie* i *prorokinie*, odziane w *soroczki* i *soroczyce*, i *wyrokujące* podczas *uroczystości* na *zroku* w *uroczyskach*, czyli *krakach*, które stały na rozstajach między *sorokami;* jego *uroki* i *poroki* *zagadywała* *soroka*, czyli *sroka*, dla tego też była ona wielmożnym *gadem*, czyli *gadułą*. *Gady* służą do *gadania*, *zagadywania* i *odgadywania*; gadem więc był także ogień, woda, *bylica* (to co *było*, co się *zbyło*), dziewanna, gruszki dulki, odzież kapłanek i kapłanów, ich kostury, ożogi i gęśle; daléj lis, licho; liszka i leszczyna, itd., itd. *Gadaczką* była np. znana z legendy Tetka, siostra zaś jéj Libusza była *wyrokinią*. Jasny więc stąd stosunek *Roka* do *gadów*.

Rok ten jednakże znany był pod rozmaitemi postaciami. Bo niczém innym jak *Rokiem* był także *Ład*, *Jesse*. *Prowe*, *Kupała* i litewski *Atlajbos*. *Ladina*, *lada* i *ladika* były miejscem czci *Lada*, kadzono mu tam *ładonem* i klaskano *ładoniami*, stąd *lada* to ziemia

dziewicza. Zdaniem autora nie należy jéj plątać z grecką *Ledą*, jak to czyni dr. Miechowita; lecz chcielibyśmy się spytać, czy angielskie *ladies* nie były z nim w jakim stosunku? Wszak czytamy tu w innym miejscu, że nasze panny *wodne*, *wandy* i *wondy* są identyczne z angielskiemi *wandami*. Lecz idźmy daléj: *Łada kołowy* zwał się *Kołada*, *Kolada*, a stąd *kolęda;* bo „co jest *ładne*, musi być *kołowe*“, czyli „co jest *Ładem*, winno być *Kołem*“, a stąd mamy *koła*, *kołacze* i *kołowaje*, *kołowody* i *chorowody*. Wszystko to więc w związku z *Rokiem*, z którego po ochrzczeniu się zrobiono u nas czarta *Rokitę* i osadzono go w *Rokicinie*. Tyle o *Roku* i *gadach*.

Inaczéj się rzecz miała z *bogami* i *bożkami*, dwiema innymi potęgami pierwotnéj wiary Słowian. *Bogami* były „potęgi przyrody i cnoty“, jak elektryczność, płodność, gościnność, waleczność, itp. *bożkami* zaś „podrzędne siły przyrody“, jak śmierć, pogoda, itp. Bogowie mieli w *kątach tynów* swoje *kątyny*, *kontyny* i *świątyny*; bożkowie zaś byli w nich tylko w komornem. *Tyn* od *konu* oddzielały zasłony, obieże purpurowe; w *konie* na *bógajach* stały posągi *bogów*, a *za konem* ogłaszano zwykle *zakon*, czyli ustawy. Kątyna *arkońska* była *arcy-konem*. Inne *otynkowane tyny*, jak *Tyniec*, *Olsztyn*, *Śniatyn*, *Rohatyn*, *Łopatyn*, mają dziś już tylko chrześciańskie *świątyny* (i, pozwolimy sobie dodać, żołnierskie *kantyny*).

Narzędziem bogów i bożków były *gady*, o których już wyżéj wspomniano. „Okrom bogów i gadów *pospólnych*, są bogowie i gady *domowe*“. Te jednak nie mają już *kątyn*, tylko *kąty* w *świetlicy* były ich *stolicą;* tam na *policy* stały ich posążki. Jeden z tych kątów, *kut* czyli *pokucie*, służył do przechowywania *kuti*, czyli *kuci*, znanéj powszechnie na Litwie i Rusi. Uzupełnijmy jeszcze sobie ten obraz *dziewami*, *dziwami* i *dziwożonami*, mieszkającemi w *Dziewinie* i w tynach *dziewińskich*, daléj *rusałkami*, prowadzącemi *rusalje* i chorowody *rusaljowe; marami*, *zmorami* i *kikimorami; wiedźmami* i *wideziami*, a będziemy mieć niemal cały panteon pierwotnych Słowian.

Na tych to opierając się dogmatach kreśli p. S. najpierw obraz kultury naszych praojców słowiańskich. Nie kusząc się wcale o tak dokładne streszczenie, jak wyżéj, wspomnę tylko np., że *radowano* się w *Raduniec*, *Radunicę* i *Radownice*; żony *smykiwano* sobie, a za *wianek* płacono im *wiano;* za umarłych, czyli *nawie* obchodzono uroczystość *nawii*, stąd nasze *nawieki* (a letyckie *nawe*, śmierć; i gockie *naus*, umarły? (*przypisek sprawozdawcy*) itd., itd.

Przedstawiwszy w ten sposób „wiarę Słowian, byt ich domowy i społeczny“, i załatwiwszy się prędko z wywodami Szajnochy, Piekosińskiego i Maciejowskiego; Lelewela, Bielowskiego i Bartoszewicza; Roepella, Kętrzyńskiego i Szujskiego; Małeckiego, Bobrzyń-

skiego i Smolki, dotyczącemi pierwotnego ustroju Polski, sam kreśli przeszłość naszą.

Otóż *Lech*, *Leszek* oznacza chytrka, *lestka*; jego gadem był *lis*, *licho*, *liszka*, *leszy* i *leszczyna*, a drużyna takich chytrych *lestków*, podzielona na *lechy*, pod wodzą *Lecha*, zwała się drużyną *lechicką*, czyli *Lechitami*. Takie drużyny słowiańskie „razbójniczące" za Dunajem, identyczne więc z pierwotną kozaczyzną zadunajską, zajęły Czechy, Morawią i Chrobacyą, a po r. 590 dotarły aż do *Knezna* (Gniezna), stolicy *Knezia* ludu *polańskiego*. Ostatnim hetmanem *lestków*, czyli *lechitów* był *Popiel*; po nim objął hetmaństwo *Kneź* polański *Ziemowid* z rodu *Piastów*. Polonia więc i polanie są tylko drobną cząstką Lechii i lechitów; odkąd jednakże objęli hetmaństwo drużyn lechickich, znaczenie ich coraz wzrasta. Członkowie *drużyn* lechickich, czyli *współdrużynnicy*, zwani *strycjiami*, stanowili klasę panującą; potomkami ich jest nasza *szlachta*, zwana po dziś dzień *lachami* i mająca prastare swe *gady* (herby). *Kmieć* znaczy *ku* sobie *mieć* (nb. rolę), str. 52 itd.

Oto nauka pana Ś., streszczona jak najwierniéj własnemi jego słowami. Sądzę, że to aż nadto wystarczy, by historykom naszym i lingwistom polecić lekturę téj pracy „ku pociesze i krotofili". O innych czytelników się nie boimy, bo już sam język tej książki jest tak okropny, że i najciekawszego od czytania odstraszy.

Jan Hanusz.

Czasopis maćicy serbskeje 1883. 1884. Redaktor: Michał Hórnik. Rocznik XXXVI, str. 160, dodatek str. 24 + 16; Rocznik XXXVII, str. 393.

Dwa ostatnie roczniki najpoważniejszego organu literacko-naukowego Serbów łużyckich, zawierają równie jak i dawniejsze mnóstwo ciekawych wiadomości o najdaléj dziś na Zachód posuniętych kresach Słowiańszczyzny. Największéj bez wątpienia wartości są tu liczne artykuły dra. E. Muki i ks. M. Hórnika. Dr. Ernest Muka, obecnie nauczyciel gimnazyum w Kamienicy (Chemnitz), znany już chlubnie na polu naukowém ze swych prac lingwistycznych, należy do najczynniejszych patryotów łużyckich. Ożywiony duchem nieodżałowanéj dla Łużyczan pamięci zmarłego E. Smolerza, począł on już jako uczeń gimnazyalny pracować na polu narodowém, zbierając pieśni ludowe. I wydał ich téż przez lat kilkanaście nie mało, uzupełniając w ten sposób, głównie z M. Hórnikiem, dawniejszy zbiór pieśni ludowych Smolerza. Świadczą o tym wymownie roczniki czasopisma „Łużyczan" i „Czasopis macierzy serbskiéj". W XXXVI

roczniku tego „Czasopisu“ zamyka on niejako szereg swych dotychczasowych zbiorów 64 pieśniami i waryantami z górnych Łużyc, i 24 piosnkami z pogranicza, między górnemi Łużycami a dolnemi. Nie sądząc jednakże, żeby już cały skarb poezyi ludowéj był wyczerpany, zachęca studentów łużyckich i nauczycieli, by daléj zbierali i uzupełniali te zbiory. Kto wié, jaką posiada wartość pieśń ludowa, tak dla poezyi, jak i dla badań naukowych, ten pojmie, jaką doniosłość ma taki zbiór pieśni, ginącego już prawie narodu łużyckiego. A ze smutkiem, niestety, przychodzi nam to dziś powiedziéć, zwłaszcza o *dolnych* Łużycach. Pokazuje się to dowodnie z innéj pięknéj pracy dra Muki, obejmującéj większą część ostatniego rocznika „Czasopisu“. W pracy téj p. t. „Delniołużiske Serbowstwo w lecie 1880“, mamy jak najdokładniejsze daty o stanie osad serbskich w kraju dolno-łużyckim. Autor podjął w tym celu w r. 1880 umyślną podróż po dolnych Łużycach, wraz z przyjacielem swym a prawdziwym mecenasem dolnych Łużyczan, rodakiem naszym p. A. Parczewskim z Kalisza, chodził od wsi do wsi, od osady do osady, badał, wypytywał się o stosunki, liczył mówiących jeszcze językiem ojczystym, a rezultat swych badań złożył w XXXVII roczniku „Czasopisu“. W dziewięciu okręgach Łużyc dolnych narachował dr. Muka jeszcze osad serbskich 53, z których każda niemal obejmuje po kilka wsi; można więc powiedziéć, że w kilkuset wsiach żyje jeszcze dziś język dolno-łużycki. Lecz jakie to jego życie! Niekiedy się zdarza, że starsi ludzie we wsi gwarzą jeszcze ze sobą po serbołużycku, do dzieci swych jednak mówią już tylko po niemiecku, a między młodzieżą wsi takiéj nie słyszy się już wcale języka serbskiego. Główną zaś tego przyczyną jest wielki brak duchownych i nauczycieli, którzy-by pouczali lud w jego rodzimym języku; przez kościół więc i szkołę wszystko się gwałtownie niemczy. To téż p. Muka z bólem serca przyznaje słuszność dolno-łużyckiemu patryocie ks. Tesznarzowi, który przy jakiéjś uroczystości miał powiedzićć: „Dolna Łużyca, to jeden wielki cmentarz“! dodaje jednakże, że nie naród serbski jest temu winien, lecz raczéj owe potęgi, które gwałtownie pracują nad wynarodowieniem ludu łużyckiego.

Działalność literacka ks. M. Hórnika, prezesa Macierzy serbskiéj, jest bardzo różnorodna. W przedostatnim roczniku, tak wzorowo redagowanego przez się „Czasopisu“, podaje on kilka przyczynków do historyi języka i literatury łużyckiéj, pisząc o katechizmie niemiecko-serbskim Jakuba Ticina z r. 1685 (w narzeczu Kulowskim), i o książce Zachar. Bierlinga (Biernika?) z r. 1689, p. t. „Didascalia seu Orthographia Vandalica“. Książka ta miała pono przed dwu wiekami wielki wpływ wywrzéć; ortografią bowiem Bier-

linga przyjęli nawet tacy literaci łużyccy, jak Frencel, zarzucając swą dotychczasową pisownią, zdaniem ks. Hórnika o wiele lepszą. Nadto pracuje ks. Hórnik gorliwie nad *zjednoczeniem* górnych i dolnych Łużyczan w języku *literackim*. Język górnych Łużyczan różni się niemal tak od gwar dolno-łużyckich, jak język małoruski od rosyjskiego; a że liczba dzisiejsza wszystkich Łużyczan nie bardzo jest wielka (około 160 tysięcy), rozdział taki nie może wpływać korzystnie na oparcie się zniemczeniu. Dotąd więc jeszcze mają Łużyczanie dwa odrębne języki literakcie, jakkolwiek po dolno-łużycku bardzo mało się pisze; ks. Hórnik jednakże stara się różnice między temi językami w piśmie o ile możności wyrównać, aby i na polu literackim tak połączyć pracę narodową Łużyczan, jak połączoną jest ona na polu religijném. Katolicy bowiem i protestanci łużyccy idą w walce o narodowość ręka w rękę. Taki to więc cel praktyczny mają także dwie prace gramatyczne ks. Hórnika w XXXVI roczniku „Czasopisu". W jednéj z nich radzi swym rodakom pisać wraz z dolnymi Łużyczanami końcówki *-oho*, *-omu*, jeżeli przymiotnik kończy się w mianowniku na spółgłoskę, tj. ma formę rzeczownika; *-eho*, *-emu* zaś, jeżeli przymiotnik kończy się na *-y*, tj. ma formę złożoną. W drugiéj rozprawce wylicza ks. Hornik te wypadki, w których Łużyczanom należy pisać *ě* = st. sł. *ѣ*. Prócz praktyki jednak ma i naukę prezes Macierzy serbskiéj na oku, gdy w innym krótkim artykule zwraca uwagę lingwistów na przejście spółgłosek *mocnych* *k*, *t*, *p*, *s*, *sz*, w *słabe* *g*, *d*, *b*, *z*, *ż* w języku serbo-łużyckim. Nadto ogłasza on tu kilka waryantów pieśni dolno-łużyckich z zapisków Albina z Janszojc, a w roczniku XXXVII pisze o zbiorach pieśni ludowych Jordana.

Prócz tych dwu dzielnych pracowników złożyło się na oba ostatnie roczniki „Czasopisu" i kilka innych, przeważnie już znanych osobistości. Do takich bezwątpienia należy dr. Pfuhl, nie lepszy wprawdzie lingwista jak poeta, lecz za to gorący patryota łużycki, zasilający od wielu a wielu już lat wszystkie czasopisma łużyckie artykułami gramatycznéj, beletrystycznéj i poetycznéj treści, lub przynajmniéj formy. Jest on autorem gramatyki górno-łużyckiéj, i to o ile dotyczy materyału wcale nie złéj, lecz teorye lingwistyczne, jakich się trzyma, nie wiele dziś mają wartości, a jeszcze mniéj oparte na nich rozmaite etymologie dra Pfuhla. „Czasopis maćicy serbskeje" nic a nic-by na swéj wartości nie stracił, gdyby liczne karty każdego prawie rocznika, zapełnione tego rodzaju pracami gramatycznemi, zostały całkiem białe. Znacznie większą dla gramatyki wartość mają np. ogłoszone w 36 roczniku „Czasopisu" przez Duczmana glossy serbo-łużyckie, zawarte w rękopiśmiennych

zapiskach (1721—1736) Kowarza, kanonika Budyszyńskiego, który w „Repertorium cleri Lusatici“ zanotowany jest jako „vir laboriosus in promovendis libris Serbicis“. Inne jednakże artykuły dra Pfuhla, jak obrazki z życia ludowego, powiastki ludowe i oparte na nich poezyjki, czytają się wcale przyjemnie. Nadto mamy w 36 roczniku „Czasopisu“ wierszyk M. Kósyka, jednego z młodych poetów łużyckich, bawiącego obecnie w Ameryce; J. Pjech, który przełożył na niemieckie Historyą literatur słowiańskich Pypina i Spasowicza, podaje krótką wiadomość bibliograficzną o dwóch krótkich tekstach łużyckich, w książce wydanéj w Anglii przez księcia Lucyana Bonapartego; M. Rostok rozbiera etymologicznie niektóre nazwy roślinne; F. Riezak ogłasza wierszyk z życia ludowego, a zamykają ten tom wiadomości o sprawach i działalności Macierzy serbskiéj w r. 1883. Rocznik XXXVII „Czasopisu“ zawiera prócz wymienionych już prac dra Muki, M. Hórnika, także artykuły dra Pfuhla, H. Jordana, dra J. Seuerweina (z rodu Niemca, lecz wielkiego przyjaciela Serbów łużyckich i Litwinów), dra Vasatko, i nekrolog ś. p. Smolerza, napisany przez Jencza.

Już stąd widzimy, że na zachodnich kresach Słowiańszczyzny dzielnie dziś pracują; niezapominajmy więc o téj liczebnie najsłabszéj, lecz silnéj na duchu braci, i idąc w ślady p. Parczewskiego, wspierajmy ją nietylko słowem, lecz i czynem, témbardziéj, że nie mając w tym żadnego interesu, możemy to uczynić w imię saméj sprawiedliwości i bratniéj miłości.

Przy sposobności téż wspomniéć możemy, że wyborny przegląd wszystkiego, co się w Łużycach działa na polu narodowém. podaje zawsze *Łužica*, czasopismo miesięczne, wydawane w Budyszynie przez tak chlubnie już znanego dra Mukę. Jest-to organ wszystkich towarzystw serbo-łużyckich jakie się tylko w kraju i po za krajem znajdują, a przytém główne dziś czasopismo beletrystyczne łużyckie, które grupuje wokoło siebie wszystkich literatów i pracowników na polu narodowym. Język jego *górno-łužycki* jest dla Polaków jeszcze zrozumialszy od czeskiego, zwłaszcza że i pisownia jest do naszéj zbliżona więcéj niż czeska; wreszcie cena jego jest tak niska, że mogło-by się u nas częściéj jak dotąd spotykać.

J. Hanusz.

Pamiętnik Fizyograficzny, wydany staraniem E. Dziewulskiego i B. Znatowicza. Tom IV. Warszawa, 1884 r.

Stopień wykształcenia danego społeczeństwa jak również i ogólnego postępu cywilizacyi rozmaitemi bywał mierzony sposobami,

brano już-to ilość spożytego cukru w stosunku do ogólnéj liczby ludności, już téż obliczano ilość zużytego mydła, spisanego papieru, albo nakoniec liczono odsetki osób umiejących czytać i pisać. Według mnie, wskazówki tego rodzaju nie dają dokładnéj miary prawdziwego postępu ludzkości, daleko lepiéj było-by przyjąć za zasadę wykaz ilości czynnych mikroskopów, teleskopów, barometrów, termometrów i wogóle przyrządów, służących do badania przyrody w stosunku do ilości bagnetów, armat i tym podobnych śmiercionośnych przyrządów. Takie wskazówki były-by dopiero najpewniejszym środkiem do ocenienia wrzekomych cywilizowanych społeczeństw. Jeżeli za miarę średnio-ucywilizowanego społeczeństwa, uznamy co najmniéj przewagę pierwszego rodzaju utensyliów nad drugim, to z ułamkowych procentów, wyrażających stosunek obu rodzajów używanych narzędzi w Europie, będziemy mogli urobić sobie pojęcie o stopniu barbarzyństwa, w jakim się dotąd znajdujemy, pomimo osłodzonych pokarmów naszych i czystéj bielizny. Niestety ze smutkiem i wstydem wyznać musimy, żeśmy dalecy od téj chwili, gdy badania przyrody, badania warunków bytu naszego zajmą miejsce bezcelowych bredni, oburzających insynuacyj, nienawiść siejących paszkwilów, któremi się zaprzątają obecnie najlepsze siły intelektualne społeczeństwa, w tém błędném przekonaniu, że pracują nad przyśpieszeniem rozwoju ludzkości. Również dalecy jesteśmy od chwili, gdy koszta łożone na budowę pancerników i fortów, obracane będą na urządzenie obserwatoryów i muzeów. Lecz jeśli jesteśmy dalecy od marzonego ideału, to z drugiéj strony konstatować musimy fakt, że aczkolwiek wolnym krokiem, lecz stale zbliżamy się ku niemu. Bierzmy np. nasze społeczeństwo, które przytém w wyjątkowo nieprzyjaźnych dla siebie znajduje się warunkach, a znajdziemy, że w latach ostatnich dwudziestu, liczba pracujących na polu nauk przyrodniczych olbrzymio się zwiększyła, wszędzie dokoła widzimy młode siły, występujące na widownią z zapasem, mozolnym trudem zdobytych, faktów i składające je do ogólnéj skarbnicy wiedzy, ogłaszając prace swoje w obcych i naszych naukowych czasopismach, przyczém wiedzieć wypada, że na każdym pracowniku również jak na społeczeństwie ciążą wyjątkowe warunki, że żadnemu z nich nie przyświeca promień nadziei, iż pracą naukową zdoła utorować sobie drogę do jakiéjkolwiekbądź posady, która-by mu dała możność zajęcia się wyłącznie ulubionym przedmiotem. Takich nadziei oni mieć nie mogą, bo wszystkie drogi szczelnie są przed nimi zamknięte. Więc tylko miłość przedmiotu, zamiłowanie do prawdy i przekonanie, że w tym tylko kierunku leży możność postępu ludzkości, są dla nich jedynemi podnietami i jedynym bodźcem do pracy.

Przyrodnicy nasi łączą się wszędzie w kółka naukowe, mające na celu wzajemną pomoc i zachętę, i w tém widzimy znakomity postęp: dawne zawiści ustąpiły miejsca rozumnéj emulacyi. Wyrazem prac kółek są wydawnictwa zbiorowe, z których jedno, mianowicie Pamiętnik fizyograficzny największą naszą budzi sympatyę i naszą podnieca dumę; bo tu widzimy, co miłość przedmiotu poświęceniem i wytrwałością wykonać potrafią; grono miłośników przyrody bez środków, bez widoków pokrycia kosztów nakładu, już cztery lata wydaje czasopismo wzorowo redagowane objaśnione licznemi i kosztownemi tablicami. Wydawnictwo takie może robić zaszczyt każdéj literaturze europejskiéj. Naturaliści pomieszczają tam swe prace bezinteresownie, oddają tedy trud długich i mozolnych poszukiwań, dla których materyał w pocie czoła gromadzili przez całe lata—bezpłatnie, a każda praca z dziedziny nauk przyrodniczych, to nie jest przędza fantazyi, którą snuć można przez całe tomy, tu każdy wyraz musi być obserwacyą, każdy okres rezultatem długich badań i umysłowych kombinacyj.

Że podtrzymanie takiego wydawnictwa ze strony całego społeczeństwa naszego jest obowiązkiem obywatelskim, tego to chyba dowodzić nie potrzebuję, natomiast postaram się obznajomić ogół z tomem IV „Pamiętnika fizyograficznego“.

Prace biologiczne zajmują pokaźne miejsce w tegorocznym pamiętniku, a na czele stoi praca p. Kazimierza Łapczyńskiego, pod tytułem: „Wycieczka na litwę i nad Bałtyk“. Autor nie ogranicza się na gromadzeniu materyału dla wykazów systematycznych, lecz przenosi się na pole badań geobotanicznych, mających na celu wykazanie zależności flory od klimatu i gleby i wpływu roślin na fizyognomią okolicy. W swych badaniach autor zastanawia się nad wszystkiém co jest w związku ze wzrostem roślinnym i wpływa na jego rozwój, obok tego podane są systematyczne wykazy znalezionych roślin i wypadki dotychczasowych poszukiwań nad florą królestwa polskiego, a zastanawiania te oparte na bardzo mozolném i sumienném obliczaniu wszystkich dat w literaturze zawartych, jak nie mniéj dodana mapka, uwidoczniająca te stosunki, są wielce cennemi skazówkami dla przyszłych badaczy na tém polu. Praca pana Łapczyńskiego należy do tych utworów treści naukowéj, które są przystępnie napisane nawet i dla niespecyalistów. Droga, po któréj tylu z nas jeździ, jakże inaczéj się nam przedstawi, gdy mając za przewodnika tę pracę, odbywać ją będziemy. Plastyczne uwydatnienie cech flory każdéj ze zwiedzonych miejscowości przez autora, przedstawienie natury lasów i borów litewskich w okolicy nadmorskiéj, tudzież wskazanie ważniejszych oro i hidrograficznych

a także pamiątkowych szczegółów, czyni całą pracę wielce zajmującą.

Następująca praca p. Eichlera zawiera wykaz roślin skrytopłciowych wyższego ustroju w guberni Siedleckiéj. Same mchy liściaste przedstawiają poważną liczbę 206 gatunków, pomiędzy któremi znajduje się wiele form rzadkich, dopiero w nowszych czasach dokładnie poznanych. Wykaz wodorostów z okolicy Warszawy, praca pana Łopotta wymienia 172 wodorosty różnych działów, zebranych wspólnie z p. Kazimierzem Cybulskim. Zasługuje tutaj na wzmiankę przyczynek do flory pińszczyzny pani Maryi Twardowskiéj młodéj a wielce zamiłowanéj w badaniach nad florą krajową. Szczegół pojawienia się nowego rumianku w Warszawie podany jest przez p. dra Kamieńskiego i objaśniony dokładnemi drzeworytami.

Zoologicznych prac mamy przed sobą pięć: pierwsza p. Antoniego Wałeckiego „przyczynek do fauny teryologicznéj kraju" zaznajamia nas z rzadkim gatunkiem szczurowatych „Sminthus subtilis" Pall. Gatunek ten u nas nie dawno znaleziony i wprowadzony do naszéj fauny właśnie przez autora obecnego artykułu. Pieści więc swe dziecko ukochane p. Antoni, z tą lubością, która znamionuje prawdziwego miłośnika natury, opisuje obszernie historyą całą gatunku, traktuje szczegółowo cechy rodzajowe i gatunkowe, nakoniec sposób życia tego milutkiego stworzenia, które ze wszystkich myszowatych, jest najbardziéj estetyczne i niby jest koszatką, albo wiewiórką w mysie kształty przeobleczoną. Obok opisu podane są dokładne rysunki i cała praca stanowi chyba najobszerniejszą monografią tego gatunku, jaki dotąd posiadamy w nauce.

Nasi Dipterologowie: Dr. Sznabl opisuje dwa nowe gatunki much. Dr. Dziedzicki zaś 21 nowych gatunków komarów z rodzaju Mycothera i Mycetophila. Ostatnia praca jest wyrazem obszernych badań, na podstawie nowo użytych cech dla determinowania gatunków. Dr. Dziedzicki szczęśliwie pokonał trudności dotąd nieprzezwyciężone; dokładne i pracowite rysunki zaznajamiają nas z budową anatomiczną organów. Całość zaś, tak rysunki jak i ścisłe dokładne dyagnozy i opisy gatunków, stanowi ważny przyczynek dla entomologii w ogólności a naszéj krajowéj w szczególności.

Następna praca o chrząszczach krajowych, Złotki, Chrysomelinae p. Fryderyka Osterloffa jest to dalszy ciąg pracy już znanéj z poprzednich tomów pamiętnika. Mamy tu przed sobą dział Złotek krajowych. Podzielone są one na 11 rodzin i 44 rodzajów. Liczba gatunków zebranych i przedstawionych wynosi 308, podczas gdy pan Łomnicki w „Catalogus coleopterorum Halicae" podał dla Galicyi gatunków 322, jako rezultat zbiorowéj pracy wszystkich entomologów galicyjskich.

Ostatnia praca zoologiczna jest p. Antoniego Slósarskiego pod tytułem: „Kilka słów o nosorożcach dyluwialnych.“ Autor podaje szczegółową charakterystykę nosorożców: włoskatego, tichorhinus i nosorożca Merke, Merckii, opisuje czaszki i zęby, objaśnia opisy dokładnemi rysunkami i daje w ten sposób możność już bez innych źródeł naukowych określania szczątków czaszek znajdywanych w dyluwialnych pokładach kraju naszego. Za tę pracę wdzięczni być winniśmy autorowi, gdyż przy braku zbiorów i literatury, określanie gatunków kopalnych nosorożców było u nas niemożebném. Na dokończenie sprawozdania o zoologii wspomnieć jeszcze wypada o sprawozdaniu p. Rudolfa Sobkiewicza o roślinności i zwierzętach ssących okolicy Żytomierza i o krótkim referacie p. An. Slósarskiego o szczątkach kopalnych zwierząt, nadesłanych do wydawnictwa pamiętnika fizyograficznego.

Z działu antropologii mamy trzy rozprawy: pierwsza p. Tymoteusza Łóniewskiego „Cmentarz starożytny w Czekanowie gub. siedleckiéj powiat Sokołowski.“ Autor rozkopał dwie mogiły i znalazł w każdéj z nich szkielet człowieka. Jednę czaszkę odesłał do dr. Dudrewicza do opisania. Jeżeli czaszka dała się zużytkować to z pewnością i inne kości szkieletu nie były tak zepsute ażeby zużytkować ich nie można było. Ztąd rodzi stę pytanie, dla czego je zakopano napowrót i nie wydostano dla badania. Dr. Dudrewicz opisał ową czaszkę w artykule p. Łuniewskiego wspomnianą. Drugą rozprawą jest opis mogił kamiennych w Tkaczewie przez dr. Dudrewicza. Ciekawe są szczegóły grobów skrzynkowych Tkaczowskich, również budzą zajęcie wyroby ceramiczne, których rysunki podane są na tablicy przy artykule. Trzecia rozprawa pod tytułem „Chata polska przez p. Jana Karłowicza jest rzeczą wielce interesującą, (będzie o niéj osobna niżéj wzmianka).

Dział abiologiczny obecnego tomu zawiera prace meteorologiczne i hydrograficzne, wykaz spotrzeżeń meteorologicznych obserwatoryum warszawskiego za rok 1881 i 1882 przez J. Kowalczyka. Zmienność roczną ciśnienia powietrza w Warszawie przez Apolinarego Pietkiewicza i Spostrzeżenia stacyi meteorologicznéj w Płońsku za rok 1883 przez Jana Jędrzejewicza. Same tytuły wymienionych prac wykazują zakres czynności autorów i uwydatniają ilość łożonego czasu i cierpliwości.

Z działu geologii, która w kraju naszym znalazła w nowszych czasach tylu pracowników, mamy w IV tomie pamiętnika pięć rozpraw, mianowicie zmarłego Kosińskiego: O badaniach geologicznych, dokonanych w gubernii kieleckiéj i radomskiéj, w ciągu lata roku

1880. Dr. Jan Trejdosiewicz zebrał rękopisy autora i ogłosił je drukiem. W pracy téj uważa autor zdanie: „jakoby w zagłębieniu mioceniczném gubernii Kieleckiéj, było niemożebne odkrycie łożysk soli kamiennéj,“ za przedwczesne. Źródła zaś nafty pojawiające się w Wójczy nie mają podobieństwa ze źródłami galicyjskiemi, a zatém nie można powziąć żadnych wniosków co do ich obfitości. Zresztą możnaby tu przytoczyć wiele bardzo ciekawych faktów z téj rozprawy, lecz z powodu braku miejsca musimy się ograniczyć tylko na odesłaniu czytelnika do pamiętnika fizyogr. gdzie praca ta jest nader przystępnie i zajmująco napisana. Następna praca geologiczna p. Michalskiego: „Zarys geologiczny strony południowo-zachodniéj gubernii kieleckiéj.“ odznacza się detaliczném i ścisłém przeprowadzeniem rzeczy, a wielka mapa ułatwia zrozumienie opisu. Autor uwzględnia ogólną konfiguracyę, budowę geologiczną téj części gubernii składającéj się z trzech systemów kredowego, trzeciorzędowego i potrzeciorzędowego czyli dyluwialnego. Prócz tego kilka dobrych rycin uzmysławia wybornie samą rzecz. Również poszukiwania geologiczne dokonane w południowo-zachodnich okolicach królestwa polskiego, a przeważnie w górnéj dolinie rzeki Warty przez prof. Żejsznera w roku 1864, a zestawione i podane w obecnym tomie pamiętnika przez W. Choroszewskiego stanowią nowy ważny przyczynek do geologii okolic Warty. Mimo że już prawie 20 lat minęło kiedy badania te Zeiszner przeprowadził, wydanie ich zmienione przez Choroszewskiego co do stylu i formy przyczynia się w znacznéj części do znajomości geologli krajowéj. To samo możemy powiedzieć o pracy Puscha „Nowe przyczynki do geognozyi Polski“ którą z rękopismów pozostałych po autorze przełożył Bronisław Reichman. Piąta nareszcie praca Michalskiego: Badania geologiczne w północno-zachodniéj stronie gubernii radomskiéj i kieleckiéj, podaje wiele nowych szczegółów co do piaskowców czerwonych, wapienia nam muszlowego, jurajskiego itd. Każdego w końcu zainteresuje nadzwyczaj ciekawa praca dr. Kozłowskiego o powstaniu nasypów nadbrzeżnych, przesypów i ren zatoki gdańskiéj, opatrzona mapą tejże zatoki. Czytelnik znajdzie tu nader ciekawe i szczegółowe opisy powstawania nasypów piaskowych, walki ludzi przeciwko nim, gdyż te wiecznie ruchome góry zasypują całe wsie a nawet las złożony z wielkich drzew w tym boju nie jest wstanie dłuższy czas placu dotrzymać. Następnie znajdziemy tu ciekawe szczegóły zmian jakim ulega ustawicznie ujście Wisły a w które tu wdawać się nie możemy. Siły przyrody są tu bez przerwy czynne a w parze z niemi idzie ciągła przemiana zatoki gdańskiéj.

Oto jest treść pobieżnie skreślona tomu IV Pamięt. Fizyograf. redakcya tego czasopisma śmiało mogła by użyć motto J. J. Rousseau wypisanego na wstępie do jego Confessions.

Dr. B. Dybowski.

Chata polska, studyum lingwistyczno-archeologiczne p. Jana Karłowicza.

„Jak cię widzą tak cię piszą“—powiada przysłowie. Kształt mieszkań i urządzenie onych stanowi jednę z cech, wedle których rozpoznawać się dają znamiona rodzinne na względzie narodowym. Bywają one niekiedy znakami, prowadzącemi do wniosków i od wniosków do odkryć na polu badań historycznych. Jeden np. ze znaków tego rodzaju przedstawia się podróżnikom w górach Rodopskich, w których znajdują się osady, złożone z chat, budowanych na wzór i podobieństwo chat ukraińskich i podolskich. Skąd wzór ów aż tam się dostał? W skutek jakiego zbiegu okoliczności chata owa zawędrowała w te okolice oddalone?—i to sama chata tylko, lud bowiem należy do rodzaju znanego pod nazwą Pomaków. Wspominamy o tém, celem zamarkowania etnograficznego znaczenia przedmiotu, streszczonego w pracy pana J. K.

Sz. autor oznajamia nas przedewszystkiém w ogóle z mieszkaniami w epoce przedhistorycznéj, z jaskiniami i ziemiankami, zaznaczając we względzie tym stopniowanie następujące: jaskinie naturalne; jaskinie sztuczne, będące naśladowaniem naturalnych i powstające z wkopywania się poziomo we wzgórza i wkopywania się w ziemię prostopadle.“ „Taki,—to jest ten ostatni, słowa autora—sposób zapewnienia sobie przytułku jest już postępem w dziejach mieszkań ludzkich, bo z jednéj strony, czyni możebném sporządzenie sobie schronienia wszędzie, na każdém miejscu suchéj ziemi, a powtóre, zmusza do wynalazku dachu.“ Narodziła się stąd—*ziemianka*, ogólne praojców naszych mieszkanie, póki budować nie zaczęli domów na ziemi i na wodzie i pokrywać takowych dachami, strzechami.

Wielce ciekawym i pouczającym jest wykaz pochodzenia wyrazów; dach, strzecha, chata, chałupa—ich źródłosłów sanskrycki.

W rozdziale drugim znajdujemy rzecz o „mieszkaniach nawodnych i przenośnych.“ Mieszkań nawodnych ślady odkryto u nas w Czeszewie (powiat węgrowiecki), w Kwaczale (pow. chrzanowski) i pod Białką (pow. lubelski). Co się tyczy mieszkań przenośnych, te odnoszą się do epoki koczowniczéj i pozostają w związku z wozem. Zdaje się, że niepodobna dojść dzisiaj—powiada autor, czy

Słowianie mieszkali w nawodniskach... Toż samo tém bardziéj powiedziéć można i o mieszkaniach w jaskiniach i ziemiankach; chociaż, co do tych ostatnich, a tém bardziéj co do mieszkań przewożonych, wozowych, jak widzieliśmy, nie brak wskazówek, że stopnie te kultury odbiły się, choć niewyraźnie, w języku i podaniach piśmiennych."

Idą daléj rozdziały: „Domy z drzewa budowane" i „Chata niemiecka." Pod koniec pierwszego z tych rozdziałów czytamy: „Od niemców zapożyczyliśmy początków naszéj cywilizacyi i kultury; świadczą o tém dzieje, mowa i obyczaje nasze; nie byłoby tedy nic dziwnego, gdybyśmy i budownictwo od nich przejęli." Przypuszczenie to atoli autor sam w wątpliwość podaje. I nam się zdaje, że jest ono wątpliwem, co do chaty zwłaszcza, chaty wieśniaczéj, któréj konstrukcya stosować się musiała do warunków, znajdujących się na miejscu i do pomysłowości, jaką natura przodków naszych obdarzyła. W konstrukcyi rolę ważną odegrywa materyał budulcowy. Osady w Polsce zakładały się w okolicach lesistych i bezleśnych. W pierwszych, inaczéj się budowano w borach sosnowych, inaczéj w lasach czarnych: tu stawiano ściany w słup (w „zamieć") z brewien z kory nie odartych, ówdzie pleciono je z chrustu i oblepiano gliną. Ten ostatni sposób powtarza się na bezlesiu nawet: albo ziemianka, albo chata lepiona. Włościanin nasz nie muruje; gdy mu do uzupełnienia budowli drzewa nie dostaje, słomą namaga, powrzosła z niéj kręci, powrzosła jak chrust zużytkowuje i gliną wykańcza. Co się zaś rozkładu wewnętrznego tyczy, typ onego jednakim jest na całéj dawnéj rzeczypospolitéj przestrzeni; sień na przestrzał i dwie izby, jedna na prawo, druga na lewo. Nie masz dobréj racyi, ażeby do wytworzenia typu tego potrzebne były wzory: wydaje się on naturalnym—powstać mógł sam przez się, tak samo u Niemców, jak u Słowian na powiślu i podnieprzu. Autor we względzie tym wyraża się ostrożnie: „Na to odpowiedziéć nie łatwo." Przypuszczać się godzi, że zdanie swoje w mierze téj wypowiedział by śmieléj, gdyby znał chaty wieśniacze na Rusi, różniące się od mazurskich wyglądem zewnętrznym i przystawkami: strzechą z ostrzeszkiem i przyzbą, stanowiącą charakterystyczną mieszkania rusińskiego właściwość; nie różniące się atoli zgoła rozkładem.

Zdaniem naszém wystudyowanie archeologiczne chaty polskiéj możliwém jest w dobie obecnéj na gruncie. W obrębie Polski dziś jeszcze znajdują się okazy, odnoszące się do epoki pierwotnéj, ale nie jaskiniowéj. Wychodźce z Podola i Ukrainy do gubernii Chersońskiéj mieszkają w ziemiankach; na Polesiu wołyńskiém włościanie trzymają się jeszcze chat kurnych; w kolicach innych chaty za-

opatrzone są w piece; wszędzie jednak zarys główny jest jeden i ten sam, charakteryzujący się sienią, która powstała z potrzeby klimatycznéj. Sień odosabnia izbę mieszkalną od mrozu w porze zimowéj.

Jeszcze o pracy pana J. Karłowicza słówko. Praca ta przedstawia rzecz zwięźle, jasno i zrozumiale. To samo powiedzieć należy o wszystkich w ogóle autora tego pracach. Odznacza je treściwość, wpływająca czytelnikowi do głowy pełnym strumieniem wiedzy. Autora tego czyta się i słyszy zarazem—pisze on i wykłada. Zdolność ożywiania w sposób ten słowa, przy traktowaniu przedmiotów treści naukowéj, jest przymiotem rzadkim, czyniący pana J. Karłowicza autorem, niosącym czytelnikom pożytek wielki.

T. T. J.

= **Biblioteki matematyczno-fizycznéj**, wydawanéj pod redakcyą dra M. A. Baranieckiego, z zapomogi Kasy pomocy naukowéj imienia J. Mianowskiego, w ostatnich kilku tygodniach wyszły dwa tomy, oba poświęcone specyalnym gałęziom matematyki. „*Rozwiązywanie równań liczebnych*" (r. 1884, str. 224, drzeworytów 9), przedstawiające w Bibl. tom II seryi IV, uniwersyteckiéj, zostały napisane przez dra Juliana Sochockiego, profesora matematyki w uniwersytecie petersburskim. Autor z różnych kwestyj, związanych ze swym zadaniem, szczególniéj rozwinął rzecz o oddzielaniu pierwiastków równania, a ze sposobów ich obliczenia wykłada w sposób Newton'a. Z ważniejszych rzeczy przez autora całkiem samodzielnie obmyślanych zaznaczymy tu: jeden z dowodów istnienia pierwiastku równania, rozkład funkcyi ułamkowéj na ułamki najprostsze, wiele własności równań o pierwiastkach rzeczywistych i przegradzających się, dowody dwu twierdzeń Laguerre'a itd. Podawanie podczas wykładu, odpowiednio dobranych, a licznych przykładów podnosi jeszcze wartość téj pracy, jedynéj w tym rodzaju w naszéj literaturze, a jednéj z nie wielu wogóle w tym przedmiocie. „*Początkowy wykład syntetyczny własności przecięć stożkowych*, na podstawie ich pokrewieństwa harmonicznego z kołem" (1885, str. 147, drzew. 63), stanowiący tom V, seryi III, gimnazyalnéj, napisał redaktor wydawnictwa p. Baraniecki, privat docent uniw. warsz. Chociaż książka ta powstała z wykładów uniwersyteckich autora, to jednak ma ona odpowiadać u nas książkom elementarnym podobnéj treści, głównie niemieckim, uwzględnionym przy nauce matematyki w szkole średniéj ogólnéj. Autor przypuszcza w czytelniku znajomość głównych twierdzeń z planimetryi, głównie odnoszących się do podo-

bieństwa trójkątów, i drogą czysto-syntetyczną dochodzi z koła do przecięcia stożkowego, bada jego własności ogólne, kształt oddzielnych rodzajów przecięć stożkowych, własności ognisk, kierownic, stycznych, osi, biegunów i biegunowych, czworokątów wpisanych i opisanych, średnic sprzężonych; następnie dowiódłszy twierdzeń Pascal'a i Brianchon'a, podaje kilka sposobów tworzenia organicznego przecięcia stożkowego. Autor wielką zwrócił uwagę na systematyczny układ treści, mając wciąż na uwadze założenie jéj szkolne; cały zaś wykład prowadzi tylko przy pomocy czterech punktów harmonicznych i czterech promieni harmonicznych. Oryginalność układu tego dzieła i ważniejsze z nowych dowodzeń autor zaznaczył w przedmowie.

---

† **Ś. p. Gustaw Findeisen**. Zdarzało się nieraz w dziejach naszych, że obcy przybysze, a Niemcy w szczególności, tak się zrastali ze społeczeństwem miejscowém często już w drugiém pokoleniu, że mogli-by służyć za wzór obywatelski w przybranéj ojczyźnie. Długi poczet spolszczonych Niemców datuje się u nas prawie od zarania historyi naszéj do dziś dnia. Przybywali najczęściéj ludzie ubodzy, ale pracowici i zabiegli, którzy dzięki zdolnościom, pracy i wytrwałości dorabiali się znacznego mienia i poczesnego stanowiska zarówno w urzędzie, jak w literaturze i przemyśle. Zmarły w d. 1 lutego r. b. Gustaw Findeisen może być przykładem takiego dobrze zasłużonego człowieka wśród społeczeństwa naszego. Ojciec jego Karol Findeisen, ożeniony z Julianną ze Stegmanów, osiadł w Gostyninie, gdzie się trudnił farbiarstwem i prowadził niewielki browar. W r. 1834 urodził mu się 7 października syn, któremu na chrzcie dano imiona Gustaw Adolf. Początkowe wychowanie dziecka prowadzono w domu, a następnie oddano je do gimnazyum w Płocku. Wyszedłszy ze szkół młodziutki Gustaw przyjął w r. 1851 obowiązki nauczyciela domowego u p. Jarzyńskiégo w Wolencinie (w Lipnowskiém). Następnego już roku wszedł do kancelaryi rewizora dochodów tabacznych w gubernii Warszawskiéj, który urzędował w Gostyninie. W r. 1853 otrzymał skromny urząd strażnika ruchomego przy administracyi rządowéj dochodów skarbowych tabacznych w Królestwie, z przeznaczeniem do czynności biurowych i płacą roczną 150 rs. Dla młodzieńca żądnego nauki, obdarzonego niezwykle bystrym umysłem, praca biurowa, zwłaszcza w takiéj gałęzi służby, stała się wstrętną; gdy go więc ojciec i matka odumarli, porzucił w r. 1857 zajmowaną w Gostyninie posadę i przeniósł się do Warszawy, gdzie wszedł na bezpłatną aplikacyą do b. komisyi skar-

bu. Duże miasto i dużo ludzi, nadzieja awansu i możność wyrobienia się na znaczniejsze stanowisko, nęciły młody, żywy i pojętny umysł; ale brak środków utrzymania przy bezpłatnéj, a często długiéj aplikacyi mroził różowe, młodzieńcze nadzieje. Chcąc żyć, trzeba było szukać zarobku w dawaniu lekcyj i nie raz suchym chlebem opędzać głód codzienny. Kiedy się potém dobił stanowiska i dobrego bytu, wspominał bez fałszywego wstydu o tych czasach niedostatku, powtarzając, iż nie żałuje téj twardéj szkoły, bo ona wyrobiła w nim dzielność charakteru, lepszą znajomość życia i spółczucie dla ludzkiéj niedoli.

Po kilkomiesięcznéj, bezpłatnéj aplikacyi w wydziale kontroli w komisyi skarbu, otrzymał jako dyetaryusz 219 rubli wynagrodzenia rocznego, co uczyniło 60 kop. dziennie. Los jakoś nie sprzyjał młodemu dyetaryuszowi; w listopadzie tegoż 1857 r. przeszedł na urzędnika do pisma w oddziale służby administracyjnéj i finansowéj przy drogach żelaznych w królestwie Polskiém, z pensyą 300 rubli rocznie. W r. 1861 został rachmistrzem służby głównego nadzoru ze strony rządu dróg żelaznych przy komisarzu rządowym. W r. 1862 otrzymawszy 9 miesięczny urlop, z pozostawieniem pensyi, wyjechał za granicę do Niemiec i Francyi dla dalszego kształcenia się i obznajmienia ze sprawami ekonomicznemi banków, dróg żelaznych i górnictwa. W Lipsku słuchał jakiś czas wykładów znakomitego ekonomisty Roschera. Z urlopu i wycieczki téj powrócił w połowie r. 1863. Widząc, że w służbie rządowéj nie dobije się miejsca odpowiedniego swym zdolnościom, przeszedł na drogę żelazną Warsz.-Wied. i Warsz.-Bydg., gdzie już pod koniec tegoż roku otrzymał posadę naczelnika kancelaryi w dyrekcyi téjże drogi. Od téj pory posuwał się szybko, tak, że z d. 1 stycznia 1867 powołany został na pełniącego obowiązki członka dyrekcyi do spraw finansowych; w rok potém otrzymał posadę trzeciego dyrektora; w 1871 objął czynność dyrektora-przewodniczącego, z zachowaniem nadal kierownictwa częścią administracyjno-finansową zarządu. Następnego już roku rada zarządzająca uznała „szczególnie pożyteczną działalność“ Findeisena w interesach drogi żelaznéj. Rada zarządzająca, widząc w nim wysokie uzdolnienie i energią, pozostawiła od 1 stycznia 1873 przy nim samym cały zarząd, usuwając dwóch innych dyrektorów. Dzięki pomyślnym okolicznościom, a szczególniéj rzutkości, pracy i zabiegłości Findeisena droga żelazna Warsz. Wied. i Warsz.-Bydg. zaczęła przynosić znaczne zyski i wtedy nie miano dość słów na pochwałę jéj dyrektora. Okres téj pomyślności jednakże skończył się po kilku latach; nastały czasy gorsze, a stąd i pewne starcia w łonie saméj rady zarządzającéj. Gdy spostrzegł że zamierzone są reformy,

zdaniem jego, nieodpowiednie, podał się sam do dymisyi i takową otrzymał w 1883 r. Resztę życia przepędził w majątku swoim Śmiłowicach, oddany wyłącznie pracy rolniczéj. Przedwczesna śmierć przecięła, w sile wieku, pasmo dni ciężkich człowieka szlachetnego, zdolnego, dobrego ojca rodziny, gospodarza wzorowego, obywatela nieposzlakowanéj prawości, okrywając żałobą rodzinę i przyjaciół.

Przytoczyliśmy te szczegóły z życia ś. p. Findeisena, które świadczą, że to czém był, przedewszystkiém sobie zawdzięczał; a jeżeli los z początku nieprzychylny, późniéj mu się uśmiechnął, trzeba przyznać, że uśmiech jego nie chybił. Ażeby ocenić całą kilkunastoletnią pracę Findeisena i jéj skutki dla drogi Warsz.-Wied. i Warsz.-Bydg., trzebaby rozporządzać większą liczbą materyałów, niż mamy pod ręką; trzebaby znać jakim był jéj stan przed objęciem przez niego głównego kierownictwa. Nie mając tych danych przypomnimy to, co powszechnie było znaném, a co stanowiło niewątpliwie zasługę Findeisena.

Więc najprzód we wszystkich gałęziach zarządu drogi, w których się był rozpostarł żywioł niemiecki ze szkodą krajowców, rugowanych zewsząd przez wypadki ówczesne, starał się wyłącznie tych ostatnich osadzać, a nie poprzestając na tém, o podwładnych troszczył się jakby o swoich najbliższych. Nieraz byliśmy świadkami jak myślał o ich losie, jak brał w rachubę zmienne warunki materyalnego ich bytu i w miarę możności zaradzał ich potrzebom. Zapewne wszystkim nie dogodził, ale że chciał być i nieraz bywał wyrozumiałym zwierzchnikiem, tego dowody mogliby złożyć liczni jego podwładni, którym rękę podał i którzy też zachowali niekłamaną dla niego wdzięczność i dobre wspomnienia.

Widząc potrzebę odpowiednio uzdolnionych ludzi do służby kolejowéj postarał się o założenie szkoły technicznéj, która go żywo obchodziła i dla utrzymania któréj na odpowiedniéj stopie nie szczędził zabiegów o wyjednanie u rady zarządzającéj dostatecznego uposażenia, oraz o dobór nauczycieli. Szkoła ta daje ukształcenie paruset młodzieńcom, którzy znajdują zajęcie i chleb, bądź w służbie samejże drogi, bądź po warsztatach prywatnych.

Umysł ś. p. Findeisena tak bystry, lotny, łatwo oryentujący się, nie tylko w sprawach dotyczących kolei żelaznych, lecz we wszystkich, które zajmowały spółczesne mu pokolenie, nie mógł pozostać obcym i temu, co się działo na polu piśmiennictwa krajowego. A chociaż sam nie brał się do pióra, będąc pochłonięty licznemi i mozolnemi zatrudnieniami swojego urzędu; jednakże żywo go obchodziły losy języka krajowego i prasy peryodycznéj. Więc też nie uchylał się gdy przyszło zapewnić byt *Ateneum*, lecz wraz z kilku

innymi obywatelami przychodził mu w pomoc materyalnie i trafnemi uwagami moralnéj dodawał zachęty. Pragnął organu, któryby służył interesom krajowym bez schlebiania téj lub owéj partyi i był wyrazem dążności postępowych ale umiarkowanych. Słowem ś. p. Findeisen rozumiał i ze świadomością pełnił obowiązki obywatelskie, nie zapominając, że urząd, dom, gospodarstwo, rodzina, jeszcze nie mogą stanowić jedynego przedmiotu prac i myśli naszych, lecz że winniśmy prócz tego najlepszą cząstkę samych siebie poświęcać dobru publicznemu. W innych warunkach i z takiemi zdolnościami jak miał ś. p. Findeisen, mógłby zająć wybitniejsze stanowisko, niż to które zajmował; nie brakło mu bowiem ani szerokich poglądów na sprawy publiczne, ani dzielnéj woli do wykonania powziętych z rozwagą zamiarów.

= **Adam Prażmowski** um. 9 lutego r. b. w Paryżu. Był-to jeden z nielicznych samodzielnych badaczy i wynalazców naszych, których zasługi umiała ocenić zagranica. Urodził się w r. 1821, kształcił się w Warszawie; po ukończeniu tak zw. „kursów dodatkowych“, zastępujących wtedy brak uniwersytetu, poświęcił się badaniu astronomii i objął w r. 1839 posadę adjunkta w obserwatoryum warszawskiém. Zajmując się optyką i mechaniką, ulepszył kilka narzędzi używanych do obserwowania brzegów tarczy słonecznéj w czasie zaćmienia. Przyrządy jego pomysłu oceniono należycie w czasie obserwacyi zaćmienia całkowitego, które jako widoczne całkowicie w Hiszpanii r. 1860 sprowadziło tam delegacye uczone z całéj cywilizowanéj Europy i dało pochop do obmyślenia nowych metod obserwowania pewnych części słońca. Prażmowski ogłosił wtedy w Paryżu rozprawkę p. n. *Observation de l'éclipse totale du soleil de 18 Juillet 1860.* Przez czas jakiś wykładał fizykę doświadczalną w Akademii medyczno-chirurgicznéj, w Szkole przygotowawczéj i wreszcie w saméj Szkole Głównéj. Opuściwszy to ostatnie stanowisko, osiadł w Paryżu, oddał się pracy nad soczewkami i wogóle narzędziami optycznemi. Zdolność i pracowitość zrobiły mu niebawem rozgłos, tak że z prostego robotnika, licho płatnego, wyszedł w przeciągu lat kilku na współwłaściciela jednego z pierwszych optyczno-mechanicznych zakładów w Paryżu. Pomimo znacznych dochodów, po dniach całych siadywał w warsztacie, ubrany w bluzę niebieską, zajmując się obliczaniem krzywizn, ulepszaniem metod, obmyślaniem nowych przyrządów. Wieczory poświęcał sprawom Towarzystwa Nauk Ścisłych, któremu przewodniczył, wydawaniu Pamiętników tegoż Towarzystwa itp. Oprócz wspomnianéj już broszurki, ogłosił on rozprawę: *O błędach osobistych obserwatorów przy mierzeniu*

zboczeń i przejścia gwiazd przez południk. Treść jéj była przedstawiona na jedném z posiedzeń paryskiéj Akademii Nauk przez Leverriera, a wyniki zastosowano w obserwatoryum paryskiém. Nadto dostarczył do dzieła Beyera (po niemiecku) sprawozdanie z obserwacyi meteorologicznych w Warszawie od 1839 do 1849 robionych, wydał opis udziału swego w tryangulacyjnych pomiarach królestwa, dokonanych w związku z pracami topografów pruskich i austryackich, oraz opis pomiarów części łuku południka, dokonywanych w cesarstwie (od 1848—1852), przy współudziale Prażmowskiego, który przewodniczył besarabskiemu oddziałowi komisyi mierniczéj. Należy się od nas cześć talentowi, pracy i wytrwałości, przymiotom tak rzadkim u nas w tém skupieniu.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIE.

Biblioteka matematyczno-fizyczna wydawana pod redakcyą *M. A. Baranieckiego* z zapomogi Kasy pomocy naukowéj im. Mianowskiego. Dotąd wyszły tomy następujące:

Seryi I. **Początki arytmetyki** *M. Berkmana*, kop. 65; **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka*, dwie części, kop. 30 i kop. 45. **Wiadomości początkowe z gieografii fizycznéj i meteorologii** *A. W. Witkowskiego*, kop. 45.

Seryi III. **Arytmetyka**, *M. A. Baranieckiego* rs. 1 kop. 70. **Początkowy wykład syntetyczny własności przecięć stożkowych**, *M. A. Baranieckiego*, kop. 85.

Seryi IV. **Rozwiązywanie równań liczebnych**, *J. Sochockiego*, rs. 2. **Gieometrya analityczna**, *W. Zajączkowskiego*, rs. 3.

W druku: **Kosmografija** *J. Jędrzejewicza* i **Zasady mechaniki teoretycznéj**, *J. N. Frankego*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Lutego 1885 r.

---

1. **Etyka Spinozy**. Krytycznie rozebrana i z tegoczesnym materyalizmem zestawiona przez *Alexandra Raciborskiego*. Lwów nakładem autora. 1882. (8-o str. 529).
2. **Dyplomacya Szlachecka** szkice z poznańskiego powieść *T. T. Jeża* z ilustracyami St. Witkiewicza. Warszawa u A. W. Gruszeckiego. 1885. (4-o str. 124).
3. **La Save le Danube et le Balkan**. voyage chez les Slovènes, les Croates les Serbes et les Bulgares p. *M. L. Léger*. Paris. Plon 1884.
4. **Krzew winny,** jego hodowla w gruncie i w budynkach przez *Edmunda Jankowskiego*. (z 63 drzeworytami). Wydanie drugie powiększone. Warszawa. 1885. (8-o str. 132).
5. Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami. III. **Jana Kochanowskiego Treny** objaśnił *Piotr Parylak*. Lwów wyd. W. J. F. Hoschka. 1885. (8-o str. 113.)
6. **Korespondencya Joachima Lelewela z Tytusem hr. Działyńskim** wydał *dr. Z. Celichowski*. Poznań. 1884, (8-o str. 85).
7. **Drugi napad Tatarów na Polskę**. przedstawił *Bolesław Ulanowski* Kraków. 1884. (8-o str. 53).
8. **Wyjątki z najdawniejszej księgi miejskiej Lubelskiej** podał *Bolesław Ulanowski*. Kraków. 1885. (8-o str. 16).
9. **Inscriptiones clenodiales ex libris iudicialibus palatinatus Cracoviensis** collegit et edidit *Boleslaus Ulanowski*. (Starodawnych prawa polskiego pomników tomu VII zeszyt III). Kraków. 1885, (4-o, str. XV i od 277 do 626.)
10. **Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej** o stanie szkół średnich galicyjskich w latach szkolnych 1875—1883. Część I. Lwów 1884. (4-o str. 150).
11. Biblioteka najcelniejszych utworów literatury Europejskiej: Wydanie S. Lewentala.
    Liter. francuska: *Honoryusz Balzac*. **Komedya Ludzka.** Tom VIII. **Poszukiwanie bezwzględności. Marany.** Przekład *Ant. Sygietyńskiego*. Warszawa. 1884. Liter. polska: *Teod. Tom. Jeż* **Rotułowicze** powieść z dziejów Serbskich. Warszawa. 1884.
12. *Eliza Orzeszkowa*. **Cnotliwi** powieść. Warszawa, u S. Lewentala 1885. (8-o str. 440).
13. **Jan Brożek** (J. Broscius) **Akademik Krakowski** (1585—1652). Jego życie i dzieła, ze szczególnem uwzględnieniem prac matematycznych ze źródeł rekopiśmiennych opracował *Jan Nep. Franke*. Wyd. Akad. Umiejętn. Kraków. 1884. (8-o str. XI i 303).
14. **Biblioteka Matematyczno-Fizyczna** wydawana pod redakcyą M. A. Baranieckiego Serja III. Tom V. **Początkowy wykład syntetyczny własności Przecięć stożkowych,** na podstawie ich pokrewieństwa harmonicznego z kołem. napisał *Marijan A. Baraniecki*. Warszawa. 1885. (8-o str. XVI i 131) Cena 85 kop.

Дозволено Цензурою, Варшава. 18 Февраля 1885 г.